

JOANNA PUCHAŁSKA

BO TO
ZŁE KOBIEITY BYŁY
INTRYGANTKI I DIABLICE

JOANNA PUCHALSKA

BO TO
ZŁE KOBIETY BYŁY

INTRYGANTKI I DIABLICE

FRONDA

Spis treści

Od Autorki

Dwie Barbary

Poskromiona złośnica przed sejmowym sądem

Wenus polska albo grzeszny żywot pięknej Agnieszki

Król, jego kamerdyner, księżę i awanturnica

Greczynka w polsce

Poeta i hrabina

Tajemnicza Xawera

Po bolszewicku, czyli czerwona dusza komunistki

Madame Wasilewska idzie na wojnę

Kainowa samotność

Literatura

Źródła ilustracji i zdjęć

OD AUTORKI

*Największe występki wynikają z nadmiernych pragnień,
a nie z konieczności.*

Arystoteles

Według św. Tomasza z Akwinu niemożliwe jest, aby istniał świat bez zła. Wprawdzie samo istnienie ma rację dobra (*ipsum igitur esse habet rationem boni*), ale ponieważ świat polega na zanikaniu jednych bytów i powstawaniu innych, istnieje w nim zło konieczne. Niekonieczne natomiast jest zło moralne, którego dopuszcza się człowiek, czyli niezgodne z naturą wykorzystywanie innych bytów, niszczenie siebie i otoczenia, niegodziwe postępki.

Zatem byty destrukcyjne też istnieją i czynione przez nie niekonieczne zło ma wpływ na dzieje świata. Do książki oprócz znanych postaci wybrałam także takie, których postępki może nie wpłynęły w znaczący sposób na losy ludzkości, ale pod jakimś względem okazały się destrukcyjne dla otoczenia. Dziesięć kobiet z różnych epok i różnego pochodzenia społecznego. Czy można powiedzieć, że były to osoby złe? Z pewnością według kryteriów św. Tomasza ich postępowanie da się zakwalifikować jako zło niekonieczne. Wyrządzały krzywdę bliźnim i często niszczyły przy tym siebie.

Zło ma tę szczególną cechę, że jest bardziej krzykliwe i w większym stopniu niż dobro fascynuje i zwraca na siebie uwagę. Dlatego życiorysy niektórych moich bohatererek okazały się na tyle atrakcyjne jako twórcza inspiracja, że posłużyły za kanwę utworów literackich. Karolinę Sobańską uwiecznił Mickiewicz w dramacie *Konfederaci barscy*. Całe powieści napisano o Barbarze Giżance, Agnieszce Machównie, Zofii Wittowej-Potockiej i Karolinie Sobańskiej. Aż dziwne, że nie powstała powieść sensacyjno-romansowa o życiu Marii Teresy Dogrumowej, oszustki i awanturnicy, snującej swoje intrygi w sferach zbliżonych do królewskiego tronu. W swoim czasie tak zwana sprawa Dogrumowej mocno poruszyła opinię publiczną Europy, pisano o niej także w prasie zagranicznej.

Według Arystotelesa występki biorą się z nadmiernych pragnień. Barbara Giżanka z wyrachowaniem wykorzystywała podobieństwo do zmarłej Barbary Radziwiłłówny i słabość starzejącego się króla, pragnąc dostatków i władzy. Barbara Brezianka nie liczyła się z nikim (oprócz czwartego męża) i z niczym. Aby osiągnąć swój cel, nie cofała się przed przemocą i własnym dzieciom zatruwała życie procesami sądowymi. Agnieszka Machówna tak mocno pożądała awansu społecznego i bogactw doczesnych, że uległszy pokusie rozwiązłego i nieuczciwego życia, na swoją zgubę złamała obowiązujące prawo. Wspomniana

już Maria Teresa Dogrumowa dla materialnej korzyści bez mrugnięcia okiem posługiwała się kłamstwem, fałszem i intrygami. Grecka kurtyzana nazywana Dudu, później bardziej znana jako Zofia Wittowa-Potocka, manipulując mężczyznami, wspięła się na sam szczyt hierarchii społecznej w dawnej Rzeczypospolitej. Rozpieszczona córeczka tatusia, Karolina z Rzewuskich Sobańska, prowadziła życie – delikatnie mówiąc – rozwiązłe i nie widziała nic niewłaściwego ani w tym, ani w byciu płatną agentką wrogiego mocarstwa. Xawera Deybel zatrzęsa małżeństwem Adama Mickiewicza, stając się przyczyną wielkiego stresu i niepokoju dla jego chorej psychicznie żony, a oprócz tego narobiła zamieszania w męskiej części środowiska towiańczyków. Dwie lewicowe działaczki, Janina Broniewska i Wanda Wasilewska, zaczynały niewinnie – od okazywaniu wrażliwości na krzywdę, wyzysk i niesprawiedliwość, a skończyły na gorliwym współudziale w narzucaniu stalinowskiej rzeczywistości, czyli *de facto* na zdradzie Polski. Blanka Kaczorowska dobrowolnie przeszła z jasnej strony w najmroczniejszy mrok, kolaborując najpierw z jednym, potem z drugim wrogiem. To nie były kobiety ciemne, prymitywne, które nie wiedziały, co robią. Wyboru niekoniecznego zła dokonywały świadomie, niektóre z nich – Broniewska i Wasilewska – dosłownie opętane demoralizującą ideą.

Zbieranie wiadomości o diabolicach i mąciocielkach było okazją do powrotu do dawnych lektur i odkrycia nowych. Do sięgnięcia do książek, które dają i radość poznania, i przyjemność obcowania z piękną polszczyzną. Niektóre są dziś niesłusznie zapomniane, a szkoda, bo nie powinny się kurzyć na bibliotecznym półkach.

Zbigniew Kuchowicz, historyk specjalizujący się w epoce staropolskiej, w *Wizerunkach niepospolitych niewiast staropolskich XVI–XVIII wieku* poświęcił dwa rozdziały Barbarze Giżance i Agnieszce Machównie. Pierwsza stała się także bohaterką romansu historycznego *Barbara i król. Historia ostatniej miłości Zygmunta Augusta* Renaty Czarneckiej, o drugiej opowiada świetna pod względem stylizacji językowej powieść *Nierządnicy żywot atlasowy* Jana Ziółkowskiego. Niezrównany mistrz lekkiego pióra Stanisław Wasylewski w książce *Karolina Sobańska. Występne życie i złoczyni tajnej agentki wywiadu carskiego* w swoim niepowtarzalnym i złośliwym stylu przedstawił tę niesławną postać. Aleksander Kraushar przedarł się przez dawne akta sądowe i inne materiały źródłowe i jako prawnik z zawodu potrafił przejrzeć zrelacjonować zawiłości procesów Barbary Brezianki i Marii Teresy Dogrumowej. W dorobku historyka Jerzego Łojka poczesne miejsce zajmują *Dzieje pięknej Bitynki*, biografia Zofii Wittowej-Potockiej, okrzykniętej najpiękniejszą kobietą Europy. O niej napisał w swojej pracy *Losy pięknej kobiety* lekarz psychiatra i historyk amator Antoni Józef Rolle. Jest ona też bohaterką współczesnej powieści Ewy Stachniak *Ogród Afrodyty*. Xawera Deybel występuje w książce Ewy K. Kossak *Boskie diabły*,

a także w pasjonującej powieści Piotra S. Załuskiego o życiu Adama Mickiewicza, zatytułowanej *Zamęt*. Z historii nowszej na pewno warto sięgnąć do wspomnień Haliny Zakrzewskiej „Bedy”, zatytułowanych *Niepodległość będzie twoją nagrodą*, oraz do książki Witolda Pronobisa *General Grot. Kulisy zdrady i śmierci*. W obu przewija się tragiczna postać Blanki Kaczorowskiej. Rzetelnie udokumentowany obraz lewicowego środowiska literackiego przedwojennej, wojennej i powojennej Polski kreśli Marci Shore w opracowaniu *Kawior i popiół. Życie i śmierć pokolenia oczarowanych i rozczarowanych marksizmem*. O zaskakujących rzeczach i nieznanymi szerzej faktach dotyczących tychże literatów można poczytać w monumentalnym dziele Bohdana Urbankowskiego *Czerwona msza, czyli uśmiech Stalina*. Ta ostatnia pozycja to obszerny zasób materiału faktograficznego o niechlubnych postaciach i niechlubnych zachowaniach. Poruszającą pod tym względem lekturę stanowią też *Biografie odtajnione* Joanny Siedleckiej.

Moje opowieści są częściowo zbeletryzowane. Pisząc dialogi, starałam się opierać jak najwierniej na dostępnych źródłach – tak było w przypadku Marii Teresy Dogrumowej czy Wandy Wasilewskiej. Czasem sytuacja wymagała rozwiązań całkowicie fikcyjnych, niemniej musiały one brzmieć wiarygodnie. Wymyślona jest rozmowa trzech poetów: Wespazjana Kochowskiego, Jana Gawińskiego i Sambora Młoszowskiego, scena powrotu Andrzeja Obornickiego do domu i zajazd w Chalinie czy burzliwa rozmowa Xawery Deybel z Celiną Mickiewiczową.

Pisanie było moją kolejną przygodą z polską literaturą i historią. Z literaturą często zapomniałam, a z historią taką, jaką lubię najbardziej, czyli opowiadaną przez pryzmat losów jednostki. W tym przypadku są to jednostki – mówiąc językiem Stanisława Wasylewskiego – dokonujące „złoczyńów”. Jednego wszakże nie można im zarzucić – człowiek się z nimi nie nudzi.

Profesor Krystynie Stasiewicz z Olsztyna gorąco dziękuję za sugestie i wskazówki ułatwiające poruszanie się po świecie staropolskiej obyczajowości i kultury.

Doktor Ninie Taylor-Terleckiej z Oksfordu za literacko-plotkarskie spotkania stanowiące później inspirację przy pisaniu.

Pani Tamarze Wierszyckiej z Nowogródka za ciekawe rozmowy o Adamie Mickiewiczu i jego uwikłaniach w szczęśliwe i nieszczęśliwe związki z kobietami.

Mojej Mamie Elżbiecie Puchalskiej za relację o wizycie w domu Blanki Kaczorowskiej i czujne oko przy czytaniu powstających rozdziałów.

Pani Ewie Popielarz za pełne wyczucia i zrozumienia oszlifowanie tekstu.

Wydawnictwu Fronda za miłą współpracę i cierpliwość – jak zawsze.

Joanna Puchalska

DWIE BARBARY

Piszq wiersze o Gizance,

Ona przecie chodzi w bramce¹,

Nie dbajqç by kqška.

Hej, rozkoszne to wzdry ciało,

Które co chciało, to miało,

I drugim jednało.

Anonim, O tejże²

– Witajcie, pani Gizowo. A skąd to Bóg prowadzi?

Tęga mieszcżka, której towarzyszył kilkunastoletni słuźący, dopiero teraz zauważyła postawnego męźczyznę stojącego przy naroźniku kościoła Świętego Jana. Zapadał wczesny listopadowy zmrok, śnieg lekko prószył, zasnuwając koronkową bielą fasady domów.

– Witajcie, kumie. Od złotnika Hillebrantha wracam. Dług mu oddać chodziłam. Groził, że mnie do sądu poda. Z Baryczkówną żonaty, warsztat własny ma, co dzień w gospodzie wino popija jak wielki pan jakiś, to mógłby poczekać. Ale nie, oddawaj mu już, teraz, zaraz. Ani dnia nie daruje, ani godzinki jednej... – Gizowa urwała, aby nabrać tchu, i pociągnęła nosem. – Dawnoście do nas nie zaglądali, panie Hieronimie – dodała słodko-przymilnym głosem. – A ja tak rady waszej potrzebuję. Nieboszczyk mi się dziś przyśnił i bardzo był czegoś markotny.

– Hm, mówicie, że niezadowolony? A czy coś się stało? – Hieronim Ginter, przyjaciel najbliższy nieżyjącego od lat wielu Jana Gizy i chrzestny najstarszego Jakuba, serdecznie nie lubił wdowy. Zresztą mało kto ją lubił. Arcyprzykry charakter, kłótliva i prostacka, łasa na pieniądze, w dodatku, jak mówiono, niezbyt cnotliwa, i to nie tylko teraz, lecz i za życia męźa nieraz jej się przytrafiało zapomnieć, zwłaszcza z młodszymi czeladnikami. Złośliwi twierdzili, że rajca Giza

umarł, bo tylko tak mógł się od niej uwolnić. Przez wzgląd na dawną przyjaźń Ginter poczuwał się do opieki nad sierotami i nieraz ich matkę wspierał, już to radą, już to gotowym groszem, o co skutecznie umiała się przymówić, znając jego miękkie serce.



Król ZYGMUNT AUGUST. Miedzioryt X. Preka i A. Teplera
(Biblioteka Narodowa)



BARBARA RADZIWIŁŁÓWNA, *królowa polska. Litografia François Greniera*
(Biblioteka Narodowa)

– Kłopot mam, sama nie wiem, co robić. Jak wiecie, oddałam do klasztoru naszą Barbarę. Myśleli my, że u panien bernardynek skromności się większej nauczy, a tu...

– Ktoś ją porwał? – Jeśli tak, to pan Hieronim pewien był, że dziewczka, mając temperament po matce, długo się nie opierała.

– Nie, panie Hieronimie, ale Bóg mi świadkiem, sama nie wiem, co myśleć... – Gizowa ściszyła głos, tak by towarzyszący jej chłopak nie usłyszał. – Onegdaj przyszedł do mnie pan Mikołaj Mniszech, królewski dworzanin...

– I...?

– Nie tu, nie na ulicy – rozejrzała się czujnie i znów pociągnęła głośno wydatnym nosem, jak to miała w zwyczaju, kiedy była czymś przejęta. – Zajdźcie dziś do nas na wieczerzę, to wam wszystko opowiem. Chcę znać wasze zdanie.



Za panowania Zygmunta Augusta Polska przeżywała okres rozkwitu. Nie było u nas wtedy wojen religijnych, niszczących w tym czasie Francję, Anglię czy Szwajcarię. Król był człowiekiem wykształconym, o szerokich horyzontach, rządził ostrożnie, miał wielki urok osobisty, a naturę łagodną. Postarzał się jednak, a schyłek życia nie był łaskawy ani dla niego, ani dla najbliższego otoczenia, ani też korzystny dla kraju. Schorowany i coraz słabszy, sam sobie jeszcze bardziej szkodził, bo cierpiąc na podagrę, na kamice nerkową i ischias, a niewykluczone, że i na chorobę płuc, zachowywał się jak jurny młodzieniaszek. Zarywał noce i spał w dzień, pił niezdrowe ilości węgryzna, najgorsze zaś skutki miało dać to, że nadmiernie używał uciech cielesnych. Pewnie się tak dlatego działo, bo nieszczęśliwy był ten Jagiellon, wciąż oplakujący swą ukochaną Barbarę Radziwiłłównę, a nieczujący pociągu do następnej żony – Katarzyny Austriackiej – którą z ulgą prawdziwą odesłał do Linzu.

Miał bowiem Zygmunt August trzy namiętności w życiu: konie, klejnoty i kobiety. Dwie pierwsze pasje nie niosły zagrożenia dla zdrowia, natomiast trzecia przyczyniła się do jego przedwczesnej śmierci. „Król ten, zawsze powolny dla kobiet, często przez nie rządzony, tak się przy końcu lubieżności poddał, iż schorzałe ciało ledwie unieść mogący, od codziennego obcowania wstrzymać się nie chciał” – pisał sekretarz nuncjusza papieskiego Antonio Maria Gratiani³. W dodatku nie tylko pił znaczne ilości wina, lecz także wzmacniał siły męskie konfortatywami, czyli ówczesnymi środkami na potencję. Gdy czuł się źle i medycy nie potrafili ulżyć jego cierpieniom, dworzanie sprowadzali znachorki, które odprawiały tajemnicze obrzędy, zamawiały chorobę, obolałe ciało okadzały ziołami i obmywały „zaczarowaną” wodą. Między innymi bywała na zamku słynna czarownica z Błonia zwana Wielki Ożóg, niemająca sobie równych w odczynianiu uroków. Jeśli któraś ze znachorek przypadkiem pomogła, król obsypywał ją złotem. W ogóle był szczodry i miał miękkie serce, a miłośnice, które nazywał swoimi sokołami, obdarzał jeszcze hojniej. Wyposażał je, stroił w piękne suknie

i klejnoty, a przy tym nie miał absolutnie żadnych uprzedzeń, jeśli chodzi o pochodzenie kochanek. Bywały w jego łożu szlachcianki, mieszczyki i proste chłopki. Byle ładne.

W ostatnich latach rządów ostatniego z Jagiellonów dwór opanowała kamaryła, której przewodzili bracia Jerzy i Mikołaj Mniszchowie. Zarówno oni dwaj, jak i inni dworzanie wyłudzali darowizny i nadania, dorabiali się okazałych majątków, wykorzystując słabość władcy. Rajfurzyli przy tym na potęgę, sprowadzając swemu panu kolejne kobiety. Spośród nich pierwsze miejsce w sercu króla zajęła Barbara Gizanka.



Gizowie od czasów dawni
w Urzędach są różni sławni.

Adam Jarzębski, *Gościniec, abo krótkie opisanie Warszawy*

Przyszła na świat około 1550 roku jako córka zamożnych warszawskich mieszczan Jana i Anny Gizów. Ojciec był zręcznym kupcem i spekulantem, dorobił się majątku na handlu i lichwie. Był też rajcą, a nawet czas jakiś burmistrzem Warszawy. Barbara urodziła się już po jego śmierci, a złośliwi powiadali, że jak na prawe łoża bóle porodowe wystąpiły trochę późno. Jakieś wykształcenie musiała otrzymać, bo czytać umiała. Według niektórych autorów już w wieku czternastu lat uciekła z domu do właściciela kilku młynów, niejakiego Macieja Gysza, człowieka żonatego, który wprowadził ją do swego domu pod pretekstem, że ma być towarzyszką dla jego córki. Matka ją u owego młynarza odnalazła i zabrała stamtąd. Ale że przez swoją romansową naturę dziewczyna nadal sprawiała trudności wychowawcze, wdowa zdecydowała się oddać ją na naukę do klasztoru bernardynek Świętego Franciszka, stojącego między kościołem Świętej Anny a murami miejskimi. Mury klasztorne nie uchroniły jednak panny przed światowymi pokusami. Zakonnice, żyjące z jałmużny i z pracy, która polegała między innymi na tym, że pielęgnowały chorych na mieście, nie przestrzegały klauzury, toteż dostęp do wychowanek nie był niemożliwy.

W klasztorze wypatrzył ją podobno Mikołaj Mniszech, zaufany pokojowiec Zygmunta Augusta i sam wielki amator wdzięków niewieścich. Kontakt z nią ułatwił mu Żyd Egidius, który przyjaźnił się z jego bratem Jerzym, a do klasztoru chodził handlować swoimi towarami. Dworzanin zaczął dziewczynę odwiedzać w przebraniu zakonnicy, przedstawiając się na furcie jako Maria Opacka, na co naiwne siostrzyczki dały się nabrać. Czy ją uwiódł, nie wiadomo, ale biorąc pod uwagę jego zamiłowania, jest to wysoce prawdopodobne. Nie chciał jej jednak dla siebie, lecz dla króla, bo panna stanowiła cenne znalezisko nie tylko ze względu na

swą urodę, lecz również dlatego, że uderzająco przypominała zmarłą królową Barbarę Radziwiłłównę, której dotąd nie potrafiła monarsze zastąpić żadna spośród metres i chwilowych miłośnic. Imć pan Mikołaj liczył na to, że dzięki podobieństwu do królowej, a także urodzie i niewątpliwemu sprytowi, dziewczyna pokona w rywalizacji o królewskie względy inne nałożnice. A wtedy przez nią Mikołaj i Jerzy Mniszchowie uzyskają jeszcze większy wpływ na schorowanego władcę i jeszcze większe będą czerpać korzyści. Przychodził tedy Mikołaj do niej do klasztoru i namawiał do romansu z królem. Jednocześnie dogadywał się z jej rodziną, kusił wspaniałą perspektywą roztaczającą się przed córką, jeśli umiejętnie wykorzysta się to, czym ją sama natura obdarzyła, czyli niesłychane podobieństwo do tamtej Barbary. Ostatecznie panna klasztor opuściła.



*Wojewoda sandomierski **JERZY MNISZECH**, przedtem dworzanin Zygmunta Augusta, na obrazie Szymona Boguszowicza z 1610 r. (Wikimedia Commons)*

Na dworze, dokąd miała trafić, panował obyczajowy chaos. Zygmunt August zbyt często pociągał za rękaw swoich sług, którzy robili, co chcieli. Monarchę otaczało mnóstwo pięknych kobiet, jego sokołów. Rej wśród nich wodziła, i to przez całe

siedem lat, przepiękna Zuzanna Orłowska, a w podarowanym przez króla Witowie czekała na każde jego skinienie równie urodziwa Anna Zajączkowska, wywabiona podstępem z fraucymeru Anny Jagiellonki, ku rozpaczcy i oburzeniu pobożnej królowny. Z tą drugą, ubogą szlachcianką, monarcha zamierzał się nawet ożenić. Przez jego apartamenty przewijało się też wiele innych kobiet, przeważnie były to chwilowe miłości. Król obsypywał je pieniędzmi i podarunkami, ale do żadnej się nie przywiązał i tęsknił za Radziwiłówną.



Ja żyć muszę i żyć bez Barbary!

O Polsko, jakże trudnej wymagasz ofiary!

Alojzy Feliński, *Barbara Radziwiłówna, tragedia w pięciu aktach*,

akt V, scena 7 i ostatnia

Według legendy, która później powstała, debiut urodziwej kupieckiej córki na królewskim dworze miał miejsce w Warszawie na zamku i był niesamowity w sensie dosłownym. Zygmunt August, który po śmierci ukochanej żony przywdział noszony odtąd stale czarny ubiór, a swoje komnaty kazał obić kirem, był człowiekiem zabobonnym, wierzył w czary, czarownice i gwiazdy. Zatrudniał nawet nadwornego astrologa, Piotra Proboszczowicza, zresztą profesora Akademii Krakowskiej, jako że była to wówczas poważna całkiem nauka. Ulegał jego wpływom i bardzo liczył się z jego zdaniem. Sprytnym dworzanom łatwo zapewne przyszło poddać myśl, że warto by podjąć próbę sprowadzenia ducha królowej za pomocą magii. Przedsięwzięcie musiało się odbyć w tajemnicy przed Anną Jagiellonką, która będąc osobą głęboko pobożną, sprzeciwiłaby się naruszaniu spokoju zmarłych. Ukazania królowi zmarłej żony podjął się sławny – jak głosi najbardziej obiegowa wersja legendy – czarnoksiężnik Twardowski⁴, który według niektórych badaczy istniał naprawdę, tyle że nazywał się Laurentius Dhur, po łacinie Durentius, czyli „twardy”, skąd wzięło się jego spolszczone w późniejszych źródłach nazwisko. Ale postawił warunek: podczas seansu król zachowa się spokojnie i nie wypowie ani słowa, inaczej on nie ręczy za jego życie i duszę. Zygmunt August się zgodził.



Tej nocy, zimowej i mroźnej, z szalejącą nad Warszawą i zamkiem śnieżycą, mistrz Laurentius stał nieruchomo w komnacie królewskiej, patrzył na siedzącego

naprzeciw niego monarchę i czekał. Gdy król dał znak, że jest gotów, mag zdmuchnął świece, zostawiając tylko dwie stojące pośrodku w wysokich lichtarzach, i jął odsłaniać ustawione obok stołu duże lustro. Opary dobywające się z bulgoczącego na ogniu kociołka przybierały postać leniwie snujących się smug, które wydzielały odurzającą, lekko słodkawą woń.

– A teraz, miłościwy panie, spojrzij w zwierciadło. Bez lęku poszukuj wzrokiem najgłębszej głębi. Niech ci ukaże to, czego pragnie twoje serce.

– Mówiłeś, mistrzu, że ją zobaczę żywą, w cielesnej postaci, a ty każesz mi patrzeć w lustro.

– Uczynię tak, jak obiecałem, miłościwy panie. Pojawi się tu, w tej komnacie, lecz nim to się stanie, wprzód sam musisz ją w krainie zmarłych odnaleźć i przywołać siłą swojej miłości. Lustro ci dopomoże.

Dhur powoli zsunął z lustrzanej tafli czarną jak noc, lśniąca materię, pochylił głowę, uniósł obie ręce do góry i jął mamrotać inkantacje w nieznanym języku. Zrozumiałe były jedynie pojedyncze, niemieckie i łacińskie wyrazy. Król słyszał, jak z ust maga padały słowa: *König, Verzeiflung, in aeternum, vier elementen, in vivo, veni regina, mors devicta*⁵. Z takim natężeniem wpatrywał się w lustrzaną taflę, że aż oczy mu zaszczyły łzami. Nagle dostrzegł w zwierciadlanej głębinie jaśniejszy od otaczającej go ciemności cień o zarysie kobiecej postaci. Drgnął, serce załomotało. Otworzył usta, chcąc zapytać, czy...

W tym momencie posłyszał szept maga.

– Spójrzcie, miłościwy panie, w prawo. Tylko nic nie mówcie.

Zygmunt August wolno odwrócił głowę. Stęsknione serce zamarło na ułamek sekundy, a potem się rozszalało, jakby mu w piersi królewskiej za ciasno się zrobiło, bo aż tyle było w nim miłości. Pod ścianą komnaty stała Barbara w królewskiej purpurze, ubrana tak samo, jak ją złożono w trumnie. Dwie stojące tuż obok siebie świece dawały nikły poblask, który dodatkowo jeszcze zasnuwały mgliste smugi, i w półcieniu nie widać było dokładnie rysów twarzy, ale ten wzrost, postawa, ruch... Właśnie uniosła rękę tak dobrze znanym najukochańszym gestem. Nie zdzierzył, zerwał się z miejsca i głosem pełnym żalu zawołał:

– Barbaro! Barbaro!

Rzucił się, chcąc uściskać marę. Czarnoksiężnik siłą go powstrzymał, król, szamocząc się z nim, na jedną chwilę oderwał wzrok od zjawy, a gdy znów spojrział, widziadło znikło. Jęknął głośno i osunął się na podłogę, a wtedy do komnaty wpadł Mikołaj Mniszech, czekający cały czas w pogotowiu pod drzwiami, i nie na żarty się przestraszył, gdy zobaczył, jak bardzo monarcha przeżył to spotkanie z zaświatami. Odprawił precz Dhura, natychmiast posłał po doktora Fogelfedera i jeszcze na wszelki wypadek po doktora Roguskiego. Zjawili się bardzo szybko i troskliwie zajęli się królem, który dopiero nad ranem, po wypiciu podanych mu ziołowych naparów, zasnął, ale miał sen ciężki i – jak mówił

później czuwający przy nim młody Żaliński – wyraźnie pełen udręczeń. Monarcha obudził się około południa, bardzo osłabiony. Znowu zawezwano medyków, którzy przepędzili przy nim cały dzień. Po ich wyjściu, późno w noc, na żądanie króla Wypczyński przyprowadził babę Budzikową, która obmyła królewskie ciało naparem z ziół, odmówiła zaklęcia nad naczyniem z wodą i podała ją władcy do wypicia. Król zasnął i znowu spał do południa. Tego dnia był apatyczny i osowiały, ale już tak nie cierpiał. Dużo rozmyślał, próbował się modlić, jednak spowiednika widzieć nie chciał. Na trzeci dzień kazał wezwać do siebie Mikołaja Mniszcha.



TWARDOWSKI WYWOŁUJĄCY DUCHA BARBARY przed Zygmuntem Augustem.

Szkic Jana Matejki (Wikimedia Commons)

– Mikołaju, miałeś rację, że to jest możliwe. Widziałem ją... – rzekł, gdy ten się stawił.

– Miłościwy panie, ja...

– Dziś wieczorem wezwiesz mistrza Laurentiusa. Chcę ją zobaczyć znowu.

Tym razem nie powiem ani słowa.

Mniszech padł na kolana, nie śmiejąc podnieść głowy.

– Miłościwy panie, racz przebaczyć swemu słudze, ale to niemożliwe...

– Cóż to, panie Mikołaju, odmawiasz spełnienia mego rozkazu?

– Lękam się, wasza miłość, bardzo.

– Czego się lękasz?
– Twego gniewu, miłościwy panie.
– Rozkazuję ci, mów!
– Nie mogłem patrzeć, jak mój ukochany władca cierpi. Dzień i noc myślałem, co zrobić, by ukoić tę boleść straszliwą. I kiedy przez przypadek ją spotkałem, pomyślałem sobie, że może ona uleczy tęsknotę waszej królewskiej mości.

– Kogo spotkałeś, Mikołaju?
– Kobietę podobną do królowej, świeć Panie nad jej duszą.

Dowiedziawszy się o spisku, do którego wciągnięto też mistrza Laurentiusa, dobry, łatwowierny Zygmunt August wybaczył swemu słudze i nawet nagroził go za dobre serce, a po jakimś czasie, jak Mniszech to trafnie przewidział, zainteresował się osobą, którą mu wtedy pokazano. Trudno w tej całej historii oddzielić prawdę od legendy, której w dodatku powstało kilka wersji. Możliwe jest, że dworscy intryganci zorganizowali to „wywoływanie ducha”, aby wzbudzić jeszcze większą żalność króla i tęsknotę za zmarłą, bo łącniej mogli potem wykorzystać do swoich celów podobieństwo żywej kobiety. Tak czy inaczej, czy był to Twardowski, czy Laurentius Dhur, czy też czarownica Wielki Ożóg, czy taki seans się odbył, czy to tylko legenda – faktem jest, że podsunęto królowi dziewczynę, a on uczynił z niej swego sokoła. W późniejszym śledztwie okazało się, że oprócz Mniszchów w akcji brali udział czterej inni królewscy słudzy: Luboniecki, Łepkowski, Grot i Wypczyński. I tak w styczniu 1570 roku na zamku pojawiła się nowa lokatorka.



Barbara Giżanka w pełni wykorzystała swoją szansę i romans z królem rozgrywała po mistrzowsku. Od początku swym niezwykłym podobieństwem do zmarłej żony przywiązała go do siebie, była przy tym dobra, ciepła, kochająca i namiętna, gotowa na każde jego skinienie i niewymagająca. Nie żądała wyłączności, godziła się z tym, że jej kochanek sypia też z Zuzanną Orzechowską i z Anną Zajązkowską. I właśnie ona została jego ulubioną nałożnicą, w dodatku umiejętnie na swoją korzyść obróciła jeszcze jedną słabość władcy – pragnienie posiadania następcy.



KRÓLEWNA ANNA JAGIELLONKA. Litografia według XVI-wiecznego drzeworytu (Biblioteka Narodowa)

Zygmunt August miał pięćdziesiąt lat i nie doczekał się potomstwa ani z trzech małżeństw, ani z nieprawego łoża – niemal na pewno był bezpłodny. Boleśnie przeżywał, że dynastia Jagiellonów może na nim wygasnąć. Pewnie też dlatego zmieniał kochanki jak rękawiczki, gdyż oprócz szukania nowych podniet

żywił także nadzieję, że natrafi na kobietę, która urodzi mu dziecko. Liczył na to ciągle, a schlebiające mu i manipulujące nim otoczenie wmawiało swemu władcy, że przecież Jagiełło ożenił się w późnym wieku i miał potomstwo. Sprytna kupcówna musiała wiedzieć od dworzan, że król nie może zostać ojcem. W ciążę jednak zaszła, być może dopomógł w tym niepoprawny kobieciarz Mikołaj Mniszech – tak przynajmniej plotkowano i ten motyw pojawia się w literaturze pięknej⁶. Ósmego września 1570 roku Barbara Giżanka urodziła, ale nie oczekiwanego chłopca, lecz dziewczynkę, a stało się to dziewięć miesięcy po jej pierwszej wizycie w królewskiej sypialni. Zygmunt August nie posiadał się ze szczęścia. Rozmarzył się teraz, że będzie miał z nią następne dzieci, w tym upragnionego syna. Obdarował ją hojnie. Oprócz klejnotów i innych podarków dostała ogromną jak na owe czasy sumę dwudziestu tysięcy czerwonych złotych⁷ i powszechnie mówiono, że gdyby dała mu syna, to by się z nią ożenił. Dziewczynkę nazwano – jakżeby inaczej! – Barbara, a jej matka dostała szlachectwo⁸. Wszak po uznaniu ojcostwa mała Barbarka oficjalnie była półkwi Jagiellonką, więc nawet jeśli król nie poślubiłby jej matki, to chociaż nadał jej herb.

Pater semper incertus, ojciec zawsze niepewny. Mało kto wierzył w ojcostwo króla, drwiono sobie z niego za jego plecami. Ludzie niechętni Giżance uważali jej postępowanie za bezwstydne i występne. Anna Jagiellonka nie posiadała się z oburzenia, a nieślubną bratanicę nazwała „szczeniciem”.



Zatulaj uszy, biskupie, boś służył,
Pismem ukażę, żeś mi się zadłużył.
A wy zaś, drudzy, wżdy pomnicie na to,
Żem wam jednała, coście chcieli za to;
Wszak wiecie, coście o wszystkim wiedzieli,
Żeście do pani zawżdy przystęp mieli.
Anonim, *Barbara Giżanka*⁹

Kupcówna nie traciła czasu, tylko jak mogła, tak umacniała swoją pozycję i dorabiała się majątku. Inteligentna dziewczyna zdawała sobie sprawę, że dziś jest na szczycie, a jutro może spaść na sam dół, i to z wielkim hukiem. Owe otrzymane za córkę dwadzieścia tysięcy natychmiast ulokowała na wysoki procent. Potem dostała jeszcze czterdzieści tysięcy, z czego dziesięć pożyczyła staroście wiskiemu, dwadzieścia Hieronimowi Sieniawskiemu, a dziesięć tysięcy oddała matce, która pospłacała długi. Anna Giżyna dotąd ciągle była pozywana przed urząd rajcowski o wiarygodności – między innymi o całkiem spore należności za towary wzięte

jeszcze przez jej nieboszczyka męża – natomiast od 1571 roku znika z tego rodzaju dokumentów, a pojawia się w innych, z których wiemy, że czyni teraz zapisy i darowizny. Na przykład swemu zięciowi Krzysztofowi Szawłowskiemu dała aż dwa tysiące czerwonych złotych. Dzięki Barbarze Gizowie zadomowili się na dworze i znacznie wzrosła ich pozycja. Przez długie lata trzymali dochodową przeprawę na Wiśle, a także arendowali grunty miejskie poza murami, z których dzięki przywilejowi królewskiemu nie płacili czynszu. Kupiec Egidius też korzystał z protekcji. Gdy Żydom zabroniono mieszkać na terenie miasta, dla niego uczyniono wyjątek i otrzymał pozwolenie na swobodny pobyt w Warszawie. Wiele osób porobiło zawrotne kariery dzięki wstawiennictwu królewskiej metresy. Za jej sprawą ksiądz podkanclerzy Franciszek Krasieński otrzymał biskupstwo krakowskie, a marszałek wielki koronny Jan Firlej został wojewodą krakowskim – wystarczyło, że był szwagrem Mniszchów. Ci z kolei dzięki swojej protegowanej mieli coraz więcej do powiedzenia. Przez nią można było otrzymać stanowiska i nadania ziemskie. Wielmoże zabiegali o jej względy, a ona była łasa na dowody wdzięczności, lecz owej płatnej protekcji udzielała w sposób subtelny i inteligentny. Dobrze poznała dworskie układy i umiejętnie się poruszała pośród zakulisowych rozgrywek.



Barbara Radziwiłłówna – słynny dramat Alojzego Felińskiego, autora słów pieśni Boże, coś Polskę (Biblioteka Narodowa)

Anna Jagiellonka od dawna czuła się głęboko dotknięta tym, że mieszka pod jednym dachem z nałożnicami brata. Zamek ówczesny wyglądał zupełnie inaczej niż dzisiejszy pięcioboczny gmach. W ciasnocie niewielkiego, dwupiętrowego domu królowa nieraz była narażona na uwłaczające dla niej spotkania na jego korytarzach. Oburzała się w liście, że Giżanka „siada bezwstydnie w oknie z dzieckiem”, że słysząc, „jak szczenię płacze”¹⁰, bo tak nazywała swą bratanicę z nieprawego łoża. Potępienie przez Annę niemoralnego życia króla było jedną z głównych przyczyn poważnego rozdzwiewu między rodzeństwem i w rezultacie tych wzajemnych dąsów królewska siostra egzystowała w niedostatku, podczas gdy kochance nie brakowało niczego. Król nie mógł żyć bez Giżanki i bywało, że Mniszech dwa razy na dzień mu ją prowadził.



Jak królowie zabiegali,
A jawnie mi przyznawali
Żem owładnęła wszystkim.
Panem naszym ty kierujesz,
I wszystkim jawnie szafujesz:
Miej na nas baczenie
Anonim, *O tejże*

Barbara Giżanka miała wielki wpływ na chorego monarchę, a że natura ludzka jest, jaka jest, trudno się dziwić, że i mieszczanie chętnie korzystali z pośrednictwa królewskiej metresy, aby zdobyć jego łaski, i możni panowie w tym samym celu ubiegali się o względy „sokoła”. Wszyscy nisko kłaniali się kupieckiej córce, wręczali podarki, pisywali do niej liściki. Choć sukcesy przewróciły jej nieco w głowie, wobec kochanka zawsze była pokorna, bo takie kobiety król lubił. Pokorne i namiętne. Starła się być dla niego miłą towarzyszką, on zaś urządził dla niej pałac w Bronowie i często ją tam odwiedzał. W pewnym momencie powziął nawet zamiar – nie wiadomo, czy nie za jej podszeptem – że się z nią ożeni i uczyni królową. Córkę już z nią miał, a to dawało mu nadzieję, że być może pewnego dnia właśnie ona urodzi mu syna. Plany te stały się bliższe urzeczywistnienia, gdy w lutym 1572 roku zmarła w Linzu królowa Katarzyna. Król oficjalnie udawał żal, odprawił egzekwie, nawet płakał, ale wiadomo powszechnie było, że trzeciej żony nigdy nie kochał, a teraz wreszcie mógł zawrzeć kolejny związek. Podobno wahał się między Zajączkowską a Giżanką. Druga miała większe szanse, bo dała mu dziecko. Mniszchowie i ich stronnicy oczywiście popierali te zamiary.



ZYGMUNT AUGUST I BARBARA GIŻANKA na obrazie *Tadeusza Papiela*
(Cyfrowe Muzeum Narodowe w Warszawie)

Monarcha, czując się coraz gorzej, wysunął wobec sejmu żądanie, aby ustanowić zaopatrzenie z kasy państwowej dla jego córki. Odmówiono, argumentując, że dziecko królewskie może być zrodzone tylko w prawym związku.

Podobno jeden z senatorów posunął się jeszcze dalej, mówiąc bez ogródek: „Wiesz-że li miłościwy panie, że to dziecię twoje? Toż u tej Giżanki bywał kto chciał”¹¹. Jednak zrobił się popłoch, panowie przerazili się nie na żarty, że król znów może wszystkich zaskoczyć niewczesnym małżeństwem, tak jak to się stało w przypadku Radziwiłłówny. Tym razem skandal byłby dużo poważniejszy. Tamta przynajmniej pochodziła z wielkiego rodu, a tu królową miałyby zostać kupiecka córka. Prymas Jakub Uchański upomniał surowo władcę, aby ten zerwał z grzesznym życiem, posłowie domagali się oddalenia kochanki, on zaś zamiarów swoich nie porzucił. Zwierzył się Janowi Chodkiewiczowi, kasztelanowi wileńskiemu, że ślub i tak weźmie. Chodkiewicz zaklinał go, by tego nie robił, przedkładał wszelkie racje. Na próżno. Wtedy kasztelan, wybierając wierność racji stanu, zdradził zaufanie swego monarchy i napisał list do prymasa Uchańskiego, informując go o wszystkim. Jak pisze Tadeusz Kutz, wieść dotarła w ten sposób do Piotra Zborowskiego i Jana Firleja, którzy dla dobra państwa postanowili porwać Giżankę i trzymać ją w zamknięciu, a jak trzeba będzie, to nawet pozbawić życia. Do zadania tego wyznaczono sześciu pachołków, przekupiono strażnika i wciągnięto do spisku dwie służące Barbary. Wszystko poszłoby zgodnie z planem, gdyby jedna z tych służących nie była kochanką notorycznego uwodziciela Mikołaja Mniszcha. Dziewczyna doniosła o tych knowaniach ukochanemu i w rezultacie na owych sześciu porywaczy czekało dwudziestu trabantów¹², którzy spuścili im tęgie lanie, w tym trzej zostali tak poturbowani, że nie mogli się ruszyć. W tym czasie dziesięciu innych gwardzistów zajęło podstawioną przez porywaczy karetę, do której później wsadzono owych pobitych trzech pachołków i odesłano do pałacu prymasa. Od tej pory z rozkazu Jerzego Mniszcha trabanci w dzień i w nocy strzegli królewskiej miłośnicy. Nawet do sypialni króla udawała się pod zbrojną eskortą.



Pogorszenie przyszło nagle. Król pocił się, nie mógł zasnąć, apatycznie patrzył przed siebie. Byli przy nim Mniszech i Luboniecki, który niedawno się zjawił. Obaj mocno zaniepokojeni.

– Jakże chciałbym ją zobaczyć, mieć przy sobie.

– Kogo, miłościwy panie? Giżankę? Zaraz pošlemy do Bronowa. Na rano tu przybędzie.

Król spojrział w kierunku drzwi i przymknął oczy.

– Barbarę... – szepnął. – Jak ta noga boli... Wszyscy czegoś ode mnie żądają. A ja chcę tylko, żeby przestało boleć. Gdyby ona tu była... Jej dłonie... Powiedziała mi wtedy: Auguście...

– Barbary mu się mylą – szepnął Luboniecki.

– Już tak jest od paru godzin – odparł również szeptem Mniszech. – Niedobrze z nim.

– Nie przyjdzie – westchnął król. – Sam ją pochowałem w Wilnie. – Po tych słowach milczał długo, a oni pomyśleli, że nareszcie zasnął. – Mikołaju... – odezwał się nagle, otwierając szeroko oczy.

– Tak, miłościwy panie?

– A może wtedy to była ona?

– Kto? Kiedy, panie?

– Mistrz Laurentius... To grzech... Nie wolno zmarłych... Ksiądz prymas...

– Zygmunt August oddychał płytko i chrapliwie. Zacisnął powieki, jakby chciał się odgradzić od świata i wcale nie usłyszeć odpowiedzi. – Wszystko mi się zmieszało. Te moje sokoły... Zgubiły mnie. Anna... Zuzanna... Barbara ma moje jedyne dziecko... Tylko że ona...

– Myślcie teraz, najjaśniejszy panie, o sobie – szepnął nieśmiało Luboniecki, któremu bardzo żal się zrobiło króla.

– Giżanka w Bronowie? – spytał monarcha niespodziewanie silnym głosem.

– Tak. Wezwać ją?

– Jutro z rana pošlesz jej te trzynaście tysięcy dukatów, które kazałem złożyć w skrzyni. To mój prezent dla niej. Jak się lepiej poczuję, sam do niej pojedę. Zawiozę perły...

Dworacy spojrzeli po sobie. Czyżby perły po królowej?

– Mikołaju, daj mi jej obraz – rzekł słabszym głosem król i wyciągnął spod przykrycia bladą, drżącą rękę.

– Miłościwy panie, nie mamy tu portretu Giżanki.

– Chcę Barbary...



Król umarł: płaczą wszyscy, jak i ojca jego,

Płakała wszytka Polska króla cnotliwego.

Interregnum Jana Głuchowskiego do wszystkich stanów

Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego 1572 po śmierci najjaśniejszego księcia Zygmunta Augusta, z łaski Bożej króla polskiego etc. etc. wydane¹³

Gdy stan jego zdrowia znacząco się pogorszył, król polecił w tajemnicy sporządzić testament, na mocy którego dziedziczyły siostry: księżna brunszwicka Zofia, królowa szwedzka Katarzyna i królowa Anna. Wykonanie swojej woli zlecał tej ostatniej.

Do Warszawy zbliżało się morowe powietrze. Królowa głośno mówiła, że

to dla grzechu Giżanki i że dziw, iż się cała Warszawa nie zapadła. Króla postanowiono wywieźć do Tykocina, potem chciał jechać do swego ukochanego Knyszyna i tam wziąć ślub. W Tykocinie Zygmunt August zabawił tylko jedną noc i podobno, jak głosi romantyczna legenda, przygotował wszystko, co potrzebne do zawarcia małżeństwa. Dwudziestego drugiego czerwca oblatował¹⁴ w sądzie grodzkim akt nadania szlachectwa Barbarze i oficjalnie zapisał jej w dożywotnią dzierżawę Bronowo oraz kilka innych majątkości w powiatach wiskim i wąsowskim. Nazajutrz, to jest 23 czerwca, wyruszył do Knyszyna. Po przyjeździe źle się poczuł, dostał kaszlu i gorączki. Ponoć jednak do ostatniej chwili nie rezygnował z wdzięków Barbary, którą kazał sobie przywieźć (według innych źródeł razem z nim tu przyjechała), i z planów mariażu. Do końca był wobec niej hojny. Na łożu śmierci ofiarował jej niebagatelną sumę trzynastu tysięcy dukatów. Wierzył, że przeżyje kryzys i spełni swoje marzenia o następcy tronu urodzonym z tej drugiej Barbary. Przyjął jednak ostatnie namaszczenie i odbył spowiedź. Zmarł 7 lipca 1572 roku o godzinie osiemnastej. Po jego śmierci doszło do grabieży na wielką skalę, o co obwiniano później Mniszchów i ich stronnictwo. Z Knyszyna wyjechały całe wozy pieniędzy, klejnotów i dóbr wszelakich. Podobno brała w tym udział też Giżanka, a na pewno jej szwagier Szawłowski, bo jak później zeznali przed komisją sejmową świadkowie, już na cztery dni przed zgonem władcy wysłał z Knyszyna załadowaną do pełna skrzynię i ciężkie worki.



Starzejący się i schorowany król Zygmunt August (Biblioteka Narodowa)



Śmierć Zygmunta Augusta w Knyszynie. Obraz olejny Jana Matejki
(Cyfrowe Muzeum Narodowe w Warszawie)



Deputaci zeszli się w swoim namiocie i Świętosław Orzelski odczytał w przytomności szlachty i dworzan ze spisanej przez siebie karty główne punkty zeznań składanych przez cały dzień 14 kwietnia. Na koniec wygłosił podsumowanie:

– Na ciele króla aż nadto widoczne były ślady czarów. Świadkowie zeznali, że na zamek były sprowadzane czarownice, jako to Budzikowa, Korycka, będąca ciotką Zuzanny Orzelskiej, czy też baba czarownica z miasta Błonia, którą ściągnęły Giżanka z matką. Zeznano też, że Mniszchowie mieli na swe usługi czarowników Gronowiusa i Dhura. Lecz co przede wszystkim miłościwego pana zabiło, to łoże. Tak, tak, mości panowie, łoże występnej ladacznicy Giżanki. Z tego wszystkiego może ona zdać sprawę, jeśli ją wziąć na tortury. – Poszukał wzrokiem Jerzego Mniszcha, odchrząknął z powagą i mówił dalej. – Za życia zmarłego naszego pana rej wodzili przy nim rozpustnicy i nierządnice, skarbiąc łaski

królewskie. Dziś Mniszchowie, ich klienci... – Spojrzał na lewą część namiotu zajętą przez stronnictwo braci. – Giżanka i inne cudzołożne dziewczki, jako też ich posługacze i krewni zażywają bogatych dochodów. Oprócz tego prawi dworzanie dowiedli im zagrabienia znacznej sumy złota. Gdzie się to złoto podziało, nie wiadomo. Widziano, jak nocną porą złodziejskim sposobem wykradano skrzynie i wory. Jeszcze za życia króla wywieziono trzysta tysięcy dukatów Giżance do Bronowa. Niektóre listy podpisane przez miłościwego pana wyglądają tak, jakby prowadzono jego rękę. Nie wiadomo, co się stało ze złotymi łańcuchami króla nieboszczyka. A Mikołaj Mniszech już po jego śmierci zagarnął starostwo lubieszowskie.

Jerzy Mniszech wstał, wyprostował się dumnie i powiódł wzrokiem po zgromadzonych.

– Pomny na godność mego rodu i na dobre obyczaje, gotów jestem odpowiedzieć na wszystkie zarzuty, lecz skrypt ten przez niewiedomego mi autora pisany – przemówił donośnym głosem. – Chcę zobaczyć, kto nam to zarzuca, a dam mu odpowiedź w przytomności wszystkich.

– Nie na sędziów, ale na słuchaczy relacji obrani są deputaci przez senat i szlachtę i zasiadają w tym zgromadzeniu – odezwał się na to jeden z posłów. – Na własne uszy słyszeliśmy dwukrotnie zeznania dworzan. I jeśli się wam, panie, podoba odpowiadać, przyjmujemy wasze usprawiedliwianie się. Jeśli zaś zechcecie milczeć, doniesiemy o tym sejmowi.

– Upominam panów – rzekł Jakub Secygniowski, jeden z Mniszchowskich krewniaków – abyście w rzeczonyj sprawie nie wymierzali pochopnie polskim szlachcicom kar ani nie ogłaszali przedwcześnie utraty przez nich czci. Mniszchowie dadzą należytą odpowiedź przed sądem zwyczajnym, gdy będą pozwani i gdy wystąpi ten, kto ich oskarża. Aczkolwiek jesteśmy z nimi złączeni związkami krwi, nie będziemy im pobłażać ani popierać ich sprawy, jeżeli w czym wykroczyli przeciwko Rzeczpospolitej. Lecz toż samo pokrewieństwo nakazuje nam bronić ich od nieprawego potępienia.

Deputaci i dworzanie coraz głośniejszemu szemrali, aż Secygniowski musiał podnieść znacznie głos, aby go słyszano.

– Dwie rzeczy trzeba najpierw wziąć pod uwagę. Pierwsze, że nie jedni Mniszchowie doświadczali faworów królewskich, wielu innych uprzednio cieszyło się tymiż względami i do nich się te same zarzuty też stosują. Po wtóre, nie jedni Mniszchowie wtrącili Rzeczpospolitą w taki bezrząd. Znajdzie się wielu senatorów, wielu ze szlachty, a jeżeli na jednych Mniszchach zacznie się i skończy się kara, będzie to straszną dla nich krzywdą i pobłażaniem swawoli innych winowajców.

– Zarzucono nam wiele rzeczy niegodnych i plugawych – odezwał się znów Jerzy Mniszech. Spojrzał wrogo na Orzelskiego i unióśł znacząco palec. – Lecz w rzeczy samej nikt nam tych brudów nie dowiedzie. Prosim więc zatem mości

deputatów, ażeby tych, co dowodów nie okażą, a krzyżeć będą, ukarali karą słusznego odwetu.

Na to podniósł się dworzanin Pękowski trzymający stronę przeciw Mniszchom.

– Wszystkie nasze oskarżenia prawdziwe są i istotne. Kiedy tylko będzie na to wola, gotowiśmy ich dowieść.

– Ponieważ Mniszchowie tak ostro nastają na obrońców prawdy, czuję się zobowiązanym dla dobra Rzeczypospolitej i jako deputat powiedzieć, co sam wiem dobrze, bom widział na własne oczy – dołączył swój głos Andrzej Zborowski. – Owoż Mikołaj Mniszech, pisząc do Ormianina Konstantego o wypłatę pieniędzy, żądał, aby Konstanty nikomu o tym liście nie wspominał. Dlaczego? Ludzie cnotliwi zwykli robić wszystko otwarcie, a nie po kryjomu.

Zerwali się z miejsc stronnicy Mniszchów, w ich ślady poszli oponenci i zaczął się tumult. Kanclerz koronny Walenty Dębiński wykrzyczał, że grzechy rajfurów są grzechami lekkimi, powszednimi, które lekko zmyć się dadzą, czym narobił takiego zamieszania, że już posiedzenie nie mogło dojść do ładu, więc je zamknięto.



Tylko was proszę, strzeżcie mnie niebogi.

Będzieli mnie źle, nie ujdziecie trwogi.

Biskup, starosta, urzędnik, śnać matka

Nie będzie tak mił – zamilczę ostatka.

Anonim, *Barbara Giżanka*

W 1573 roku sejm elekcyjny powołał specjalną deputację do przeprowadzenia śledztwa w sprawie śmierci króla i późniejszych nadużyć prowadzących do rozgrabienia mienia królewskiego i skarbowego. Oprócz malwersacji pieniężnych komisja stwierdziła również, że w związku z leczeniem króla oraz stręczeniem kobiet stosowano czary. Jednak to przede wszystkim rozpusta skróciła królowi życie, oraz zażywane przez niego konfortatywy, do czego w znacznej mierze przyczynili się Mikołaj Mniszech, Żyd Egidius i czterej dworzanie, jako to Luboniecki, Łepkowski, Grot i Wypczyński, sprowadzając przebywającą w klasztorze Giżankę.

Dworacy oskarżani byli także o nadużycia, posługiwanie się królewską pieczęcią i podsufwanie ciężko choremu królowi do popisu korzystnych dla siebie dokumentów. Przed śmiercią król nie zawsze był przytomny, a potem znaleziono wiele podpisanych przez niego w tym właśnie czasie darowizn i nadań. Giżance zarzucono, że dzięki niej znikło kilkadziesiąt tysięcy złotych z królewskiego

skarbcza, okrzyknięto ją występłą ladcnicą, która wykorzystała swoją pozycję na dworze. Wypomniano jej owe trzynaście tysięcy dukatów za urodzenie córki, darowiznę Bronowa, wyciągnięto sprawę pożyczki staroście wiskiemu dziesięciu, a Hieronimowi Sieniawskiemu, kasztelanowi kamienieckiemu, dwudziestu tysięcy złotych. A skąd na to miała? Wiadomo, od króla, którego omotała swoimi intrygami. Za jej wstawiennictwem Anna Giżyna, Szawłowski i jego żona, Żyd Egidius oraz wiele innych osób korzystało z łaski królewskiej. Kolejnym zarzutem było to, że razem z matką używały czarów dla opętania króla i nawet sprowadziły w tym celu kiedyś czarownicę zwaną Wielki Ożóg. Członek komisji Świętosław Orzelski, późniejszy historyk i pisarz polityczny, domagał się, by za to właśnie, za czary, Barbarę uwięziono i wzięto na tortury. Pisząc zaś o nadanym jej przez króla szlacheństwie, skomentował, że „właściwiej by ją nazwać szlachecką nierządnicą”.



SCENA W SEJMIE według *Życia polskiego w dawnych wiekach* Władysława Łozińskiego (Biblioteka Narodowa)

Jednakże to groźnie zapowiadające się śledztwo na skutek kłótni, niedopatrzeń proceduralnych i niefrasobliwości kanclerza Walentego Dębińskiego skończyło się na niczym. Wywożenie dóbr Mniszchowie wytłumaczyli tym, że wykonywali królewskie rozkazy, a dary i nadania otrzymali od króla. Gizanki formalnie nie oskarżono, być może dlatego, że umiała jednać sobie przyjaciół. Nawet będąc u szczytu dworskiej kariery, nie zadzierała nosa, toteż teraz brali ją w obronę ludzie, którym wcześniej wyświadczyła przysługę.

W końcu sprawa przycichła, a wtedy od razu pojawili się kandydaci do jej ręki, najwięcej spośród dworskich pacholców, bo szlachcicowi nie wypadało brać za żonę byłej nałożnicy. Tymi niedoszła królowa pogardziła i ostatecznie, rok po śmierci swego królewskiego kochanka, wyszła za mąż za zubożałego kniazia wołyńskiego Michała Woronieckiego, który przeniósł się na Mazowsze. Mitra księżęca jej wystarczyła, nie przeszkadzało jej wcale, że nie szły za tym bogactwa. Przy ślubie Woroniecki, z którym miała potem sześcioro dzieci, zaadoptował rzekomą nieślubną królową. Wydano ją potem za Jakuba Zawadzkiego, pisarza skarbu koronnego.

Dzięki małżeństwu z Woronieckim Gizowie skoligacili się z najpierwszymi domami w kraju. W sumie warszawska mieszcza zrobiła karierę jak w bajce, zostając z kupcówny księżną. Wprawdzie Henryk Walezy odebrał jej owe dożywotnie dzierżawy darowane przez Zygmunta Augusta i nadał komuś innemu, ale dzięki hojności swego koronowanego kochanka i tak była zabezpieczona. Księżna Barbara Woroniecka z domu Gizanka, najmiłsza po Radziwiłłównie miłośnica króla, zmarła w 1589 roku, siedemnaście lat po jego śmierci.

Trzeba przyznać, że interesująca z niej kobieta. Wykazała się życiowym sprytem i dużą zaradnością jak na młodą dziewczynę. Zbigniew Kuchowicz uważa, że aż do czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego żadna z kochanek polskich władców nie miała takiego wpływu na władzę w państwie jak ona. Wykorzystała chorobę i słabość monarchy, manipulowała nim, prawie na pewno oszukała w kwestii dziecka – to wszystko prawda, ale nikogo poza tym nie skrzywdziła, nikt nie stracił przez nią życia. Z drugiej zaś strony zarzuty nadużyć i rozkradzenia królewskiego majątku, stawiane Mniszchom i także jej samej, nie były jednak tak całkiem bezpodstawne. Zgodnie z królewskim testamentem stroje i klejnoty po ukochanej żonie miały przypaść Annie Jagiellonce, tymczasem kilka wieków później odkryto korespondencję królowej angielskiej Elżbiety I, która polecała swoim agentom w Polsce, aby kupili dla niej słynne perły Barbary Radziwiłłówny. W ten sposób klejnoty wywędrowały za morze i ponoć odnalazły się w okresie międzywojennym w królewskim skarbcu Anglii. Mało jest prawdopodobne, by sprzedała je Anna lub któraś z dwóch pozostałych sióstr, a więc najprawdopodobniej zostały ukradzione w Knyszynie po śmierci króla.



PRZYPISY

¹ Bramka – naszywana klejnotami ozdobna część z przodu czepca.

² *Pisma polityczne z czasów pierwszego bezkrólewia*, wyd. Jan Czubek, Kraków 1906.

³ Cyt. za: Zbigniew Kuchowicz, *Barbara Giżanka – ostatnia miłość króla Zygmunta Augusta*, [w:] tenże, *Wizerunki niepospolitych niewiast staropolskich XVI–XVIII wieku*, Łódź 1974.

⁴ Według innych źródeł „medium” był nie Twardowski, lecz nieznaną z imienia, słynną w owym czasie czarownica z Błonia, zwana Wielki Ożóg. Wersja z Twardowskim utrzymała się jednak najbardziej w piśmiennictwie i w malarstwie.

⁵ Król; rozpacz; w wieczności; cztery żywioły; na żywo; przyjdź, królowo; śmierć pokonana.

⁶ W powieści Renaty Czarneckiej *Barbara i król. Historia ostatniej miłości Zygmunta Augusta*.

⁷ Czerwony złoty – staropolska nazwa złotej monety. Występujący jednocześnie złoty polski miał mniejszą wartość.

⁸ Taką informację podaje większość przekazów, także te z epoki. Jednak badacz genealogii Jagiellonów Zygmunt Wdowiszewski uważa, że nie ma ona potwierdzenia w archiwalnych dokumentach, a Giżanka awansowała do stanu szlacheckiego już po śmierci króla, przez małżeństwo z księciem Michałem Woronieckim.

⁹ *Pisma polityczne z czasów pierwszego bezkrólewia*, dz. cyt.

¹⁰ Cyt. za: Walery Przyborowski, *Z przeszłości Warszawy. Szkice historyczne. Serya 2. Legendy warszawskie*, Warszawa 1902.

¹¹ Cyt. za: Tadeusz Kutz, *Giżanka*, Warszawa 1932.

¹² Trabanci – gwardia królewska.

¹³ *Pisma polityczne z czasów pierwszego bezkrólewia...*, dz. cyt.

¹⁴ Oblatować – poświadczyć wpisem do ksiąg.

POSKROMIONA ZŁOŚNICA PRZED SEJMOWYM SĄDEM

Krótko powiem, a w dar:

Nie trzeba tylko jedną wziąć za przykład babę.

Której się imię od Bre zaczyna, a dosyć

O złości białogłowskiej, dosyć i nadmienić.

Krzysztof Opaliński, *Na zepsowane stanu białogłowskiego obyczaje*

Dochodzący od jakiegoś czasu z dworu wściekły jazgot psów przeszedł w radosne skomlenie. Barbara drgnęła i spojrzała na brata. Wszystko na nic. Zacisnęła pięści w bezsilnej złości. Tytus Breza wstał i podszedł do okna. Przed dom wybiegli służący z płonącym łuczywem i zrobiło się jasno jak w dzień. W kręgu światła pojawił się szwagier na sporawym gniadoszu. Cały i zdrowy, za to wyraźnie wzburzony. Zsiadł z konia, rzucił wodze pachołkowi i otrzepał się z kurzu.

– Gdzie pani? – krzyknął.

– Z wielmożnym panem Brezą w świetlicy – odparł chłopak, prowadząc wierzchowca w stronę stajni.

Andrzej Obornicki stłumił pod nosem przekleństwo i wszedł do domu, tupiąc głośno juchtowymi butami. Gdy stanął w drzwiach, żona spojrzała mu prosto w oczy, hardo i wyniośle.

– Wróciłeś, mężu – stwierdziła sucho.



***DAMA POLSKA** z 1. poł. XVII wieku (Biblioteka Narodowa)*

– Jejmość pewnie byś wolała, żebym nie wrócił. A co, asińdźka, powiesz na to, że zbóje mnie napadli przy Wisielczym Jarze? Ledwom z życiem uszedł. Pięciu ich było, w krzakach ukryci, jakby na mnie czekali. W kapturach, więcem twarzy ich nie widział. Dwóch dostało po łbie szablą, trzeci obuszkiem, a dwóch uciekło. Tchórze. Ciekawe, skąd wiedzieli, że będę dziś jechać...

– Nie mów głupstw, acan, tylko Panu Bogu dziękuj, żeś ocalał. Skąd mieliby wiedzieć?

– Od jejmości, żonki mojej umiłowanej.

– Daj pokój, panie Andrzeju – odezwał się szwagier pojednawczo. – Nie czas na te wasze swary. Siostró, każ podać wieczerzę.

– Sam widzisz, bracie, jakam ja nieszczęsna. Zawsze wszystkiemu winna. Nigdy dobrego słowa nie usłyszę...

– A bo sama je kiedy wypowiesz? A teraz dawaj jeść i pić. Głodnym z drogi i w gardle zaschło. – Obornicki przyjrzał się żonie podejrzliwie. W ciemnoniebieskim gredyturowym żupaniku wyglądała wyjątkowo awantażownie. Ciekawe, dla kogo się tak wystroiła.

Barbara wyszła dać rozporządzenia. Mężczyźni zostali sami. Obornicki szwagra nie lubił, bo ten zawsze trzymał z siostrą. A z małżonką swoją pan Andrzej koty darł od dawna i miał ją za wyjątkową jędzę. Gdzie te czasy, kiedy słodka a przymilna dla niego była. Gołąbkim go nazywała. Gołąbeczkiem swoim. A teraz co się odezwie, to fuczy. I żale wylewa, wszystko ma za złe. Jazgocze o byle co. A braciszek z piekła rodem jeszcze ją buntuje. Wiecznie u nich siedzi, a co gorsza, przywozi swego kompaniona Bnińskiego. Ten zaś do Barbary smali cholewki. O, to niezłe ziółko. Warci oni jedno drugiego. Ojciec miał rację, trzeba mu do Poznania. Zabrać Zosięnkę póki czas, a ta... niech robi, co chce. Choćby na sabat leci. Podszedł do pieca i jął grzać o kafle zmarznięte dłonie. Milczał rozdrażniony.

Do izby weszła służąca z misą parującą gorącym mięsiwem. Tuż za nią ukazał się pacholek, podejrzenie rumiany na gębie, niosący dwie flaszki wódki, a na końcu zjawiała się pani Barbara z wielkim dzbanem piwa.

– Siadajże, mężu. I ty, bracie, siądź z nami. Napijemy się za szczęśliwy powrót jegomości. – Ostatnie słowa dziwnie zabrzmiały w jej ustach. Jakby beznamiętnie, bez zwykłej uszczypliwości i histerycznej nuty. Pan Andrzej znów poczuł przypływ gniewu. Ciekawe, co ta wiedźma knuje. Zasiadł na ławie i zaczął od wypicia duszkiem uprzednio nalanego piwa. Żona i szwagier w milczeniu zajęli miejsca po drugiej stronie dębowego stołu. Barbara podsunęła mężowi mięso i skinęła na usługującego chłopaka o podejrzenie zaczerwienionych policzkach, żeby napełnił panu kufel.



Ale i ty małżonku, jeśliś zdrów, miej pilne
Oko na panią żonkę, miej się w ostrożności.

Krzysztof Opaliński, *Na zepsowane stanu białogłowskiego obyczaje*

W wydanym w 1650 roku zbiorze *Satyry albo Przestrogi do poprawy rządu i obyczajów w Polsce* Krzysztof Opaliński gromi upadek dawnych cnót, rozluźnienie węzłów małżeńskich, coraz większy zanik zasad etycznych i, zgodnie z założeniami gatunku literackiego, przesadnie owo powszechne zepsucie obyczajów uwypukla. Jako konkretne ucieleśnienie wszelkich możliwych występków wymieniona jest kobieta o pierwszych literach nazwiska „Bre”. W czasie, kiedy utwór powstał, wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi, bo sprawa była sławna na całą Rzeczpospolitą. Dziś już nikt o niej nie pamięta. Kim była owa białogłowa, którą autor skazał na wieczysty publiczny pręgierz w literaturze?

O jej burzliwych dziejach mówią dokumenty sądowe. Procesowa saga zaczęła się 16 lutego 1623 roku, gdy przeciw Barbarze z Brezów *primo voto* Szremskiej *secundo voto* Broniszowej, *tertio voto* Obornickiej, *quarto voto* Bnińskiej, dwie sprawy wnieśli przed sąd sejmowy warszawski¹ jej dawny szwagier Jan Obornicki i pozostająca pod jego opieką nieletnia synowica Zofia, córka obwinionej.

W pierwszym oskarżeniu padł zarzut otrucia teścia, co ponoć przebiegło tak: Wojciech Obornicki obawiał się o życie syna Andrzeja, gdyż nasłuchiwał się opowieści o niesnaskach w jego pożyciu z żoną, której ów syn był już trzecim mężem, a dwaj poprzedni dziwnie szybko zeszli z tego świata. Przyjechał zatem do majątku Chalin, gdzie małżonkowie mieszkali, i zamierzał namówić syna, aby ten przeniósł się do niego, do Poznania. Wówczas Barbara „podstępnyimi namowami zmusiła teścia do porzucenia tego zamiaru i do spożycia wspólnej wieczerzy”. Po zjedzeniu podanych na stół kurcząt Wojciech Obornicki dostał ataku bóleści i zażądał sprowadzenia księdza. Po spowiedzi odwieziony został do Poznania, gdzie wkrótce w mękach wyzionął ducha.

W drugiej sprawie akt oskarżenia głosił, iż Barbara w porozumieniu z matką i bratem Tytusem poleciła służbie urządzić zasadzkę na Andrzeja Obornickiego, który wracał z Poznania. Napadnięto go w lesie, lecz udało mu się uciec. Kiedy dotarł do domu, Barbara i brat jej powitali go, jakby nigdy nic, uraczyli piwem i gorzałką, aż się upił i zasnął. Wówczas Barbara zostawiła na straży przy mężu pachołka, a sama wyszła z domu i przez okno strzeliła do śpiącego małżonka, kładąc go trupem na miejscu. Chłopak zaczął krzyczeć, a ona wtedy wpadła do środka, niby o niczym nie wiedząc, po czym jęła rozpacznie na widok zabitego.

Konflikty domowe Barbary *de domo* Brezianki zaprzętały opinię publiczną w czasach wszystkich trzech królów z dynastii Wazów. W jej sprawie pisał mandaty i listy Zygmunt III, na jej temat toczyły się obrady sejmowe za Władysława IV i Jana Kazimierza. Wydano na nią dekret skazujący, który szlachta województwa poznańskiego usiłowała *manu armata*² doprowadzić do skutku, co stało się przyczyną zgonu jednego z wykonawców prawa, zabitego z ręki męża obwinionej. Bohaterka nasza wszystko to przetrzymała i nie przejmując się opinią

publiczną, obciążającą ją winą za zgładzenie jednego męża i dopatrującą się przyspieszenia zgonu dwóch innych oraz próby otrucia teścia, dożyła spokojnej starości w danym jej w dożywocie majątku – Napachaniu. Już w dostojnym wieku będąc, klóciła się zażarcie z rodzonym synem pragnącym zająć dobra ojcowskie i złożyła nawet w sądzie protest przeciwko niemu.



Wielkopolscy Brezowie stanowią boczną linię rodziny von Briesen z Marchii Brandenburskiej i pieczętują się herbem własnym Breza. Za założyciela polskiej gałęzi rodu uważany jest Ernest von Briesen, który kupił dobra Goraj i Niepotrzebowo w Wielkopolsce. Od tego czasu nazwisko uległo spolszczeniu i dodawano do niego jeszcze określenie „z Goraja”. Ernest Breza z Goraja ożenił się z Barbarą Schönaich-Carolath. Miał on zamiłowanie do antyku i dawnych cnót rycerskich, toteż synom ponadawał imiona: August, Wespazjan, Sykstus, Tytus i Juliusz Cezar. Córki natomiast były: jedna Barbara, po matce, druga Potencjanna.



SZLACHECKA PARA z 1. poł. XVII wieku (Biblioteka Narodowa)

Starsza Barbara, urodzona w 1601 roku, wyszła za mąż za Tomasza Szrzmęskiego z Bukowca. Małżeństwo to nie trwało nawet roku. Szrzmęski zmarł, a syna, również Tomasza, zabrali na wychowanie krewni ojca, podobno z braku zaufania do młodej wdowy, co już na wstępie rzuca na nią mroczny cień, choć konkretne oskarżenia nie zostały postawione, a przynajmniej nie ma po nich śladu.

Wkrótce wdowa poślubiła Macieja Bronisza. Małżeństwo drugie skończyło się jeszcze szybciej, bo po dziesięciu tygodniach, tym razem rozwodem. Ale niebawem po rozwodzie i ten małżonek wyzionął ducha. Bardzo szybko pani Barbara wyszła po raz trzeci za mąż, za Andrzeja Skórę de Gaj Obornickiego herbu Habdank, i z nim miała córkę Zofię. Państwo Oborniccy mieszkali we wsi Chalin powiatu międzychodzkiego, słynnej z pięknego położenia nad jeziorem. Związek był burzliwy. Wojciech Obornicki oczywiście twardo trzymał stronę syna i usiłował go namówić do wyjazdu z Chalina, a to wtrącanie się teścia jeszcze bardziej zaogniało konflikty. Niemalą rolę odegrały też, jak to ładnie ujął Aleksander Kraushar: „wpływy postronne”. Otóż pani Barbara Obornicka nawiązała „stosunek nieewangeliczny” z Piotrem Bnińskim, potomkiem potężnego w Wielkopolsce rodu Łodziów z Bnina. Był to serdeczny przyjaciel Tytusa Brezy. W 1619 roku tenże brat Barbary zapisał Bnińskiemu w grodzie warszawskim³ dobra nieruchome i ruchome, jakie sam otrzymał od króla. W niecały rok po owej darowiźnie rozeszła się wieść o zamordowaniu Andrzeja Obornickiego podczas snu wystrzałem z broni palnej.

Niewątpliwie na niekorzyść pani Barbary przemawiało to, że zaraz po śmierci Obornickiego wstąpiła po raz czwarty w związek małżeński, z wdowcem Piotrem Bnińskim. Utwierdziło to rodzinę Obornickich w podejrzeniu, iż ich krewniak został umyślnie usunięty z tego świata, aby jego żona mogła zalegalizować grzeszny związek, trwający ponoć jeszcze za życia Obornickiego i popierany przez jej matkę oraz brata Tytusa. Trzydziestego października 1620 roku na wniosek brata zabitego i jego córki Barbara Bnińska *de domo* Brezianka wezwana została przed sąd sejmowy.



Nigdy! Kobiety słodszej nie widziałem;
Mówiono, żeś jest zła, dzika, ponura,
Dziś widzę, że to czarna była potwarz,
Boś jest wesola, zabawna, uprzejma,
Powolna w mowie, wonna jak kwiat w maju.

William Szekspir, *Poskromienie złośnicy*, akt II, scena 1, tłum. Leon Ulrich

Do sądu sejmowego, obradującego w obecności króla i senatorów Rzeczypospolitej, należały między innymi sprawy o pogwałcenie wolności obywateli, o korupcję sędziów, o występki ministrów, o obrazę majestatu i o zdradę kraju. Do tego dochodziły ważniejsze sprawy kryminalne, przesyłane przez trybunały. Sprawa Barbary *de domo* Brezianki trafiła przed sąd sejmowy zapewne z powodu rozgłosu. Po odczytaniu obu skarg sąd polecił, aby oskarżona stawiała się

osobiście w celu dalszego badania. Tymczasem zamiast pani Barbary i jej męża wystąpił w ich imieniu patron, czyli adwokat, Jerzy Olszanowski, który wniósł protest przeciwko rozpatrywaniu sprawy przez sąd sejmowy. W rezultacie spadła ona z wokandy i powędrowała do zwykłego trybunału.

Czas płynął, sądom się nie śpieszyło. Trzy lata po złożeniu pozwu przez Obornickich, 9 lutego 1623 roku małżonkowie Bnińscy stawili się w sądzie grodzkim warszawskim, w czasie odbywającego się właśnie sejmu, i zamieścili w księgach wzajemny zapis o dożywociu wszelkich majątków ruchomych i nieruchomości – na zasadzie, że to z nich, które przeżyje drugie, będzie mieć prawo dożywotniego korzystania z wszelkich dochodów zapisanego majątku. Wziąwszy pod uwagę podejrzenie powtarzalny scenariusz przebiegu dotychczasowych związków małżeńskich pani Barbary, można by oczekiwać teraz kolejnego zgonu, ale nie. Państwu Bnińskim dane było przeżyć razem wiele lat. Czyżby nastąpiło poskromienie złośnicy? Czyżby jeden jedyny pan Piotr, niczym szekspirowski *nomen omen* Petruchio, zdołał ujarzmić charakterną babę? Aż się prosi, by przytoczyć cytat z pierwszej sceny drugiego aktu. Wystarczy zamiast Kasi podstawić Basię i mamy historię państwa Bnińskich.

Mąż ze mnie, Kasiu, jakiego ci trzeba,

[...]

Jam się urodził, aby cię ugłaskać,

Dzikiego kota w słodką zmienić Kasię,

Jak wszystkie Kasię domowe łagodną.

Oczywiście można też złośliwie dopatrzeć się innych analogii i zarzucić poskromicielowi interesowność. Pani Barbara była bogata z domu, a i po trzech mężach jakieś dożywocie miała, w związku z tym stanowiła partię pożądaną. Petruchio też nie łąszczył się wyłącznie na piękne oczy nieznośnej Katarzyny.

Słuchaj, Hortensjo, jeśli znasz kobietę

Dosyć bogatą na żonę Petruchia,

(A pieniądz treścią jest moich umizgów),

Niech będzie szpetna, jak Florenta⁴ miłość,

Niech będzie stara, jak stara Sybilla,

A sekutnica, jak druga Ksantypa.

Ba! choćby nawet gorszego co trochę,

Na to nie zważam, bo to w moim sercu

Bynajmniej moich nie przytępi uczuć,

Choćby tak była burzliwa i groźna,

Jakby wzburzone fale Adriatyku⁵.

Ale może była to jednak prawdziwa miłość. Za tym przemawiałyby fakt, że w licznych późniejszych konfliktach, gdzie małżonka była stroną, Piotr Bniński stał za nią murem i też sownie ją zaopatrzył w tłuste dożywocie po swojej śmierci. Czy

tak by uczynił, gdyby połowica dawała mu w kość jak poprzednim mężom?



Nie zachowały się dokumenty z przebiegu sprawy o otrucie teścia, jeśli w ogóle jakaś dalej się toczyła. Być może zabrakło dowodów, poszlaki uznane zostały za niewystarczające i dalsze dociekania umorzono. Natomiast proces o zabicie Andrzeja Obornickiego z broni palnej okazał się rozwojowy. Trybunał piotrkowski nakazał przeprowadzenie *scrutinium*, czyli śledztwa dowodowego przed właściwym urzędem starościńskim. Dopiero po czterech latach od pierwszego złożenia pozwu, wskutek tegoż śledztwa, dekretem z 20 marca 1624 roku zwykły sąd uznał stronę skarżącą za bliższą do dowodu z przysięgi. Bliższość do dowodu, stosowana w dawnym polskim sądownictwie, była to zasada określająca, która ze stron procesu ma prawo przeprowadzić pierwsza dowód. Sprawę wygrywał ten, kto jako pierwszy prawidłowo przeprowadził swój dowód, gdyż drugiej stronie wtedy nie dopuszczano już do głosu⁶. O bliższości do dowodu decydowała jakość dowodu, który strona mogła przedstawić. Dowód z dokumentu był lepszy od dowodu ze świadków, a ten z kolei miał pierwszeństwo przed przysięgą. Tu oba dowody były z przysięgi, a pierwszeństwo przyznano skarżącym.

Skutkiem takiej, a nie innej decyzji trybunału Oborniccy w obecności sześciu szlachty złożyli przysięgę następującej treści: „Jako oskarżona, rozmyślnie i podstępnie, wystrzałem z broni palnej, niegdyś męża swego, Andrzeja Obornickiego, ze świata zgładziła, za co karę bannicyi, prawem przewidzianą, ponieść winna”. Po czym trybunał skazał obwinioną Barbarę na wieczystą banicję z krajów Rzeczypospolitej⁷.

Ktoś z otoczenia króla musiał naciskać, aby wyrok został wykonany jak najszybciej, bo już tydzień po jego ogłoszeniu na rynku piotrkowskim nadszedł z Warszawy mandat, czyli rozporządzenie, Zygmunta III, datowany 27 marca 1624 roku, w którym król pisze o skardze osób zainteresowanych, iż „skazana najspokojniej w dobrach swoich przesiaduje i prawu publicznemu urąga”.

„Upominamy przeto was – pisał król – abyście podobnemu zuchwalstwu nie pobłażali, lecz z całą surowością dekret wieczystej bannicyi wykonali, z powołaniem do pomocy, o ile się tego okaże potrzeba, całej szlachty województwa”⁸. Jednocześnie innym mandatem z tego samego dnia zwrócił się Zygmunt III do szlachty województwa poznańskiego, aby na pierwsze wezwanie starosty *manu armata* wsparła wykonanie dekretu trybunalskiego. Szykował się więc zajazd, będący zalegalizowaną formą egzekwowania siłą sądowego wyroku, gdy przegrana strona za nic go sobie miała. Jak to się zdarzyło w tym przypadku.

Siedemnastego czerwca 1624 roku Jan Obornicki oblatował w grodzie poznańskim dekret skazujący, czyli wpisał go do ksiąg urzędowych. Zaś Piotr

Bniński dalej spokojnie mieszkał z małżonką w swoich dobrach, tyle że starannie się przygotował do odparcia spodziewanego ataku na Chalin, gdyby szlachta zdecydowała się odpowiedzieć na wezwanie króla i wesprzeć zbrojnie egzekucję wyroku. Jednocześnie, uprzedzając rozwój wypadków, państwo Bnińscy podjęli kolejne sądowe kroki: odwołali się od wyroku banicyjnego.



Jechali rysią, było ich dwudziestu, a może trzydziestu. Zbliżali się od strony jeziora i lasu, nie od wsi, zapewne sądząc, że wówczas nikt dworu nie ostrzeże. Nie przewidzieli, że od kilku tygodni dziedzic rozstawiał czujki. Pierwszy ich zobaczył młodszy brat Jaśka, służącego o gębie wiecznie nieprzyzwoicie rumianej, tego, co to za pacholika był u pani jeszcze za nieboszczyka pana Obornickiego. Szczęściem wszystko było gotowe na tę od dawna spodziewaną wizytę i bardzo szybko dworscy ludzie oddalili się na wyznaczone stanowiska, a psiarczyk pognął na wieś po wsparcie włościan. Pan domu zatknął za pas króciwą i sięgnął po wiszącą na ścianie w starannie natłuszczonej pochwie batorówkę.

– Zasuń rygiel od sieni – polecił żonie. – Jaśko, zostań z panią. – Spokojnie wyszedł przed ganek z dwoma czeladzi, gdzie już im prowadzono okulbaczone konie.

Nie zdążyli wyjechać sprzed dworu, gdy nadciągnął zbrojny oddział. Część zajezdników zatrzymała się w pewnej odległości, przybliżyło się tylko kilku konnych. Prowadził ich Mateusz Szremski, rodzony brat nieboszczyka pierwszego męża pani Barbary.

– Czołem, panie Bniński – zawołał. – Trybunał się waćpanu kłania i pyta, kiedy jego dekret wykonasz.

– Tegom się po waszmości nie spodziewałem – odparł Piotr Bniński – że wystąpisz przeciwko matce rodzonej swego wychowańca.

– Małżonka waści dekretem sądu na banicję skazana. Sam król jegomość swoim pismem to potwierdził. Sprawiedliwość musi być.

– A co tobie, acan, do tego? Pilnowałbyś lepiej swojego Bukowca.

– Owszem, moja to sprawa. Bo majątek matki dziecku należy. W imieniu małoletniego Tomasza Szremskiego obejmuję Chalin w posiadanie. – Uniósł się w strzemionach i obróciwszy się w stronę swoich ludzi, zawołał: – Mości panowie, zajmujcie, co się nam prawnie należy!

Część konnych zawróciła w stronę zabudowań folwarcznych, a Szremski ruszył w stronę pana Piotra. Ze szczękiem skrzyżowały się szable.

Batorówka Bnińskiego raz po raz świszczwała w powietrzu, nie dając przeciwnikowi chwili wytchnienia. Szremski słyszał co nieco o biegłości pana na Chalinie we władaniu szablą, ale nie spodziewał się aż takiej zawziętości.

Zastawiał się tylko, bez najmniejszej szansy na atak, a pan Piotr ciął bez zmiłowania. Obok niego Szczepan i Jakub dzielnie stawiali opór trzem szlachetkom ze świty Szrzmieskiego. Reszta oddziału dotarła już do zabudowań gospodarczych i wtedy od strony stajni, stodoły i spichrza dobiegła salwa. Paru jeźdźców padło na ziemię, jeden z koni, trafiony, przygniótł swego pana. Przed budynkami jak spod ziemi wyrosło kilkanaście postaci. To wybiegła ukryta dotąd na swoich posterunkach czeladź. Rozpoczęła się bitwa. Wrzaski, krzyki, szcęk broni, głuclie razy kijów. Od strony wsi nadciągały posiłki.

Spoglądając przez okno, Barbara zauważyła troje jeźdźców stojących nieruchomo na uboczu, przyglądających się walkom. Byli to dwaj młodzi szlachcice, a między nimi osoba niewątpliwie białogłowskiego stanu, choć w męskim stroju. Śledziła ona z wyraźnym napięciem przebieg pojedynku przed dworem i w pewnym dramatycznym momencie krzyknęła. Słyszając to, Mateusz Szrzmieski na ułamek sekundy spojrział w tamtą stronę. Moment dekoncentracji wystarczył. Nie sparował na czas i szabla chlasnęła go w prawy bok. Zwalił się na ziemię, zalany krwią, a pan domu, ledwo rzuciwszy nań okiem, zawrócił konia, by wspomóc swoich ludzi. Tymczasem rana najwyraźniej nie była głąboka, mimo obfitego krwawienia, bo przywódca zajezdników chwiejnie podniósł się z ziemi i wyjąwszy zza pasa krócićę, zaczął mierzyć do Bnińskiego. W tej chwili rozwarło się z trzaskiem okno świetlicy.

– Mężu, uważaj z tyłu – wrzasnęła pani Barbara.

Bniński, który zręcznym sztychem pokonał kolejnego przeciwnika i ten właśnie spadł z konia, odwrócił się i widząc, co się dzieje, wyszarpnął krócićę, wymierzył i wypalił. Mateusz Szrzmieski upadł z dziurą w głowie.

Dwóch towarzyszących kobiecie mężczyzn zostawiło ją samą i dobywszy szabel, ruszyło w stronę Piotra. Ów zaś odrzucił krócićę, otarł zakrwawioną batorówkę połą żupana i znieruchomiał w oczekiwaniu, jak kot zasadzający się na szczura. Walka na podwórzu gospodarczym trwała w najlepsze.



Państwo Bnińscy, którzy z początku protestowali przeciwko rozpatrywaniu swojej sprawy przez sąd sejmowy, złożyli w tym samym sądzie pozew o unieważnienie dekretu trybunalskiego skazującego panią Barbarę na banicję. Jak się później okazało, zrobili to w samą porę, bo zanim jeszcze w 1626 roku szlachta poznańska pod wodzą Mateusza Szrzmieskiego, brata zmarłego męża Barbary oraz stryja nieletniego Tomasza, dokonała spodziewanego zajazdu. Chodziło nie tylko o egzekucję wyroku banicji, jak domagał się król, choć o to także. Występując w imieniu sieroty, Mateusz Szrzmieski usiłował przejąć na jego rzecz dobra banitki. Piotr Bniński zbrojnie stanął w obronie majątności. To z jego ręki w trakcie walk

zginął przywódca najeźdźców.

Wówczas wdowa po zabitym, matka nieletnich: Stanisława, Piotra i Stefana Szremskich, wszczęła przeciw właścicielowi Chalina proces gardłowy o zabójstwo. Z kolei Bniński wystąpił przeciw Szremskim o wynagrodzenie szkód powstałych podczas napaści. Proces łączący te dwie wzajemnie w siebie wymierzone skargi znalazł się na wokandzie sądu sejmowego w roku 1627. W tym samym mniej więcej czasie ów sąd odpowiedział na pozew Bnińskich o zniesienie wyroku banicji, a mianowicie orzekł, że poszlaki ze śledztwa starościńskiego są niewystarczające. Teraz z kolei Barbara Bnińska została uznana za bliższą do dowodu z przysięgi oczyszczającej. Przysięgła zatem, iż w zamordowaniu Andrzeja Obornickiego żadnego udziału nie miała, a sąd sejmowy unieważnił naówczas uprzedni dekret trybunalski skazujący ją banicję. Co miało ten skutek, że zajazd na Chalin był bezprawny, a więc tym samym został przekwalifikowany na najazd⁹.

Ten sam sąd, już po uniewinnieniu Barbary Bnińskiej, miał rozpatrzyć kwestie najazdu. Uznano tu kompetencje sądu sejmowego za właściwe, gdyż przez najazd pogwałcony został wyrok tegoż sądu stwierdzający niewinność oskarżonej. Sąd ten uznał Mateusza Szremskiego za winnego i zasługującego na karę za dopełniony najazd, lecz skoro ów już nie żył, postępowanie przeciw niemu zostało umorzone. Niemniej jednak sukcesorzy Szremskiego zdaniem sądu byli odpowiedzialni pieniężnie za wyrządzoną Bnińskiemu materialną szkodę i zostali skazani na zapłatę skarżącemu dziesięciu tysięcy marek w terminie siedmiu tygodni. Wdowę po zabitym z tego wyłączone, jako że złożyła przysięgę, iż jedynie w charakterze żony z mężem do Chalina przybyła, w zajściach czynnego udziału nie brała.

Piotr Bniński w czasie najazdu bronił swojej własności i zabił Mateusza Szremskiego w obronie własnej, co uznano za „eksces obrony koniecznej” (*excessum defensionis*), zatem sąd uznał, że czyn taki nie podlega karze infamii¹⁰. Skazał winowajcę jedynie na dwanaście niedziel aresztu w wieży wschowskiej¹¹, pod rygorem sądowej odpowiedzialności na wypadek uchylenia się od tej kary. Koszta postępowania umorzono.

Ale nie czynia we dług nich.

Czytają one o tym / ale tak nie czynia /
 Bo druga y za pieśka Kochanego / kiedy
 Zachoruje / dałaby żywot Meza swego /
 Gdyby na okup przyszło. Krotko powiem a w dar
 Nie trzeba tylko iedne wziąć na przykład baba
 Ktorey sie imis od Bre zaczyna / a dosyć
 O złości białogłowskiej / dosyć y nadmienić.
 To przydawşy / że przecie znajduje sie takie /
 Ktorey do tej Satyry mało co należa /
 A ktore pod Niebiosa godzi sie wywyżżyć.
 Dobrym Bog zapłać / a złe niech dyabeł weźmie.

Fragment pierwszego wydania Satyr Krzysztofa Opalińskiego, gdzie jest mowa o Barbarze Breziance (Biblioteka Narodowa)



W porozumieniu wspólnym tak zapadło,
 Że między ludźmi będzie wciąż złością.
 Daję wam słowo, że trudno uwierzyć,
 Jak ta Kasieńka serdecznie mnie kocha.

William Szekspir, *Poskromienie złościcy*, akt II, scena 1, tłum. Leon Ulrich

Minęło kilkanaście lat od sprawy Barbary Bnińskiej i odstąpienia od stawianych jej zarzutów, kiedy rozpętała się kolejna sądowa burza. Było to już w latach czterdziestych siedemnastego wieku, w czasach panowania Władysława IV. Tym razem przeciwko sobie stanęli członkowie tej samej rodziny. Musiała pani Barbara być osobą trudną, gdyż kłóciła się nie tylko z pierwszymi trzema mężami za ich życia, lecz potem także ze swoimi dziećmi, a niewykluczone, że pokłóciła się i z własnym, niegdyś ukochanym bratem. Złościca niczym u Szekspira.

Nową serię sporów zaczął tym razem Piotr Bniński, który od Tytusa Brezy otrzymał w 1619 roku znaczny majątek ruchomy i nieruchomy. Ów Tytus Breza, właściciel majątności na Śląsku, nabył jeszcze dobra Sierosław i Krzypkową w Poznańskim. Wskutek bliżej nieokreślonych nieporozumień rodzinnych – być może siostry z bratem – w 1643 roku Piotr Bniński pozwał swego szwagra i dobroczyńcę przed trybunał z żądaniem nakazania konfiskaty tych ostatnich dóbr, w połowie na rzecz skarżącego, w drugiej zaś na skarb, a z tej to przyczyny, że

cudzoziemcom bez polskiego indygenatu dobra ziemskie wolno było posiadać jedynie przez trzydzieści lat, bez prawa własności wieczystej. Krótko mówiąc, doniósł na własnego szwagra. Sprawa ta, jako *novum emergens*¹², przekazana została przez trybunał do sądu sejmowego, który stwierdził bezzasadność uczynionego Tytusowi Brezie zarzutu, jako że tenże był polskim pełnoprawnym szlachcicem, i skazał oskarżyciela na trzy tysiące marek grzywny.



Ledwo skończył się ten spór, gdy zaczęły się kolejne procesy, wznawiające *ab ovo* zarzuty stawiane ongiś pani Barbarze i jej mężowi. Głośno się znów zrobiło o Bnińskich w Rzeczypospolitej i wtedy właśnie Brezianka trafiła do *Satyr* Krzysztofa Opalińskiego. Otóż na widowni pojawił się Tomasz Szremski z Bukowca, syn z pierwszego męża Barbary, którego ongi wychowywał zabity w zajeździe na Chalin Mateusz Szremski. Młodzieniec ów podjął żołnierskie rzemiosło, a gdy wrócił z wojaczki schorzał i zabiedzony, zamarzyło mu się odebranie matce dóbr po ojcu, na które ona miała dożywocie. Wystąpił przed sąd ziemski poznański o przysądzenie mu Chalina i Szreму. Zagalopował się nieco jednak, a może niedouczony prawnik źle mu doradził, bo podważył słuszność dekretów sądów sejmowych, stwierdzających niewinność jego matki. A jako podstawę do przyznania mu wyżej wymienionych dóbr zgłosił wyroki banicyjne trybunału wydane przeciw matce w roku 1624 i potem zniesione przez sąd sejmowy.

Oboje Bnińscy uznali, że jest to naruszenie majestatu sejmu, i na początku roku 1645 pozwali młodzieńca przed sąd sejmowy, żądając dlań kary infamii. Dekret w tej głośnej sprawie zapadł już 20 lutego 1645 roku, a więc bardzo szybko jak na wydolność wymiaru sprawiedliwości. Sąd królewski orzekł, że Tomasz Szremski, za nic mając prawa boskie i ludzkie, podeptał poszanowanie należne matce i ważył się ją nękać procesami, aby zawładnąć dobrami rodzinnymi Chalin i Szrem. I zgodnie z wnioskiem powodów skazał go na karę infamii.



SZLACHCIANKA WRĘCZA POSŁAŃCOWI POUFNY LIST. Ilustracja z *Życia polskiego w dawnych wiekach* Władysława Łozińskiego (Biblioteka Narodowa)

Infamis Tomasz Szremski nie dał za wygraną i odwołał się do kancelarii koronnej z prośbą o wydanie mu glejtu, czyli listu żelaznego, bez którego nie mógłby dłużej pozostawać w kraju¹³. Glejt ów dostał w roku 1646, a więc zaledwie

rok później. W następnym roku, 1647, pozwał Piotra Bnińskiego, oskarżając go o to, iż zabiwszy mu opiekuna, wziął go nieletniego do siebie i chował przez lat dwadzieścia „w grubej prostocie” i nędzy, mimo znacznego majątku ojcowskiego, a potem jeszcze przed sądem królewskim wymuszono na nim, „nieznającym prawa”, niekorzystne kwity i zapisy oraz obłożono infamią za niesłuszne oskarżanie matki o zabójstwo Andrzeja Obornickiego.

Piątego listopada 1650 roku, a więc trzy lata później (sądom się nie śpieszyło, zupełnie jak dziś), woźny Sebastyan Nosalek oblatował w grodzie poznańskim pozew w imieniu króla Jana Kazimierza, na okoliczność małżonków Bnińskich przeciwko Tomaszowi Szremskiemu wydany, w sprawie kontynuacji rozpoczętego w roku 1647 procesu. Po rozważeniu żądań stron i przedstawionych przez nie dowodów, co trwało kolejne trzy lata, sąd sejmowy wyrokiem z roku 1653 uznał za niedopuszczalne wszelkie od roku 1627 zgłaszane *gravamina*, czyli zarzuty przeciw ważności dekretów sejmowych, i o wszystkich tych sprawach wiekuiście nakazał zachować milczenie. Po złożeniu przez Bnińskiego przysięgi, iż więź za zabicie Mateusza Szremskiego we właściwym czasie odsiedział, tegoż Bnińskiego ze sprawy wyłączył, czyli nie groziła mu już infamia za niedopełnienie kary. Wreszcie, oboje małżonkowie Bnińscy zobowiązani zostali do dotrzymania umowy polubownej zawartej ze Szremskim, w myśl której pani Barbara przekazała na jego rzecz dożywocie otrzymane od pierwszego męża.



Ale na tym się wcale nie skończyła sądowa epopeja, której głównym *spiritus movens* była uwieczniona przez Opalińskiego swarliwa niewiasta, wojująca w domu z trzema mężami, a w trybunale z rodziną jednego z nich i z własnymi dziećmi.

W tym czasie przez kraj przetoczyły się wojny kozackie, zmarł Władysław IV, a na elekcji wybrano jego następcę, Jana Kazimierza. Małżonkowie Bnińscy mieli syna Stanisława, który jako żołnierz walczył w niefortunnej bitwie z Chmielnickim pod Korsuniem i, wzięty przez Tatarów w jasyr, długie lata spędził w niewoli. Gdy ścichła nieco wojenna wrzawa, po ugodzie zborowskiej życie społeczne mieszkańców Rzeczypospolitej poczęło wracać do dawnego porządku. Przez ten czas gospodarował w należącem do Bnińskich Napachaniu pasierb Brezianki, syn Piotra, Franciszek, z pierwszego jego małżeństwa. Wkrótce po tym, jak w roku 1661 zmarł Piotr Bniński, wrócił wykupiony z niewoli Stanisław i... zachował się podobnie jak ongi brat jego przyrodni, Tomasz Szremski. Choć Piotr Bniński przed śmiercią scedował na syna przyznane mu przez króla dożywocie ze wsi Dąbrówka, Stanisław postanowił objąć w posiadanie dziedzictwo po nieboszczyku ojcu, gdzie w tym momencie dożywocie miała matka, przypadające

jej na podstawie zawartej wcześniej umowy.

Z małżonką i kilkorgiem czeladzi Stanisław przyjechał do Napachania, dożywotniego majątku matki, początkowo udając, że przybył w gościnę. Po czym usiłował wymóc na jej poddanych dla siebie posłuszeństwo, a ją samą zelżył, a następnie dobrał się do budynków gospodarczych i „kłódek kilka w budowlaniach obuchem poutrącał”. Dowiedziawszy się o tym, matka, „wziąwszy trzcinkę dla podpierania się, jako że w lecjach będąca”, poszła go upomnieć.

– Co to?... Bunt? Synu mój, rozkazuję ci oto, abyś fasołów¹⁴ takich matce swej nie czynił w jej domu – oznajmiła ze złym błyskiem w oku.

Nie zapomniawszy, oj nie, dawnej matczynej srogości, Stanisław poczuł się jak małe pachole, które starsi karzą. Postanowił tym razem nie odstąpić od swego i zuchowato wrzasnął:

– Puść mnie, matko, bo to moje, ty raczej przy mnie mieszkaj, bo nie mam kędy się podziąć.

– Nie mikaj¹⁵ mi tu, wasze. Wszak Dąbrówkę ojciec ci zapisał. – Parsknęła ze złością.

– Raptem dożywocie tylko i to z łaski króla. Po ojcu się mnie jeszcze jakowaś scheda należy.

– Chyba ci, synu, klepki nie dostaje. Aż mnie coś dusi w piersiach, jak słyszę takie androny. Jeszcze mnie będziesz, wasan, miał na sumieniu. Moje słabe serce...

– O, nie wątpię, że ty, matko, wszystkich nas przeżyjesz. Zawsze umiałaś na swoim postawić, najlepsze dla siebie zgarnąć.

– Nic nie dostaniesz, synu wyrodny, co rodzicielki nie szanujesz. – Odwróciła się i dumnie wyprostowana poczęła iść całkiem żwawym jak na swój wiek krokiem z powrotem do dworu.

– Szanuję cię, matko, ale skoro mi oddać po dobroci nie chcesz, tedy to wszystko spalę, niech nie będzie ni mnie, ni tobie! – zawołał za nią z rozpaczą.

Nawet się nie obróciła. Zawsze tak było, że jedno jej spojrzenie, jedno gniewnie wymówione słowo sprawiało, iż stawał się jak niedorostek. Teraz też – a przecież w męskich już jest latach, dla ojczyzny krew przelewał i niewolę tatarską znosił – wystarczyło, że huknęła na niego, a on stoi teraz jak, nie przymierzając, ten kołek w płocie, jak ta niemota bez własnej woli. Że też taką *hic mulier* Pan Bóg dał mu za matkę. Dziki Tatarzyn byłby mu życzliwszy. Rozżalił się nad sobą i swym nieszczęsnym losem.

Mimo pogroźek przy świadkach, do spalenia Napachania nie doszło, za to przeciw tak jawnemu gwałtowi sześćdziesięcioletnia pani Barbara, której nieustępliwego usposobienia czas nie zmiękczył, wniosła 4 lutego 1661 roku w sądzie grodzkim poznańskim protestację i jak wynika z akt, podpisała ją „ręką trzymaną”¹⁶. W piśmie sądowym przedstawiła się jako „godnej pamięci urodzonego niegdyś pana Piotra Bnińskiego, sekretarza jego królewskiej mości,

dóbr Napachania dziedzica, pozostała małżonka”, mająca na tymże Napachaniu zapewnione dożywocie.



***SZLACHCIC POLSKI** na tle dworskich zabudowań. Rysunek Jana Piotra Norblina (Biblioteka Narodowa)*

Syn nie pozostał jej dłużny i 11 lutego roku 1661 zadyktował do ksiąg grodu poznańskiego reprotestację, w której określił siebie jako „succesora prawego dóbr

ojcowskich i macierzystych” i zapewnił o „zachowaniu miłości i powagi” dla rodziców. Powołał się na „ustawiczne obietnice od rodzica swego, tegoż świeżo teraz ze świata zeszłego”, a także na to, iż „w wojsku, na usłudze ojczyzny, za swoim staraniem się zostawał, i do więzienia z pogromu korsuńskiego wzięty, w ręku pogańskim ciężką niewolę cierpiał, *interim*¹⁷, przez lat dziesięć”. Naówczas zaś z należnych reprotestującemu po ojcu dóbr korzystał „urodzony Franciszek Bniński, kosztem niemałym rodziców manifestanta i swoich żyjąc, czeladź chowając, na stroje i konie koszta łożąc i wszystko z rąk rodziców mając”. Stanisław zaś, „wyszędłszy z więzienia, a na *motus belli*¹⁸ i różne podatki w ojczyźnie trafiwszy, jako sam *viritim*¹⁹ je odprawował, tak i wszystkie *de proprio sumptu*²⁰ uprzętał ciężary”. Po czym wyliczył spustoszenia, które Franciszek Bniński poczynił, gospodarując w Napachaniu, i jeszcze na koniec wypomniał krzywdę, jaką to wyrządzili mu rodzice, zawierając niekorzystną dlań ugodę z Tomaszem Szremskim, przyrodnim jego bratem. Więc on tylko „zabiega szkodzie swej [...] dawszy tak *piis manibus*²¹ zeszłego ze świata rodzica swego, jako i ukochanej rodzicielce swojej cześć należną”.

Kłótnia to była rodzinka, bo i niełatwo przychodziło dojść do zgody z zaprawioną długoletnimi sądowymi bojami niewiastą. Dwudziestego ósmego kwietnia 1661 roku wniosła ona do grodu poznańskiego ponowny protest, w którym stanowczo zaprzeczyła postawionym jej o zrujnowanie Napachania zarzutom i oskarżyła o nie... syna, „gdyż podczas wojny szwedzkiej, gdy małżonek z nią na Szlązk pojechał, tenże pan Stanisław Bniński, odebrawszy klucze i gospodarstwo wyjąwszy z rąk czeladzi, których na dozorców pan Piotr Bniński zostawił, onym gwałtownie odebrał i onych powygniał. Ze sprzedanych domowych drobiazgów rodzicom swoim i grosza do Szlązka przez dwie lecie nie przysłał”. Wypomniała też potomkowi, że ten w swojej manifestacji utrzymuje, iż „pani Barbara Bnińska, matka jego, ojca przeciwko niemu do gniewu pobudzała. Ojciec jego, jak każdy wie, nie prostak był, żeby go miała małżonka uczyć i napominać. Owszem, małżonka siłą od niego nauki wzięła i pod zwierzchnością małżonka zawsze zostawała”.

Deklaracja takiego posłuszeństwa w stosunku do męża znów przypomina szekspirowską Kasię i jej uległość wobec Petruchia. Opowieść Szekspira jednak na ślubie się kończy i co do późniejszych relacji bohaterki z małżonkiem i ewentualnym potomstwem możemy jedynie snuć fantazje. Tu zaś mamy ciąg dalszy, także poślubne dzieje złośnicy. Piotr Bniński ją wprawdzie na swój użytek poskromił, ale z resztą świata nadal wojny toczyła. Ciekawe, czy szekspirowski Petruchio by swojej Kasi na to pozwolił, czy też utrzymałby małżonkę w karchach.

Głośne ongi były w Rzeczpospolitej dzieje pani Barbary, której kłótniwy i niepohamowany charakter stał się sławny, i wiele osób musiało żywić wobec niej uprzedzenia, mimo iż sąd ją uniewinnił. Jątrzące też było zwyczajowe upodobanie

do sądowego pieniactwa charakteryzujące epokę, przez co czyny karalne, lecz nieudowodnione, oparte na pogłoskach, dawały podstawę spraw sądowych, które po długoletnich formalistycznych zwłokach trafiały często do samego tronu i senatorów, mącąc obrady nad sprawami publicznymi – krótko mówiąc, głupstwami zwracano sędziom głowę. A skutkiem ubocznym procesów był coraz większy rozdźwięk między rodzinami lub w jednej rodzinie.

Mimo uniewinniającego wyroku najwyższej instancji, jaką był sąd sejmowy, sprawa zabójstwa Andrzeja Obornickiego kilkakrotnie powracała na wokandę, służąc za pretekst do kolejnych sądowych kłótni o własność ziemską. W dokumentach urzędowych nie ma już późniejszych śladów rodzinnych awantur, więc może w końcu ułożyły się zgodniejsze stosunki między matką a synami. Po wielkiej burzy, regularnie przetaczającej się za przyczyną pani Bnińskiej przez sale sądowe w czasach Wazów, dziś pozostało w zasadzie nikłe echo w *Satyrach* Krzysztofa Opalińskiego – wzmianka o złej kobiecie, „której się imię od Bre zaczyna”.

Przed śmiercią Barbara Bnińska *de domo* Brezianka zapisała trzy tysiące czerwonych złotych karmelitom od Bożego Ciała w Poznaniu, aby modlili się za jej grzeszną duszę. A ludzie, jak to ludzie, gadali, że to dla odkupienia zbrodni.



PRZYPISY

¹ Sąd sejmowy obradował pod przewodnictwem króla w czasie sejmu walnego i rozpatrywał między innymi szlacheckie sprawy kryminalne zagrożone karą śmierci.

² *Manu armata* – zbrojną ręką.

³ Czyli w sądzie grodzkim. Był to podstawowy sąd szlachecki, który w XVII wieku przejął także uprawnienia sądów ziemskich.

⁴ Rycerz Florent, bohater poematu średniowiecznego poety angielskiego Johna Gowera *Confessio amantis*, przyrzekł poślubić szpetną czarownicę, jeśli tylko ta zdradzi mu, jak rozwiązać zagadkę, od której rozwikłania zależało jego życie.

⁵ Ten cytat i poprzedni w tłumaczeniu Leona Ulricha.

⁶ Przedstawienie dowodów należało do stron, sąd nie oceniał ich wiarygodności. Jeśli strona przeprowadziła określony w prawie dowód, to

przeciwdowód drugiej strony był niedopuszczany. Ta strona miała pierwszeństwo, która miała lepszy dowód.

⁷ Banicja – pozbawienie czci i honoru połączone w wypędzeniem. Kara łagodniejsza od infamii, bo za zabicie banity nie było nagrody jak za zabicie infamisa.

⁸ Cyt. za: Aleksander Kraushar, *Barbara Brezianka. Obrazek z XVII-go wieku*, Warszawa 1892.

⁹ Zajazd stanowił wyegzekwowanie siłą wyroku sądowego, natomiast najazd był nielegalny i traktowany jak wymierzanie sprawiedliwości na własną rękę.

¹⁰ Infamia – kara utraty czci orzekana za najcięższe przestępstwa. Stanowiła też częściowe wyjęcie spod prawa. Infamisa można było bezkarnie zabić i nawet otrzymać za ten czyn nagrodę.

¹¹ Karę wieży stosowano wobec szlachty – nie przynosiła ujemny na honorze. Polegała za zamknięciu na wyznaczony przez sąd okres w wieży tzw. górnej (suche, jasne pomieszczenia) lub dolnej (ciemny, wilgotny loch). Nieodbycie kary wieży groziło infamią.

¹² *Novum emergens* – przypadek, na który nie było prawa ani ustalonych zwyczajowo rozwiązań.

¹³ Infamis był częściowo wyjęty spod prawa i każdy mógł go zabić. Tomasz Szremski starał się o list żelazny zapewniający mu bezpieczeństwo.

¹⁴ Fasoły – kłótnie, swary, burdy.

¹⁵ Mikać – gwarowe staropolskie krzyczeć, mruć, fikać.

¹⁶ Wynika z tego, że była niepiśmienna.

¹⁷ *Interim* – tymczasowo.

¹⁸ *Motus belli* – ruch wojenny.

¹⁹ *Viritim* – osobiście.

²⁰ *De proprio sumptu* – własnym sumptem.

²¹ *Piis manibus* – miłosiernym dłońmi.

WENUS POLSKA
ALBO GRZESZNY ŻYWOT PIĘKNEJ AGNIESZKI

Ja mówię, co mię Agnieszką mianują

Machówną, głowy pozbywszy i szyje,

Której, gdy wstyd był swego urodzenia,

Zrzekłam się ojca, zrzekłam się imienia.

I Aleksandry przybrawszy nazwisko,

Zborowską z domu pisaciem się śmiała,

Ażebym podłe stłumiwszy łożysko,

Przez zmyślny dowcip szlachcianką się stała.

Wespazjan Kochowski, *Epitaphium inscriptum M. D. Domaszewska, capitanae Lukoviensi, 4-ti voti coniugi a D[omi]no Kochowski, poeta nativo*

– Ja, Bartosz, biorę ciebie, Agnieszko, sobie za moją własną żonę i ślubuję tobie chować wiarę małżeństwa świętego aż do mej śmierci. Tak mi Bóg pomóż, Panna Maryja i wszyscy święci.

– Ja, Agnieszka, biorę ciebie, Bartoszu, sobie za własnego męża i ślubuję tobie chować wiarę małżeństwa świętego aż do mej śmierci. Tak mi Bóg pomóż, Panna Maryja i wszyscy święci.

Pan młody oderwał wzrok od przepastnych oczu, najbłękitniejszych nie tylko we wsi, ale i w całej bliższej i dalszej okolicy, i rozejrzał się po kościele. Ludzie, dobrzeście słyszeli? Odtąd on, Bartosz Zatorski, kozak w służbie jaśnie wielmożnego księcia Lubomirskiego, będzie miał w chacie tak urodną gospodynię.

Gładyszka, oj gładyszka, a do tego zmyślna a wesoła. I w obejściu umie chodzić, żywinę obrządzić. Niech mu zazdrozczą, kondle zatracone, co to im na jej widok ślina kapie z pyska.

– Boże wszechmocny, daj wam szczęście i duszne zbawienie w tym stadle waszym – zakończył z powagą kolbuszowski proboszcz, który pannę młodą znał dobrze, bo też na polecenie księżnej pani czytać i pisać ją nauczył.

Ani świeżo upieczony małżonek, ani zacny pleban nie wiedzieli jednak, że dla pięknej Jagny sakrament to ino przymus. Gdyby od jej woli to zależało, nie stałaby teraz przed ołtarzem u boku prostego chłopca. Nie takie się jej marzyło zamęcie... A w ogóle to świat ją ciągnął, do zabaw a do śmiechu. Śliczna buzia i powaby młodego ciała kusily zalotników. Żaden chłop we wsi nie minął jej, by się nie zapatrzeć, gdy idąc, kołysała zgrabnymi biodrami.

Urodziwa pani Zatorska, z domu Machówna, przyszła na świat w roku 1648, kiedy to wybuchło krwawe powstanie Bohdana Chmielnickiego, i dawno już temu została sierotą. Ojcem jej był dobosz z Dubna, matką – wieśniaczka z Kolbuszowej, wsi leżącej na trakcie z Sandomierza do Rzeszowa, służąca w pałacu książąt Lubomirskich. Nieraz córkę zabierała ze sobą, a tam ładną i rozumną dziewczynkę zawsze mile widziano. A to brano ją do towarzystwa pańskim dzieciom, a to do drobniejszych posług. Księżna pani zezwoliła jej na naukę pod okiem miejscowego plebana, dzięki czemu czytać i pisać się nauczyła, co natychmiast wywołało plotki we wsi, że pewnie jest bękartem samego księcia koniuszego Aleksandra Michała Lubomirskiego, który, jak głosiła miejscowa fama, żadnej urodziwszej dziewczce nie przepuścił. Plotki te po jakimś czasie ucichły, ale że ludziska muszą mleć ozorem, jak nie o tym, to o tamtym, zaczęto z kolei podejrzewać o ojcostwo Jagninego preceptora, zacnego księdza proboszcza, bo wszak matka sprzątała też na plebanii. Czego to ludzie nie naplotą i nie naszczekają. Musiały te bajdurzenia dobiegać do uszu ślicznej doboszanki, bo od dziecka w głowie jej się przewróciło i ciągle jeno marzyła o lepszym życiu, takim pośród panów. Chodząc z matką do pałacu, napatrzyła się, jak żyją państwo, i szczerze zapragnęła sama taki rajski żywot pędzić wśród możnych i dobrze urodzonych. Przecie ze swoją urodą, rozumem i powodzeniem u mężczyzn w pełni na to zasługiwała.



ALEKSANDER MICHAŁ LUBOMIRSKI, *domniemany ojciec pięknej Agnieszki*
(Wikimedia Commons)

Po śmierci matki, co nastąpiło zapewne w czasie wojny zwanej „potopem”, Jagnę wzięła do siebie ciotka i dziewczynka pasaż u niej najpierw gęsi, potem trzodę. Dalej chodziła do pałacu na rozmaite posługi. Jako pokojówka pilnie

przyglądała się damom i znacznieszym służebnicom i starała się potem przed lustrem naśladować ich miny i sposób mowy. Nieraz przysłuchiwała się lekcjom wydawanym przez pańskie dzieci. Szczególnie do gustu przypadła jej „jeografia”, ale i z historii i genealogii liznęła co nieco, a także umiała na pamięć liczne łacińskie i niemieckie zwroty, nie znając wcale tych języków. Bywało, że przy sprzątaniu księżnicy sięgała po jakiś tom i choć chwil kilka, jak nikt nie patrzył, poczytała zachłannie. Tak to na magnackim dworze nabrała ogłady i zdobyła pierwsze wiadomości o dalekim świecie, którego stawała się coraz ciekawsza, podobnie jak coraz bardziej czuła się spragniona dostatniego życia. A że dorastając, rozkwitała niczym piękniejąca z dnia na dzień róża – tym mniej spodziewana, że na chłopskiej wyrosła glebie – nie tylko wiejskich miała wielbicieli, również panowie szlachta nie pozostawali na jej wdzięki obojętni. Wszystkim mężczyznom robiły się oczy maślane na jej widok. Widząc, co się święci, księżna Helena Tekla Lubomirska czym prędzej postanowiła ją za męża wydać, aby uniknąć sromoty i zgorzienia. Ledwo więc dziewczka lat szesnaście ukończyła, kazano jej iść za Bartosza Zatorskiego. Mąż był wedle wiejskich kryteriów dobrą partią. Przystojny, postawny, zdrowy, zdolny zadowolić kobietę o takim jak jej temperamencie, do tego szczerze zakochany. Zbyt wiele jednak śliczna Jagusia poznała tego lepszego pańskiego świata i zbyt silne to poznanie obudziło w niej tęsknoty. Marzyło się jej coś więcej niż nudne życie w wiejskiej chacie z prostym chłopem, praca na roli i w obejściu. Śnił się jej własny pałac, taki jak kolbuszowski, z pięknymi pokojami, folwarkiem, browarem i młynem. W skrytości ducha nie traciła nadziei, że los się do niej uśmiechnie. Wszak życie dopiero się zaczynało.



Tego dnia zeszło jej nieco dłużej w pałacu, a gdy późnym już wieczorem wracała wzdłuż rzeki, na drogę wyszedł zniecała pewien niezbyt zamożny szlachcic u księstwa goszczący. Próbował ją pochwycić i pociągnąć na ziemię. Wywijała mu się, umykała. Zaczął tedy przy księżycu przysięgać, że będzie ją miłować na wieki wieków amen.

– Musisz być moja – szeptał czule, ona zaś, nie czując do niego żadnego pociągu, nie uciekła tylko dlatego, że postanowiła wpierw go wybać, na co z jego strony mogłaby w przyszłości liczyć.

– A ożeniłbyś się, wielmożny panie, ze mną?

– Przecież ty masz męża. Ale jedź ze mną do Krakowa. Nikt nas tam nie zna. Będiesz moja. Chodź do mnie teraz...

– Wielmożny panie, ludzie zobaczą... Tam mąż w chacie... Zły będzie, muszę iść.

On jednak tak usilnie nalegał na miłosne spotkanie, że w końcu mu obiecała,

iż nazajutrz wyjdzie do niego nad rzekę. Wtedy wreszcie ją puścił. Ruszyła do domu w rozterce, czy jeszcze poczekać, a nuż ktoś znacznieszy się trafi, czy też z tym szlachetką uciekać w świat. Golec był wprawdzie, ale zawsze herbowy, i o jeden szczebel by ją w oczach ludzkich podniósł. A gdyby tak jeszcze zaślubił?... I co, że surowa za wielomęstwo kara, przecie w takim Krakowie jak kamień w wodę... Kto by wiedział? Nikt jej tam nie znał, prawdę rzekł ów amator. Nikt też by prawdy nie wykrył. Do chałupy wróciła dużo później niż zwykle.

– Gdzieżeś to się włóczyła? Łachmaniłaś się pewnie z kim po krzakach – powitał ją Bartosz.

– Wierna ci jestem – odparła nie do końca zgodnie z prawdą, spoglądając nań hardo. W duchu rozżaliła się nad sobą. Mało mu, że jak wyrobnica haruje w obejściu i jeszcze służy u państwa? Nigdy słowa dobrego od niego nie usłyszy.

Rozpalone gniewnym błyskiem bławatkowe oczy miały w sobie moc nieodpartą, która podziałała i na niego. Przygarnął ją dość brutalnie, co wykorzystwała natychmiast, ulegle przywierając do męża, żeby wszystkie ponęty dobrze poczuł. Zwalili się w buchające zaduchem rozgrzebane bety, jakże inne od pańskiej delikatnej wonnej pościeli. Niełatwo przyszło udawać, że prostackie pieśczoty są jej miłe, ale tylko w ten sposób mogła uspić jego czujność, udobruchać go. Tak jak sobie tego życzyła, nic nie zauważył.

– Jutro jadę z panem do Sędziszowa na kilka dni – oświadczył syty, zwalając się z niej. – Jak się dowiem, żeś z kimś poszła, zatłukę jak psa. – Odetchnął spokojniej. – Czekaj na mnie, Jaguś – dodał łaskawszym tonem. – Obaczysz, znów ci wygodzę galancie.

Zamruczała niby przymilnie i potarła nosem o jego ramię. Uwierzył. No i bardzo dobrze.



Mąż ślubny poszedł u mnie w pośmiewisko,
Że go kozacka pierś pielęgnowała,
Znalazłam kilku lepszych za jednego
I rzeźwiejszych nad chłopą nikczemnego.

Wespazjan Kochowski, *Epitaphium inscriptum M.D. Domaszewska...*

Urodziwa dobozanka, której zamarzyło się poślubienie szlachcica i pańskie życie, długo w małżeńskim stadle z prostym kozakiem nie wytrwała. Nie bacząc na przysięgę świętą i na opinię ludzką, pewnego pięknego dnia Agnieszka Zatorska z domu Machówna uciekła z Kolbuszowej i udała się do Krakowa, najpewniej namówiona przez któregoś z pałacowych adoratorów. Bez reszty ją wchłonął nowy

wspaniały świat rojnego grodu. Mając duże zdolności naśladowcze, rychło przyswoiła sobie sposób mówienia i zachowania krakowskich mieszczek. Teraz zachwycone spojrzenia ślali w jej stronę bogaci mieszczenie, dostojni panowie, a nawet duchowni. Piękna nieznajoma jak magnes przyciągała mężczyzn. Ona zaś występowała pod zmyślnym nazwiskiem, skrywając starannie swoje pochodzenie, bo przecie chłopka pańszczyźniana nie mogła ot tak sobie opuścić swojej wsi, nawet jeśli była żoną wolnego kozaka. Gdyby prawda wyszła na jaw, potraktowano by ją jak uciekinierkę. A tak spokojnie uczyła się roli damy i tego, jak najkorzystniej gospodarować wdziękami, którymi obdarzyła ją hojnie natura, czyli jakby tu najwięcej zyskać za nie w zamian.

Pieniądze na wystawne życie zdobywała różnymi sposobami, przeważnie mając i naciągając zakochanych w niej mężczyzn. Mimo licznych pokus łatwego zarobku nie została jednak jawną zamtuzową ladacnicą. Unikała starannie wszystkiego, co mogłoby zszargać jej opinię. Starła się zbliżyć do zacnych domów i zacnych rodzin. Bardziej niż na doraźnych korzyściach materialnych zależało jej na trwałym awansie społecznym. I czy też ogarnęły ją wyrzuty sumienia, czy też coś tam zawiodło w zamiarach, a może stęskniła się za swojakami, bo w którymś momencie wróciła do swego ślubnego kozaka i z udaną skruchą, wydusiwszy z błękitnych oczu strugi łez, zdołała go przekonać, że cały czas była mu wierna, a na podarki, które mu przywiozła, ciężko zapracowała, harując jak wyrobница. Magia bławatkowego spojrzenia zrobiła swoje i chłop, cóż robić, wielkodusznie przyjął ją z powrotem pod swój dach. Jeszcze się radował, że ma tak zaradną żonę, co to grosz gotowy do domu przywozi, i gotów był pobić każdego, kto w jej cnotę powątpiewał. A wieś oczywiście z początku rozplotkowała się na potęgę, że to Jagusia mężowi nie tylko hańbę, ale jeszcze pewnie i wstydliwą chorobę przyniosła. Potem gadanie nieco przycichło i ludzie przywykli do tego, że Jagna pojawia się w kościele odziana w modne krakowskie szmatki.

Długo jednakże nie wytrzymała w rodzinnej wsi. Zepsutej, nawykłej do zbytku i lekkiego życia, szybko znudził się kierat codziennych zajęć, obrządku inwentarza, gotowania, sprzątania i małżeńskich powinności. Już nie potrafiła się odnaleźć w rzeczywistości chłopskiej chaty. Świat wzywał, świat wołał, świat mamił pańskim życiem. Szybko uciekła znowu, by więcej nie wrócić.



POETA JAN GAWIŃSKI zafascynowany był awansem chłopki na salony
Europy.
XIX-wieczna litografia (Biblioteka Narodowa)



Wielum zgorszyła pożądliwym wzrokiem,
Przy udatności był rozum wiadomy
I na wrodzonym nie schodziło wdzięku,
Pocziwość tylko uszła z moich ręku.

Wespazjan Kochowski, *Epitaphium inscriptum M. D. Domaszewska...*

Wyszła właśnie boczną furtą z kościoła ojców franciszkanów, gdzie jak prawie co dzień wstąpiła na modlitwę, aby widziano jej pobożność, gdy niemal wpadła na odzianego w długi czarny płaszcz przystojnego mężczyznę o wesołym, pocziwym spojrzeniu. Zachwycony jej urodą, bez namysłu dwornie zamiótł ziemię kapeluszem.

– Ależ to chyba sama Wenera gród nasz nawiedziła. Wybacz, piękna pani, że się ośmielam, ale ujrzawszy boginię, nie mogę przejść obojętnie.

– Gładkie słowa waszmości. Dziękuję za komplement. A teraz proszę pozwolić mi przejść.

– Pokorny aścki sługa. A może mógłbym w czym jeszcze usłużyć?

– A kto waćpan jesteś, że tak śmiało swe usługi ofiarujesz?

– Jan Gawiński z Wielomowic, poeta.

– Jadwiga Zarembina, rotmistrzowa. – Zmieniła imię i przyjęła nazwisko jednego z dawnych gości kolbuszowskiego pałacu. – Gdybyś waćpan zechciał mi wskazać jaką przyzwoitą gospodę, gdzie skromna szlachcianka mogłaby się nieco posilić...

Popatrzyła mu prosto w oczy taką niebieskością, że poeta się zmieszał i choć zwykle języka w gębie nie zapominał, teraz nie mógł słowa wykrztusić.

– Jestem na waćpani rozkazy – rzekł wreszcie, odzyskawszy nieco kontenans, i już myślał gorączkowo, do czego by tu najlepiej porównać ten niebiański lazur.



Gwar w gospodzie nie malał mimo późnej pory. Trzej poeci siedzieli przy kolejnym już dzbanie wina. Gawiński opowiedział właśnie druhom o pięknej nieznajomej.

– Powiadam wam, że drugiej tak gładkiej niewiasty nie tylko w Krakowie, ale pewnie w całej Rzeczpospolitej nie masz. Toż to księżniczka jaka, albo i anioł. Włosy niczym lipcowy miód, oczy jak niezabudki w majowym słońcu. Lubo najczystszej wody szafiry. Wciąż ją widzę, tak mi w pamięć zapadła. Szczęśliwy musi być mąż jej, że tak cudną istotę ma dla siebie.

– A skąd wiesz, Jachniczku, że to żona? Może zwykła gamratka? Mówisz, że porusza się sama, nawet bez służącej? – wyraził powątpiewanie Wespazjan

Kochowski.



Barokowy bard Wespazjan Kochowski pisał o Agnieszce Machównie w duchu moralizatorskim. XIX-wieczna litografia (Biblioteka Narodowa)

– Tak dobrze patrzyła i takie ciepło jej z oczu biło. Nie może to być, aby żyła niecotliwie. Poza tym zadziwia nie tylko urodą, ale i rozumem. Skąd zwykła dziewczka wiedziałaby tyle z jeografii, historii, heraldyki. Można z nią pogadać nawet *de publicis*.

– Czuję, przyjacielu, że jakoweś poema powstanie o tej twojej bogini. – Sambor Młoszowski uśmiechnął się, łyskając drapieźnie białymi zębami spod sumiastego wąsa. – Sam mówiłeś, że tylko my, poeci, znamy prawdę o życiu

i miłości, więc opowiedz, jak ty to potrafisz, o tej urodziwej damie.

– Już nawet zacząłem, posłuchajcie tylko:

Szczęsnam ja, której wszystkie swe ozdoby

Nieba dały życzliwe; i nie było, ktoby

Z mych mię nie miał ukochać wdzięków przyrodzonych,

I gracyj przyjemności w ciele mym złożonych.

Szczęsnam ja, co mej twarzy róże, i lilije,

Wespół oraz kwitnęły z mych piersi i szyje;

Co i z oczu łask pełnych Kupido się rodził,

A wtedy w serca ludzkie kochania zawodził.

Szczęсны mąż mój, co bacząc mnogie ciała wdzięki,

A od Kupida trafion, z mej otrzyma ręki...

Gawiński urwał nagle i cień jakiś twarz mu omroczył.

– Naszło mnie dziwne przeczucie, tak jakby chłodem cmentarnym powiało – rzekł cicho. – Że ta uroda wcale szczęścia jej nie przyniesie. Oby tylko do zatracenia nie przywiodła...

– A można li przewidzieć, co człeku pisane? Uśmiech fortuny czy też zguba?

– Kochowski dołał z dzbana do cynowych kubków. Bryznęło przy tym nieco na stół, bo rękę już miał niepewną. – Tego nawet my, poeci, nie wiemy.

– Dobrze mówisz – westchnął Gawiński. Wychylił wino jednym haustem i mrugnawszy porozumiewawczo do kompanionów, wyrecytował:

Nie wie człek, co nań przydzie i co mu wryto

Dyjamentem na niebie – przed nim to jest skryto.

Szczęśliwa-li mu doła albo li zła padnie –

Tą się paść ma, która mu z wiecznych fat przypadnie.

– Lepiej losu nie kusić, wzywając na głos imię szczęścia – dodał po chwili zamyślony. – Zmienię na: Onam ja, której wszystkie swe ozdoby... Onam ja, co mej twarzy róże, i lilije... Lepiej będzie. A z mężem dam sobie pokój. Macie rację, kto wie, jak tam z nią jest naprawdę. Skreślę tę strofę.



Onam ja, którą w Polsce zrodziła się w cieniu,

Byłam wszystkim z gładkości w wielkim poważeniu;

Piękność moją z anioły niemal porównano,

Skąd i wielkich parentel być mię poczytano.

Jan Gawiński, *Mowa ostatnia umierającej przez miecz Jadwigi z Kolbuszowa,*

w Lublinie dekretem trybunalskim Anno 1681 pokonanej

Przez kilka lat pobytu w Krakowie piękna dobozanka nabrała jeszcze większej ogłady, poduczyła się niemało o szlacheckich parantelach, nabrała wykwintniejszych manier i znacznie się wprawiła w obcych językach. Poczęła tedy jeździć po różnych miastach, wszędzie znajdując wielbicieli. W sztuce usidlania mężczyzn, olśniewania wdziękami i kokieterią doszła do mistrzostwa. Szybko zorientowała się, że największą ciekawość budzi to, co tajemnicze i nie do końca znane – jak stało się podczas przypadkowego spotkania z Gawińskim. Nie tylko zatajała swoje pochodzenie, ale czasem też skrywała wygląd. W miejscach publicznych pokazywała się rzadko i, dla dodania sobie uroku, zawsze ze spuszczoną na twarz zasłoną. Umiejętnie przez to wspomagała budowanie legendy swej niezwykłej urody.

Interesowali ją wyłącznie mężczyźni majątni. Uzyskane od nich fundusze i podarki trwoniła z wielkopańską rozrzutnością, sprawiając w ten sposób wrażenie, że jest dziedziczką wielkiej fortuny. W 1668 roku zjechała do Warszawy jako panna Aleksandra Zborowska, dobrze urodzona z ojca Marcina z Rytwian Zborowskiego i powtórnej jego żony, Kopciówny, wdowy po Domaradzkiej, na co u fałszerza kupiła sobie odpowiednie dokumenty. Przydała się jej znajomość genealogii, której początki zawdzięczała czasom posługiwania w kolbuszowskim pałacu. Wiedziała bowiem dobrze, że nie ma już Zborowskich, którzy by ją mogli oskarżyć o przywłaszczenie imienia. Opowiadała też, że dzieciństwo spędziła w różnych dworach u krewnych, a także w Kolbuszowej, w wieśniaczej chacie, dokąd z niewiadomych powodów zabrała ją mamka z domu rodzicielskiego i tam wychowywała. Zręcznie pomyślała to kłamstwo, wykorzystując istotne miejsce swego pochodzenia.

W stolicy wynajęła okazałe mieszkanie, żyła godnie i występowała zawsze z licznym dworem i pompą wielką, uwiarygodniając w ten sposób dostojność swego rzekomego rodu. Zachowywała się natomiast skromnie i powściągliwie. Jeździła po mieście w towarzystwie służącej, wstępowała do kościołów na modlitwę, dawała jałmużnę biedakom. Tak postępując, wreszcie dopięła swego i spełniła dawne wielkie marzenie. Wyszła za mąż za szlachcica. Wdzięki rzekomej panny Zborowskiej urzekły pewnego cudzoziemca, dziedzica świetnego imienia, pana licznych włości. Hrabia Giordano Collalti von Ekerin, oficer wojsk cesarza austriackiego, przebywał w Polsce z poselstwem wysłanym do polskiego króla. Najpierw oczarowała go urodą, grzecznością, skromnymi minkami, a potem sprytnie i szybko doprowadziła do ślubu w warszawskim kościele.



Onam ja Wenus polska, której czołem biły
Państwa i humorowi memu się dziwiły;

Pięknej urodzie, której i matrony same
Niezajrzawszy, za swą mię poczytały damę.

Jan Gawiński, *Mowa ostatnia umierającej przez miecz Jadwigi z Kolbuszowa...*

– Ja, Giordano, biorę ciebie, Aleksandro, sobie za moją własną żonę i ślubuję tobie chować wiarę małżeństwa świętego, aż do mej śmierci. Tak mi Bóg pomóż, Panna Maryja i wszyscy święci.

– Ja, Aleksandra, biorę ciebie, Giordano, sobie za własnego męża i ślubuję tobie chować wiarę małżeństwa świętego, aż do mej śmierci. Tak mi Bóg pomóż, Panna Maryja i wszyscy święci.

Pan młody wyprostował się dumnie i wypiął pierś. Oczami duszy widział zachwycone i pełne zazdrości spojrzenia wiedeńskich panów, gdy tak cudowną żonę z Warszawy przywiezie. Dwór cesarski się jej nie oprze, to rzecz pewna.

– Boże wszechmocny, daj wam szczęście i duszne zbawienie w tym stadle waszym – zakończył uroczyście ksiądz.

Po ślubie nowożeńcy wyjechali do Wiednia. Ożenek dał Agnieszce-Aleksandrze wszystko, na czym jej tak bardzo zależało. Nazwisko, pozycję społeczną, dostatek. Mąż z początku świata za nią nie widział, obdarowywał ją hojnie, chwalił się nią wszędzie pośród stołecznej socjety. Ona tymczasem, jak utrzymuje większość dziewiętnastowiecznych biografów, nie zrezygnowała z dawnej płochości i ta jej zalotność oraz umizgi wobec eleganckich kawalerów stały się przyczyną małżeńskich niesnasek, a potem rozpadu związku. Wedle tych źródeł zachowanie żony nie zawsze było godne damy, za jaką chciała uchodzić, i to zaczęło budzić w panu hrabim wątpliwości, czy jest ona tą osobą, za którą się podaje. Innej przyczyny rozdzwienku dopatrywał się natomiast współczesny naszej bohaterce poeta Wespazjan Kochowski, który napisał rzeczowo i bez ogródek, iż małżonek okazał się „tępy ku Wenerze”.

Tak czy owak, Collalti rychło ostygł w miłosnych zapałach, a gdy cesarz ponownie wysłał go do Polski, skorzystał z okazji i wyjechał sam, zostawiając małżonkę w Austrii. Po przyjeździe na miejsce zaczął szukać informacji o Aleksandrze Zborowskiej i wkrótce poznał prawdę. Ktoś życzliwy doniósł, czym się naprawdę zajmowała pani hrabina przed ślubem. Zbulwersowany, po powrocie do Austrii żonę wygnał, a ta znów została awanturnicą bez punktu oparcia. Nie straciła jednak głowy. Niepewna sytuacja na ogół mobilizowała ją do działania, wyzwalała energię i pomysłowość. Nie zamierzała wcale zrezygnować z korzyści płynących z mariażu z Collaltim i zagrała *va banque*, wykonując posunięcie mocno bezczelne, zważywszy fakt, że dyplomacja austriacka dysponowała znakomitymi służbami wywiadowczymi i cesarz łatwo mógł zweryfikować jej opowieść. Swoją drogą ciekawe, dlaczego tego nie uczynił. Czyżby on też uległ czarowi chabrowych

oczu? A może po prostu chciał uniknąć skandalu mogącego zagrozić interesom cesarstwa w Rzeczypospolitej.

Porzucona hrabina poskarżyła się Leopoldowi żałośnie, że została skrzywdzona. Skłamała, że jest córką marszałka polskiego, że wychowała się w klasztorze, a Collalti ją uwiódł i porwał, a potem udało mu się przebłagać jej rodziców, którzy dali jej posag wynoszący „sto tysięcy w klejnotach”. Cesarz, a za nim sąd, uznał roszczenia pani hrabiny i wkrótce na mocy wyroku wypłacono jej kilkadziesiąt tysięcy z mężowskich dóbr. Nie wiadomo, czy małżeństwo to zostało prawnie rozwiązane i co dalej się stało z Collaltim. Austriacki hrabia znika w tym momencie z opowieści o losach naszej plebejskiej awanturnicy.



***CESARZ AUSTRII LEOPOLD I** stanął po stronie hrabiny Collalti w jej sporze z mężem. Obraz olejny Benjamin von Blocka (Wikipedia)*



Znali mię Włosi, znali Teutonowie

I Markomani wespół z Ligurami¹;
Mną się Rzym szczycił, ba, i Wenetowie
Między swoimi czcili mię murami.
O czym kronika pewnie świata powie,
Żem się zrodziwszy między Sarmatami,
Adryjatyckie wspieniła powodzi,
Sidląc, jak druga Wenus, siła młodzi.
Wespazjan Kochowski, *Epitaphium inscriptum M. D. Domaszewska...*

Dostawszy pieniądze, rzekoma Aleksandra Zborowska ponownie złapała wiatr w żagle. Mając na to odpowiednie środki, wiodła wystawne życie i znów utrzymywała wokół siebie cały dwór, licząc na to, że przepych jej salonu przyciągnie majątnych paniczów, a wśród nich trafi się kolejny kandydat na męża. Udała się w podróż do Niemiec, potem do Rzymu, które to wojaże odnotowali obaj poeci, Gawiński i Kochowski, opiewający później jej losy. Gdy wróciła do Wiednia około roku 1675, pojawił się na scenie kolejny amant, ledwo szesnastoletni kasztelaniec biecki Stanisław Rupniowski, którego wyprawiono do Europy dla dokończenia edukacji. Był sierotą, ale majątnym sierotą. Miał dwie siostry, z których jedna była zakonnica, druga pozostawała zamężna za Szembekiem. Agnieszka, dowiedziawszy się o polskim kawalerze, pierwsza złożyła mu wizytę, w następstwie czego edukacja młodego człowieka przebiegła nieco inaczej i w innej dziedzinie, niż życzyliby sobie tego jego prawni opiekunowie. Szybko zakochał się bez pamięci w starszej od siebie o dziesięć lat pięknej kobiecie, która wprowadziła go w tajniki sztuki miłosnej, i skończyło się to ślubem. Jak pisze jeden z niezbyt życzliwych Machównie autorów, Klemens Kantecki, w artykule *Samozwanka. Proces kryminalny z XVII wieku*: „Na ulicy przeto schwytawszy księdza imieniem Biego, wzięła ślub z pacholęciem i wyjechała z nim co prędzej do rozkosznej stolicy Francji Paryża”. Z pewnością łatwo przyszło zręcznej zalotnicy uwieść niedoświadczonego młodzieńca.



– Ja, Stanisław, biorę ciebie, Aleksandro, sobie za moją własną żonę, i ślubuję tobie chować wiarę małżeństwa świętego, aż do mej śmierci. Tak mi Bóg pomóż, Panna Maryja i wszyscy święci.

– Ja, Aleksandra, biorę ciebie, Stanisławie, sobie za własnego męża i ślubuję tobie chować wiarę małżeństwa świętego aż do mej śmierci. Tak mi Bóg pomóż, Panna Maryja i wszyscy święci.

Pan młody nie wierzył własnemu szczęściu, że tak cudowna istota łaskawie nań spojrziała i dozgonnie wiąże z nim swój los. Czuł się, jakby to sama Pani

Cypryjska, bogini miłości Wenus, wychynawszy z piany morskiej, stanęła skromnie u jego boku przed ołtarzem. Wszak z taką urodą mogłaby mieć niejednego księcia, ba, nawet i królewicza.

– Boże wszechmocny, daj wam szczęście i duszne zbawienie w tym stadle waszym – zakończył uroczyste ksiądz Biego.

Prawo ówczesne karało bigamię bardzo surowo, zaś jeśli Collalti jeszcze żył, to piękna Agnieszka *alias* Aleksandra popełniła w tym momencie trigamię. Nowy związek nadawał jej świetną pozycję i za granicą, i w Polsce. Jan Ziółkowski, autor powieści opartej na losach naszej rodzimej poligamistki, a właściwie poliandrystki, sugeruje, że na swój sposób młodziutkiego kasztelanica kochała i że znalazła u jego boku spokojną przystań. Nie trwało wszak to szczęście długo, bo niebawem mąż zmarł w niewyjaśnionych do końca okolicznościach, bardzo możliwe, że na suchoty. Trudno raczej przypuszczać, by żona przyczyniła się do jego śmierci. Dawał jej stabilizację i pozycję, a tak znów została sama. Wkrótce zaś narodziło się dziecko będące owocem tego związku – syn Adam.

Po paru miesiącach kasztelanica Rupniowska przyjechała z dzieckiem do Polski. Tu przedstawiła w urzędzie ziemskim dokumenty poświadczające legalność związku, po czym zajechała i siłą zajęła męzowskie włości. Była to normalna procedura w tamtych czasach, uświęcona obyczajem. Sądy działały tak opieszale, że zainteresowani, mając wyrok w kieszeni, sami go wykonywali, częstokroć zbrojnie. W ten sposób zainstalowała się w Rupniowie w imieniu syna jako prawnego dziedzica. I byłoby się spełniło jej dawne, jeszcze za kolbuszowskich czasów rojone marzenie o własnym pałacu z pięknymi pokojami, folwarkiem, browarem i młynem, gdyby nie to, że na horyzoncie pojawiła się bardzo groźna przeciwniczka, rodzona siostra świętej pamięci Stanisława Rupniowskiego, Anna Barbara Szembekowa, osoba chciwa i ambitna, a przy tym inteligentna i wytrwała w działaniu. Bynajmniej nie ucieszyła się, że po zmarłym w kwiecie wieku bracie pozostał syn, choć to oznaczało, że ród jej ojca i nazwisko będą trwać dalej. Nie uznała bratowej ani bratanka i wstąpiła na drogę sądową, zamierzając zgarnąć rodzinne posiadłości dla swoich własnych dzieci. Zwłaszcza zaś miała ochotę na Rupniów, położony na ziemi nowosądeckiej. Między kobietami doszło do walki na śmierć i życie.

Szembekowa zaczęła węszyć wokół bratowej, chcąc znaleźć podstawy do stwierdzenia nieważności małżeństwa i odsunięcia dziecka rywalki od rodzinnej schedy. W 1674 roku złożyła pozew w sądzie pierwszej instancji w Nowym Sączu. Z początku próbowała unieważnić ślub pod pozorem, że Stanisław Rupniowski był na to zbyt młody. Ale akt ślubu okazał się legalny i prawomocny. Stanisław był w „latach sprawnych”, czyli między siedemnastym a dwudziestym czwartym rokiem życia, kiedy mężczyźni mieli już zdolność prawną do niektórych działań, w tym do zawarcia małżeństwa.

Szwagierka naszej Wenus szukała zatem innych sposobów odebrania bratowej Rupniowa. Postanowiła udowodnić, że ślub był wynikiem starannie uknutej intrygi, wyzyskującej naiwność niedoświadczonego chłopca. Zabrała się za sprawdzanie rodzinnych koligacji i odnalazła żyjących członków bocznej gałęzi rodu Zborowskich. Okazało się, że nikt z nich nie słyszał o żadnej Aleksandrze Zborowskiej. A potem odkryła prawdziwą przeszłość Agnieszki i wytoczyła jej kolejny proces, który rozgrywał się już w wyższej instancji, bo przed lubelskim trybunałem, jednym z najważniejszych w ówczesnym polskim wymiarze sprawiedliwości. Trwał od 1677 do 1681 roku.

Kasztelanica Rupniowska została oskarżona o oszustwo polegające na podszywaniu się pod osobę ze szlacheckiego rodu Zborowskich. Oskarżono ją także o poligamię, a więc o zawieranie kolejnych związków małżeńskich podczas trwania poprzednich. Bowiem zdaniem oskarżenia wyszła za mąż za Rupniowskiego, gdy jeszcze żył Collalti. A zatem nie można uznać dziecka z tego związku za prawowitego potomka.

Mimo pozwu Agnieszka nie stawiała się w sądzie i aby uniknąć aresztowania, ukryła się w klasztorze. Dało jej to czas na obmyślenie strategii obrony, w dodatku poznała właśnie starostę łukowskiego Kazimierza Domaszewskiego herbu Nieczuja, kawalera parę lat od niej starszego, człowieka ustosunkowanego i energicznego, a przede wszystkim umiającego skutecznie dbać o swoje sprawy przy pomocy bitnej czeladzi. Wydał się idealnym kandydatem na protektora, toteż co prędzej wydała się za niego. On zaś dał się skusić do tego ożenku nie tylko dzięki całkiem jeszcze świeżym wdziękom nadobnej kasztelanicy, ale też mając na względzie majątek, jaki posiadała w klejnotach i gotowiźnie, a także perspektywę wygrania na drodze sądowej rozległych dóbr po zesłym mężu. Ślub odbył się w kościele w Lublinie w 1678 roku.



Dlatego w czwarte poszła ożenienie;
I w małżeńskiej się pośliznąwszy wierze,
Zbyłam pierwszego przez swe wyrzeczenie,
Drugiego, że był tępy ku Wenerze,
Opuścić przyszło, umorzony trzeci,
Czwarty mię wegnał do śmiertelnej sieci.

Wespazjan Kochowski, *Epitaphium inscriptum M. D. Domaszewska...*

– Ja, Kazimierz, biorę ciebie, Aleksandro, sobie za moją własną żonę i ślubuję tobie chować wiarę małżeństwa świętego, aż do mej śmierci. Tak mi Bóg pomóż, Panna Maryja i wszyscy święci.

– Ja, Aleksandra, biorę ciebie, Kazimierzu, sobie za własnego męża i ślubuję tobie chować wiarę małżeństwa świętego, aż do mej śmierci. Tak mi Bóg pomóż, Panna Maryja i wszyscy święci.

Pan starosta długo się nie zastanawiał, gdy nadarzyła się okazja tak korzystnego mariażu. Mało że niewiasta gładka, aż ślinka leci, to jeszcze po wygranym procesie z Szembekami wniesie mu rozległe włości po Rupniowskich. Iście magnacką mieć wtedy będzie fortunę. Nie mógł się powstrzymać i aż cmoknął z ukontentowania, gdy ksiądz uroczyście wygłosił zwykłą w takich razach formułkę:

– Boże wszechmocny, daj wam szczęście i duszne zbawienie w tym stadle waszym.

Świeżo upieczona starościna Domaszewska miała trzydzieści lat i znajdowała się w pełnym rozkwicie swej niepospolitej urody. Zaraz po ślubie opuściła klasztor i zamieszkała w majątku męża, którego nie tyle wpływy, co zbrojni słudzy skuteczną zapewniali ochronę przed sądowymi strażami. To jej czwarte zamęcie okazało się tymczasem najniezszczęśliwsze ze wszystkich.



Onam ja, com niedawno światu dziwowiskiem
Była, teraz zostaję fortuny igrzyskiem,
Którejś więcej ufała, ta mię dziś głęboko
Pchnęła w dół, do góry mię wyniosłszy wysoko.
Jan Gawiński, *Mowa ostatnia umierającej przez miecz*

Jadwigi z Kolbuszowa...

Pieniactwo i zamiłowanie do procesowania się stanowiły nieodłączny element ówczesnej obyczajowości. Zdarzało się, że procesy toczyły się dziesiątki lat, a czasem i przez pokolenia. Ta sądowa sprawa trwała zaledwie cztery lata, ale i tak dostarczyła niemało emocji zarówno zainteresowanym stronom, jak i ciekawskim obserwatorom, a przede wszystkim dała niezłą pożywkę wszelkiej maści plotkarzom.

Pani starościna Domaszewska opłaciła dobrego adwokata i początkowo wygrywała sprawę. Tym gładziej to szło, że tu również zadziałała jej niezwykła uroda i fakt, że panowie sędziowie – w końcu też mężczyźni – nie pozostali obojętni na jej wdzięki. Na przykład pozwolili jej na kontakty z odnalezionymi przez Szembekową Mileńskimi, przedstawicielami linii bocznej Zborowskich. Była to zbiedniała i zdemoralizowana szlachta, która zapewne łatwo dała się przekupić widokami wygrania procesu i odebrania majątku po zmarłym mężu. Mileńscy zatem też stanęli po stronie urodziwej oskarżonej i wbrew oczekiwaniom

Szembekowej potwierdzili fałszywą metrykę, wedle której podsądna urodziła się w 1651 roku jako córka Marcina Zborowskiego i jego żony z domu Kopciówny. Członkowie trybunału, cały czas nadobnej starościnie przychylni, uniewinnili ją naówczas i orzekli prawo jej syna do dziedziczenia majątku po Rupniowskim. Warto tu zauważyć, że Agnieszka, być może powodowana najzwyczajszą w świecie kobiecą próżnością, odmłodziła się w dokumencie o trzy lata, co miało się potem na niej zemścić.

Anna Barbara Szembekowa nie dała jednak za wygraną i udała się do Kolbuszowej, miejsca, gdzie rzekoma Aleksandra miała być wychowywana przez mamkę. Tam odnalazła nie tylko prawdziwą metrykę bratowej, ale i niejakiego Bartosza Zatorskiego, którego przed laty opuściła słynna z piękności żona. W 1681 roku pierwszy mąż Agnieszki, za namową Szembeków i za ich pieniądze, wytoczył proces Domaszewskiemu o zabranie żony, a żonie o bigamię.



Ostatnio pan starosta łukowski ciągle gdzieś wychodził, a zapytania małżonki zbywał burknięciami. Odmawiał, gdy chciała mu towarzyszyć, wyraźnie był podenerwowany i czegoś niespokojny. Pani Domaszewska doszła do wniosku, że pewnie martwi się procesem. Ona nie przejmowała się aż tak bardzo. Owszem, trochę się denerwowała, ale uspokajała ją myśl, że sędziowie patrzą na nią tak, jak lubiła, żeby mężczyźni na nią patrzyli. Więc czego tu się bać? Przeklęty Bartosz trochę szyków namieszał, ale ona pójdzie w zaparte, że go nie zna, nigdy nie widziała na oczy. Ma po swojej stronie zeznania Mileńskich, a słowo szlachcica zawsze więcej warte niż prostego chłopca. Wydeła koralowe usteczka i pomyślała sobie, że już niedługo tej męki. Obali zeznania kozaka, będzie wolna, bogata, a mały Adaś zostanie zabezpieczony na dalsze życie.

W tym momencie mąż wszedł do świetlicy. Znow minę miał posępną i jakby zakłopotaną. Wstała z krzesła i podeszła do niego, starając się kusząco szeleścić jedwabiem sukni.

– Kochany, dawno nie wychodziłam. Może byśmy się przeszli na Rynek, obaczyli kramy?

– Dobrze – zgodził się nadspodziewanie szybko. – Chodźmy zaraz. Taki ładny dzień.

Zadzwoiła na służącą, kazała podać narzutkę i wyszli. Pachołkowie postępowali kilka kroków za nimi. Na Rynku od razu śpiesznie zagłębiła się między stragany, zasłaniając twarz od pilnujących porządku miejskich strażników. Wtem nieznamy człowiek podszedł do patrolu straży i pokazał ręką w jej kierunku.

– To ona – powiedział półgłosem. – Bierzcie ją.

Strażnicy ruszyli, tłum zafalował i na wszelki wypadek wszyscy się rozpierzchli.

– Jezusie! Maryjo! Ratunku! – wykrzyknęła rozpaczliwie. – Mężu mój, na pomoc!

Domaszewski stał nieruchomo z kamienną twarzą. Oczekujący w oddaleniu służdy, nie otrzymawszy takiego rozkazu, nie poszli bronić pani. Ją zaś pojmano i poprowadzono do ratusza.



Tak zdradził ją własny mąż, i to w sposób wyjątkowo niegodziwy. Widząc, że proces w Lublinie przechyla się na jej niekorzyść i straciwszy przez to nadzieję na majątek Rupniowskich, tym mocniej się wystraszył oskarżenia o uwiedzenie zamężnej kobiety i współnictwo w jej występkach, które teraz trafiło na wokandę. Zdecydował się na potajemną ugodę z Szembekami, którzy wycofali wobec niego oskarżenie, a on w zamian małżonkę swoją pod pozorem przechadzki zaprowadził pod ratusz między kramy i tam wydał w ręce pachołków trybunalskich, którzy ją do więzienia wtrącili. Po czym zabrał jej pieniądze i klejnoty.



WIDOK LUBLINA, gdzie toczył się proces Aleksandry Rupniowskiej. Rycina Jerzego Brauna i Abrahama Hogenberga z 1618 r. (Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. H. Łopacińskiego)

Odtąd Agnieszka zeznawała doprowadzana na salę sądową z więzienia. Zgodnie z powziętym planem zaprzeczyła, aby kiedykolwiek znała kozaka Bartosza Zatorskiego. Jej patron, czyli adwokat, usiłował przekonać trybunał, że skoro uwierzono już urodzonym Mileńskim, dlaczego sąd miałby dać wiarę prostemu chłopu, choć wolnemu. I znów – także dzięki temu, że sędziowie pozostawali po urokiem jej powabów – przekonałaby ich, aby ją uniewinnili, gdyby nie to, że Szembekowie niespodziewanie zagrali atutem nie do przebiccia, a mianowicie sprowadzili do Lublina prawdziwą żonę Marcina Zborowskiego, która wedle zeznań i metryki podsądnej miała być jej matką i ponoć zesła już z tego świata. Teraz zbudowana z kłamstw historia pięknej Agnieszki zaczęła walić się jak domek z kart. Okazało się, że pani Marcinowa Zborowska nie tylko żyje, ale też nie jest wcale, jak w metryce, z domu Kopciówna, lecz Domaradzka. Najgorsze zaś było to, że nie miała nigdy córki, a ponadto przedstawiła sądowi wiarygodne świadectwo, iż Marcin Zborowski zmarł w 1649 roku, a więc dwa lata przed urodzeniem się rzekomej Aleksandry. W żaden sposób nie mógł więc być jej ojcem, fałszerstwo stało się oczywiste. To niefortunne odjęcie sobie w papierach trzech lat jeszcze bardziej pogrzyżyło oskarżoną. Teraz już żadne wdzięki nic by jej nie pomogły. Prawo było w takich przypadkach bezwzględne.

W 1681 roku trybunał uznał Agnieszkę z Machów Zatorską winną przestępstw, takich jak wdarcie się do stanu szlacheckiego, cudzołóstwo, fałszowanie dokumentów, wielomęstwo (a więc świętokradztwo poprzez podeptanie boskiego sakramentu małżeństwa), krzywoprzysięstwo oraz pogwałcenie praw majątku przez zajazd. Syn jej, Adam Krzysztof, został uznany za dziecko nieślubne nieposiadające praw do spadku.

Za wielokrotne bezprawne związki małżeńskie sąd pod przewodnictwem marszałka trybunału wojewody łeczyckiego Piotra Opalińskiego oraz księdza kanonika Żórawskiego skazał Agnieszkę Zatorską z domu Machównę na szarpanie piersi kleszczami, a za krzywoprzysięstwo – na ścięcie mieczem.



EGZEKUCJA POPRZEZ ŚCIĘCIE MIECZEM. Ilustracja z książki Hanny Zaremskiej *Niegodne rzemiosło*. Kat w społeczeństwie Polski XIV–XVI w.



Ty zaś, kochanku mój, obłudny świecie,
Bądź łaskaw: już mię śmierć okrutna gniece.
Wespazjan Kochowski, *Epitaphium inscriptum M. D. Domaszewska...*

Agnieszka została stracona na lubelskim rynku 12 lipca 1681 roku. Miała zaledwie trzydzieści trzy lata. Podobno zlitowano się nad nią, zwolniono z kary szarpania kleszczami i tylko pod miecz oddano. Podobno też katu pod wrażeniem niezwyklej urody skazanej zadrżała ręka, toteż za pierwszym razem miecz się omsknął i zsunął po alabastrowej szyi. Podobno już drugi cios życia ją pobawił, ale dopiero trzeci oddzielił głowę od pięknego ciała.



KRÓL JAN III SOBIESKI, za którego panowania ścięto piękną dobozankę
(Biblioteka Narodowa)

Była to sprawa wysoce bulwersująca dla opinii szlacheckiej. Plebejka przez dziesięć lat udawała szlachciankę, inteligentnie wykorzystując mężczyzn i z zimnym wyrachowaniem grając na ich emocjach.

O jej barwnych losach opowiedzieli niemal na bieżąco dwaj znani poeci

doby baroku: Wespazjan Kochowski i Jan Gawiński. W przeciwieństwie do dziewiętnastowiecznych autorów, którzy słynną doboszankę odsadzali od czci i wiary, obaj pisali o niej w zasadzie pozytywnie, wyraźnie nią zafascynowani. Każdy zrobił to inaczej. Gawiński znał jedynie relacje z procesu i widać, że wiedzę na temat faktów z życia pięknej awanturnicy miał raczej fragmentaryczną. Nazywa ją Jadwigą, choć była to Agnieszka. Przemilcza fakt wielomęstwa, pomija miłosne podboje w Polsce, Wiedniu i Paryżu. Pisze natomiast o podróży do Włoch i kontaktach z możnymi tego świata – o uwodzeniu księżąt włoskich, a nawet dostojników Watykanu. Wyraźnie porusza go literacko motyw awansu włościanki na najwytworniejsze salony Europy i jej późniejszy dramatyczny upadek. Piękna Agnieszka w jego wierszu zachowuje się godnie do końca, a czytelnika prosi jedynie o współczucie i wysłuchanie.

Wespazjan Kochowski jest rzetelniejszym świadkiem i kronikarzem – akurat był wówczas w Lublinie i widział egzekucję. Jako nadworny historiograf Jana III miał zamiłowanie do konkretów, skrzętnie notował współczesne wydarzenia, toteż w jego utworze jest wiele szczegółów biograficznych. Nie rozwodzi się nad urodą Agnieszki tak jak Gawiński, ale zapewne chcąc zachęcić także zagranicznego czytelnika do zapoznania się z dziejami pięknej Polki, poprzedza poemat łacińskim wprowadzeniem napisanym prozą. We wstępie tym podaje prawdziwe personalia swojej bohaterki i na przynętę zamieszcza zapowiadające erotyczne treści następujące zdanie: „Znana Niemcom, Liguryjczykom, widziała Rzym, wykorzystana dla Wenery podejrzliwych Wenecjan znad wybrzeży Adriatyku”². Kochowski dostrzega niezwykle cechy osobowości Agnieszki Machówny, prostej chłopki, i dumny jest, że Sarmatka podbiła Europę, ale okazuje się również moralizatorem i robi z niej nawróconą grzesznicę. Skazana wyraża bowiem wdzięczność Domaszewskiemu za to, iż mogła „pokosztować szczerze” pocziwości. Co ma oznaczać, że wskutek denuncjacji czwartego męża znów stała się uczciwa, bo mogła ponieść karę i tak odpokutować grzechy.

Podobno tylko poeci znają prawdę o życiu i miłości. Więc może skazana na ścięcie przestępczyni nie była aż tak do cna zepsuta – jak sugerowali późniejsi autorzy – choć niewątpliwie manipulowała otoczeniem na potęgę. Inne wytłumaczenie owego łaskawego potraktowania w obu utworach nasuwa się takie, że panom wierszopisom też zawróciły nieco w głowach wdzięki urodziwej kolbuszowianki.

Spośród dziewiętnastowiecznych biografów usprawiedliwiał ją za ledwie jeden, Kazimierz Wójcicki, twierdząc, że pierwszego męża opuściła, bo znieść nie mogła opoja i prostaka, któremu zmuszona oddać była rękę; że nie jest dowiedzione, czy była rzeczywiście żoną Collaltiego, bo sprawa w Wiedniu szła tylko o zwrot wartości jej klejnotów; że poślubiła Rupniowskiego, bo otrzymała nieprawdziwą wiadomość o śmierci Zatorskiego, a Domaszewskiego – będąc

wdową po kasztelanicy. Główna więc jej wina według tego autora polegała na tym, że uwierzyła niepewnej wieści o śmierci pierwszego męża. Nawet dwa wieki po dopełnieniu wyroku prześliczna Agnieszka, córka dobosza z Dubna i chłopki z Kolbuszowej, potrafiła znaleźć obrońcę, który żarliwie ujął się za nią i zaprzeczył oskarżeniom.

Sprawa sądowa i śmierć Agnieszki Machówny musiały żywo w czasach panowania Jana Sobieskiego zajmować umysły, skoro i wtedy, i później tyle pisano o „polskiej Wenus” – naszej rodzimej, sarmackiej, słynącej z miłosnych podbojów siedemnastowiecznej trigamistce.



PRZYPISY

¹ W czasach rzymskich Markomani byli zamieszkałym najdalej na wschodzie plemieniem germańskim. Tu w znaczeniu: Austriacy. Ligurowie to z kolei mieszkańcy Genui. Za: *Z chłopki księżna. Historia wielkiej mistyfikacji z XVII wieku*, oprac., wstęp i objaśn. Dariusz Chemperek, Lublin 2000.

² Tłumaczenie za: *Z chłopki księżna...*, dz. cyt.

KRÓL, JEGO KAMERDYNER, KSIAŻĘ I AWANTURNICA

Anna Maria de Neri w Niderlandzie urodzona, będąc w pierwszym małżeństwie za niejakim Le Clerque, a w drugim za Alexandrem d'Ougroumoff, przybywszy tu do Polski od lat 18 [...] żyjąc nieuczciwie z zdradzania i oszukiwania ludzi, wielorakie pełniąc przestępstwa, z których jej się sposobność jakowego zysku podawała.

„Gazeta Warszawska” nr 34 z 27 kwietnia 1785 roku

Jakieś tłuczysko z Anglii, madam du Gromow zwane, przywlokło się do Warszawy.

Jędrzej Kitowicz, *Pamiętniki, czyli Historia polska*

W połowie lat osiemdziesiątych osiemnastego wieku Warszawą i Rzeczpospolitą wstrząsnął głośny skandal, który dzięki gazetom zagranicznym, w tym holenderskiej „Gazecie Lejdejskiej”, poruszył również opinię publiczną Europy. Nasza rodzima „Gazeta Warszawska” opublikowała pierwsze wyczerpujące doniesienie dopiero po trzech miesiącach, już po ogłoszeniu sądowego wyroku, co właściciel i wydawca Stefan Łuski dość kulawo tłumaczył tym, że nie chciał przedwcześnie decydować o winie lub niewinności stron. Zapewne działał w ten sposób na życzenie swego protektora, czyli króla, bowiem „Gazeta Warszawska” wychodziła na podstawie przywileju królewskiego. Cała sprawa stała się wielce drażliwa i mogła poważnie zaszkodzić wizerunkowi władcy, należało więc zachować daleko posuniętą ostrożność. Natomiast gdy wyrok zapadł, można już było bezpiecznie przedstawić oficjalne dworskie stanowisko. Wręcz należało to zrobić.



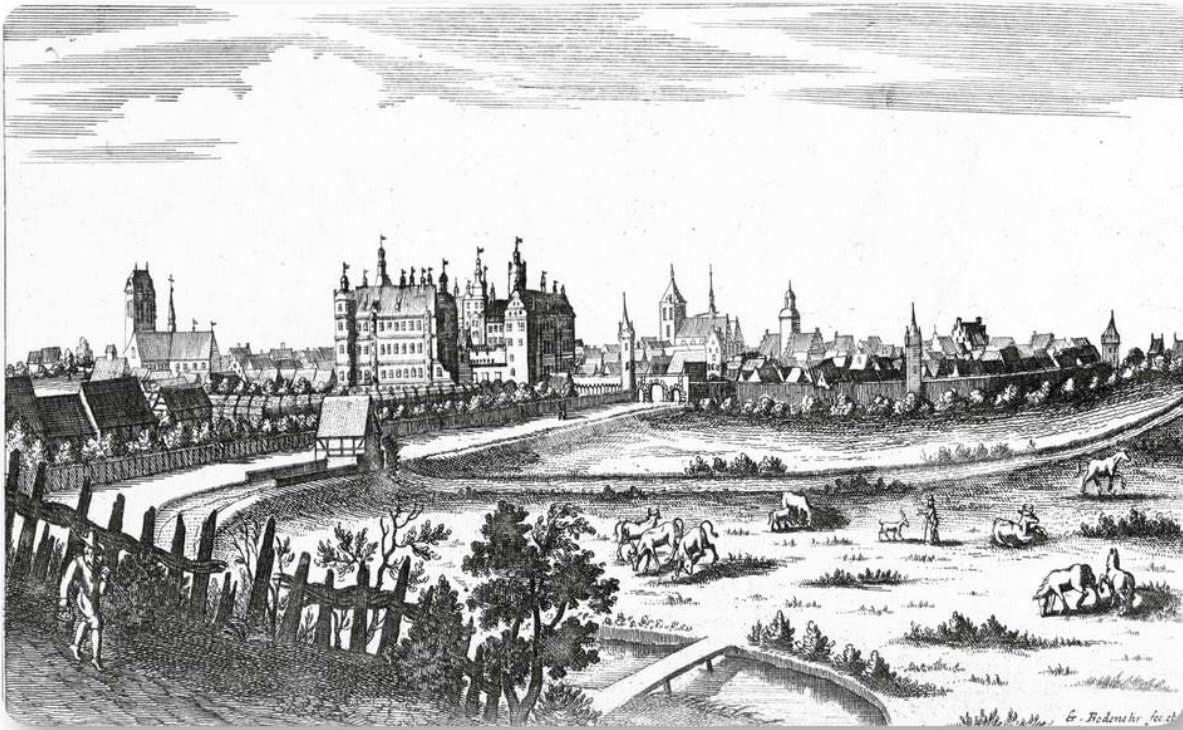
KRÓL STANISŁAW AUGUST PONIATOWSKI na fotografii według
obrazu
Angeliki Kauffmann (Biblioteka Narodowa)

Między Familją Czartoryskich a królem Stanisławem Augustem od dawna panowała głęboka obustronna niechęć, co postanowiła wykorzystać do swoich celów kobieta sprytna i znakomicie poruszająca się w towarzyskich układach elit

stolicy. Podobno pochodziła z Holandii i jako panna nazywała się Anna Maria de Neri. Działalność rozpoczęła od obrabowania własnej matki z klejnotów, co dało jej niewielki kapitał na zainauguowanie burzliwej kariery awanturki. Już u boku pierwszego swego męża, bliżej nieznanego Le Clerque'a, wiodła niemoralne życie, zdobywając środki oszustwami, intrygami i nierządem. Związek z drugim mężem, Rosjaninem majorem Aleksandrem Stefanowiczem Dogrumowem, był równie swobodny. Bardzo możliwe, że jej miłosne koneksje ze znanymi osobistościami były wykorzystywane przez służby dyplomatyczne Rosji do pozyskiwania informacji. Trudno do końca powiedzieć, na ile w opisanych tu wypadkach działała samodzielnie, a na ile była sterowana przez osoby trzecie. Kiedy zaczęła się ta historia, *madame* Dogrumowa przebywała w Warszawie od kilkunastu lat, z siedmioletnią przerwą na pobyt w Moskwie. Jej uroda, długo służąca za główną broń i atut, zdołała przeminąć, ale zamięłowanie do intryg pozostało. A dama owa musiała też przecież z czegoś żyć, i to na stopie, do której była przyzwyczajona.

Znalazłszy się w materialnych tarapatach, wymyśliła sobie, że doniesie królowi, iż jego życie jest zagrożone, i wskaże spiskowców, a za swą gorliwość otrzyma nagrodę i w ten sposób podreperuje finanse. Nie mogła jednak dostać się ot tak z ulicy do władcy, więc musiała użyć podstępów. Zgłosiła się najpierw do hrabiego Augusta Fryderyka Moszyńskiego i okłamała go, że ktoś bardzo wpływowy powierzył jej list do oddania do rąk własnych monarchy. Moszyński przekazał to Stanisławowi Augustowi i ten, acz niechętnie, zgodził się ją przyjąć. Dogrumowa padła wówczas królowi do nóg i wyznała, że żadnego listu nie posiada, ale tylko pod tym pretekstem mogła dotrzeć przed oblicze majestatu, a musi najjaśniejszego pana ostrzec, iż zawiązano spisek na jego życie. Stanisław August od razu się domyślił, że chodzi o pieniądze, i zaproponował jej niewielką kwotę. Aby zyskać na wiarygodności, Dogrumowa odmówiła przyjęcia oferowanej sumy i upierała się, że mówi szczerą prawdę. Monarcha nie uwierzył i wówczas dopiero przyznała, że rzeczywiście jest w potrzebie i chętnie przyjmie skromne wynagrodzenie za swoje oddanie. W nadziei na pozbycie się uciążliwej baby król dał jej „skromny podarek”, dzięki czemu na jakiś czas zapanował spokój, bo póki miała pieniądze, nie opowiadała o spiskach. Fundusze jednak niebawem się skończyły i wtedy ponownie zgłosiła się do Moszyńskiego z propozycją, że postara się dowiedzieć czegoś więcej o przygotowywanym zamachu. Poprosiła o dwieście dukatów na koszt. Moszyński w porozumieniu z królem odmówił.

Zawiesiła wówczas działania, ale tylko dlatego, że pojawiło się inne źródło dochodu w postaci francuskiego kupca, z którym nawiązała romans. Ten jednak, pechowo dla niej, wkrótce zbankrutował i wyjechał za granicę. Znowu została sama, bez środków do życia, a jeszcze do tego ścigana przez wierzycieli byłego kochanka. Wróciła zatem do dawnego planu.



*Królewskie miasto **GRODNO** w 1729 r. na rycinie Gabriela Bodenehra*
(Wikimedia Commons)

Tym razem na pośrednika w dotarciu do króla wybrała Franciszka Ryxa, kamerdynera i powiernika Stanisława Augusta. Nie miał z nią dotąd do czynienia, tyle że zdążył usłyszeć co nieco. Z dystansem przyjął rewelacje podstarzałej piękności, gdy mu wmawiała, iż bezpieczeństwo króla jest zagrożone, i to przez osoby znaczne w państwie – i z tego też powodu domagała się ułatwienia jej widzenia z monarchą. Nachodziła Ryxa kilkakrotnie, a on niezmiennie odprawiał ją z kwitkiem, aż w końcu, mając tego natręctwa dosyć, kazał służbie, aby jej nie wpuszczano więcej na pokoje zamkowe. Zaczaiła się wtedy na niego na ulicy i obsypała wyrzutami, że utrudnia jej dostęp do siebie, a tu idzie o życie króla. Kamerdyner dla świętego spokoju ustąpił i powiadomił Stanisława Augusta o jej natarczywości. Monarcha, pamiętając odegrany wcześniej przez nią spektakl, nie wyraził chęci poznania szczegółów spisku. Nic nie wskórawszy, Dogrumowa na krótko odpuściła sobie i uaktywniła się dopiero na kilka tygodni przed wyjazdem króla do Grodna na posiedzenie sejmu mające się zacząć w październiku 1784 roku. Znow dopadła Ryxa i zapowiedziała, że zamierza pojechać do Grodna w tym samym czasie co król, bo tam ukrywają się spiskowcy. Nalegała, żeby załatwił (czyli opłacił) jej tam lokum, na co on na odczepnego się zgodził. Ale pieniędzy na

drogę nie dał, toteż pojechała na własny koszt.

Król jeszcze nie dotarł na miejsce, na grodzieńskim zamku wraz ze służbą przebywał za to tapicer królewski, Karol Susson, szwagier Ryxa, wysłany wcześniej, aby przygotować komnaty. Dogrumowa знаła go przelotnie, widywała czasami w Warszawie. Posłała do niego lokaja z wiadomością, żeby przyszedł do niej do oberży na krótką rozmowę. Gdy się zjawił, poprosiła o wyszukanie jej w Grodnie odpowiedniego mieszkania, powołując się na obietnicę wymuszoną na Ryxie. Ponieważ Susson nie miał w tej kwestii żadnych poleceń, odmówił, a wtedy ona poczęła się żalić na zawód, jaki ją spotkał, i prosiła, aby przynajmniej zaopatrzone ją w fundusze na utrzymanie w Grodnie, a w ostateczności, aby jej dano cztery dukaty na wyjazd do Krynek, gdzie ma znajomego. Dla świętego spokoju Susson dał jej cztery dukaty, po czym ona wyłudziła od niego jeszcze kilka. Oczywiście do żadnych Krynek nie pojechała, tylko przeczekała kilka dni w pobliskiej Sokółce.

Gdy dwór przybył do Grodna, Dogrumowa przypomniała Ryxowi o obietnicy opłacenia mieszkania. Kamerdyner kazał dla niej wynająć pokój i dał na ten cel dwadzieścia pięć dukatów. Ale jej nie spodobało się nowe lokum i przeniosła się wkrótce do swego dawnego znajomego, angielskiego kupca, a obecnie też bankiera, Williama Taylora, który miał najęty dom nieopodal zamku. Po dwóch nocach przeprowadziła się jeszcze gdzie indziej, usprawiedliwiając to staraniami wykrycia spisku. Zaczęła męczyć Ryxa prośbami o rozmowę, aż wreszcie wysłał do niej Sussona, któremu zdradziła swe najnowsze odkrycie – że zamachowcy albo użyją trucizny, która już jest przygotowana, albo napadną na króla i go zamordują. Z trucizną o tyle mają kłopot, że król nie jada w mieście, tylko wyłącznie u siebie, i to potrawy przygotowywane przez swego kucharza Pawła Tremo. Głównym spiskowcem według niej był podskarbi litewski i zarządca litewskich ekonomii króla Antoni Tyzenhaus. Na dowód pokazała pakiecik z szarym proszkiem, który jakoby zabrała z jego pokoju.

– Może to trucizna, a może nie – powątpiewał Susson. – Ja się na tym nie znam. W dodatku to nie jest żaden dowód, nawet jeśli to trucizna. Skąd mam wiedzieć, że jest wzięty od podskarbiego? Po aptekach dużo czegoś takiego się znajdzie.

Proszku nie zabrał do zbadania, na co Dogrumowa usiłowała go namówić, ale obaj z Ry ustalili, że na wszelki wypadek, acz bez zbytniego nagłaśniania sprawy, powiadomią kogoś znaczniejszego na dworze. Tym kimś był szef Królewskiej Kancelarii Wojskowej, generał-major Jan Komarzewski. Za wiedzą króla spotkał się on z Dogrumową w mieszkaniu Ryxa. Obecni byli też Susson i kamerdyner jako gospodarz.

– Już dawno śledzę spisek uknuty przeciw królowi – zaczęła Dogrumowa. – Wszak niech będzie waszmościom wiadome, że czynię to bez żadnego interesu, nie

pragnąc nagrody.

– Zechciej, pani, zatem opowiedzieć nam coś więcej.

– Bardzo chętnie. Jedyne proszę, aby mi zapewnić bezpieczeństwo, bo gdyby dowiedzieli się ci, których chcę waszmościom wydać, niechybnie zgotowaliby mi zgubę.

– Jeżeli to bajki, lepiej pani nic nie mów – ostrzegł Komarzewski. – Jeśli zaś prawda, przedstaw dowody.

– Tylko błagam cię, panie, nie zdradź mnie, albowiem wiele teraz ryzykuję – odparła poważnym tonem. – Otóż naczelnikiem spisku jest książę Adam Czartoryski.

– Jakże to być może, kiedy księcia Adama wcale w Grodnie nie ma!

– Książę wyznaczył do popełnienia zbrodni podskarbiego Antoniego Tyzenhauza. Ma on zwabić króla na obiad i podać mu truciznę. Ten oto proszek.

– Jeszcze żeby ten proszek gadać umiał! – westchnął Komarzewski. – Żaden to dowód. Nic nam po takim dowodzie.

– Jakże to! – oburzyła się Dogrumowa. – Panowie nie lękacie się życia króla wystawić na szwank?...

– Jeśli pani nic więcej do dodania nie masz, bywaj zdrowa... – Generał schylił głowę w kpiącym ukłonie. – Znam aż nazbyt dobrze uczciwość księcia generała i głowę daję, że myśl takowa byłaby mu najzupełniej obca. Co do Tyzenhauza, gdybyś mi pani powiedziała, że jaką intrygę przeciw komu knuje albo chce zaszkodzić, może i dałbym wiarę. Ale w zbrodnię nie uwierzę nigdy.

– Więc dobrze! – wykrzyknęła Dogrumowa. – Postaram się o lepsze dowody.

Ostatecznie wskórała jedynie tyle, że Ryx na wszelki wypadek ostrzegł kucharzy, kredencerzy i piwnicznych, aby bacznie pilnowali królewskiego stołu.



Kilka dni później Dogrumowa znów poprosiła do siebie Sussona i tym razem doniosła, że Tyzenhauz ostatnio odebrał list od księcia Adama i teraz porzucił chęć otrucia króla, natomiast ma zamiar zwabić go w pułapkę i zamordować. Tapicer przekazał to Ryxowi, a ten Komarzewskiemu. Generał zgodził się na kolejne spotkanie w tym samym gronie co poprzednio. Kobieta potwierdziła, że przygotowywana jest zasadzka na króla. Wiedziała o tym podobno od samego Tyzenhauza.

– Cóż pani masz za stosunki z Tyzenhauzem? – spytał Komarzewski. – Skąd to nadzwyczajne z jego strony zaufanie?

– Jestem jego metresą – odparła. – Często u niego bywam.

– Ależ pan podskarbi jest chory i ledwo mówić może! – zdziwił się generał.

– Są jednak chwile, w których lubi ze mną przebywać. Ja zaś, chcąc usłużyć królowi, przedstawiam mu się za wielką nieprzyjaciółkę najjaśniejszego pana. Zjednałam sobie zupełne zaufanie podskarbiego i znam całą jego korespondencję, którą na żądanie będę mogła przedstawić...

– A któż to do niego pisuje?

– Księżę generał Czartoryski.

– Skąd wiesz? Znasz, pani, pismo księcia?

– Bardzo dobrze je znam. A jaką dostanę nagrodę, jeśli korespondencję przyniosę?

– Co się tyczy nagrody, mogę zapewnić, że takowa będzie, jeśli istotnie dostarczysz nam dowodów.

Komarzewski opuścił mieszkanie Ryxa, zaś Dogrumowa zwróciła się do dwóch pozostałych panów z prośbą o kilka dukatów potrzebnych na utrzymanie karety. Ryx z ociąganiem z własnej kieszeni wyliczył jej ową kwotę.

Po kilku dniach Dogrumowa zażądała od Sussona ni mniej, ni więcej, tylko aby ją wpuścił do zamku, a wtedy ona wskaże ludzi, którzy na życie króla się sprzyśegli.

– A cóż mamy z nimi zrobić, gdy nam ich pani wskażesz? – zapytał Susson.

– Panowie ich aresztujecie!

– Mościa pani! – odrzekł surowo Susson. – Nie każdego wolno aresztować bez dowodu.

Nie wpuścił jej, więc zaczęła się domagać ponownej rozmowy z generałem, pod pozorem ujawnienia kolejnych, nowo odkrytych szczegółów spisku. Komarzewski godził się na te spotkania coraz mniej chętnie.

– Mów zatem, pani, po cóż nas tu prosiłaś – zaczął chłodno.

– Wiedz, mości generale, że podskarbi Tyzenhauz odebrał niedawno list. Trzy ćwiartki papieru, z czego jedna zapisana po części szyfrem. Zaraz po przeczytaniu bezzwłocznie go zapieczętował i komuś odesłał. A do Grodna przybył niejaki Dobrowolski z kilkoma współpracownikami, do urzędzenia zasadzki. Stanie się to w pobliżu zamku.

– Skąd, pani, o tym wiesz?

– Sam podskarbi mi powiedział. Czekają, bo król niebawem będzie musiał wyjechać z zamku i wtedy to się stanie, przed izbą senatorską na schodach.

– Czy masz jakiś dowód?

– Cała korespondencja wrogów królewskich jest w biurku u podskarbiego, w ukrytej szufladce. Każ, mości generale, to biurko odbić. – Doskonale wiedziała, że to niemożliwe.

– Co też pani mówisz! – obruszył się generał. – Prawa krajowe zakazują jak najsurowiej takich gwałtów bez pewnych dowodów.

– Śmieszne prawa! – wykrzyknęła Dogrumowa. – Więc panowie chcecie

życiem królewskim ryzykować?! Ja, obca kobieta, więcej dbam o króla, aniżeli wy, słudzy.

– Pani nas uczyć nie będziesz, jak należy postępować – uciął sucho Komarzewski. – Powiem krótko. Jeśli masz co pewnego, postaraj się o dowody, kto, komu i co złego chce uczynić. Jeśli dowodów nie masz, sprawa skończona. A o króla się nie turbuj. Dobrze jest chroniony.

– A jeśli znajdę dowody?

– Możesz być pewna, że nagroda cię nie minie.



Choć rewelacje podstarzałej awanturnicy wydawały się mocno podejrzone, Komarzewski nie zaniechał podjęcia środków ostrożności. Przede wszystkim zawiadomił króla, jak również polecił śledzić owego Dobrowolskiego. Znalaziono go w kawiarni, najniewinniej w świecie grającego w karty, i ustanowiono nad nim nadzór. Prócz tego generał uprzedził czterech adiutantów królewskich, tudzież pułkownika Jakuba Azulewicza, dzielnego Tatarą, aby dyskretnie a bacznie obserwowali wszystkich stojących na korytarzach z prośbami i memoriałami. I żeby podczas każdej sesji sejmowej obecny był w pobliżu króla oficer z dwoma podoficerami. Zakazał wpuszczania ludzi nieznanymi, a królowi, gdy wyjeżdżał, miała towarzyszyć eskorta zachowująca najdalej posuniętą ostrożność. Rozkazy te ściśle wykonano.

Niezmordowana w swych wysiłkach Dogrumowa znowu napadła Sussona. Tym razem narzekała na drożyznę w Grodnie i wymawiała, że nie wynagrodzono w żaden sposób jej oddania. Susson przekazał jej słowa Ryxowi, dodając, że wprawdzie jego zdaniem Dogrumowa kłamie, ale można by jej dać coś na odczepnego, żeby się nie naprzykrzała. Ryx przyznał mu rację, jednak ostatecznie nie dali nic.

Król potraktował kolejne doniesienia o spisku z równą wzdrgą jak poprzednie. Od początku uważał, że Dogrumowa zmyśla. Jakże to? Mieliby się na niego zasadać wierni słudzy, zajmujący pierwsze stanowiska w kraju? Był absolutnie przekonany co do ich niewinności i nie widział potrzeby, by sprawę dalej dążyć.

Gdy dwór królewski wrócił do Warszawy, zawiedziona obrotem spraw intrygantka usiłowała pożyczyć pięćdziesiąt dukatów u królewskiego bankiera Piotra Blanka. Ów odprawił ją z kwitkiem, ostrzeżony przez Ryxa, aby nie dał się naciągnąć. Dogrumowa dowiedziała się od kogoś o tej interwencji królewskiego kamerdynera i świadkowie słyszeli, jak w gniewie wykrzyknęła, że w takim razie da mu w Warszawie nauczkę, i to taką, że jej przez całe życie nie zapomni. Pieniądze na drogę powrotną pożyczyła od swego dobrego znajomego Williama

Taylora, u którego miała już dług wcześniejszy.

Po powrocie do stolicy spróbowała raz jeszcze naciągnąć ludzi króla. Najpierw poprosiła Taylora, mającego interesy z księciem Czartoryskim, aby dał jej jakiś list od niego, a potem zaprosiła Ryxa, aby przyjechał do niej z Komarzewskim. Twierdziła, że ma niezbite dowody.

– Mam dokumenty na piśmie – rzekła, gdy się spotkali. – Ale chcę wprzód wiedzieć, jaka będzie za to dla mnie nagroda.

– Na razie nic nie obiecuję – odparł generał. – Ale jeśli owe dokumenty okażą się ważne, wtedy porozmawiamy.

– Kiedy tak, to ja się namyślę do jutra...

Była to z jej strony komedia, psychologiczna zagrywka, mająca przydać powagi całej sprawie. Ostatecznie „namyśliła się” dopiero po kilku tygodniach i napisała do Ryxa bilecik, że jest gotowa przedstawić dowody. Po raz kolejny Ryx i Komarzewski przyjechali do niej, gdzie zastali też jej męża. Zapytała, czy może być obecny przy rozmowie. Komarzewski się zgodził.

– A zatem najpierw wypomnę panom – zaczęła – że ciągle mam na względzie bezpieczeństwo króla, a jednak najjaśniejszy pan i jego słudzy w ogóle o mnie nie dbają. Nie dano mi nic na drogę ani do Grodna, ani z Grodna do...

– Po to nas, pani, ściągnęłaś, żeby nam o tym powiedzieć? – przerwał Komarzewski.

Dogrumowa wyprostowała się dumnie.

– Zaraz pokażę panu dowód!

Podeszła do komody i wyjęła z szuflady pugilares, a z niego ćwiartkę papieru. Był to list Czartoryskiego pisany po angielsku.

– Od księcia generała do podskarbiego Tyzenhauza – odparła, wymawiając wolno każde słowo.

– Tyzenhauz po angielsku nie umie. – Generał przyglądał się jej podejrzliwie.

Nawet jej powieka nie drgnęła.

– Gdy był w Anglii, nauczył się i koresponduje z księciem.

– Cóż jest w liście?

– Pan umiesz po angielsku?

– Ani słowa.

Dogrumowa na głos przetłumaczyła treść następującą:

– Dziękuję ci, mój przyjacielu, za dobre rady, które mi dajesz, ale że rzecz ta wymaga zastanowienia, przeto za powrotem rozmówimy się.

– I cóż to ma takiego znaczyć? – zapytał Komarzewski.

– To o spisku.

– A co będzie, jeśli się okaże, że mowa tu o sprowadzeniu angielskich koni lub krów, albo też innych rzeczy?

– Doprawdy nie wiem, czy może być coś jaśniejszego nad ten list i moje zeznanie.

– Czy mogę przepisać ten list i pokazać kopię królowi? Oryginału brał nie będę.

Mąż Dogrumowej przyniósł z drugiego pokoju papier, pióro i kałamarz.

– To wszystko, co masz nam pani do powiedzenia? – Komarzewski zmarszczył brwi.

– Przysięgam, że jeśli nieszczęście nie stanie się jutro, to za kilka dni, za kilka tygodni albo miesięcy nastąpić musi – rzekła z naciskiem.

– Zostaw, pani, króla Boskiej Opatrzności... – poradził chłodno generał.

Przepisał angielski tekst i spytał Dogrumowa, pół po polsku, pół po rosyjsku, czy zrozumiał, o czym rozmawiali. Ten odparł, że nie. Komarzewski pokrótce zreferował rzecz, a na koniec wyjaśnił, co to jest *lex talionis*¹. Przypomniawszy, że za Zygmunta III bardzo surowo karano królobójstwo, a zatem sroga kara powinna być i na tych, co oskarżywszy kogoś o takie zamiary, winy by nie dowiedli. Na koniec wstał i powiedział:

– Traciliśmy tylko czas.

Więcej nie chciał widzieć Dogrumowej.



A tak złośliwa niewiasta nie mogąc nic z tej strony zyskać, umyśliła zemstę swoją do skutku przywieść, aby od drugiej zyskała Strony.

„Gazeta Warszawska” nr 34 z 27 kwietnia 1785 roku

Czas płynął. Był już styczeń 1785 roku, a tu na gratyfikację za gorliwość i oddanie widoków żadnych. Dogrumowa zmieniła zatem front. Dotąd oczerniała księcia Adama przed ludźmi króla, a teraz postanowiła rzecz odwrócić i przekonać Czartoryskiego, że królewscy dworzanie dybią na jego życie. Przy okazji byłaby to dobra zemsta na Ryxie za ostrzeżenie bankiera Blanka. Sprawę ułatwił jej Taylor, który prowadził interesy z księciem. To on za jej poduszczeniem zainteresował Czartoryskiego rzekomym niebezpieczeństwem.



Książę Adam Kazimierz Czartoryski. Fotografia według obrazu Jana Rustema
(Biblioteka Narodowa)

– Mości książę, masz wielkich nieprzyjaciół, którzy się na twoje życie spiknęli – rzekł. – Strzeż się, gdyż chcą cię otruć. Przybądź, książę, do mnie dziś wieczór, a dam ci poznać osobę, która więcej doniesie.

Szczerze zdumiony Czartoryski zgodził się na to spotkanie i w towarzystwie Ignacego Potockiego, zięcia swojej siostry, księżnej marszałkowej Izabeli Lubomirskiej, przyjechał do domu kupca, gdzie czekała Dogrumowa. Dowiedział się od niej, iż przed kilkoma dniami przyszli do niej Komarzewski z Ry i po krótkiej rozmowie na tematy obojętne generał spytał ją poważnie, czy gotowa będzie uczynić to, o co się ją poprosi. Gdy spytała, w czym rzecz, okazało się, że ma otruć księcia otrzymanym od generała proszkiem, za co dostanie sowite wynagrodzenie. Udała wówczas, że się zgadza, postanawiając w duchu zdradzić ich zamiary księciu.

Czartoryski nie uwierzył i zaproponował, że jeśli wycofa się ze swoich oskarżeń, nie pociągnie jej do odpowiedzialności, natomiast zleci Taylorowi, aby wypłacił jej dwieście dukatów. Dogrumowa pieniędzy przyjąć nie chciała i szła w zaparte, że to najczystsza prawda. Księżę Adam całkiem przytomnie zażądał od niej zeznania na piśmie. Złożyła takowe w języku francuskim i potwierdziła własnoręcznym podpisem. Stało w nim jasno, że starosta Ryx jeszcze w czasie sejmu grodzieńskiego namawiał ją do intrygi wymierzonej przeciwko księciu Adamowi, a po powrocie do Warszawy przyprowadził do niej generała Komarzewskiego i ten poprosił ją o ważną przysługę, za którą obiecano jej weksel na tysiąc czerwonych złotych, pensję pięćset czerwonych złotych i wieś. Przysługą tą miało być nawiązanie romansu z księciem Adamem Czartoryskim, a następnie podanie mu trucizny. Ryx z Komarzewskim nachodzili ją rzekomo jeszcze sześciokrotnie i naciskali, żeby jak najszybciej przystąpiła do rzeczy. Jako świadek pod zeznaniem podpisał się William Taylor.



IGNACY POTOCKI na litografii *Juliena Bernarda Romain* z 1827 r.
(Biblioteka Narodowa)

Na potwierdzenie swoich słów Dogrumowa oddała Potockiemu prosek, jakoby otrzymany od Komarzewskiego. Zaproponowała ponadto, że zaprosi do siebie Ryxa, a wtedy ludzie księcia będą mogli z ukrycia podsłuchać ich rozmowę. Na świadków zbrodniczych zamiarów królewskiego kamerdynera wyznaczni

zostali kupiec Taylor, Stanisław Kostka Potocki i adiutant Czartoryskiego nazwiskiem Krakowiec. Dogrumowa tak sprytnie sformułowała bilecik zapraszający Ryxa na spotkanie, by ten myślał, że będzie mowa o obiecanych wcześniej dowodach szykowanego zamachu na króla, natomiast podsłuchujący mogli odnieść wrażenie, że chodzi o spisek ludzi króla wymierzony w księcia. Tym sposobem obie strony miały paść ofiarą intrygi.

Proszę W. Pana, abyś do mnie jutro wcześniej przyjechał. Mam mu zakomunikować pewien ważny interes, który mu sprawi ukontentowanie. Mam nadzieję, iż mogę przywieść do skutku wiernie to, czego ode mnie żądano, lecz pierwszej trzeba nam się zobaczyć dla dobrego rzeczy ułożenia. Widzisz W. Pan, żem nie zaniedbała tego interesu, tak jakoś mniemał, bylebyś tylko W. Pan ze strony swojej dotrzymał słowa².

Książę Adam, znając swego królewskiego kuzyna, musiał zdawać sobie sprawę, że oskarżenia są wyssane z palca, niemniej dał się wciągnąć w tę rozgrywkę, być może licząc na to, że uda się poważnie zaszkodzić reputacji Stanisława Augusta. A może też postąpił tak za radą swojej ukochanej siostry, księżnej Lubomirskiej, która szczerze Ciołka nie znosiła.



Na dzień 16 Januarii też d'Ougroumoff wezwała biletym swoim JP. Ryxa, oświadczając, iż ma mu rzeczy wielkiej wagi komunikować i realizować to czego od niej żądano.

„Gazeta Warszawska” nr 34 z 27 kwietnia 1785 roku

Nie spodziewając się podstępu, Ryx zjawił się u Dogrumowej. Gospodyni zaprowadziła go do pokoju, gdzie on usiadł przy kominku, a ona naprzeciwko niego, tyłem do zamkniętych drzwi, za którymi stali Taylor, Potocki i Krakowiec. Słowa kamerdynera świadkowie słyszeli dokładnie, natomiast jej wypowiedzi nie, gdyż pod pozorem słabości mówiła bardzo cicho.

– Gdzież jest pan Komarzewski? – zapytała.

– Nie mogłem go znaleźć. Sam przyszedłem się dowiedzieć, co pani masz do powiedzenia.

– Trzymam już księcia generała w garści, mogę z nim uczynić, co zechcę, mogę od niego mieć wszystko. Mam pozwolenie bywania u księcia i on u mnie też bywa. Jestem jego metresą. Sypiam u niego i on u mnie.

To mówiąc, wskazała skinieniem głowy na łóżko.

– Bardzo dobrze – odparł Ryx. – Winszuję. Widzę, że pani idziesz dobrą drogą.

– Lecz chcę wiedzieć – ciągnęła – czy pan Komarzewski dotrzyma słowa.

– Jest to uczciwy człowiek – rzekł Ryx. – Pewnie dotrzyma, co obiecał. Lecz kiedy pani mówisz, że księżę generał tu bywa, jakże to będzie, jeśli w tymże czasie przyjdzie Komarzewski?

– Nie frasuj się, waćpan, potrafię ja dobrze godziny podzielić.

– Powiem to Komarzewskiemu.

Ryx wstał z krzesła, szykując się do odejścia.

– Cóż to znaczy? – zagadnęła go żywo. – Tak prędko chcesz mnie opuścić?

– Tak jest, bom chory. Noga mnie bardzo boli.

– W takim razie poślę jutro rano do waćpana mego lokaja, aby dowiedzieć się, o której godzinie pan Komarzewski do mnie przyjdzie.

Od tej chwili wypadki potoczyły się inaczej, niż Dogrumowa to sobie wyobrażała, bo ledwo Ryx otworzył drzwi, przypadł doń Taylor z dwoma pistoletami w rękę i obnażonym kordelasem u pasa, zaś Stanisław Kostka Potocki stał w odwodzie. Anglik wsunął jeden pistolet za pas, a przytknąwszy drugi Ryxowi do skroni, chwycił go za kołnierz, wyprowadził na ulicę i wsadził do fiakra. Pojechali do pałacu Lubomirskich i tu kupiec zaciągnął Ryxa pod pistoletem do apartamentów księżnej marszałkowej, jeszcze bardziej nie lubiącej króla niż jej brat.

W trakcie powstałego zamieszania wystraszona awanturnica próbowała zbiec, ale Potocki ją zatrzymał i fiakrem przewiózł również do księżnej, która posłała natychmiast po marszałka koronnego, Michała Jerzego Wandalina Mniszcha, prosząc, aby przybył bezzwłocznie. Takiego obrotu sprawy intrygantka zapewne się nie spodziewała. Liczyła na to, że ukryci świadkowie zadowolą się podsłuchaniem rozmowy i na tej podstawie wypłacą jej stosowną gratyfikację. Nie przewidziała, że zatrzymają Ryxa, a także ją samą. A to miało jej przynieść nader niemiłe konsekwencje.

Marszałek wielki koronny po przyjeździe zastał już na miejscu Ignacego Potockiego, który był marszałkiem nadwornym litewskim³. Księżna pokazała im zeznanie Dogrumowej sporządzone dwa dni wcześniej, a Stanisław Kostka Potocki i William Taylor poświadczyli słowa Ryxa pod gotowością zaprzysiężenia. Potocki nazwał przy tym Ryxa zabójcą i trucicielem i domagał się jego natychmiastowego uwięzienia.

Marszałek Mniszech rozkazał zaprowadzić Ryxa pod strażą do kordegardy zamkowej, a przy pałacu księżnej Lubomirskiej, gdzie tymczasowo zatrzymano Dogrumową, postawił wartę. Osobiście powiadomił o całym zajściu króla, który natenczas bawił w teatrze na komedii. Obecny w towarzystwie monarchy Komarzewski, chociaż czuł się niewinny, ze względu na powagę oskarżeń poddał się aresztowi. Król zaś oznajmił wolę oddania całej sprawy na drogę sądową.



Skandal wybuchł potężny. Sprawa była śliska i z trudem zebrano sędziów, gdyż kto mógł, starał się wymigać od angażowania się w te mające wyraźnie polityczny podtekst rozgrywki, mogące zaszkodzić w późniejszej karierze.

Opinii publicznej nie podobało się, że jednym z sędziów został należący do opozycji Ignacy Potocki, prywatnie zięć księżnej marszałkowej Lubomirskiej, która prowadziła przeciwko królowi swoją prywatną wojnę. Nawiasem mówiąc, bardzo możliwe, że to ona namówiła swego brata – a przynajmniej go w tym utwierdziła – aby wykorzystać całą sytuację przeciwko znieawidzonemu Ciołkowi. Ignacy Potocki był też bratem rodzonym Stanisława Kostki Potockiego, uczestnika wydarzeń, a nawet niemal stroną, bo jeździł z księciem na rozmowę z Dogrumową i przyjmował od niej zeznania na piśmie. Ponadto publiczność sarkąła, iż Dogrumowa, kobieta złej sławy, oskarżona o potwarz, znajduje względy u księżnej marszałkowej Lubomirskiej, która trzymała ją w swoim pałacu jak gościa i obdarowała kwotą pięciuset dukatów. Niedługo to jednak trwało, gdyż okazało się, że awanturnica próbowała przekupić straż z myślą o ucieczce, o czym doniesiono sądowi, który nakazał przeniesienie jej do aresztu.



STANISŁAW KOSTKA POTOCKI był świadkiem w sprawie Dogrumowej.
Rysunek według obrazu Jean-Louis Davida z ok. 1785 r. (Biblioteka Narodowa)



Księżna marszałkowa Izabella Lubomirska udzieliła Dogrumowej schronienia (Biblioteka Narodowa)

Chory na nogi Ryx leżał najpierw w izbie na dole przy kordegardzie, a potem przeniesiono go na górę, do oddzielnego pokoju, dodawszy jednego chłopca do usług i wartę zdwojoną. Początkowo odcięto go od wszelkich kontaktów z krewnymi i przyjaciółmi, tak dalece, że nawet mu pióra czy kałamarza

do pisania nie dano, a adwokaci nie mogli rozmawiać z nim na osobności. Po jakimś czasie umieszczono go w klasztorze paulinów, a po kilku tygodniach decyzją sądu uwolniono z aresztu.

Taylor za poręką księcia generała odpowiadał z wolnej stopy. Komarzewski, który sam prosił o areszt, na wniosek marszałka Mniszcha po dwóch dniach wypuszczony został na wolność.

Wkrótce przed sądem karnym marszałkowskim rozpoczęła się sprawa z wzajemnych pozwów stron. Na podstawie pisemnego zeznania Dogrumowej z dnia 14 stycznia 1785 roku księżę Adam Kazimierz Czartoryski pozwał Ryxa o zamiar otrucia go lub zasztyletowania. Pozwał również generała Komarzewskiego, głównie po to, aby ten „attentował”, czyli osobiście stawił się na rozprawie. Z kolei Ryx pozwał księcia o potwarz, obaj Komarzewski i Ryx pozwali Dogrumową o rozsiewanie potwarzy, a kupca Taylora – o udział w tym przestępstwie. Generał i kamerdyner królewski wystąpili także o wyłączenie awanturnicy i jej kompana od świadkowania pod pretekstem, że nie można być świadkiem we własnym procesie. Wreszcie Ryx pozwał kupca Taylora o zbrojny napad i uwięzienie szlachcica bez wyroku sądowego, co było sprzeczne z zasadą *neminem captivabimus*, a Stanisława Kostkę Potockiego – o współudział w tym czynie.

Afera poruszyła obce dwory, pilnie obserwujące, co się w Polsce dzieje, i wtrącające się w sprawy Rzeczypospolitej przez swoich ambasadorów. Czartoryski jako poddany austriacki wysłał szczegółowy raport o aferze do Wiednia. Pan de Caché, poseł austriacki w Warszawie, od razu dostał stosowane instrukcje i jął wywierać presję na trybunał. Wręczył sądowi notę, w której cesarz brał księcia Adama pod specjalną opiekę, a także zaprotestował przeciwko zabraniu Dogrumowej z pałacu Lubomirskiej do aresztu. Przez zięcia Czartoryskich, księcia Ludwika Wirtemberskiego, spokrewnionego z Hohenzollernami, o wszystkim poinformowany był Berlin. Zaś poseł rosyjski Otto Magnus von Stackelberg oficjalnie twierdził, że jego zdaniem cała sprawa jest wymyślona, i niby nie chciał się angażować, ale kto wie, może i on miał swój cichy udział w rozwoju wypadków. Zbyt wielką gratkę dla Rosji stanowiła wewnętrzna niezgoda w Polsce. Tymczasem cały kraj podzielił się na stronników i przeciwników dworu królewskiego.



Do składu orzekającego weszli dwaj marszałkowie: koronny Michał Jerzy Wandalin Mniszech i litewski Ignacy Potocki. Oprócz tego uczestniczyli w owym gremium trzej senatorowie, czterej wojewodowie, a ze stanu rycerskiego: koniuszy Onufry Kicki, podstoli Stanisław Sołtyk, pisarz polny koronny Franciszek

Rzewuski i pisarz polny litewski Jerzy Wielhorski.

Marszałek wielki koronny delegował sędziego i pisarza do odebrania zeznań od Dogrumowej, jej męża i Ryxa. Dogrumowa była cudzoziemką i dla zapobieżenia choćby najlżejszym omyłkom wypadało skorzystać z pomocy człowieka uczciwego, dobrze władającego językiem francuskim. Tłumaczem owym został dyplomata królewski Piotr Maurycy Glayre, Szwajcar z urodzenia, lecz nobilitowany ustawą sejmową szlachcic polski, znany jako człowiek nieposzlakowany, uczony i bezstronny. Sama księżna marszałkowa Lubomirska prosiła go listownie, aby się nie uchylał od poruczonego mu przez sąd marszałkowski obowiązku. Również król go o to poprosił osobiście:

– Obie strony żądają od pana, abyś się podjął kierownictwa badań osób głównych, implikowanych do tej nieszczęsnej sprawy. Marszałek wielki Mniszech prosi o to waćpana, a ja waćpanu daję rozkaz!

Szwajcar nie był zachwycony, jednak poddał się wezwaniu i odrzekł królowi w te słowa:

– Usłucham waszej królewskiej mości, lecz zawczasu ostrzegam, że się ten mocno myli, kto pochlebia sobie, iż znajdzie we mnie człowieka słabego, względami się powodującego. Jeżeli tak być miało, proszę waszą królewską mość, aby wybór padł na inną osobę.

– Dopełnij waćpan obowiązku szczerze i pilnie – zalecił król. – Jeżeli nawet wbrew opinii ogółu znajdziesz winowajców, będziemy wspólnie płakać nad ich występkiem, lecz nie nad ich śmiercią.

Glayre złożył przysięgę na wierność sądowi i udał się wespół z sędzią i pisarzem dla wysłuchania zeznań. Zostały one wiernie zapisane, następnie odczytano je Dogrumowej, po czym ona własnoręcznie każdy arkusz podpisała. Parę dni później przez oficera straży zażądała ponownego sprowadzenia urzędników i wycofała wcześniejsze zeznania przeciwko Komarzewskiemu. W sumie kilkakrotnie zmieniała zeznania, co podważyło znacznie jej wiarygodność. Nic nie pomogła reprimenda, którą usłyszała od Glayre'a, a która też została zaprotokółowana.

– Ponieważ nie jestem sędzią pani, wolno mi uczynić uwagi i udzielić rad. Wszystkie pani zeznania, jakie słyszeliśmy, różnią się między sobą w punktach tak stanowczych, iż pojawia się wątpliwość o prawdzie rzeczy najgłówniejszej. Jeżeli, jak się domyślać można, grałaś, pani, dotąd komedię, wierzaj mi, że czas, byś ją skończyła. Impostura⁴ pani naraża samą panią, której można będzie dowieść kłamstwa i karygodnych wymysłów. Chlubiałaś się dobrocią królewską. Możesz tej dobroci zaznać tylko wyznaniem szczerzej prawdy. Uwolnisz pani przez to króla od zmartwienia z zarzuconych dwom jego wiernym sługom zbrodni.

Tajemniczy proszek wzięli do zbadania dwaj szacowni medycy. Doktor John, lekarz nadworny księżnej Eleonory Czartoryskiej, kanclerzyny wielkiej

litewskiej, w pisemnej ekspertyzie z dnia 15 lutego 1785 roku stwierdził, że substancja ma smak „ściskający, witryoliczny i nieco szczypiący”. Nie zawierała według niego arszeniku, chlorku rtęci, miedzi, ołowiu ani żadnej innej trucizny mineralnej. Pies po zjedzeniu proszku dopiero po kilku godzinach zareagował: stracił apetyt, krztusił się i „silił do womitu”, drżał cały. Symptomy trwały dwanaście godzin, potem zwierzę odzyskało dawny wigor. Drugi ekspert, Karol Gottlieb Goltz, lekarz przyboczny księcia generała, oświadczył, że nie znalazł w proszku żadnej znanej trucizny. Przypomniano sobie natomiast, że Dogrumowa, będąc krewną czy domownicą jakiegoś aptekarza, sprzedawała dawniej specyfiki, już to na zdrowotne dolegliwości, już to na miłosne cierpienia. A więc wiedziała, skąd brać takie środki.



Marszałek wielki koronny Michał Jerzy Wandalin Mniszech orzekał w sprawie Dogrumowej. Mezzotinta według obrazu Jana Chrzyciciela Lampiego (Biblioteka Narodowa)



*Dyplomata Maurycy Glayre, cieszący się opinią człowieka bezstronnego,
był tłumaczem podczas rozprawy
(Biblioteka Narodowa)*

W holenderskiej „Gazecie Lejdejskiej” doniesiono o warszawskim skandalu już pod datą 22 stycznia, niecały tydzień po zatrzymaniu Ryxa i Dogrumowej. Później regularnie pojawiały się doniesienia o sprawie. Początkowo nie podano

nazwiska kobiety, która była przyczyną afery. Pisano jedynie, że już wcześniej znana była z rozgłaszania podobnych wiadomości w nadziei uzyskania wynagrodzenia, że jest nieobyczajna i chciwa i że wyrządziła krzywdę obydwu stronom. Gazeta zamieściła także obszerny raport posła austriackiego w Warszawie, Benedikta de Caché, który wykazywał wielkie zainteresowanie sprawą dotyczącą cesarskiego poddanego – Adama Kazimierza Czartoryskiego. Nie przesądzał on jednak o winie Ryxa i Komarzewskiego ani Dogrumowej. Jak na dyplomatę przystało.



Działo się w Warszawie w Pałacu Rzeczpospolitej Krasińskich zwanym, pod bytność Jego Królewskiej Mości dnia dwudziestego czwartego miesiąca stycznia, Roku Pańskiego tysięcznego siedemsetnego, ośmdziesiątego, piątego, przy zasiadaniu Jaśnie Wielmożnych Michała Wandalina z Wielkich Kończyc na Ossownicy Hrabi Mniszcha, Wielkiego Koronnego y Ignacego Potockiego Nadwornego Wielkiego Xięstwa Litewskiego Marszałków. Przed Sądem Marszałkowskim Koronnym Kryminalnym.

Dekreta w sprawie j. o. xiążęcia jmcii Czartoryskiego generała ziem podolskich z urodzonym Ry starostą piaseczynskim y innemi w sądach marszałkowskich koronnych kryminalnych 1785 roku zapadłe

Ruszył proces. Na pierwszym posiedzeniu Ryx jako obywatel osiadły⁵ żądał uwolnienia siebie z aresztu, gdyż zgodnie z zasadą *neminem captivabimus* nie mógł być zatrzymany bez wyroku sądu. Domagał się za to prawdziwego uwięzienia Dogrumowej i Taylora, którzy wtedy jeszcze przebywali u księżnej Lubomirskiej. To drugie żądanie sąd oddalił, natomiast uwolnił kamerdynera z aresztu, jako szlachcica i pojmanego nie *in recenti crimine*, czyli nie na gorącym uczynku. Taylor natomiast został jakiś czas potem uwolniony za kaucją wpłaconą przez księcia.

Książę powołał na świadków Dogrumową, Stanisława Kostkę Potockiego i Taylora, natomiast Komarzewski i Ryx żądali ich wyłączenia, jako że kto jest oskarżonym, nie może być świadkiem. W przypadku Potockiego w grę wchodziły jeszcze więzy rodzinne z księciem, gdyż podobnie jak jego brat, Ignacy, był on zięciem księżnej marszałkowej. Zarzuty owe sąd uznał za zasadne.

Wyłączenie świadków było klęską Czartoryskiego, który nie czekając dalszego biegu sprawy, wyjechał do Wiednia i nie pojawił się w sądzie, przez co dopuścił na siebie kondemnatę, czyli wyrok zaoczny. Przed wyjazdem napisał do monarchy kurtuazyjny list noszący datę 22 marca:

Najjaśniejszy Panie! Żem się nie prezentował W. K. Mości dla pożegnania Go, oddalając się z Warszawy, uczyniłem to w zamiarze uwolnienia W. K. Mości i siebie od wzruszeń z powodu smutnych wydarzeń. Pochlebiam sobie, że W. K. Mość w tym jedynie sposobie postępek mój wytłumaczyć sobie raczysz. Zostawiam, Najjaśniejszy Panie, innym, szczęśliwszym czasom dowód przeświadczenia W. K. Mości, że jeśli nigdy nic sobie nie miał do wyrzucenia, abym co wykroczył chęcią lub działaniem przeciw W. K. Mości, żadna też rzecz nigdy nie odmieni uczuć najgłębszego respektu, z jakimi być nie przestanę W. K. Mości sługą i poddanym⁶.

Król odpisał 30 marca również polubownie:

Zmartwiony byłem wielce z niewidzenia W. Pana, a bardziej jeszcze z przyczyn, które mnie tej satysfakcji pozbawiły. Nikt bardziej nade mnie żądać nie może powrotu czasu, w którym, widząc W. Pana wolnego od tych wszystkich myśli, które mu narzucić chciano, mógłbym powrócić do mego stanu naturalnego, jakim jest szacunek i przywiązanie do W. Pana⁷.



Zaś d'Ougroumoff za potwarczynę uznana, na publiczne u pręgięrza piętnowanie i wieczne więzienie skazana, a podane przez nią pierwiastkowe jej fałszywe doniesienie spalić przez kata rozkazano.

„Gazeta Warszawska” nr 34 z 27 kwietnia 1785 roku

Proces trwał trzy miesiące, mecenas wygłaszali płomienne i zawile górnolotne mowy. Patron (czyli adwokat) księcia dowodził prawdziwości spisku sług królewskich na życie swego klienta, argumentując tym, że Komarzewski i Ryx tak silnie byli przekonani o planowanym na króla zamachu, którego księżę Adam Czartoryski miał być sprawcą i uczestnikiem, iż „zapał podniecany przymiotami, najlepszego i najukochańszego władcy, wszystkie te okoliczności rozgorączkowały i tak już podniecane umysły i nakazały szukać środka usunięcia za pomocą trucizny – autora i uczestnika owej urojonej zbrodni”. Starał się przekonać sędziów, że Dogrumowa mówiła prawdę, gdyż podała konkretne kwoty wynagrodzenia obiecanego jej za zbrodnię. Poza tym według prawnika była osobą na tyle rozsądną, by nie zakładać, że sama, obca i bez pomocy, zdoła zgubić Komarzewskiego i Ryxa pomówieniami. „Jakże więc przypuścić, by mogła dążyć do zaatakowania z powodzeniem... Kogo? Panów Komarzewskiego i Ryxa, wiernych i ukochanych przez J. K. Mość przybocznych?” – pytał patetycznie. Podkreślił, że gdy księżę ofiarował jej dwieście dukatów za cofnięcie oskarżenia przeciw Komarzewskiemu i Ryxowi, nie zgodziła się, co świadczy o szczerości jej słów.

Nie na wiele się to zdało. obrońca Ryxa i Komarzewskiego, który okazał się skuteczniejszy, przytoczył najpierw anegdotę o tym, jak rodzeństwo znanych pisarzy Madeleine i Georges de *Scudéry* rozmawiało pewnego razu w oberży.

– Cóż uczynimy z księciem? – rzekła panna de *Scudéry*. – Byłabym zdania, byśmy go zgładzili przez truciznę. Wypadnie to jakoś lepiej aniżeli zgładzenie za pomocą sztyletu.

– Mamy dość jeszcze czasu do tego – odrzekł brat. – Jeszcze go potrzebujemy, lecz gdy czas będzie właściwy po temu, załatwimy się z nim szybko!

Rozmowę podsłuchali dwaj kupcy i, sądząc, że planuje się zbrodnię, donieśli oberżyskie. Pan i panna *Scudéry* zostali aresztowani i znaleźli się w więzieniu Conciergerie, gdzie ich poddano śledztwu. Okazało się, że podejrzana rozmowa dotyczyła losów bohatera pisanego przez nich romansu, toteż puszczono ich wolno.

DEKRETA
W SPRAWIE
J. O. XIĄŻĘCIA JMCI
CZARTORYSKIEGO
GENERALA ZIEM PODOLSKICH,
z URODZONYM
R Y X E M
STAROSTĄ PIASECZYNSKIM
I N N E M I
w SĄDACH MARSZAŁKOWSKICH
KORONNYCH KRYMINALNYCH
1785. Roku
Z A P A D Ł E.

TYTUŁOWA STRONA relacji z przebiegu sprawy Dogrumowej (Biblioteka Narodowa)

Patron z ręcznie wykazał analogię między obiema sytuacjami, polegającą na niezrozumieniu przez podsłuchujące osoby treści rozmów. Po tym wstępie jął przekonywać sąd, że zeznania Dogrumowej, Taylora i Krakowca nie mogą stanowić żadnego dowodu przeciw Ryxowi. Ów bowiem nie miał najmniejszego

powodu, aby źle życzyć księciu, od którego, co wszyscy wiedzą, doznał wiele życzliwości. Oskarżenie przeciw Komarzewskiemu i Ryxowi jest zatem potwarzą. Do czego przychylił się też sąd. W jednych punktach wyroku sędziowie byli jednomyślni, inne przeszły większością głosów. Dogrumowa, jako winna przestępstwa potwarzy, skazana została na publiczne piętnowanie, a następnie na dożywotnie więzienie. Zeznanie jej, złożone na piśmie, tudzież dwa inne sporządzone przez nią paszkwile obciążające Ryxa miały zostać spalone przez kata. „Taylor Angielczyk”, jak go nazwała „Gazeta Warszawska”, musiał złożyć przysięgę, iż na potwarz ani bezpośrednio, ani pośrednio nie wpływał, a za gwałt na osobie Ryxa popełniony skazany został na osadzenie przez pół roku w wieży górnej, co było karą znacznie lżejszą od wieży dolnej⁸. Pozwany przez oskarżonych księżę generał uwolniony został od zarzutu, tyle że miał zapłacić grzywnę, zaś Stanisław Kostka Potocki uwolniony został od kary za popełnienie czynu godzącego w zasadę *neminem captivabimus*.

Czytelnicy „Gazety Lejdejskiej” dowiedzieli się o tym dekreście sądu dwa dni po jego wydaniu. Przy okazji znalazła się też wzmianka, że księżna marszałkowa wypożyczyła oskarżonej meble na czas pobytu w więzieniu, co by świadczyło o tym, że gazeta pozyskiwała informacje od stronnictwa królewskiego, starającego się przy okazji skompromitować protektorkę aferzystki. Wyrok wykonano 22 kwietnia 1785 roku na warszawskim rynku, o czym „Gazeta Lejdejska” doniosła w kolejnym numerze. Kat zdarł suknię ze skazanej i gorącym żelazem wypalił na jej łopacie znak szubienicy. Gdy tak zhańbiona stała przy pręgierzu, kat wrzucał w ogień pisma i paszkwile, które powstały w rezultacie jej intryg.

Skazaną odesłano najpierw do warszawskiej prochowni, a potem do fortecy gdańskiej, skąd uwolnili ją Prusacy, gdy zajmowali miasto. Zaopiekowali się nią wówczas Czartoryscy, którzy zresztą już wcześniej wspomagali ją finansowo. Na łożu śmierci miała ponoć wyznać, że Ryx naprawdę chciał otruć generała ziem podolskich.



Zbrodnia tym sposobem w osobie d'Ougroumoff ukaraną została, a prace sądu przeciągiem więcej jak trzech miesięcy nieprzerwanie podejmowane, tym uwieńczone zostały, że prawda w tak trudnym przypadku docieczoną będąc, sprawiedliwość i dla winnych, i dla niewinnych przyniosła.

„Gazeta Warszawska” nr 34 z 27 kwietnia 1785 roku

Mogło być tak, że sprytna oszustka podjęła całkiem prywatną próbę wyłudzenia pieniędzy, najpierw od króla, potem od księcia, i dopiero na pewnym etapie włączyła się do tych działań opozycja antykrólewska, widząc możliwość

zdyskredytowania i osłabienia monarchy. Jak podają źródła, księżna Izabela Lubomirska wydała z tej okazji siedemdziesiąt tysięcy dukatów, książe Adam Czartoryski trzydzieści sześć tysięcy, hetman Franciszek Ksawery Branicki szesnaście tysięcy, tyleż hetmanowa Aleksandra z Czartoryskich Ogińska. W przeliczeniu na polskie złote w sumie wyrzucono dwa i pół miliona, to jest blisko siódmą część tego, ile Rzeczpospolita miała wówczas dochodu. Przeciwnicy Stanisława Augusta tak bardzo chcieli go pogrzyżyć, że zapodzielili gdzieś zdrowy rozsądek. Szkoda, że nikt sensownie nie pomyślał, iż raczej nie ma szans, by mętnym oskarżeniom Dogrumowej dano wiarę, a cała ta historia, angażująca najwyższy wymiar sprawiedliwości Rzeczpospolitej, tylko mocno skompromitowała obóz Czartoryskich. Po przegranej książe Adam na dobre opuścił Warszawę i przeniósł się z dworem do Puław. Wyjechała za granicę jego siostra, księżna marszałkowa, przegrani byli także jej zięciowie, obaj bracia Potoccy. Nerwy mieli stargane również stronnicy króla, którzy dali się podejść intrygantce. Sejm z 1786 roku, na którym w upokarzający dla króla sposób wałkowano tę sprawę, a książe Adam domagał się uchylecia zasądzonej mu grzywny, nazwano dogrumowskim. Cóż z tego, że aferę wyciszono, a król z księciem generałem niby się listownie przeprosili? Pogłębiła ona jeszcze bardziej animozję między dwiema ważnymi politycznymi siłami.

Czy Dogrumowa działała sama, czy też miała suflera? Na przykład Ottona Magnusa von Stackelberga? Skłócenie króla i Familii jak najbardziej leżało w interesie Rosji. Byłaby to niepozbawiona rozsądnych przesłanek odpowiedź na pytanie *cui bono*, czyli kto na tym zyskał. Tak czy owak, samodzielnie czy nie, „tłuczysko”, które przywlokło się z Anglii, napsuło krwi w Rzeczpospolitej co niemiara.



PRZYPISY

¹ *Lex talionis*, inaczej prawo talionu – kara, której sankcja jest identyczna ze skutkiem przestępstwa, na zasadzie „oko za oko, ząb za ząb”.

² Cyt. za: Aleksander Kraushar, *Sprawa Dogrumowej przed sądem marszałkowskim 1785 roku*, [w:] tenże, *Drobiazgi historyczne*, St. Petersburg–Kraków 1891.

³ Marszałek wielki (w zależności od miejsca – koronny lub litewski) przewodniczył sądowi marszałkowskiemu, do którego kompetencji należały sprawy naruszenia porządku publicznego i bezpieczeństwa w miejscu przebywania króla.

⁴ Impostura – oszustwo, szalbierstwo.

⁵ Obywatel osiadły – posiadacz ziemski.

⁶ Cyt. za: Aleksander Kraushar, *Sprawa Dogrumowej przed sądem marszałkowskim 1785 roku*, dz. cyt.

⁷ Cyt. za: tamże.

⁸ Wieża dzieliła się na górną, czyli więzienie widne, czyste, schludne i ciepłe, oraz na wieżę dolną: podziemną, ciemną i nieogrzewaną.

GRECZYŃKA W POLSCE

Nie proś nigdy od Boga, ktośkolwiek stworzony,

Ni zbyt świetnej fortuny, ni zbyt pięknej żony.

Bez prośby (nie frasuj się) Bóg ten zwyczaj miewa.

Da ci jedno lub drugie – kiedy się rozgniewa! ¹

Ósmego maja 1777 roku w Stambule przed posłem polskiego króla, Karolem Boscampem-Lasopolskim, dyplomatycznym kondotierem z Holandii, stanęła przyprowadzona przez matkę smukła siedemnastoletnia dziewczyna o wielkich czarnych oczach, zaprezentowana następnie jako dziewczyna godna królewskiego łoża. Może ekscelencja zechce łaskawie wziąć ją pod swoje skrzydła, a ona będzie mu wierna i posłuszna?

Ekscelencja życie znał i miał słuszne podstawy, by żywić wątpliwości, czy dziewczyna rzeczywiście jest nietknięta, ale udał, że wierzy. Tak Zofia, zwana Dudu, zaczęła swą niezwykłą drogę. W przyszłości z plebejki miała się stać polską hrabiną, w dodatku uważaną za najpiękniejszą kobietę Europy. Na razie raczej tego się nie domyślała, wiedząc jedynie, że odtąd ma się podobać ministrowi i stosować w praktyce nauki i zalecenia doświadczonych w wenusowej profesji matki i ciotki. Trzeba bowiem wiedzieć, że stambulskie kurtyzany i stręczycielki rekrutowały się najczęściej z Greczynek, tak jak obie te panie.

Opisując później w sekretnym pamiętniczku wygląd nowej kochanki, Karol Boscamp-Lasopolski stwierdził:

Głowa podobna do głowy słynnej Fryne, jej rodaczki, godna dłuta Praksytelesa, głowa, która później przyprawiała o zawrót inne, młode i stare, a nawet ukoronowane, ozdobiona jest najpiękniejszymi oczyma świata i ustami, w których błyszczą dwa rzędy ślicznych ząbków i zarys podbródka godny podziwu, włosy Dafne, czoło i uszy arcyproporcjonalne.

Mniej się spodobały dłonie i stopy – grymasił ów dostojnik, że za duże. I mocno skrytykował pierś, jako „zmiotczalą, czy to przez gorące kąpiele, czy z innych przyczyn”. Orzekł, że jest „niekształtna i nieelastyczna. Zwisa jak gruszka na brzuch, najpiękniej za to ukształtowany”. Zauważył też, że „silna woń jej potów, której nie tłumi żadne pachnidło, wyjąwszy może piżmo, mogłaby dać się we znaki

nosom zbyt delikatnym”. Taki był początek nieprawdopodobnej wręcz kariery, od metresy ministra Boscampa do żony najpotężniejszego chyba z polskich magnatów. Jest to historia najbardziej niezwykłego awansu społecznego w dawnej Rzeczypospolitej.



Dzieciństwo Zofii upłynęło w Bursie. Ojciec jej handlował bydłem. W 1771 roku, gdy miała jedenaście lat, zdarzyło się jej popełnić w naiwności swojej wielki błąd. Uległa czułym słówkom kuzyna, wskutek czego naruszona została jej cnota. W dodatku młodzian jął się chwalić przed wszystkimi swoim sukcesem. Miasteczko oczywiście dziewczynkę potępiło, a rodzice, nie mogąc znieść hańby, zdecydowali się na wyjazd do Konstantynopola, gdzie mieszkała siostra matki Dudu, zamężna za kupcem Glavanim, podobno wielce urodziwa. Ta zgodziła się wziąć do siebie na jakiś czas zniesławioną siostrzenicę.



Budząca powszechny zachwyt, zwłaszcza mężczyzn,
Zofia Wittowa **de domo** Glavani (Wikimedia Commons)

Dwunastoletnia niespełna Zofia znalazła się w wielkim mieście, gdzie spotykał się Wschód z Zachodem, a więc i kultury tych dwóch światów. Dom wujostwa prowadzony był na modłę raczej europejską, z tym że panujące w nim obyczaje do najcnotliwszych nie należały. Ciotka Glavani zdradzała męża, aż

w końcu się z nim rozeszła i została kurtyzaną. W 1777 roku, gdy jej siostrzenica trafiła do ministra, miała już ustaloną renomę i stałych klientów, zwłaszcza w kręgach dyplomatycznych obcych poselstw.

Zaraz po rozwodzie wujostwa i zanim ciotka zaczęła odnosić sukcesy, Zofia wróciła do domu rodziców. Ojciec pracował jako kontroler rzeźni chrześcijańskich i rodzina czas jakiś utrzymywała się z jego zarobków. Gdy po jego śmierci żona i córka pozostały bez środków do życia, matka Zofii, kobieta jeszcze młoda i podobno piękna, wyszła po raz drugi za mąż za Ormianina. Ten wkrótce zmarł, a przedtem zdążył stracić cały majątek, zdaje się – przy wydatnej pomocy żony, jak twierdzą złośliwe źródła. Gdy zaś jeszcze spłonął dom, w którym mieszkali wdowa z córką, obie znalazły się na bruku. Wtedy matka poszła w ślady swojej siostry.

Nie wiadomo, czy Dudu pracowała w tym samym fachu, zanim znalazła się pod opieką Boscampa. Prawdopodobne jest, że matka nie pozwoliła jej zrujnować sobie opinii w Stambule, a to z tego powodu, że oddanie nietkniętej (*sic!*) dziewczyny bogatemu cudzoziemcowi było znacznie korzystniejsze finansowo. Plany te omal nie spaliły na panewce, gdy śliczna Greczynka wpadła w oko jednej z kuzynek sułtana, mającej perwersyjne upodobania. Księżniczka kazała sprowadzić ją sobie do pałacu. Nieposłuszeństwo groziło chrześcijance ciężkimi karami, więc Zofia nie miała wyjścia. Karesy sułtanka nie odpowiadały jej zupełnie i któregoś dnia najzwyczajniej w świecie uciekła z haremu. Matka musiała szybko wyszukać jej schronienie przed gniewem i zemstą księżniczki i tak Zofia znalazła się w domu internuncjusza², znanego ze swego upodobania do pięknych dziewcząt.



Mrużąc oczy, Karol Boscamp-Lasopolski przyglądał się dziewczynie i gładził w zamyśleniu podbródek. Hm, co za słodycz spojrzenia.

– Mówisz, że masz siedemnaście lat i urodziłaś się w Bursie?

– Tak, panie.

– Miasto Bursa leży w starożytnej Bitynii. Wiedziałaś o tym?

– Teraz już wiem – odparła, patrząc mu prosto w oczy. Niech się poczuje ważny, że ją czegoś nauczył. Mama zawsze powtarzała, że dziewczyna potrzebuje dobrego nauczyciela, choć raczej miała na myśli inne sprawy.

– Podejdź bliżej.

Spuściła skromnie wzrok. Niech pan poseł myśli, że jest zawstydzona. A tak naprawdę była po prostu ciekawa. I trochę rozbawiona.

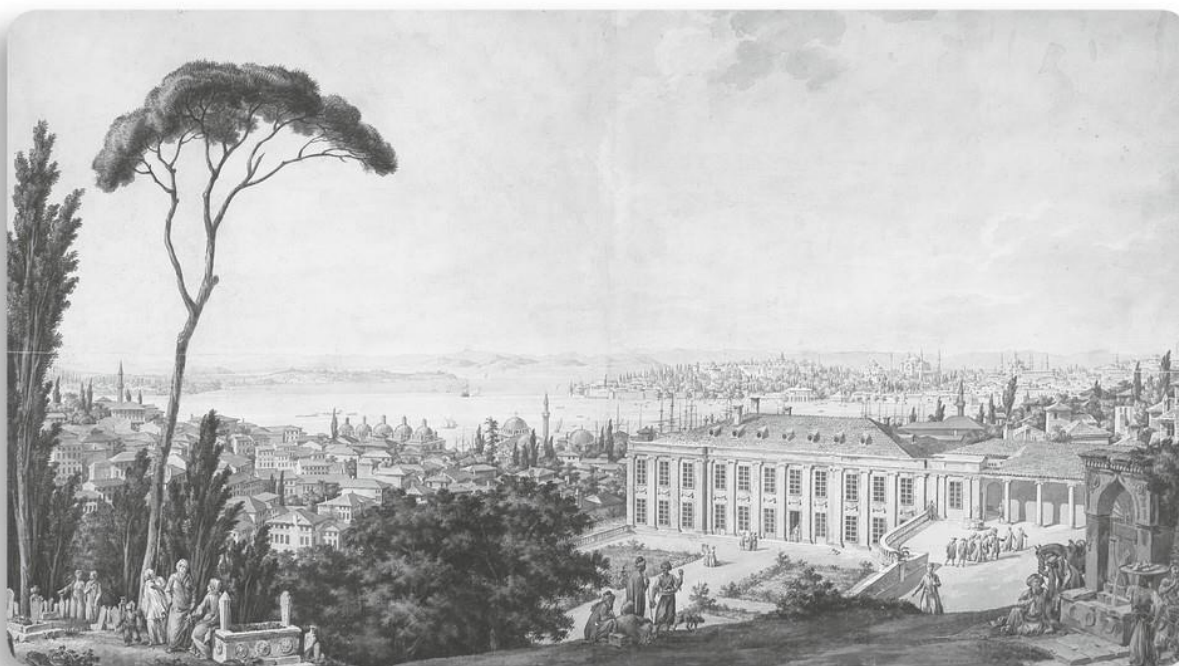
– Włóż to. – Wyciągnął w jej stronę rękę z ciężkim turkusowym naszyjnikiem. – Tylko to. Resztę zdejmij.

Spełniła polecenie i tak jak ją uczyła tego ciotka, zakołysała lekko biodrami.

„Moja piękna Bitynka” – pomyślał z zadowoleniem, pierwszy raz dotykając jej ciała.



Początkowo ulokował ją na uboczu, w domu przeznaczonym dla niższego personelu poselstwa, tu ją odwiedzał lub czasami stamtąd do siebie wzywał. Trzeba przyznać, że przebywając w roku 1777 i 1778 wśród członków polskiej misji, śliczna Dudu umiała znakomicie zaadaptować się do sytuacji. Była miła, grzeczną, uprzejmą. Oczywiście miejscowi świetnie wiedzieli o jej pochodzeniu oraz o dotychczasowym życiu w środowisku kobiet parających się najstarszą profesją świata i na pewno Polakom o tym donieśli. Nikt też nie miał złudzeń co do charakteru relacji między ministrem a dziewczyną. Tym dziwniejsze jest więc to, że w latach późniejszych w Polsce, gdzie wielu przecież „musiało wiedzieć”, tak łatwo przełknięto legendę o rodzinie Celice de Maurocordato, arystokratycznej, acz zubożałej, z której rzekomo miała pochodzić piękna Zofia.



WIDOK KONSTANTYNOPOLA z przedmieścia Pera, 1777. Rysunek Jana Christiana Kamsetzera (Biblioteka Narodowa)

Latem 1777 roku Boscamp oficjalnie umieścił swoją Dudu w pałacu misji w dzielnicy Stambułu, Perze, i próbował jej nawet używać do zadań natury dyplomatycznej. W tym celu musiała się nauczyć francuskiego. Wziął więc dla niej

nauczyciela. I choć dość szybko za niestosowne zaloty do uczennicy preceptor (*notabene* ekszakonnik) został wylany z posady, pod koniec pobytu Boscampa w Stambule Dudu umiała dość biegle mówić po francusku. Natomiast sztukę pisania opanowała znacznie później, już w Polsce. Ciekawe, że poza francuskim nie znała europejskich języków, polskiego zaś nie opanowała właściwie nigdy.

Boscamp zabierał ją często na wycieczki w okolice Stambułu, najchętniej do Büyükdere, nadmorskiej miejscowości wypoczynkowej. Kazał jej wówczas przebierać się w strój polski lub francuski, czasami za amazonkę lub pazia, i zabawiać towarzystwo. „Były więc piosenki, gesty, pozy w pełni orientalne, pełne lubieżności i wyuzdania, o jakiej nie mają pojęcia w Europie, nawet w czasie orgii; przed niczym się nie zawahała, co mogłoby zabawić towarzystwo” – napisze później w *Moich przelotnych miłościach z młodą Bitynką* jej protektor. Wesoła i zabawna dziewczyna budziła powszechne zainteresowanie swą niezwykle urodą. W którymś momencie Boscamp zalecił jej, aby była uprzejma i miła dla rosyjskiego ministra, Aleksandra Stachiewa. Wkrótce tego pożałował. Nie zamierzał się nią z nikim dzielić, tymczasem Rosjanin zapalał do pięknej dziewczyny wielką namiętnością. Nie wiadomo dokładnie, co wtedy zaszło. Tyle że w rezultacie nastąpiło znaczne ochłodzenie stosunków polsko-rosyjskich.



Sielanka nie mogła trwać wiecznie. Wielkimi krokami zbliżał się powrót Boscampa do Polski. Nie zamierzał zabierać Dudu do Warszawy i trzymać jej u siebie, bo – żona! Dziewczyna miała więc zostać w Stambule.

- Dostaniesz małą pensyjkę, moja mała Dudu. Będziesz miała z czego żyć.
- Jak mam żyć bez ciebie, panie? – Czarne oczy patrzyły żałośnie.
- Na pewno sobie poradzisz. – Pogłaskał kciukiem brzoskwiniowy policzek.
- Zostawię ci posag w depozycie u mojego bankiera. Tysiąc pięćset piastrow. Dostaniesz je, jak wyjdiesz za mąż za uczciwego rzemieślnika lub kupca.
- Kiedy wyjeżdżasz, panie? – Czarne oczy jeszcze bardziej posmutniały.
- Mamy teraz marzec. A zatem w przyszłym miesiącu.
- Będę tęsknić za tobą.
- Mnie też będzie cię brakowało, moja śliczna, ale cóż robić. A teraz opowiedz mi jeszcze o sułtance. Albo lepiej zaśpiewaj. O dziewczynie z dzielnicy Fanari, która trafiła do seraju...

Minister wyjechał w kwietniu 1778 roku. Zimą pod koniec tego roku nadszedł list z Warszawy z niespodziewanymi wiadomościami. Otóż w lipcu zmarła pani ministrowa. Gdy mąż doszedł już nieco do siebie po tym bolesnym ciosie, napisał do Zofii, że gdyby chciała przybyć do niego w tej samej roli co przedtem, to po czasie, jak już by się rozstali, zająłby się ułożeniem jej życia

i korzystnie wydał ją za mąż. Zgodziła się z radością i w styczniu 1779 roku pod opieką dwóch zaufanych ludzi swego protektora wyruszyła ze Stambułu do Polski. Nabrała teraz pewności siebie i dość mocno się po drodze zagalopowała, gdyż zaczęła się wdawać w przelotne romanse, niespecjalnie się z tym kryjąc. Opiekunowie nie byli w stanie jej dopilnować, a gdy dojechali do mołdawskich Jass, jeszcze zuchwalej sobie tu poczynała, otwarcie rozpowiadając, że jest przyszłą żoną Boscampa. Ktoś życzliwy doniósł o tym do Warszawy i oburzony dyplomata postanowił położyć kres skandalowi. Zarządził, że Dudu ma wracać do Stambułu, gdzie otrzyma uposażenie zapewniające jej byt.

Podobno dowiedziawszy się o tym, dziewczyna się rozszłochała. Ale nie straciła kontenansu. Napisała do ministra, zaklinając się, że jest niewinna, po czym nie czekając odpowiedzi, wyłudziła od kupca greckiego pieniądze na dalszą podróż – oczywiście na rachunek eksministra. Dzięki temu 3 kwietnia 1779 roku dotarła do Kamieńca. Dowódcą załogi zamku, liczącej około tysiąca ludzi, był generał Jan de Witt, a jego prawą ręką i spodziewanym następcą na stanowisku komendanta twierdzy – syn Józef, major wojsk Rzeczypospolitej.

Na prośbę Boscampa Zofię przyjęła do swego domu wdowa po ormiańskim dragomanie³, niejaka Elżbieta Czerkiesowa, która miała ją u siebie kilka dni przetrzymać, póki nie nadejdą z Warszawy dalsze dyspozycje. Dawny internuncjusz napisał też do generała Witta, prosząc, by ten zaopiekował się Zofią, i przy okazji uprzedził komendanta, że dziewczyna jest romansowego charakteru, a w dodatku bezczelnie rozpowiada kłamstwa, jakoby pan minister miał zamiar ją w Warszawie poślubić.

Żadne opieki i przestrogi nic nie dały. Piękna Dudu wkrótce przyjmowała wizyty oczarowanych jej urodą wojskowych, wśród których znalazł się czterdziestoletni major Józef de Witt. Był to cynik i karierowicz, do tego, delikatnie mówiąc, niespecjalnie urodziwy. A że zakochał się bez pamięci, łatwo uwierzył, iż droga do względów rzekomej dziewicy i narzeczonej Karola Boscampa-Lasopolskiego wiedzie nie inaczej niż przez ołtarz. W związku z tym 14 czerwca 1779 roku poślubił piękną Greczynkę w kościele parafialnym w pobliskich Zienkowicach. Gdy wieść owa dotarła do domu Wittów, rozpętała się burza z piorunami. Była to rodzina ze stosunkowo świeżym szlacheństwem, pnąca się pracowicie po szczeblach kariery, więc mariaż z dziewczyną podejrzaną konduity, obcą przybłądą, był ostatnią rzeczą, jakiej im było trzeba. Generał dostał furii, jednak złość mu przeszła, gdy Zofia roztoczyła przed nim cały wachlarz swych uwodzicielskich wdzięków. Na klęczkach prosiła komendanta o przebaczenie dla syna i o błogosławieństwo. Z dużych czarnych oczu biła taka słodycz, w ruchach miała tyle kobiecego wdzięku i tak pokornie prosiła, że surowy teść zmiękł.

– Wstań, asanna – odezwał się mocno poruszony. – Tak jesteś ładna, że nie dziwię się mojemu synowi, iż głupstwo zrobił. Wstań, pozwalam i błogosławię.

– Ojcie... – Józef przypadł do ojcowskiej dłoni, do ust ją przycisnął, a potem zwrócił rozpromienione oczy na klęczącą Zofię. Był prawie przystojny w tym momencie, tak radość go zmieniła.

– Ale nie wiem, co z matką będzie. – Komendant zmarszczył brwi. – Twierdzi, że widzieć cię nie chce. Zamknęła się w swojej komnacie. Żebyż tylko nieszczęścia z tego nie było. Dopiero co słabowała na piersi.

– Zofia i jej do nóg padnie, a ja z nią razem. Jak zobaczy swego syna szczęśliwego jak w raju, na pewno wybaczy.

Starszy pan Witt nie był taki pewien. Wrażliwemu na wdzięki niewieście mężczyźnie łatwiej przyszło pogodzić się z niefortunnym ożenkiem i nawet czuł pewnego rodzaju dumę, że ma tak piękną synową. Znał natomiast aż za dobrze swoją połowicę, która nie tylko twardsza od niego była, ale i dość próżna z natury. Uroda dziewczyny mogła ją jeszcze bardziej rozdrażnić. Ech, te białogłowy.

Trzeba przyznać, że Zofia miała niebywałe szczęście. Przecież niewiele brakowało, by odesłano ją do Stambułu, gdzie pewnie musiałaby uprawiać profesję matki i ciotki. A tak została żoną szlachcica i oficera wojsk Rzeczypospolitej. Boscamp też był zadowolony z takiego obrotu rzeczy, bo odtąd odpowiedzialność finansowa za śliczną Dudu oraz komplikacje wynikające z jej romansowej natury spadły na Józefa Witta.

Starsza pani Wittowa zaś wkrótce potem zmarła. Ludzie gadali, że ożenek syna się do tego przyczynił.



Rodzina Wittów chętnie zaadaptowała i propagowała legendę, wedle której dziewczyna pochodząca ze zubożałej arystokratycznej rodziny Celice de Maurocordato po wielu niedolach dostała się pod opiekę Boscampa, a potem znalazła schronienie w Polsce i wręcz zaszczyciła majora Józefa Witta tym, że za niego wyszła. Byli jednak tacy, co pamiętali dawne ekscesy Dudu w Stambule i w drodze do Kamieńca. I o tym też w okolicznych domach szlacheckich się mówiło.

Zofia opowiadała, że zostawiła w Stambule matkę, ale nie zdradziła nikomu, jakim procederem rodzicielka się parała. Unikała frywolności w zachowaniu, była grzeczna, miła i zalotna, jednocześnie wystrzegając się publicznego okazywania zbyt dużej poufałości adoratorom. Mimo to już w latach 1780–1781 poczęły krążyć na Podolu plotki o jej romansach. Zaś opowieści o niezwyklej urodzie pani Wittowej zataczały coraz szersze kręgi. Julian Ursyn Niemcewicz, który w orszaku towarzyszącym w podróży księciu Adamowi Kazimierzowi Czartoryskiemu odwiedził Kamieniec, napisał:

Największą atoli ciekawością w Kamieńcu Podolskim była synowa starego

generała. [...] Nie wiem, czy Helena, Aspazja, Lais, najślawniejsze Atenów piękności, wdziękiem i urodą przechodzić ją mogły. Nie widziałem piękniejszej w życiu moim kobiety⁴.



Śliczna Zofijo! twoje nawiedziny
Wiodą mi na myśl obaloną Troję.
Z podobnej ona zginęła przyczyny:
Jakże się słusznie o Kamieniec boję!
Stanisław Trembecki, *Do pani Wittowej, przejeżdżającej z mężem
przez Warszawę do wód spaskich*

Na początku 1781 roku państwo Wittowie wyruszyli w opóźnioną podróż poślubną do Niemiec, Belgii, Francji i Austrii. Najpierw zaś zjechali do Warszawy, gdzie byli gośćmi samego monarchy. Zofia miała dwadzieścia jeden lat i podbijała serca urodą. Również znany ze słabości do pięknych pań król nie pozostał na jej wdzięki obojętny. Trudno na podstawie archiwaliów powiedzieć, do jakiego stopnia uległ jej czarowi. Wszystko jest możliwe, zważywszy charakter obojga i ducha epoki. Zaś „ciołek” w kolejnym cytacie z wiersza Stanisława Trembeckiego jest być może aluzją do herbu króla, co by potwierdzało, iż Stanisław August gotów był skorzystać (czy też skorzystał) z wdzięków pięknej majorowej.

Bo gdyby Olimp miał Jowisza jeszcze,
Ujrzelibyśmy rozkoszne przemiany,
Złote na ciebie lałyby się deszcze,
Kłękałby ciołek przed twymi kolany.

W innym miejscu poematu poeta nieco się zagalopował, wychwalając również cnotę pani Wittowej, nie tylko urodę. Albo nie do końca się orientował co do jej przeszłości i usposobienia, lub też dyplomatycznie wolał się nie orientować.

Do twych powabów, do tyłu przymiotów,
Któreż tam serce od wzdychań się wzbroni
Od ich napaści, od Kupida grotów
Cnota cię swoim puklerzem zasłoni.



JÓZEFINA Z MNISZCHÓW POTOCKA, poprzednia żona Szczęsnego, na rycinie według obrazu Pompeo Battoniego z 1783 r. (Biblioteka Narodowa)

Piękna Greczynka raczej się nie zasłaniała od „Kupida grotów”, niemniej utworem tym Trembecki zapewnił sobie sutą emeryturę, bowiem ostatnie lata życia miał spędzić w Tulczynie, na łaskawym chlebie u wdowy po Szczęsnym Potockim, drugim mężu Dudu. Tam powstanie utwór dużo sławniejszy, a mianowicie

Sofijówka w sposobie topograficznym opisana, opiewający słynny park pod Humaniami.

Pomyśleć, że cztery lata wcześniej młodą dziewczynę stręczyła jej matka, stambulska kurtyzana, posłowi polskiemu przy Wysokiej Porcie, a teraz owa dziewczyna zaprezentowana została władcy tegoż posła jako piękność, sensacja i atrakcja salonów Warszawy. Nie była to już tylko żona majora Józefa Witta, prędzej major był mężem ślicznej Zofii.

W maju 1781 roku państwo majorostwo ruszyli dalej. W Berlinie Fryderyk II podobno powiedział o Zofii: „Daję słowo, jeśli w jej kraju jest sporo takich buziaków, to warto tam podróżować”. Następnie przyjechali do Spa, gdzie bawił właśnie cesarz Józef II, kolejny monarcha, którego dawna stambulska kurtyzana poznała osobiście. Zachwycony jej urodą, polecił ją w liście do siostry, królowej Marii Antoniny, ze Spa bowiem Wittowie udawali się do Paryża. Zofia była w zaawansowanej ciąży i tu 17 października 1781 roku urodziła syna, który na chrzcie świętym otrzymał imię Jan, po dziadku.

Paryskie salony przyjęły *madame de Witte* jeszcze goręcej niż warszawskie. Słynna malarka *Élisabeth-Louise Vigée-Lebrun* tak Zofię wspominała:

Była ona wówczas bardzo młoda i nadzwyczaj urodziwa, ale również wyraźnie pyszna z powodu zachwycającej figury. Słyszałam, że tak często rozprawiano na temat jej pięknych oczu, iż pewnego dnia, gdy miała zapalenie powiek, odpowiedziała naiwnie komuś pytającemu o jej zdrowie: – Bolał mnie moje piękne oczy⁵.

Ten uroczy *bon mot*, pełen naiwnego wdzięku, powtarzano sobie potem z zachwytem. Wszyscy chcieli ją widzieć i przyjmować u siebie, łącznie z Marią Antoniną, którą jej cesarski brat uprzedził o przyjeździe pani Wittowej.

Majora prawie nie było widać pośród tej towarzyskiej wrzawy. Jako że wzorem licznych rodaków używał we Francji, niezupełnie legalnie, tytułu hrabiego, żona jego została odtąd „*Sophie comtesse de Witte*”. Mąż był jej już dużo mniej potrzebny, doskonale radziła sobie bez niego, brylując pośród najlepszych rodzin arystokratycznych, z Polignacami na czele – zaprzyjaźniła się blisko z Dianą de Polignac, szwagierką księżnej de Polignac, przyjaciółki Marii Antoniny. Znała najważniejsze osobistości Francji, w tym dwóch braci Ludwika XVI: hrabiego Prowansji, czyli późniejszego Ludwika XVIII, i hrabiego d'Artois – późniejszego Karola X. Podobno przynajmniej jeden z nich został jej kochankiem.

W lutym 1782 roku major z żoną ruszyli w drogę powrotną. Zabawili trzy tygodnie w Wiedniu, gdzie Józef II znów okazał pięknej pani swoje zainteresowanie i znalazł czas, aby ją przyjąć. Ponad dwadzieścia lat później druga żona Józefa Witta oskarży swego męża, że wtedy w Wiedniu wykorzystał sytuację i rajfurzył wdziękami pierwszej małżonki. Wprawdzie nie ma innych współczesnych przekazów o jej erotycznych ekscesach w Wiedniu w 1782 roku,

faktem jest natomiast, że piękna dama cieszyła się tam łaskami najpotężniejszych magnatów i dygnitarzy. A że była usposobienia frywolnego, jak najbardziej możliwe wydaje się, iż łaski te nie zawsze musiały mieć czysto platoniczny charakter.

Z Wiednia państwo Wittowie udali się prosto do Kamieńca. Józef – dumny i zadowolony z sukcesów towarzyskich małżonki i jakby głuchy na rozchodzące się po Ukrainie plotki o jej skandalicznych romansach. Widocznie tak było wygodniej. W kresowej twierdzy sławna piękność stała się główną atrakcją turystyczną i każdy, kto bawił tu przejazdem, chciał ją zobaczyć na własne oczy. Wielbiciele są oczywiście czymś miłym i kobietę dowartościowującym, ale generują też powstawanie plotek i oskarżeń o brak moralności. Kobiet wiodących życie rozwiązałe było wówczas w wyższych sferach sporo i nikogo to specjalnie nie gorszyło, ale co uchodziło miejscowym damom z wielkich rodów Rzeczypospolitej, u zagranicznej plebejki gorszyło i oburzało. Mimo bojkotu ze strony wielu pań Zofia na towarzyskie osamotnienie narzekać nie mogła, zwłaszcza ze strony panów, ale też niejednokrotnie spotykały ją afronty. Kronikarz domu Potockich, Antoni Chrząszczewski, pisze, że próbowała nawiązać stosunki z dworem w Tulczynie, który był ówczesną siedzibą Stanisława Szczęsnego Potockiego i jego żony Józefiny z Mniszchów. Gdy udała się tam z kurtuazyjną wizytą, pani domu, wcześniej uprzedzona, naumyślnie i demonstracyjnie wyjechała z pałacu, żeby jej nie przyjąć. Upokorzona Zofia opuściła Tulczyn z kwitkiem. Nie przypuszczała zapewne, że kiedyś to ona będzie tutaj panią i usunie stąd Józefinę na dobre.



Czas płynął, pani Wittowa skończyła lat dwadzieścia pięć, a w prowincjonalnym Kamieńcu brakowało jej triumfów towarzyskich na skalę z czasów europejskiej podróży. Tyle jej, co pozawracała w głowach oficerom i cywilom. Lubiła się bawić i stanowiła niewątpliwą ozdobę salonów, a że panów traktowała bardzo, nazwijmy to, przyjaźnie, stosunki z mężem w związku z tym ochłodziły. Najchętniej uwolniłaby się od niego, bo zwyczajnie ją nudził. Jednak to jemu zawdzięczała kolejny społeczny awans, gdyż po śmierci teścia w grudniu 1785 roku Stanisław August mianował jej męża komendantem twierdzy w randze generał-majora. Została generałową, co nie zmieniało faktu, że małżonka miała coraz bardziej dosyć.

Jeszcze przed nominacją męża, w 1784 roku urodziła drugiego syna, Kornela Józefa Stanisława, który potem zmarł. W metryce chrzcielnej znalazł się zapis, że jest to syn Józefa de Witte, szefa regimentu pieszego, i Zofii z domu Celice, ślubnych małżonków. Tak to pomалу legitymizowała się legenda arystokratycznego

pochodzenia pięknej Bitynki, a ona sama od czasów stambulskich poczyniła ogromne postępy, nabierając ogłady wielkiej damy. Zaledwie trzy lata później, 24 maja 1787 roku, Urszula Mnischowa napisała o niej do matki:

Podróże, czytanie nieskończenie ją wykształciły, myśli jej są tak świeże jak twarzyczka, a sposoby wyrażania się ma całkiem oryginalne, razem z tym skromność naturalną, nie udaną i wielce się podobającą⁶.

W połowie 1787 roku Zofia wybrała się w trzydziestoosobowej grupie do Konstantynopola i na greckie wyspy. Do końca nie wiadomo, czy była to wycieczka krajoznawcza wytwornych dam i ich wielbicieli, czy też – jak sugerują niektórzy historycy – misja szpiegowska na zlecenie dworu rosyjskiego. Faktem jest, że czas jakiś po powrocie z owej wyprawy Zofia otrzymała od imperatorowej dobra na Białorusi. Być może był to dar całkiem niewinny, zawdzięczany protekcji jej ówczesnego kochanka księcia Potiomkina, o czym jeszcze będzie później. Ale też możliwe, że otrzymała owe majątki za jakieś bliżej nieokreślone oddane wówczas usługi.

Niezależnie od prawdziwego powodu podjętej podróży na Wschód piękna Dudu znów nie mogła się opędnąć od wielbicieli. Karol Boscamp- -Lasopolski pisze:

Na wiadomość, że statek pod banderą rosyjską wiozący na swym pokładzie tę piękność wraz z jej towarzystwem został dostrzeżony [...] u wejścia do Bosforu Trackiego, to jest kanału wiodącego od Morza Czarnego, wyruszyły pod znakiem trzech lilii⁷ dwa wspaniałe orszaki, jeden łądem, drugi na galerze, aby powitać tę nową boginię, oczekiwaną tam z otwartymi ramionami, jako że wiedziano już, że była w Paryżu poszukiwana i pożądana. Powóz godny Kleopatry zawiózł ją do miasta, do pałacu pod znakiem trzech lilii, po czym wspaniała gondola z siedmioma parami wiosł (przywilej ambasadorów w Konstantynopolu) zabrała ją na wieś do willi jej głośnego adoratora.

Owym zakochanym Antoniuszem witającym Kleopatę był Gabriel Choiseul-Gouffier, polityk i ambasador Francji przy Wysokiej Porcie, z którym miała romans. I jak pisze dalej Boscamp: „Ukradkiem tylko inni [...] korzystali z wolnych chwil, aby umizgać się i zalecać do niej”. Miała okazję do woli cieszyć się swobodą, bo pan komendant z powodu wojny rosyjsko-tureckiej nie mógł się ruszyć z Kamieńca. Szalał za to z niepokoju, bo nadal mu na niej zależało, choć miał świadomość przyprawianych rogów. W świat szły pogłoski o kłopotach państwa Wittów, pojawiły się plotki o bliskim rozwodzie, sztychono ze zdradzanego męża. Zofia wróciła w listopadzie 1787 roku i tym razem jeszcze się pogodzili.

Dziesięć miesięcy później zdradziła go całkiem otwarcie, zupełnie się już nie kryjąc, i na dobre. Na początku z księciem Potiomkinem, naczelnym wodzem wojsk rosyjskich w wojnie z Turcją.



Grzegorz Aleksandrowicz Potiomkin był synem ubogiego szlachcica spod Smoleńska. Przystojny, wysoki, pewny siebie, karierę zawdzięczał przeszło dwuletniej kadencji w roli kochanka Katarzyny II. Mówiono, że to jedyny człowiek w Rosji, którego imperatorowa się boi, podziwia i szanuje. Nawet gdy ustąpił innemu miejsca w jej sypialni, nie stracił przyjaźni i łask carycy-kochanki, a więc i dawnych wpływów. Dostał od niej najwyższą rangę generalską i tytuł hrabiego, a od wiedeńskiego dworu – tytuł księcia Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Snuł plany sięgnięcia po koronę – w wersji najbardziej ambitnej miał być to tron Rzeczypospolitej.

Uchodził za libertyna i lubił towarzystwo kobiet. Nie wiadomo, w jakich okolicznościach Zofia go poznała. Być może stało się to jesienią 1788 roku. Niemcewicz przytacza powtarzaną potem wielokrotnie w literaturze anegdotę o ich miłosnym spotkaniu:

Zawołał on ją z rana do siebie. Zastała go Wittowa leżącego w sobolowym tułubie, rozmamłanego, rozczochrane włosy jego okryte były puchem; stała przy łożu szkatuła pełna rozmaitych drogich kamieni i pereł. Potiomkin, przebierając w nich garścią, wziął je, dłoń całą dał Wittowej i nasycił swe chuci⁸.

Istnieją też relacje pamiętnikarskie dotyczące pobytu Zofii Wittowej w głównej kwaterze rosyjskiej pod Oczakowem, a potem w Jassach. Pani Vigée-Lebrun pisała, że Potiomkin:

chcąc ją [Wittową] nakłonić do przyjęcia szala kaszmirskiego olbrzymiej wartości, zorganizował wielki festyn, na którym znalazło się dwieście dam, a po obiedzie prosił, aby ciągnęły losy na loterii fantowej; każda z pań wygrała właśnie szal kaszmirowy. Książę był szczęśliwy, że za tę cenę mógł najpiękniejszej z pań wręczyć najpiękniejszy z kaszmirów⁹.



Książę Grzegorz Aleksandrowicz Potiomkin na portrecie pędzla Jana Chrzciciela Lampiego z 1790 r. (Wikimedia Commons)

Kurtuazja taka nie pasuje do obrazu pozostawionego przez Niemcewicza o wciskaniu klejnotów w zamian za uległość. Różnie zatem tę parę postrzegano i różne opowieści potem szły w świat. W każdym razie romans był faktem, w latach 1788–1791 pani komendantowa cieszyła się szczególnymi względami

wszechwładnego księcia. Józef Witt dla zachowania pozorów opowiadał o czystej przyjaźni małżonki z rosyjskim dostojnikiem, ale doskonale wiedział o wszystkim.

W 1789 roku Zofia pojechała do Warszawy bronić męża przed zarzutami o nadużycia finansowe i niewłaściwy stosunek do obcych wojsk. Natychmiast powstał wierszyk o komendancie Kamieńca:

Znając swoje złe sprawy
Przywiózł żonkę do Warszawy.
Ta choć mu jaki rożek przysposobi,
Ale nadal go komendantem zrobi¹⁰.
Zofia została bohaterką podobnego rymu:
W Stambule postradała wieńca,
Przyjechała tu z Kamieńca.
By z udziałem swego ciała
Winy mężowskie zmasała.

Nie wiadomo, czy „z udziałem swego ciała” – ale zapewne tak – udało się oczyścić małżonka z zarzutów. Jednak komendantem go nie zrobiła. Mianowano nowego dowódcę twierdzy, generała Józefa Orłowskiego, związanego z Familiją Czartoryskich.



- No, cóż tam, cóż tam, mój Lasopolsiu – spytał Stanisław August łaskawie.
- Miłościwy panie, dowiedziałem się właśnie, że generał Witt mimo zarzutów o współpracę z armią austriacką atakującą Chocim i o narażenie Rzeczpospolitej na straty opuścił Warszawę.
- A i owszem. Ale nie będzie już komendantem Kamieńca. Szkoda tylko, że małżonka jego też wyjechała. Cóż za wdzięk i uroda.
- Hm, wiem coś o tym, miłościwy panie.
- Ano prawda, przecież tyś pierwszy się na niej poznał. Opowiedz mi, jaka wtedy była. Tak samo gorąca?
- Długo by mówić, najjaśniejszy panie. A jest o czym. Jeśli wasza królewska mość sobie życzy, chętnie udostępnię moje zapiski w tej materii, prosząc jedynie o to, by nigdy nie ujrzały światła dziennego. Niech pozostaną do wiadomości tylko mego pana. – Karol Boscamp skłonił się.
- Obiecuję, mój Lasopolsiu, pełną dyskrecję. Kiedy mi je dostarczysz?
- Każę przepisać na czysto i dostarczę ten mój pamiętniczek waszej królewskiej mości osobiście w najbliższą niedzielę.
- Doskonale, mój drogi. Coś jeszcze masz do mnie?
- Najjaśniejszy panie, od dwóch lat prawie nic nie otrzymuję z kasy waszej królewskiej mości w ramach ustalonej pensji, a mam wielkie wydatki domowe

i kilkoro dzieci jeszcze do wychowania. W tym syna, którego ty, najjaśniejszy panie, osobiście podawałeś do chrztu. Pokornie więc proszę, przez wzgląd na moją wierną służbę, zechciej polecić, by wyplacono mi cokolwiek.

Po sejmie 1778 roku ten Holender z polskim indygenatem znalazł się w nader niemiłej dlań sytuacji, gdyż odtąd w misjach dyplomatycznych nie mogli być zatrudniani ludzie obcego pochodzenia. Stracił więc swoje zajęcie w służbie Rzeczypospolitej i nim po Sejmie Czteroletnim przeszedł całkowicie na żołąd Najjaśniejszej Imperatorowej, najpierw działał prywatnie dla króla i pośredniczył wówczas w niejednej poufnej sprawie. Gdy więc pani Wittowa przebywała w Warszawie, wykorzystał zainteresowanie Stanisława Augusta jej osobą i sprzedał mu swoją dokładną znajomość jej bujnej przeszłości. Dzięki temu w postaci utworu zatytułowanego *Moje przelotne miłości z młodą Bitynką* zachowało się arcyciekawe świadectwo obyczajowości schyłku Pierwszej Rzeczypospolitej. A że pióro miał niezłe, zajmująco opowiedziana historia młodej Bitynki posiada walory również literackie, nie tylko faktograficzne.



W marcu 1791 roku Potiomkin pojechał do Petersburga, zaraz też podążyła tam za nim pani Wittowa. Wraz z mężem zamieszkali w pałacu wynajętym dla nich przez księcia, który, wdzięczny generałowi za wyrozumiałość, załatwił mu w Wiedniu tytuł hrabiego i teraz Witt mógł go już używać legalnie. Utwierdziło to opinię publiczną w przekonaniu, że generałowa jest kochanką Potiomkina.

W czasie tego pobytu Zofia przedstawiona została oficjalnie imperatorowej Katarzynie II. Monarchini przyjęła ją łaskawie i obdarowała cennymi brylantowymi kolczykami, a później przesyłała jej inne kosztowne podarunki. Własnoręcznie napisany bilecik zaadresowała do „*la belle comtesse de Witt*”. Zapewne wtedy Zofia Wittowa otrzymała od niej dobra ziemskie na Białorusi, co potem stało się przyczyną podejrzeń o jej działalność agenturalną podczas wycieczki do Stambułu w roku 1787. Za łaskawością carycy mogła jednak stać protekcja Potiomkina.

Książę od pewnego czasu zdradzał objawy choroby umysłowej. Od euforii przechodził do depresji, miewał niespodziewane wybuchy gniewu, potrafił nagle tłuc zastawę stołową i ubliżać obecnym. Mimo to wielu panów starało się mu przypodobać, by zyskać poparcie dla kariery, a wiele dam marzyło o bliższej z nim znajomości. Zofia, która pokonała wszystkie rywalki, jakoś sobie z chorą agresją kochanka radziła i do jego śmierci trwała w tym związku. W 1791 roku książę został wysłany do Jass na rokowania z Turcją. W czasie tej podróży zasłabł i zmarł. Stało się to 16 października 1791 roku. Zofia straciła ważnego protektora. „Nikt go tak nie żałuje z Polaków jak Wittowa” – pisał złośliwie z Kamieńca następca Witta,

generał Orłowski.

Dwa miesiące po śmierci Potiomkina, w połowie grudnia odbył się bal z okazji imienin imperatorowej. Na tym balu generałową Wittową zachwycił się jeden z najmożniejszych magnatów Rzeczypospolitej, pan na Tulczynie, później niesławnej pamięci marszałek konfederacji targowickiej, Stanisław Szczęsny Potocki, żonaty z Józefiną z Mniszchów, która jej taki afront niegdyś wyrządziła, wyjeżdżając z domu.



Józefina była drugą żoną Szczęsnego. Pierwsza, poślubiona w tajemnicy przed rodzicami, Gertruda z Komorowskich, została porwana na rozkaz swego teścia, Franciszka Salezego Potockiego, i być może za jego cichym przyzwoleniem zamordowana. Historia ta wstrząsnęła całą Rzeczypospolitą i stała się później kanwą słynnej powieści poetyckiej Antoniego Malczewskiego *Maria*.

W pierwszych latach małżeństwa Szczęsny był w swojej drugiej żonie „śmiertelnie zakochany”, pisywał nawet do niej wiersze, zresztą fatalnie grafomańskie. Dama ta nie należała do cnotliwych. Państwo Potoccy mieli jedenaścioro dzieci, z czego ponoć tylko troje najstarszych spłodzonych zostało przez męża, reszta zaś miała ojców różnych.

Obie panie podejście do życia erotycznego miały zatem podobne, jednak Józefinie ze względu na pochodzenie z wyższych sfer więcej uchodziło i łatwiej jej wybaczano skandale. Różniło je także to, że Józefina mogła szaleć wyłącznie dla przyjemności, mogła się kochać, w kim chciała, nie musiała niczego załatwiać ani nikogo zadowalać. Zofia zaś mozolnie budowała swoją społeczną pozycję, co tamta miała zapewnione z racji urodzenia.

W połowie grudnia 1791 roku romans Szczęsnego z panią Wittową stał się faktem powszechnie znanym. Józefina przebywała wtedy w Wiedniu, godząc się na taką sytuację. Nawet było jej to na rękę, bo sama miała więcej swoxi.



***SZCZĘSNY JERZY POTOCKI**, kochanek własnej macochy, na portrecie
pędzla
Jana Chrzyciela Lampiego (Wikimedia Commons)*



Na fasadzie tulczyńskiego pałacu widniała sentencja: „By wolnych i cnotliwych był zawsze mieszkaniem”. Nabrała ona szczególnie gorzkiego wydźwięku, gdy latem 1792 roku świętowano tu triumf konfederacji targowickiej i odbywały się z tego powodu przedstawienia teatralne, bale i maskarady. W końcu czerwca tego roku Zofia przyjęła zaproszenie Szczęsnego do Tulczyna i w ten sposób znalazła się w pałacu, w którym przed kilku laty tak ją nieładnie potraktowano. Teraz witana była uroczyście, jako specjalny gość samego pana domu. Znalazła się w swoim żywiole, święciła triumfy towarzyskie, przyciągała zachwycone spojrzenia panów, zazdrosne pań, obsypywano ją komplementami. Nadworny wierszopis Potockich, sekretarz Targowicy, Dyzma Bończa Tomaszewski, popełnił na jej cześć utwór. Chęci miał na pewno jak najlepsze, niestety znalazły się w nim także słowa niezbyt fortunne ze względu na poruszenie drażliwego dla kobiety tematu wieku:

Zofijo! Tyś jest dziecięciem miłości,
Ona ci testamentem swoim legowała,
Że w najpóźniejszej nawet starości
Będziesz kochanką i będziesz kochała...¹¹.

Tulczyńska sielanka potrwała trzy tygodnie. W dziewięć miesięcy później przyjść miało na świat pierwsze dziecko Zofii i Szczęsnego.

W lipcu 1792 roku Potocki opuścił Tulczyn na czele dwóch tysięcy ludzi, niespokojny, że Katarzyna II niecierpliwi się słabymi postępami konfederacji. Pani Wittowa też wyjechała, ale że nie wypadało im pokazywać się publicznie razem, więc na razie się rozdzielili.

Józefina była już wtedy z dziećmi w Petersburgu i czekała tam na małżonka, aby ułożyć tekst ugody majątkowej. Uznała romans z Greczynką za przelotny i postanowiła go przeczekać. Ugodę zawarli szybko. Szczęsny oświadczył, że z powodu choroby wyjeżdża na dłużej za granicę, a żona miała zająć się majątkiem i dziećmi. Przyjęła na siebie wszystkie długi i zobowiązała się wypłacać corocznie mężowi pięćdziesiąt tysięcy dukatów, czyli dziewięćset tysięcy złotych polskich, a w wypadku jego śmierci przekazywać tę sumę jeszcze przez dwa lata osobie wskazanej przez niego w testamencie, którą oczywiście miała być Zofia.

Uzgodniwszy sprawy finansowe, Szczęsny wyjechał do Hamburga. Tu dołączyła do niego kochanka, która nieco wcześniej, w kwietniu 1793 roku, w Mińsku pod Warszawą urodziła mu syna. Konstanty, zwany przez rodziców Kotulą, był pierwszym z ośmiorga dzieci, które zrodzić się miały z nieślubnego, a potem ślubnego związku Greczynki Zofii Glavani, *primo voto* Wittowej, z polskim magnatem Stanisławem Szczęsnym Potockim.

Podczas gdy Rzeczpospolita konała, eksmarszałek Targowicy wraz z kochanką pędzili beztroski żywot w Hamburgu. Bardzo możliwe, że tutaj piękna pani nie tylko Szczęsnego darzyła względami. W liście do Adama Moszczeńskiego

Józefina Potocka tak pisze o dochodzących ją pogłoskach: „często sceny dama ta miewała z mężem moim, które – jak mówią – i na zdrowie jego influują, tak dalece, że raz krew sobie puścić kazał”¹². Coś musiało być na rzeczy, bo drugi syn, który przyszedł na świat latem roku 1794, traktowany był gorzej niż starszy brat, a w liście Zofii do męża z tego czasu znalazło się zapewnienie, iż mimo jej matczynych uczuć do Mikołaja zwanego Nikoluszką na pierwszym miejscu w ich domu będzie zawsze Kotula. Czyli mały Mikołaj został przez Szczęsnego uznany, ale tak naprawdę mógł być owocem romansu Zofii z kimś innym.



Zarówno obecny kochanek Zofii, jak i jego dwaj towarzysze spod znaku Targowicy, hetmani Ksawery Branicki i Seweryn Rzewuski, uszli insurekcyjnej sprawiedliwości wymierzonej w zdrajców, w samą porę uciekając z Rzeczpospolitą. We wrześniu 1794 roku na publicznej szubienicy lud Warszawy dokonał egzekucji jedynie na ich portretach. Szczęsny Potocki dowiedział się o tym już na początku października i mocno nim to wstrząsnęło. Ale wcale nie z powodu wyrzutów sumienia, tylko z pychy. Jak to? On, Potocki, pan z wielkiego rodu, godny korony królewskiej, został osądzony przez tłum? Skazany zaocznie na śmierć, utratę czci, urzędów i praw obywatelskich oraz konfiskatę majątków? Napisał do najjaśniejszej imperatorowej, aby raczyła ukarać niecznych buntowników. Kilka miesięcy później w kolejnym liście do Katarzyny II uznał się za Rosjanina.

Jego ukochana też przeżywała te dramatyczne wydarzenia. Wprawdzie była cudzoziemką i miała naturę kosmopolitki, więc nad upadkiem Rzeczpospolitej raczej nie rozpaczała, ale zabolą ją to, że na szubienicy stracono kilku jej adoratorów. Wśród nich znalazł się też świetny kiedyś dyplomata, teraz okrzyknięty zdrajcą – Karol Boscamp-Lasopolski.



W czerwcu 1795 roku Józef Witt, korzystając ze swoich praw męża, zażądał powrotu małżonki. Zapewne wymyślił sobie, że tym sposobem zacznie starania o uzyskanie od krezusa Potockiego rekompensaty za zabranie mu żony. Szczęsny drogą morską powrócił do kraju, a pani Wittowa z dziećmi i większością służby ruszyła przez Poznań i Warszawę do Lwowa, aby rozpocząć tam proces rozwodowy z generałem. Po drodze zatrzymała się w Nieborowie u Heleny z Przeździeckich Radziwiłłowej i tu miała okazję obejrzeć jej sławną Arkadię. „Trudno o coś piękniejszego i bardziej romantycznego. [...] Spacerując ogrodami

Arkadii, miałam uczucie, że w pełni lata przeżywam wiosnę. Plantacje są świetnie prowadzone, a każde drzewo zdaje się mówić: Dobrze mi tutaj”¹³ – napisała do Szczęsnego. Zrodził się wtedy pomysł założenia parku na Krymie, który ostatecznie zmaterializował się w innej lokalizacji – w postaci rozslawionej później na całą Europę Zofiówki pod Humanem.

Sprawa rozwodu nie była prosta. Zofia przyjęła taktykę taką, iż w roku 1779 zawarła małżeństwo pod przymusem, nie zdając sobie sprawy z istoty swojego czynu. Na sali sądowej wygłosiła ułożoną przez adwokata deklarację:

Ja, Zofia Wittowa, przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, że ja od Josepha Witt z rai¹⁴ tureckiej chocimskiej nie końcem zawarcia z nim małżeństwa, lecz tylko końcem przyobiecanego mi od niego mnie do matki mojej odesłania, sprowadzona byłam i od tegoż Witt w domu jego własnym potajemnie trzymana. I tak w mocy jego będąca, po uczynionych od niego groźbach, że jeżeli na małżeństwo z nim nie zezwolę, on mnie baszy chocimskiemu wyda, ja trzeciej nocy do kościoła przyprowadzona zostałam, i mnie nie chcącej i nie zezwalającej w tym kościele ślub dany był. Tak mi Boże dopomóż!¹⁵

Kto ją znał w młodości, ten by nie uwierzył, ale sąd we Lwowie dokument uwzględnił, tym bardziej że poparło go paru świadków, z kolei wspartych funduszami Szczęsnego, a wśród nich znalazła się niejaka Elżbieta Czerkiesowa, jej gospodyni z Kamieńca. Zeznali oni, że w roku 1779 Dudu koniecznie chciała wracać do Konstantynopola, tymczasem major zatrzymał ją siłą w Kamieńcu. Siedemnastego listopada 1795 roku piękna Zofia uzyskała sądowe unieważnienie małżeństwa, jednak musiała się jeszcze ułożyć z eksmałżonkiem, bo wyrok austriackiego sądu państwowego był prawomocny na terenie Galicji, ale na terytorium Cesarstwa Rosyjskiego zyskiwał moc prawną tylko przy braku sprzeciwu drugiej strony. Mąż pogodził się z rozstaniem, jednak nie zamierzał tak szybko się poddawać. Szczęsny był zbyt bogaty, by z takiej okazji nie skorzystać.

Targowano się ostro. W lutym 1796 roku, po siedemnastu latach trwania, związek małżeński Zofii Glavani z Józefem Wittem został zakończony. Zofia odstępowała na rzecz swego syna Jana Witt'a dwie sumy: sto tysięcy złotych polskich ulokowane u księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego oraz pięćdziesiąt tysięcy złotych polskich – u Stanisława Szczęsnego Potockiego. Procenty od tych sum pobierać miał dożywotnio Józef Witt. Zofia przekazywała również eksmałżowi sumę trzystu pięćdziesięciu tysięcy złotych polskich dla syna na zakup dóbr Gruszki od Szczęsnego Potockiego. Dochód z włości miał pobierać aż do swojej śmierci Józef Witt. Gdyby Jan zmarł bezpotomnie, majątek przechodził na spadkobierców Zofii. Do tego Zofia scedowała na męża swoje dobra białoruskie nadane przez Katarzynę. Oczywiście wszystkie koszty związane z odszkodowaniem na rzecz generała pokrywał z własnej kiesy Potocki. Trzeba przyznać, że ów hojnie zapłacił za najpiękniejszą kobietę Europy byłemu jej

mężowi.

Tymczasem Józefina nie godziła się na rozwód, a rozwiedziona Zofia bez ślubu ze Szczęsnym traciła swoją dotychczasową pozycję społeczną. W wieku trzydziestu sześciu lat trudno by jej było zaczynać karierę uwodzicielki od początku. Sytuacja rodzinna Potockich też nie należała do łatwych. Józefina uważała się za prawowitą żonę, ale to Zofia przebywała w Tulczynie u boku Szczęsnego. Dzieci Szczęsnego i Józefiny znajdowały się wprawdzie pod opieką matki, jednak coraz więcej czasu spędzały w Tulczynie, przy czym Zofię traktowały jak wroga, uważając ją za intrygantkę czyhającą na rodzinny majątek. Podobnie odnosili się do niej niektórzy magnaccy i szlacheccy sąsiedzi. Ratowało ją to, że była urocza i umiała sobie ludzi jednać, zwłaszcza mężczyzn. A także to, że kochanek nadal darzył ją płomiennym uczuciem.

Szczęśny bardzo się starał. Na wyspie na stawie w tulczyńskim parku kazał wybudować łaźnię turecką i luksusowo ją wyposażyć, aby ukochana mogła korzystać z takich kąpielí, do jakich w młodości przywykła. Najpiękniejszym wszakże darem zakochanego magnata była Zofiówka, wielki park pod Humaniami, którego koncepcja narodziła się podczas wizyty Zofii u księżnej Heleny Radziwiłłowej w Arkadii.



Kto gajów tuskulańskich smakował ochłody,
Kto uwieńczał Tyburu spadające wody,
Kto straszne Pauzylipu przebywał wydroże,
Jeszcze i Sofijówce zadziwiać się może.

Stanisław Trembecki, *Sofijówka sposobem topograficznym opisana*

Jeden z największych parków ówczesnego cywilizowanego świata powstał w malowniczym jarze rzeczki Kamionki, do którego przylega teren usiany wielkimi głazami i rzadko zalesiony. Prace rozpoczęte w 1796 roku trwały dziewięć lat, realizacja założenia pochłonęła astronomiczną kwotę piętnastu milionów złotych polskich. Autorem projektu oraz kierownikiem robót był dawny oficer artylerii polskiej kapitan Ludwik Metzler. Marmury, posągi, maszyny hydrauliczne sprowadzono z Europy, egzotyczne okazy drzew i sadzonki roślin przywożono z Turcji. Główną część założenia stanowiły dwa sztuczne stawy, górny i dolny. Różnica ich poziomów wynosiła dwadzieścia trzy metry. Fontanna na stawie dolnym tryskała na wysokość około dwudziestu metrów. Do tego dochodziła architektura parkowa, kaskady, sztuczne grotty i niezwykła roślinność. Do dziś Zofiówka, znajdująca się obecnie na terenie Ukrainy, uważana jest za jeden z najpiękniejszych parków kontynentu.

Czarowne to miejsce prędko zyskało wielką sławę. Jeszcze za życia swej urodziwej właścicielki stanowiło atrakcję turystyczną. Julian Ursyn Niemcewicz po wizycie w 1818 roku opisał Zofiówkę następująco:

Przezroczyście, obszerne wód kryształę, szumne, wspaniałe tychże wód spady, wysokie na czterdzieści łokci wytryski, chłodne i pięknie zasadzone gaje, pyszne przysionki, obeliski, kolumny, podstawy z granitu – to jest, co wszędzie uderza. W granitowych, na dziesięć łokci obszernych kolcach zasadzone najkrajniejsze i najświeższe kwiaty; jaskinie pełne świeżości i chłodu – wszystko to zajmuje, zachwyca. Oranżerie odpowiadają i piękności miejsca, i bogactwom właściciela; osobne gmachy na ananasy, osobne na figi, banany, i inne na rozmaite egzotyczne rośliny i drzewa. Zdaje się, że ród najkrajniejszych ptaków z dalekich stron przyszedł umyślnie zamieszkiwać i zdobić te piękne gaje. [...] We wspaniałej jaskini, ochłodzonej szmerem wody, przy dętej muzyce Szczęsny dobremu towarzystwu dawał obiady¹⁶.

Park rozstawił Stanisław Trembecki, który na zaproszenie Szczęsnego Potockiego przeniósł się na stałe do Tulczyna. W poemacie *Sofijówka w sposobie topograficznym opisana* nazywa ten prezent swego protektora dla ukochanej „krajną mlekiem płynącą i miodem”. A widoki w tej krajnie są następujące:

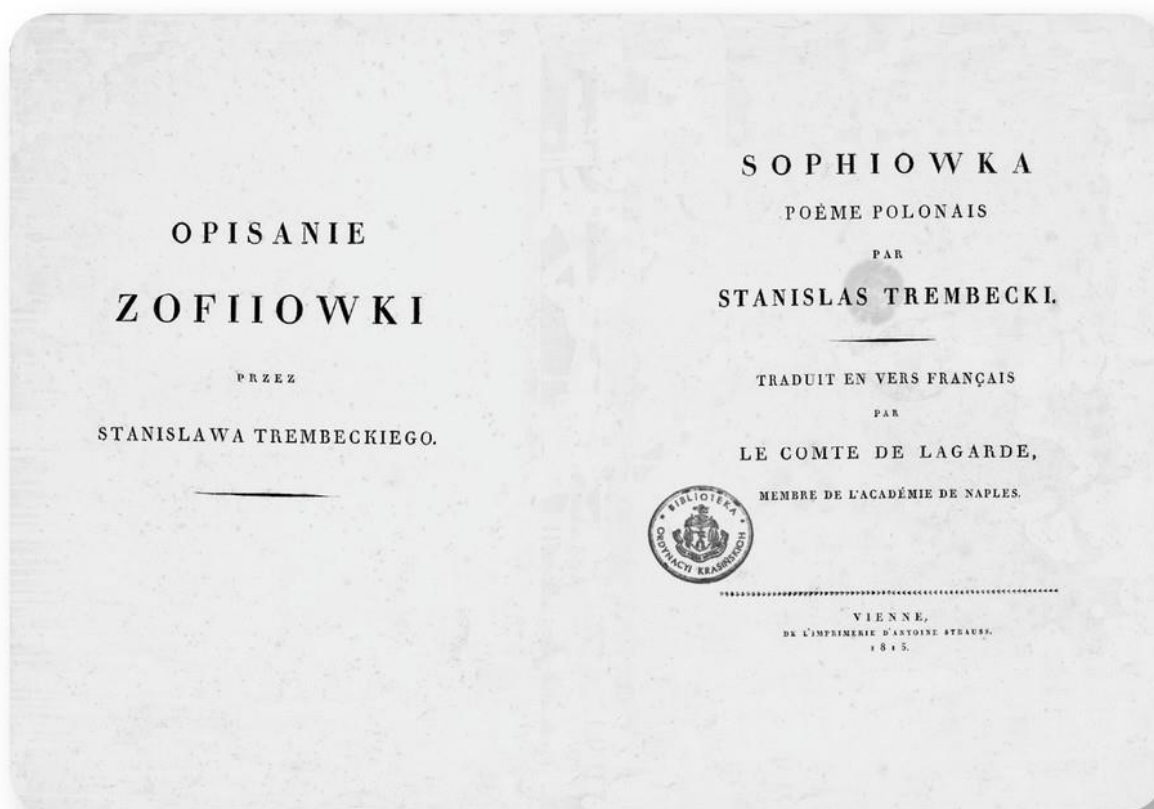
Chudą pierwej golizną świecące pagórki
Z daleka przyniesione ocieniły borki,
Gdzie między krajowymi umieszczane drzewy,
Są z Libanu z Atlasu, z antypodów krzewy.
Od nich mię po kamieniach noga niesie letka
Ku niższej grocie króla, rzeczonej Łokietka.
Nie wszystkim w tę jaskinię uczęszczać się godzi,
Młodszy świat w niej się bawi, Patagon¹⁷ nie wchodzi.

Największym wszak skarbem parku jest jego właścicielka, którą poeta porównuje do przybyłej z Olimpu bogini:

Lecz te miejsca, Sofijo, więcej zdołasz sama,
Podobniejsza niebiankom niż córkom Adama.
Ciebie to spuścił Olimp, chcąc trudy nagrodzić,
I chcąc takiego męża ważne troski słodzić
Godne są w jego domu wiek utwierdzać złoty
Twe wdzięki, twe piękności, twe łagodne cnoty;
A póki między rodem ludzkim raczysz gościć,
Pół świata czić cię będzie, drugie pół zazdrościć.

Za ten hołd złożony piękności i cnotom (*sic!*) ukochanej kobiety Szczęsny Potocki zapłacił – jak pisze Antoni Rolle – dwa tysiące czerwonych złotych, co dawało cztery dukaty za wers poematu. Mało który poeta może się pochwalić takim honorarium.

W 1811 roku, już po śmierci Szczęsnego, zawitał do Tulczyna podróżujący po Rosji i Bałkanach literat francuski Auguste de Lagarde de Chambonas. Zakochany po uszy w pięknej pani Potockiej i w jej czarodziejskim parku, przełożył poemat Trembeckiego na francuski. Przekład ten ukazał się drukiem w Wiedniu w roku 1815 i zapewne to ona pokryła koszty druku. Książkę ilustrowały sztychy z widokami parku.



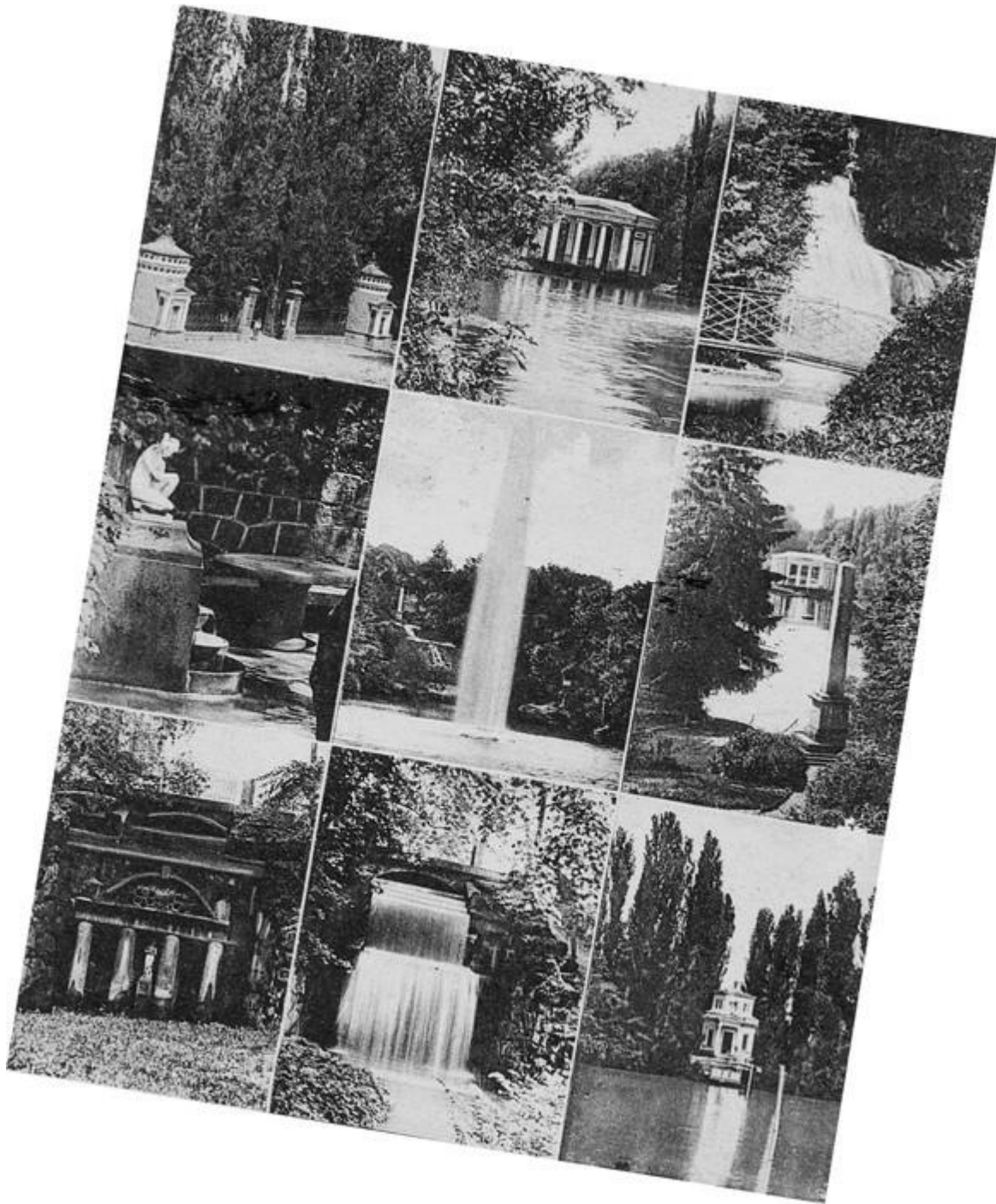
STRONA TYTUŁOWA FRANCUSKIEGO TŁUMACZENIA poematu Stanisława Trembeckiego (Wikimedia Commons)

A o parku tak literat napisał prozą:

Jakaż różnorodność kwiatów i trawników! Jakaż obfitość źródeł i strumieni! Powietrze przepojone jest tutaj zapachem tysiąca perfum; śpiew ptaków i szum kaskady budzą słodkie marzenia; w zaroślach owoce ze wszystkich stron świata zdają się jeno naturze zawdzięczać swój smak i swoją okazałość. [...] Przeszedłszy rzeczkę po żelaznym moście, którego lekkość równa się pięknu ornamentacji, widzimy wielką orientalną wazę z granitu, pełną najrzadszych kwiatów, która wznosi się na półwyspie otoczonym wodami, rojącym się od złocistych ryb. Olbrzymie głązy, jakby zawieszane w powietrzu, tworzą grotty, przez których

szczeliny w najróżniejszy sposób oglądać można nieodległą kaskadę. W głównej grocie, obrośniętej bluszczem i wiciokrzewem, woda dzieli się na dwa strumienie i tworzy wyspę zawieszoną nad przepaścią, w którą spada potok. [...] Łagodny stok prowadzi ku wejściu do głębokiej jaskini, ze sklepieniem opartym na wielkim bloku granitu, skąd wytryska obfite i burzliwe źródło. Jaskinia ta poświęcona jest Szczęściu, jak głosi wiersz polski tutaj wyryty:

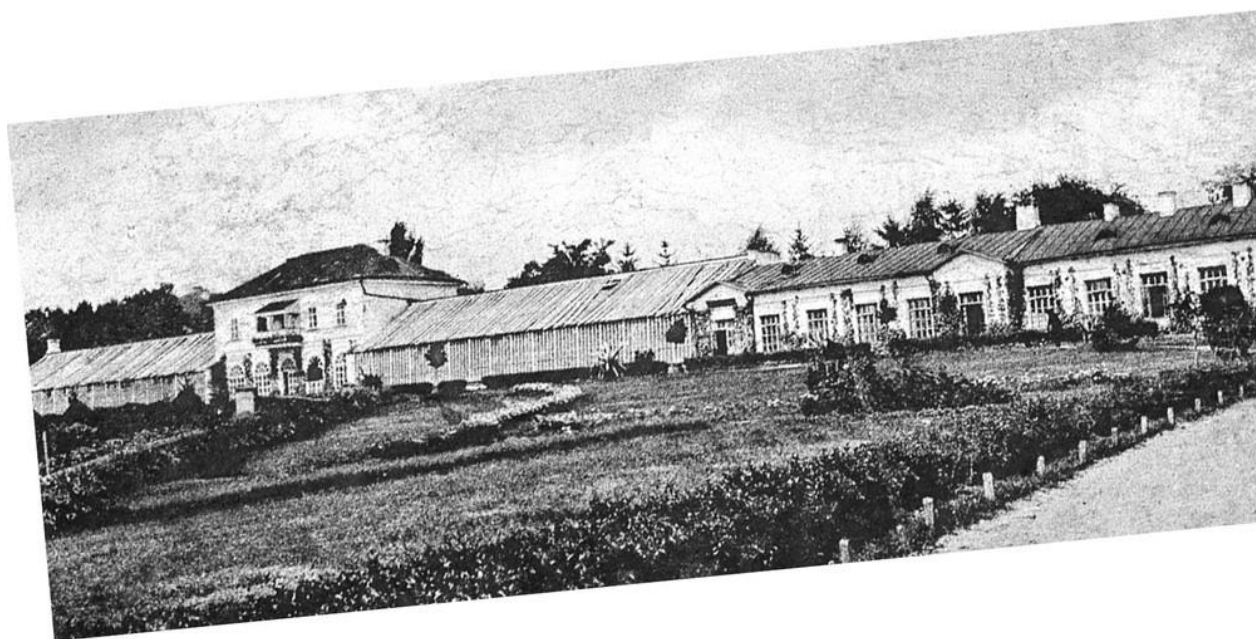
Strać tutaj pamięć nieszczęść,
I przyjm szczęścia wieszczę,
A jeśliś jest szczęśliwym,
Bądź szczęśliwszym jeszcze¹⁸.



Słynny na całą Europę park pod Humaniem na pocztówce z 1909 r.
(Biblioteka Narodowa)



ŚWIĄTYNIA WENERY w Zofiówce. Fotografia sprzed 1904 r. (Biblioteka Narodowa)



ORANŻERIA W ZOFIÓWCE. Pocztaówka z lat 1905–1910 (Biblioteka Narodowa)



PARK ZOFIÓWKA – WYSPA MIŁOŚCI. Fotografia z 1915 r. (Biblioteka Narodowa)



Zofiówka była ukochanym miejscem pięknej Bitynki – prezentem od wielbiącego ją mężczyzny, godną oprawą dla jej niezwykłej urody. Tu była naprawdę szczęśliwa. W Tulczynie i w Humaniu przeżyła najlepsze lata spędzone ze Szczęsnym – jako prawowita żona, matka jego dzieci. W Zofiówce pochowanych zostało pierwszych troje przedwcześnie zmarłych: Konstanty, Mikołaj i Helena. Przy okazji warto odnotować, że dziwnym trafem nieślubne dzieci Zofii i Szczęsnego nie przeżyły wieku dziecięcego, natomiast potomstwo z prawego łoża uchowało się szczęśliwie. Znacznie to upraszczało później problemy spadkowe po śmierci ich ojca, i bez tego mocno skomplikowane.

W połowie roku 1798 przyszedł na świat Aleksander, pierwsze z jej dzieci, które miało prawo do nazwiska Potockich. Ślub stał się wreszcie możliwy, bo w staraniach o zgodę Józefiny na rozwód Zofia znalazła niespodziewanego sojusznika.

Najstarszy syn Szczęsnego i Józefiny, Szczęsny Jerzy Potocki, liczący wówczas lat dwadzieścia jeden, był nieopanowanym hazardzistą, przegrywającym

niewyobrażalne wprost sumy. Życie prowadził nie tylko hulaszczę, ale i rozpustne. Bywalec domów uciech, zadawał się z awanturnikami, utrzymywał kurtyzany. Miał wprawdzie ambicje artystyczne i literackie, ale na ambicjach się kończyło, bo ani talent, ani pracowitość za nimi nie nadążały. Demoralizację syna Stanisław Szczęsny chętnie przypisywał wpływowi Józefiny. Fakt, że młody człowiek był blisko związany z matką, i zapewne dlatego Zofia zwróciła się do niego z prośbą o przekonanie pani Potockiej do rozwodu. Przyszły pasierb obiecał pomóc. Być może w zamian ona miała ułagodzić gniew ojca za karciane długi.

Na początku 1798 roku dzięki pośrednictwu syna państwo Potoccy podpisali układ rozwodowy. Wkrótce potem w kościele katolickim w Tulczynie miał miejsce ślub, bardzo skromny, ale za to podwójny. Najpierw katolicki, potem prawosławny. Ten drugi obrządek oficjalnie odbył się ze względu na wyznanie panny młodej, a tak naprawdę była to raczej demonstracja lojalności obojga małżonków wobec władz rosyjskich.

Minęły trzy lata od zniknięcia Rzeczypospolitej z mapy Europy. Dawna Dudu, utrzymanka polskiego dyplomaty, weszła do sfery najwyższej postawionej w szlacheckiej hierarchii. Została żoną potężnego magnata, któremu w pewnym momencie rola się nawet polska korona – hrabiną Potocką i panią na Tulczynie.



Opinia publiczna nie dawała zapomnieć o przeszłości. Małżeństwo ekskladacznicy z targowiczanie miał dla osób z kręgów patriotycznych głęboko symboliczną wymowę. Dawano temu wyraz w wierszach ulotnych krążących w odpisach, takich jak ten:

Greki w jatkach stambulskich krwią się twoją szczycą,
Doskonała w swej sztuce, stara nierządniczo!
Wszystkie stany zgorszywszy płci swojej sromotą,
Złączyłaś się na koniec z publicznym niecnotą.
Dotąd sformiejszej pary nie wydały piekła:
Jego ludzkość, a ciebie skromność się wyrzekła!¹⁹.

Mówiono: sprytna Greczynka, cyniczna ładacznica u boku magnata zdrajcy. Mówiono: to ona go do zdrady nakłoniła, ona przyczyniła się do zagłady Rzeczypospolitej. Oczywiście była w tym przesada. Nie musiała marszałka Targowicy do niczego nakłaniać. Jerzy Łojek jest wręcz zdania, że nawet go powstrzymywała. Jak było, tak było, w każdym razie piękna Zofia została uznana przez wielu za kobietę złą i niemoralną. Do historii weszła z mężem jako para tych, którzy przyczynili się do upadku Rzeczypospolitej.



W roku 1799 lub 1800 państwo Potoccy wyjechali do Włoch. Po powrocie, prawdopodobnie w roku 1800, Zofia urodziła drugiego syna noszącego nazwisko Potocki – Mieczysława. W następnych latach przysły na świat córki, Zofia i Olga, a potem jeszcze jeden syn – Bolesław. Ten ostatni był owocem kolejnego pozamałżeńskiego związku.

Na początku dziewiętnastego wieku Europa żyła Napoleonem i jego wojnami, a na Podolu panował spokój. W Tulczynie bawiono się hucznie. Coraz mniej bywało tu dawnej szlacheckiej klienteli, coraz więcej rosyjskich wyższych oficerów i dygnitarzy. Panowie adorowali piękną gospodynię, panie udawały wielką dla niej przyjaźń. W pałacowym teatrze wystawiano komedie, scenki rodzajowe, dramaty i opery – kilkanaście nowych przedstawień rocznie i wznowienia starych sztuk, zarówno polskich, jak i francuskich. Tych ostatnich było zapewne więcej ze względu na skład gości oraz umiejętności językowe pani domu. Najwięcej w Tulczynie działo się w maju, kiedy tłumy zjeżdżały się powinszować imienin najpierw w dniu św. Stanisława, a potem św. Zofii.

Dzieci Józefiny nie akceptowały drugiej żony ojca. Szczęsny Jerzy jako jedyny spośród nich okazywał jej przyjaźń. Aż w końcu z tej przyjaźni został kochankiem szesnaście lat starszej macochy, o czym mówią liczne relacje i świadczy korespondencja obojga. Dobrze się kryli z romanssem i długo trwało, nim Stanisław Szczęsny się dowiedział. Nie chciał odtąd więcej widzieć wiarołomnej, która wtedy była w ciąży, do syna czuł słuszny gniew i pretensje. Przeżyty wówczas szok podobno stał się przyczyną jego przedwczesnej śmierci. Był już schorowany, a w dodatku jesienią 1804 roku sprowadził do Tulczyna szarlatana, alchemika i wyznawcę doktryny iluminatów Tadeusza Grabiankę, którego uważał za świętego męża i z namaszczeniem słuchał jego nauk. Bardzo się przez to pogorszył jego i tak fatalny stan psychiczny.

Chorował i sam się leczył, pijąc wodę zaprawioną smołą. Podejrzewał, że bliscy chcą go otruć. Jadł tylko to, co mu córki na jego oczach przyrządziły. Nie wiadomo, czy przed śmiercią wpuścił do siebie żonę, która lada dzień miała urodzić jego wnuka. Zmarł w końcu marca 1805 roku w wieku pięćdziesięciu trzech lat. Przy sekcji lekarze stwierdzili „gnijące nerki”, co ich zdaniem wzięło się „ze zbytniego zażywania cukierków, diaboliniami zwanych, do sprawy lubieżnej pobudzających”. W tym samym czasie Zofia urodziła ostatnie ze swoich dzieci, syna Bolesława, poczętego w grzesznym związku z pasierbem.

Pogrzeb był bardzo uroczysty, ale nie obyło się bez skandalu. Po egzekwiach w kościele zostawiono ciało w kaplicy, w otwartej trumnie. W nocy doszło do włamania do świątyni i rano znaleziono nagie zwłoki oparte o ścianę. Nieznani

sprawcy wykonali pośmiertnie wyrok trybunału z 1794 roku, pozbawiający marszałka Targowicy wszystkich tytułów i godności: trupa odarto z munduru, klejnotów i orderów, które otrzymał jako nagrodę za zdradę ojczyzny.



Zofia długo zachowała swój niezwykły urok. Nadal darzyła Szczęsnego Jerzego uczuciem i wciąż był dla niej ważny, choć dawna zażyłość uległa rozluźnieniu. Po śmierci męża nie miała najmniejszych oporów, by zawrócić w głowie kilku petersburskim dygnitarzom, romansowała z posłem brytyjskim w Rosji, szkockim lordem Alexandrem Hamiltonem Douglasem, a jednocześnie skutecznie i konkretnie uwodziła senatora Mikołaja Mikołajewicza Nowosilcowa (tak, tak, tego polakożercy z *Dziadów*), bo miał stały dostęp do cesarza, a to mogło okazać się przydatne w obecnych kłopotach owdowiałej hrabiny.

Po śmierci Potockiego zaczęły się spory o podział spadku. Do Tulczyna zjechała prawie cała familia, przeciwko Zofii solidarnie zjednoczona – wyłamywał się tylko zakochany w niej pasierb, który zresztą tymczasowo objął w zarząd wszystkie latyfundia. Chciano ją pominąć przy podziale schedy i były do tego podstawy, bo na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej do 1840 roku obowiązywały Statuty litewskie, które nie przewidywały małżeńskiej wspólnoty majątkowej. Prawo własności żona miała tylko do tego, co wniosła w posagu. Intercyza zazwyczaj zabezpieczała posag żony na dobrach męża oraz określała wysokość wiana, to znaczy tej części majątku męża, którą na wypadek jego śmierci wdowa mogła dożywotnio użytkować. Po zgonie męża należała się wdowie tylko „wyprawa” oraz udział w dziedziczeniu ruchomości. Z dziedziczenia dóbr nieruchomości była wyłączona.

Przy przeprowadzonym w ten sposób postępowaniu Zofia mogłaby jedynie opiekować się częścią spadku przypadającą jej pięciorgu dzieciom, ale tylko do chwili osiągnięcia przez nie pełnoletniości, a potem zostałyby bez dochodów. Nie wniosła mężowi posagu, więc nie miała własnego majątku. Jedyne dobra będące jej własnością – na Białorusi, подарowane przez Katarzynę II – oddała Józefowi Wittowi podczas rozwodu. Zaczęła więc walkę o przyznanie jej równego udziału w spadku po mężu, co zaostrzyło i tak napięte stosunki z pasierbami. Na domiar złego jesienią 1805 roku wystąpiła przeciwko niej druga żona Witta, Karolina. Wniosła ona pozew do sądu w Winnicy, domagając się urzędowego stwierdzenia, że orzeczone we Lwowie w listopadzie 1795 roku rozwód Józefa i Zofii Wittów nie jest prawomocny. Chciała bowiem unieważnić swój własny ślub na tej podstawie, że gdy za niego wychodziła, Witt był mężem Zofii. To groziło zakwestionowaniem legalności małżeństwa Zofii i Stanisława Szczęsnego. Mówiono, że za wycofanie tego pozwu Zofia zapłaciła Karolinie Wittowej sto

tysięcy rubli.

Po załatwieniu tej sprawy Zofia Potocka wyjechała z dziećmi do Petersburga, aby starać się o specjalny ukaz cesarski, przyznający jej równe prawo do współdziedziczenia. W Tulczynie został Szczęsny Jerzy, zarządzający tymczasowo latyfundiami po ojcu. Mając dostęp do pieniędzy, i to dużych, rzucił się w wir hazardu. Grał całymi dniami i nocami. Do Tulczyna ściągały tłumy nałogowych graczy.

Dzięki bliskim stosunkom z pasierbem Zofia miała kontrolę nad majątkiem, którym on zarządzał, bardzo zresztą nieudolnie. Reszta klanu Potockich traktowała ją jak wroga, zwłaszcza dwaj średni synowie, Stanisław i Jarosław (zwany w rodzinie z francuska Żerosławem), a także najmłodszy Włodzimierz. Pewnie by im się udało odsunąć zniechęconą macochę od spadku, gdyby nie interwencja samego cesarza – jak można się domyślić: na prośbę Nowosilcowa. A ten zainterweniował na prośbę Zofii – też łatwo się domyślić, czym popartą.

Wątpliwości spadkowe rozstrzygnąć miał petersburski senat. Zofia liczyła na pana senatora i oprócz darzenia go intymną sympatią oraz zapewniania w czułych listach o swojej miłości, starała się, by przyjmował bardziej konkretne dowody wdzięczności. Na początku 1807 roku tak do niego pisała:

Proszę cię, zaklinam, abyś nie odmówił mi łaski przyjęcia załączonych sześciu tysięcy dukatów, na koszt twojej podróży i na twoje drobne wydatki tutaj. Nie miej żadnych skrupułów, gdyż zapewniam cię, że mnie to wcale nie żenuje, a poza tym ja zostaję w kraju, gdzie mam mnóstwo zasobów. Odmowa z twojej strony sprawiłaby mi wielki ból²⁰.

Jak można się domyślać, Nowosilcow nie sprawił hrabinie Potockiej bólu odmową. I zapewne nie był to jedyny taki raz.



Jesienią 1807 roku Zofia odkupiła od Szczęsnego Jerzego jego zrujnowane i zadłużone majątki, a jego samego postanowiła wysłać za granicę, celem poratowania zdrowia nadwątlonego hulaszczym trybem życia.

- Musisz wyjechać – błagała. – Dla własnego dobra.
- Tylko wtedy, jeśli ty przyjedziesz do mnie. Weźmiemy ślub w Rzymie. Zamieszkamy we Włoszech i będziemy szczęśliwi.
- Dobrze, kochanie. – Była gotowa obiecać wszystko, byle się zgodził na wyjazd. – Ale najpierw muszę załatwić do końca sprawę spadku.
- Chcę, aby moje siostry, Zofia i Olga, odziedziczyły część przypadającą na mnie po ojcu.
- Twoje rodzeństwo na to nie pozwoli. Żerosław mnie nienawidzi. A Ludwika nie dalej jak wczoraj kazała mi wynosić się do Stambułu.

– Nie bój się. Napiszę testament. Moją wolę uszanują. Tylko obiecaj, że do mnie przyjedziesz. Umrę inaczej. Umrę bez ciebie.

– Nie umrzesz. Zobaczysz, że wyzdrowiejesz. Przyjadę, a wcześniej będę pisać. Choćby codziennie.

– Będę czekał, aniele mój. Gdyby nie ty, już by mnie chyba na tym świecie nie było...

„Zapewne – pomyślała gorzko. – Przeklęte karty. Ileż to przez nie nieszczęścia”.

Zobowiązała się wypłacać mu dożywotnio piętnaście tysięcy dukatów rocznie. Niestety niekorzystnie dla siebie przejęła też wszystkie jego długi, co okazało się zupełnie nieopłacalne, gdyż dorównywały one wartości całego jego majątku, powiększonego nawet o udział w spadku po ojcu.

Szczęśny Jerzy wyjechał wiosną 1808 roku. W ciągu następnych dwóch lat parokrotnie wysyłała mu większe sumy pieniędzy, bo znów hazardował się bez umiaru. Pisywał do niej co parę dni, a w niektórych okresach niemal codziennie, prawie zawsze błagając o pieniądze. Szantażował ją emocjonalnie opowieściami o swoich chorobach. Chory był rzeczywiście, i to ciężko, rozwiązyły tryb życia jeszcze bardziej pogarszał jego stan. Przysyłane przez Zofię, zdobywane z wielkim trudem fundusze rozchodziły się błyskawicznie. Ona też pisała, łudziła go obietnicami przyjazdu. Choć nieszczęśny pasierb był jej bliski i miała do niego duży sentyment, jednak Nowosilcow stał się ważniejszy i znacznie potrzebniejszy. Korespondowała w tym czasie z obydwojema, przy czym listy do senatora są o wiele czulsze. W sierpniu 1808 roku pojechała do Odessy i tam w towarzystwie Mikołaja Mikołajewicza starała się zapomnieć o kłopotach.

W marcu 1809 roku zakończono wreszcie negocjacje spadkowe. Zofia została opiekunką majątku swoich dzieci, co czyniło z niej panią prawie połowy wszystkich włości. Była także właścicielką dóbr odkupionych od Szczęsnego Jerzego. Zabrała się za porządkowanie zaniedbanej gospodarki, a to nie było łatwe. Rodzina zmarłego męża spiskowała przeciwko niej, brakowało pieniędzy, ciągle pojawiały się kolejne zobowiązania finansowe. Szczęśny Jerzy, jak zawsze jej oddany, sporządził testament.

Proszę jednocześnie moją macochę o następującą łaskę: moi młodszy bracia mają olbrzymie fortuny i ta niewielka scheda, która po mnie by im przypadła, w niczym nie mogłaby się przyczynić do pomnożenia ich dobrobytu. Upraszam więc panią hrabinę Zofię Potocką o takie ułożenie tych spraw, aby w chwili, gdy po długim i szczęśliwym życiu zakończy na łonie rodziny swoją egzystencję, majątek, który jej pozostawiam, został przekazany siostrom moim, Zofii i Oldze. Mam nadzieję, że bracia moi nie zechcą się sprzeciwiać tej woli swojego starszego brata²¹.

Zmarł w Tarbes, podpirenejskim miasteczku, na przełomie września

i października 1809 roku.

W grudniu 1809 roku Stanisław i Jarosław Potoccy zakwestionowali poprzednie ustalenia, w tym prawo Zofii do wyłącznej opieki nad majątkiem swoich dzieci. Sprawa wróciła do petersburskiego senatu. Nowosilcow starał się jej pomóc, ale tym razem był mniej skuteczny, a w 1810 roku popadł w niełaskę i zdecydował się wyjechać na stałe do Wiednia. Nie mógł uczynić nic więcej, toteż zainteresowanie Zofii jego osobą znacznie zmalało.



Po śmierci w kwietniu 1812 roku Włodzimierza, czuwającego nad wykonaniem ostatniej woli Szczęsnego Jerzego, obaj pasierbowie Stanisław i Jarosław znów oficjalnie wystąpili z pretensjami do spadku po Szczęsnym Jerzym. Domagali się nowych rozliczeń majątkowych i usiłowali podważyć uzgodniony wcześniej podział spadkowy. O kłótniach w Tulczynie głośno było na całym Podolu i w Petersburgu. Zwłaszcza gdy i własny syn Zofii zwrócił się przeciwko niej.

Była w zasadzie dobrą matką, ale wyraźnie faworyzowała niektóre dzieci kosztem innych. Przez całe życie najbliższy jej sercu pozostawał pierworodny, Jan Witt. Zawsze troszczyła się o niego, wypłacała mu stałą, wysoką pensję, co budziło zawiść przyrodniego rodzeństwa i dzieci Józefiny. Z młodszych dzieci zdecydowanie wyróżniała Zofię. Matka z córką były zresztą do siebie podobne urodą i temperamentem. Wobec młodszych synów Zofia była chłodna, z Mieczysławem miewała konflikty. A on zarzucał jej nieumiejętne gospodarowanie.

W 1820 roku starsza córka Zofia miała lat dziewiętnaście, młodsza Olga siedemnaście. Najstarszy Aleksander był oficerem gwardii cesarskiej, piętnastoletni Bolesław kończył właśnie domową naukę. Tego roku pod nieobecność matki Mieczysław przejął Tulczyn i opróżnił jej apartamenty, z wyjątkiem rzeczy osobistych. Gdy wróciła, siedział w gabinecie i pisał list.

– To ty, Mieczysławie, mnie ograbiłeś ze wszystkiego, co miałam?

Nie raczył nawet wstać.

– Nic nie brałem maminego, tylko to, co do mnie prawnie należy. Garderoby mamej nie tknąłem. Dla spokojności zaś mojej i wolnego rozrządzenia w domu moim, proszę mamę wyprowadzić się stąd. Czas do zabrania się mamie z domu mego dziesięć dni naznaczam.

I obróciwszy się z fotelem do biurka, podjął pisanie. Matka krzyczała, łajęła i płakała. Nie zwracał na to uwagi, zajęty swoimi sprawami.

Po takim afrontie rozwścieczona Zofia zdecydowała się na bardzo dziwny krok, który wzburzył opinię publiczną. Wniosła do akt ziemskich, a także

rozpowszechniła w odpisach, manifest przeciwko synowi, w którym stwierdziła, że Mieczysław nie jest synem Stanisława Szczęsnego, ale weneckiego bandyty Caracollego, który w czasie podróży zagranicznej napadł na zajazd, gdzie nocowała wraz z mężem, i tam ją zgwałcił. Tym samym syn jej, Mieczysław Caracolli, nie ma prawa do nazwiska swojego oficjalnego ojca ani do żadnej po nim sukcesji.

Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Psychopatyczny i cyniczny Mieczysław okazał się godnym przeciwnikiem dla rodzicielki. Oświadczył publicznie, że może to i prawda, wszak matka jego jest znaną w Europie „wszetecznicą i rozpustnicą”. Lecz skoro Stanisław Szczęsny uznał go za syna, to on jest prawnym dziedzicem przypadającej na niego części majątku.

Zofia w rozpaczy złożyła skargę do cesarza. Aleksander I podobno się zirytował i chciał zesłać krnąbrnego magnata na dożywotnie osiedlenie do Tobolska. Skończyło się na przeproszeniu matki, ale o prawdziwym pojednaniu nie mogło być mowy. Tyle że obie strony wycofały się ze swoich manifestów. Odtąd Mieczysław mieszkał w Tulczynie, a Zofia w Humanii.

Dla starszej córki Zofii zostało wkrótce ułożone małżeństwo z generałem Pawłem Kisielewem. Ślub odbył się późnym latem 1821 roku. Matka z całego serca pobłogosławiła ten związek i była to dla niej ostatnia wielka radość w życiu. Szukano teraz kandydata do ręki Olgi, która odrzuciła właśnie starania generała-gubernatora Petersburga Michaiła Miłoradowicza, za to chętnie przyjmowała hołdy młodszych wielbicieli i istniało ryzyko, że będzie kontynuować dawne obyczaje matki. Ostatecznie Olga wyszła później za hrabiego Lwa Narayszkina.



Na podstarzałą już piękną Bitynkę przyszły trudne miesiące choroby i cierpienia. Od jakiegoś czasu źle się czuła, była znacznie słabsza. Okazało się, że zaatakował ją złośliwy nowotwór narządów rodnych i wskutek częstych krwotoków coraz bardziej traciła siły. Zdawała sobie sprawę, że zostało jej niewiele czasu, a tak bardzo chciała zobaczyć jeszcze wnuka albo wnuczkę. Późną jesienią 1821 roku Zofia Kisielew napisała do matki, że marzenie jej spełni się za pół roku. Zofia bała się, że nie pożyje aż tak długo. Sporządziła testament, w którym podzieliła wszystko mniej więcej równo między swoje dzieci, wykluczając jedynie wyrodnego Mieczysława.

Klimat Petersburga, gdzie przebywała w związku ze sprawami spadkowymi, źle na nią działał i zdecydowała się wyjechać do Wiednia. Stan jej zdrowia był na tyle ciężki, że dojechała jedynie do Berlina. Tu, czując, że zbliża się koniec, napisała do Kisielewów, by z nowo narodzonym dzieckiem przyjechali do niej.

Córka dotarła na czas. Nie wiadomo, czy z małym Włodzimierzem i czy umierająca Dudu zobaczyła wnuczka. Zięć nie zdążył. Przy śmierci były obie siostry, Zofia i Olga. Zofia Potocka z domu Glavani, grecka dziewczyna lekkich obyczajów, a może też rosyjska agentka, która w Rzeczypospolitej wspięła się na sam społeczny szczyt, zmarła dnia 24 listopada 1822 roku.



Drzwi otworzyły się. Olga, stojąca przy oknie i wpatrująca się w monotonne strugi listopadowego deszczu, pomyślała, że to pewnie siostra, tymczasem do salonu weszli przyjaciel matki hrabia Alfred von Haefen oraz Paweł Kisielew.

– Gdzie Zofia? – spytał szwagier.



Córka pięknej Bitynki Olga z Potockich Naryszkińska na litografii Josefa Kriehubera z ok. 1835 r. (Biblioteka Narodowa)

– W bibliotece. Powiedziała, że jeszcze posiedzi przy matce. Ciągle płacze.
– Niestety, nie mamy dobrych wieści – odezwał się graf Alfred. – Władze wciąż zwlekają i nie chcą wydać zezwolenia. Mimo że ciało zostało zabalsamowane, i to przez tutejszego lekarza.

Olga drgnęła i poszukała wzroku generała.

– Nie możemy tu matki zostawić. Prosiła, żeby ją pochować w Humaniu, i jej życzenie jest święte. Mieczysław nie pozwoliłby pochować jej w Tulczynie. Zresztą nieważne, czy Humań, czy Tulczyn, musimy ją stąd wywieźć.

– Ale jak?

- Pawle Dmitriewiczu, musisz nam pomóc.
- Co zamierzacie?
- Przechytrzyć tych nieznośnych Prusaków. Jeśli będzie z nami rosyjski generał, nikt nie odważy się dokładnie kontrolować. Zrobimy tak. Ty, Pawle Dmitriewiczu, pojedziesz w pierwszym powozie...



W państwie pruskim obowiązywały surowe przepisy sanitarne, ale córki Dudu poradziły sobie z nimi. Zabalsamowane ciało, ubrane w bogatą suknię, umieszczono w drugiej karecie. Siedząca między Zofią a Olgą hrabina Potocka była umalowana, w jednym ręku miała wachlarz, w drugim bukiet kwiatów. Granicę przekroczyła jako osoba żywa, tyle że niedysponowana. Zapewniano, że właśnie przed chwilą zasnęła. Paszporty były w porządku, zadziałał też generalski mundur Pawła Kisielewa i żołnierze, salutując, przepuścili jadących.

Pogrzeb się odbył wspaniały. Na odcinku dziesięciu wiorst wzdłuż drogi konduktu ustawiono beczki z płonącą smołą. Eksportacja odbywała się w nocy, hrabinę odprowadzało pięćdziesięciu księży i rzesze ludu. Pochowano ją blisko ukochanej Zofiówki.

Po Powstaniu Listopadowym dobra i park pod Humanem, należące od dziesięciu lat do Aleksandra Potockiego, zostały skonfiskowane na rzecz rosyjskiego skarbu. Zofiówka otrzymała nową nazwę: Carycyn Sad, i stała się własnością rodziny cesarskiej. W 1838 roku trumnę ze zwłokami Zofii Potockiej przeniesiono z podziemi cerkwi humańskiej do Talnego, miasteczka nad Tykiczem Górnym, które odziedziczyła po matce Olga Naryszkin. Po rewolucji roku 1917 grobowiec zawierający śmiertelne szczątki pięknej Bitynki został splądrowany, ale podobno się zachował i dziś znajduje się przy wejściu do pałacowego parku.

PRZYPISY

¹ Epigramat autorstwa Anny Ludwiki Karsch w przekładzie ekszejuity Stefana Łuskiny, opublikowany w suplemencie do „Gazety Warszawskiej” z 16 VIII 1780 r. Cyt. za: Jerzy Łojek, *Dzieje pięknej Bitynki. Opowieść o życiu Zofii Wittowej-Potockiej (1760–1822)*, Warszawa 1972.

² Internuncjusz – tu przedstawiciel dyplomatyczny państwa europejskiego w Turcji.

³ Dragoman – tłumacz, podejmujący także czasem rolę dyplomaty, w krajach muzułmańskich.

⁴ Cyt. za: Jerzy Łojek, *Dzieje pięknej Bitynki...*, dz. cyt.

⁵ Cyt. za: tamże.

⁶ Cyt. za: tamże.

⁷ Lili z herbu Burbonów, a więc domu panującego (jeszcze wówczas) Francji.

⁸ Cyt. za: Jerzy Łojek, *Dzieje pięknej Bitynki...*, dz. cyt.

⁹ Cyt. za: tamże.

¹⁰ *Zagadki sejmu czteroletniego*, teksty zebrał i ustalił Edmund Rabowicz, komentarze oprac. Bernard Krakowski, Edmund Rabowicz, do druku przygot. Jerzy Kowecki, Warszawa 1996, s. 182–183 (zagadka nr 230), cyt. za: Jerzy Łojek, *Dzieje pięknej Bitynki...*, dz. cyt.

¹¹ Cyt. za: Jerzy Łojek, *Dzieje pięknej Bitynki...*, dz. cyt.

¹² Cyt. za: tamże.

¹³ Cyt. za: tamże.

¹⁴ Raja – termin oznaczający społeczność chrześcijańską znajdującą się pod tureckim panowaniem.

¹⁵ Cyt. za: Jerzy Łojek, *Dzieje pięknej Bitynki...*, dz. cyt.

¹⁶ Cyt. za: tamże.

¹⁷ Przedstawiciel mitycznej rasy zamieszkującej Patagonię, odznaczającej się wysokim, ponad trzymetrowym wzrostem.

¹⁸ Cyt. za: Jerzy Łojek, *Dzieje pięknej Bitynki...*, dz. cyt.

¹⁹ Cyt. za: tamże.

²⁰ Cyt. za: tamże.

²¹ Cyt. za: tamże.

POETA I HRABINA

Nie czuję upokorzenia, nie narzekam na to, że muszę wyjeżdżać cierpiąca duszą i ciałem, uginam się tylko pod ciężarem jednej myśli – tej mianowicie, że gniew Jego Cesarskiej Mości choćby na jedną chwilę spoczął na mnie, dla której drugą religią tu na ziemi jest wierne oddanie i miłość dla monarchy.

Karolina Sobańska do generała Benckendorfa¹

Pierwsze, moskiewskie wydanie sonetów Adam Mickiewicz zadedykował „towarzyszom podróży krymskiej”. Tomik wyszedł w październiku 1826 roku, a wspomnianą w dedykacji podróż poeta odbył w towarzystwie dość szczególnym. Należeli doń generał hrabia Jan de Witt, jego prawa ręka, czyli tajny agent Aleksander Karłowicz Boszniak, późniejszy autor *Pamiętek Soplicy* Henryk Rzewuski oraz jego piękna siostra Karolina Sobańska – druga prawa ręka Witta, kochanka jego i Mickiewicza.



ADAM MICKIEWICZ według rysunku Joachima Lelewela z paryskiego wydania
Poezyi z 1828 r. (Biblioteka Narodowa)

Generał hrabia Jan de Witt był pierworodnym ukochanym synem pięknej Greczynki Zofii Potockiej *de domo Glavani primo voto* Wittowej. W historii zapisał się wyjątkowo niechlubnie jako skuteczny tropiciel antycarskich spisków

i spiskowców, który posłał do więzienia i na zesłanie wielu polskich i rosyjskich patriotów. Marzyło mu się generałgubernatorstwo Noworosji, jednak stanowisko to otrzymał hrabia Michał Woroncow, a Witta przydzielono mu do zadań specjalnych. Oficjalnie rządził Woroncow, ale tak naprawdę o wielu rzeczach decydował Witt, będący szefem tajnej policji. Mickiewicz określił go jako człowieka, który nie wiedział nawet, „do jakiego narodu należał, jaką religię wyznawał”. Kiedy poeta go poznał, generał – jak to ujął wieszcz później w swoich wykładach z literatury słowiańskiej – „trzymał natenczas główny ster policji w guberniach południowych”. Był dowódcą wojsk w prowincji noworosyjskiej i dowódcą osad wojskowych (czyli tak zwanych *posielenij*), utworzonych przez Katarzynę II w południowych guberniach. Piastował także stanowisko kuratora wydziału odeskiego, czyli był zwierzchnikiem wszystkich tamtejszych szkół, w tym też Liceum Richelieugo, w którym to zakładzie naukowym zesłany do Rosji Mickiewicz szykował się objąć posadę. Dobrą charakterystykę Witta daje baron Filip Filipowicz Wigiel, złośliwy pamiętnikarz epoki:

СОНЕТОВЪ

ПОДРОБЪ ГЕРМАНСКИ

АВТОР.

DEDYKACJA zamieszczona w pierwszym moskiewskim wydaniu Sonetów
(Biblioteka Narodowa)

Pełen ognia i przedsiębiorczości, jako rodowity Polak, umiał on z wrodzoną grecką chytrą powściągnąć swoje namiętności i przyoblekał je w ujmujące pozory. Był mistrzem sztuki udawania. [...] Pierworodny pieścuch rozpustnej matki, w dzieciństwie i pierwszej młodości nie pobierał żadnych nauk. Tem

dziwniejsza wobec jego analfabetyzmu wydawała się umiejętność mówienia ujmująco i potocznie. [...] Łasił się do wszystkich, zwłaszcza do kobiet, które uwielbiał, i niejedną z nich oczarowały jego śniada twarz, szczupła budowa i nieduży wzrost. Wszelkiego rodzaju intrygi były jego żywiołem².

Uzupełnia ten wizerunek Leon Sapieha we *Wspomnieniach z lat 1803–1863*: „bardzo młody Witt wstąpił do wojska moskiewskiego. Służył w pułku gwardji. Bywając często w Tulczynie u matki, mówił jak Polak po polsku i między Polakami chciał za Polaka uchodzić”³. Autor opisuje epizod wiele mówiący o metodach stosowanych przez syna pięknej Bitynki w pracy wywiadowczej. Otóż kiedy w 1824 roku podróżowali razem po Rosji, Witt zagaił rozmowę o istniejących w Polsce i Rosji tajnych towarzystwach i napomknął o możliwości wybuchu rewolucji, która mogłaby pomóc Polakom odzyskać niepodległość. Zadeklarował przy tym, że wprawdzie zbyt wiele zawdzięcza Aleksandrowi I, by odpłacić mu niewiernością, ale gdy tylko car umrze, to on wtedy ruszy ze swoim korpusem na Kijów i opanuje tamtejszy arsenał. Sapieha nie widział, co o tych wynurzeniach myśleć. Na wszelki wypadek okazał powściągliwość, i całe szczęście, bo później okazało się, że to właśnie Witt i jego ludzie odkryli wszystkie spiski i doprowadzili do aresztowania ich uczestników. Czyli udając przyjaciela, Witt chciał w ten sposób pociągnąć swego towarzysza za język i wy badać, czy i on do czegoś nieprawomyślnego nie należy. Rok później w Odessie umiejętnie sondował innego młodego Polaka, obiecującego poetę zesłanego do Rosji w procesie filomatów. W obserwowaniu zachowania i kontaktów Adama Mickiewicza pomagali mu jego kochanka hrabina Hieronimowa Sobańska i tajny agent Aleksander Karłowicz Boszniak.



General Jan de Witt na portrecie George'a Dawe'a (Wikimedia Commons)



Pewna hrabianka, aby swym zachwycić kształtem,
W ciasny nad miarę gorset wciskała się gwałtem.

Kajetan Jaxa Marcinkowski, *Gorset*

W swej sypialni w rodzicielskim pałacu w Pohrebyszczu, ułożona w malowniczej pozie na szezlongu hrabianka Rzewuska, jeszcze w nocnym stroju, doczytywała poranną porcję powieści romansowej napisanej przez ciocię Marynkę z Puław⁴. Dwie służące, pomagające zazwyczaj przy porannej toalecie, czekały w pogotowiu, aż panienka raczy przerwać lekturę. Ślicznej Lolinie, która właśnie tonęła w opisie romantycznego spotkania Malwiny i Ludomira, zabiliło mocniej panięskie serduszek, gdy dotarła do wizerunku głównej bohaterki, nakreślonego następująco: „Kibić jej giętka i hoża, długie czarne warkocze, twarz łagodna, na której ni lata ni namiętności żadnej jeszcze kresy nie wryły, ujmującym czyniły ją przymiotem i gdy w białą szatę odziana po księżycu promieniu, jak lekki cień po komnatach przechadzała się, postać jej, jak i imię, przypominały te młodociane dziewice, które kiedyś po bajecznych pałacach Finwala przechadzały się i o których Osjan⁵ śpiewał”. W tym momencie Karolina oczyma duszy ujrzała eteryczne dziewczęce postacie i też zapragnęła być tak zwiewna i wiotka.

– Róziu... Sprawdziłaś dziś rano, co robi pan major, jak ci kazałam? – spytała.

– Tak, panienko. Wstał świtem i konno pojechał. Żeby panienka widziała, jak zgrabnie wyglądał w mundurze. Jaki wysoki, jaki smukły...

Wysoki, smukły, hm... Lolina odłożyła książkę, wstała, zrzuciła peniuar i stanęła przed lustrem obleczona jedynie w batystową bieliznę i niewinność panięską. Wyglądała ślicznie, to na pewno. Ale czy dość wiotko? Obróciła się bokiem. Hm.

– Podać mi ten nowy gorset.

Obie dziewczki na wyścigi pobiegły do garderoby. Po chwili groźna konstrukcja ze stalowych i fiszbinowych brykli czekała w pełnym pogotowiu.

– Może najpierw uczeszę panienkę? – odezwała się nieśmiało Rózia.

Jak by się tu uczesać? Malwina miała warkocze. *Fi donc que cela*⁶! Pospolite. Dobre dla służącej. Usiadła przed gotownią.

– Uczesz mnie w pleciony wianek. – Zrobi się w ten sposób ustępstwo na rzecz warkoczy, a włosy zostaną upięte i wszyscy będą mogli podziwiać jej smukłą szyję. Gdy Rózia skończyła, Loli wstała.

– Teraz gorset. Tylko mocno ciągnijcie.

Fiszbinowy pancerz niemiłosiernie cisnął, jednak dopiero gdy Rózia z Felisją jęły co sił dociągać szerokie taśmy, zaczęło się prawdziwe piekło. Ciało się broniło, ale i tak atakujące je brykle boleśnie wbiły się w skórę i wepchały między żebra, aż młode piersi w przerażeniu uciekły ku górze, byle dalej od miażdżących okowów. Loli nie wytrzymała i jęknęła głośno, a w tym momencie taśma się urwała. Co za ulga! Korzystając z chwili przerwy, hrabianka oddychała głęboko.

Jęk ów bolesny usłyszała przechodząca mimo Tekla Szymańska. W pohrebyskim pałacu ta nie pierwszej już młodości, bo prawie dwudziestodwuletnia, szlachcianka była w obowiązku panny stołowej⁷. Weszła do pokoju i oceniwszy sytuację, odsunęła władczy gestem dziewczki, po czym zamocowała na powrót taśmę i jęła fachowo wtlaczać w gorset ciało hrabianki. Robiła to z pasją, rozładowując furię, o jaką przyprawił ją przed chwilą sekretarz pana hrabiego. Mijali się w drzwiach kaplicy, a on ledwo ją raczył zauważyć. Tak przejęła się straszliwą myślą, iż jeśli w nim nie znajdzie dozgonnego przyjaciela i towarzysza, to już nikt nigdy jej nie zechce, że aż pociągnęła z tych nerwów taśmę za mocno i ta znów omal nie pękła. Wreszcie udało się jej dopiąć swego, a właściwie – gorset. Fiszbiny ponownie zagłębiły się w ciało hrabianki Karoliny, tamując przepływ krwi. „Trudno – pomyślała Loli, zaciskając zęby. – W nocy niech sobie płynie, ile chce, ale teraz ma być wiotko i zwiewnie”. Kazała podać niebieską suknię. Niebieski, kolor stałości. Może major się wreszcie domyśli...

Skuta gorsetem, czując się bardziej posągiem niż żywą istotą, i nieco pobladła, udała się do pokoju śniadaniowego. Dom jej ojca stale pozostawał gościnny i otwarty, a urocza, inteligentna Loli była prawdziwą ozdobą jadalni i salonu. Zasiadła teraz przy stole i zaczęła z wdziękiem nalewać kawę przygotowaną przez kawiarkę. Właśnie z uśmiechem podawała filiżankę majorowi, który zdążył wrócić z porannej eskapady, gdy nagle zrobiło się jej czarno przed oczami i świat wpadł w niebyt. Rzucili się domownicy i goście ratować zemdloną, wyniesiono ją do sypialni, tu ułożono na szezlongu, podano sole trzeźwiące i aby nie tracić cennego czasu na rozsypywanie morderczych taśm, przecięto je co prędzej. Na twarz hrabianki pomału wróciły kolory. Otworzyła oczy.

– Moja mościa panno – odezwał się surowo pan kasztelan witebski, który powodowany ojcowską troską pochylał się nad nią. – Uroczyście zakazuję ci noszenia, tandem tedy... tego szkodliwego stroju.

– Ależ, papo! – nadała się Loli. – Jakże ja wyjdę do gości!

– Jak nie chcesz wychodzić, to zostawaj waspanna tutaj, tandem tedy. Zdrowie waspanny ważniejsze. – Wyszedł z pokoju, a córka z całej siły rąbnęła zaciśniętą piąstką w atlasową poduszkę.

Za drzwiami na ojca czekał brat córki modnej.

– Jak się czuje Lolina, papo?

– Tekla ją jakoś docuciła. Wszystko przez ten przeklęty gorset. A ona, uparta jak koza, powiada, że bez niego do ludzi nie wyjdzie, tandem tedy. To niech siedzi w pokoju, aż rozumu nabierze.

– Trzeba jej jakoś kaprysy wyperswadować...

– Ale jak, tandem tedy? – Pan kasztelan sapnął z pasją. – Co poradzisz, mopanie, na kobiece humory.

– Mam pewien koncept, papo. – Henryk spojrział w zamyśleniu na ciągnący

się za oknem pohrebyski park. – Podobno panna Tekla znowu widziała w lipowej alei prababkę Rzewuską.

– Panna Tekla? Pewnie, tandem tedy, histerie jakieś babskie.

Henryk przysunął się bliżej i zaczął coś tłumaczyć przyciszonym głosem. Adam Wawrzyniec Rzewuski kiwał tylko głową. Pod koniec spojrzał na syna z błyskiem w oku.

– Rób acan swoje, tandem tedy – przyzwolił uroczyście.

Wieczorem przyszły autor *Pamiętek Soplicy* przystąpił do wykonania misternego planu. Najpierw zawezwany został zaufany lokajczyk, chłopię młode, szczupłe i niewysokie, a zatem dziewczęcej raczej postury.



Brat Karoliny Sobańskiej, pisarz Henryk Rzewuski, autor słynnych Pamiątek Soplicy, na portrecie pędzla Gustawa Pillatiego (Wikimedia Commons)

- Mój Wojcieszku, cel to nader ważny, czego zażadam od ciebie. Czy jesteś gotów narazić się dla mnie?
- Jaśnie panie, jeśli tylko podołam...
- Słuchaj uważnie. Włóżysz to. – Mówiąc to, sięgnął po wiszącą na oparciu

krzesła długą białą pelerynę z kapturem. – Umiałbyś chodzić jak dziewczyna?

– A tom przecie grał pasterkę, jak pan hrabia sztukę wystawiał we święta.

– Doskonale. Gdy moja siostra będzie wieczorem u siebie szykować się do snu, ale nie wcześniej, zakradniesz się do jej garderoby. Wejdiesz z korytarza, nie przez sypialnię. Masz tu klucz. Najpierw odszukasz wśród fatałaszków gorset, a potem pohłasujesz, żeby cię usłyszano.

– Ależ, jaśnie panie! Tam będzie panna hrabianka i garderobiane. Przyłapią mnie jak amen w pacierzu.

– Byle za rękę nie złapały. I nie widziały twojej twarzy, po to jest kaptur. Niech myślą, żeś niewiasta. Jak już cię zobaczą z gorsetem, w te pędy przybieżysz do mnie do galerii, drobiąc nóżkami jak panienka. O resztę się nie martw.

Różia z Felisią pomagały hrabiance rozbierać się do snu, w czym panna Tekla asystowała, ze zbolałym sercem rozpamiętując obojętność pana sekretarza, gdy tymczasem Wojcieszek wślizgnął się do garderoby. Poruszając się zwinnie jak kot, odnalazł w półmroku gorset, po czym umyślnie zrzucił na ziemię ciężki lichtarz. Służące usłyszały rumor i wpadły tam, każda z jakąś bronią, którą właśnie miała w dłoni. Jedna z bryklem, druga z żelazkiem do fryzowania włosów, panna stołowa ze stalowym hakiem. W świetle dobiegającym z sypialni ujrzały spowitą w długi płaszcz i trzymającą w ręku gorset białą postać, która natychmiast wybiegła krokiem lekkim jak duch. Kobiety ruszyły w pościg, a panna Tekla biegnąca na przedzie głośno wzywała pomocy. Wojcieszek wyprzedził je znacznie i zostawił daleko w tyle. Gdy dotarły zdyszane do zamkniętych drzwi galerii, te otworzyły się i stanął w nich hrabia Henryk. Był mocno poruszony.

– Gdzie ta osoba, która tu wbiegła, panie hrabio? – zawołała panna stołowa, niemal bez tchu.

Henryk milczał chwilę, jakby właśnie przeżył wstrząs i z trudem dochodził do siebie.

– Znikła – odpowiedział wreszcie.

– Jak to znikła?

– Muszę natychmiast widzieć się z siostrą. – Młody hrabia Rzewuski wymówił te słowa ze śmiertelnie poważną miną. – Chodźmy.

Ruszył przodem. Trzy przedstawicielki damskiego rodu podążyły pokornie za nim.

– Panno Teklo, proszę zapytać, czy hrabianka Karolina może mnie przyjąć.

Panna stołowa zniknęła za drzwiami i po chwili poprosiła Henryka do środka. Karolina w lekkim peniuarze i czepeczku nocnym leżała wsparta na poduszkach.

– Henryku, co się stało? Co znaczył ten hałas?

– Nie uwierzysz, Loli. Aż cały drzę.

– Ty? Drżysz? Czemuż to?

– Wyobraź sobie, moja droga, szedłem spokojnie galerią. Świecy nie miałem, wszystko pogrążone było w mroku i tylko księżyc wpadający przez wysokie okna oświetlał wnętrze. Doszedłem do portretu prababki Rzewuskiej, dobrze widocznego w księżycowym blasku, i wtedy stało się coś dziwnego.

– Cóż takiego? Mów.

– Prababka na portrecie patrzyła na mnie jakoś tak groźnie, jakby mi chciała coś nieprzyjemnego powiedzieć. Nagle poczułem, że nie jestem sam. Wiedziałem, że za mną ktoś stoi. Odwróciłem się powoli i wtedy ujrzałem białą, zakapturzoną postać. Jak utkaną z mgły. W ręku trzymała gorset...

– To nasz złodziej! To ona! – wykrzyknęła panna stołowa.

– W tym momencie opadł kaptur i...

– I co? – niecierpliwiła się Lolina.

– Nie uwierzysz, Loli. To była... prababka. Spojrzała na mnie surowo, zupełnie tak samo, jak chwilę wcześniej z malowidła. I rzekła... – Tu brat ją patetycznie deklamował: – Ach, o cóż wy walczyście! Ta zbroja nazbyt często wydzierała życie. Młodej i pięknej panny jestem świeżym cieniem. Gorset jej zabrał życie ciągłym udręczeniem. – Zawiesił teatralnie głos. – Po tych słowach znikła mara, a z nią gorset.

Długo potem rozalterowana panna Tekla Szymańska opowiadała każdemu, kto jeszcze chciał tego słuchać, jak to biała dama, czyli jaśnie pani hrabina Rzewuska, babka pana kasztelana, od swej tragicznej śmierci strasząca w pohrebyskim pałacu, a już szczególnie w księżycowe noce, w taką właśnie noc ukradła gorset z garderoby hrabianki Karoliny. Zaś Lolinie – choć znane jej były różne kawalerskie poczynania brata – po tej spektakularnej interwencji zaświatów jakoś przeszła chęć do naśladowania osjanowych dziewic. Zresztą i tak moda zmieniła się wkrótce.



W Gubernatora towarzystwie wraca;
Dlatego z taką ostentacją. Mówią,
Że Gubernator z nią się żeni. Temu
Wierzyć nie trudno: Piękna i bogata
Wdowa – a jeszcze lepiej, bo rozwódka:
To jest pół panny a pół wdowy.

Adam Mickiewicz, *Konfederaci barscy*, akt I, scena 1

Baron Filip Filipowicz Wigiel poznał generała Jana de Witta dzięki pośrednictwu Karoliny z Rzewuskich Sobańskiej, kochanki generała i „żandarmskiej agentki”, która w pamięci potomnych zapisała się nie tylko

działalnością szpiegowską, lecz także przelotną znajomością z Puszkinem i namiętym romanssem z Mickiewiczem. Prawnuczka hetmana Wacława Rzewuskiego, córka posła na Sejm Czteroletni i senatora rosyjskiego Adama Wawrzyńca Rzewuskiego, pierwsze nauki szpiegowania pobierała na początku dziewiętnastego wieku, kiedy kilkunastoletnią rodzice wysłali z Pohrebyszcza do Wiednia, do ciotki Rozalii z Lubomirskich Wacławowej Rzewuskiej, żony słynnego Emira⁸. Podczas wojen napoleońskich i kongresu wiedeńskiego w salonie ciotuni bywały największe tuzy, prawdziwa *crème de la crème*. Można było wiele usłyszeć, wiele zobaczyć, a uzyskane informacje korzystnie sprzedać, czym gorliwie i umiejętnie zajmowała się szanowna *la tante Rosalie*, i to od niej bratanica się nauczyła, że usta kobiety służą nie tylko do pocałunków, uszy nie tylko do słuchania wyznań miłosnych, a oczy nie tylko do rzucania płomiennych spojrzeń. Karolina wiedzę tę przyswoiła sobie niejako mimochodem, gdyż przyjechała tu w innym celu: aby znaleźć bogatego męża, jako że papo Adam Wawrzyniec Rzewuski robił, co mógł, żeby jak najprędzej roztrwonić rodowy majątek, toteż jego córki niespecjalnie mogły liczyć na to, że zwabią mężów posagiem. W kwestii matrymonialnej Loli niewiele u ciotki zdziałała i, wciąż w panińskim stanie będąc, wróciła do domu. Ostatecznie rodzice poradzili sobie bez Wiednia. Jej siostrze Ewelinie przypadł bogaty ziemianin z Ukrainy Wacław Hański, a jej samej trafił się niestety nie smukły major, lecz za to bogacz jeszcze większy od szwagra, a mianowicie Hieronim Sobański z Bałanówki, który w szybkim tempie pomnażał rodowy majątek, handlując zbożem w Odessie. O rodzinie Sobańskich mówiono, że dusigrosze to równie zawzięci, jak Rzewuscy są utracjuszami. Po ślubie pan młody zniszczył weksle, które miał w portfelu, i rodzina panny młodej z ulgą odetchnęła. Ona sama natomiast niezbyt dobrze na tym mariażu wyszła. Związek nie układał się i już w marcu 1816 roku dwudziestojednoletnia hrabina Sobańska, z dwuletnim zaledwie małżeńskim stażem, uzyskała na mocy wyroku katolickiego konsystorza podolskiego separację od stołu i łoża pod oficjalnym pretekstem: „aż do wyzdrowienia”. Po drodze, jeszcze nim została kochanką Witta, rozpieszczona, zmysłowa i niezaspokojona jako kobieta przez męża prostaka, a zarazem safandulę, wywołała skandal, romansując z narzeczonym drugiej siostry, który w wyniku całej awantury odebrał sobie życie. Po czym, gdy papo zamknął oczy na wieki, co prędzej się rozwiodła.



Agentka Karolina Sobańska na miniaturze Piotra Sokołowa (Wikimedia Commons)

Motyw rozstania z mężem oraz romansu z hrabią Wittem pojawia się w rozmowie Hrabiny z bratem Adolfem – rodzeństwa ze sztuki *Konfederacji barscy*, w której Mickiewicz dziesięć lat później sportretuje odeską piękność.

ADOLF

Nie trzeba było z Hrabią się rozwodzić.
W rodzinie naszej pierwszy to wypadek
Taki krzyczący. Lecz nie dosyć na tem;
Ty Polka, córka Wojewody, córka
Ojca naszego, ty, przyjmujesz hołdy
Moskala...

HRABINA

Mówisz, jak cię nauczono.
Rozwód! Dlaczegoż dozwolili dziecku
Pójść za człowieka źle wychowanego,
Dzika, pijaka, że nie powiem więcej?
Dbałże on o mnie?⁹

W dramacie tym przewijają się polscy magnaci i szlachta, wysocy rosyjscy urzędnicy i agenci oraz salonowe lalki. Hrabina Karolina (to samo imię!), rozwiedziona z mężem brutalnym, obdarza względami rosyjskiego Jenerała, przez co jest skłócona z rodziną. Rodacy nią gardzą za bliskie kontakty z Moskalem, ale czekają w pokorze w jej przedpokoju, bo ona może wyprosić u władz ułaskawienie dla ich bliskich zagrożonych wyrokiem. Jenerał z *Konfederatów* to oczywiście Jan de Witt, i to przedstawiony w miarę sympatycznie, jako że na prośbę kochanki ułaskawia skazanych. Adolf, brat hrabiny, który nie szczędzi siostrze wyrzutów, to Henryk Rzewuski. Pod zdecydowanie nieprzyjemną postacią Doktora, któremu zwierzchnik wydaje wyraźne polecenie: „obserwuj, trop, węż, wypuść swoich agentów”, kryje się Aleksander Karłowicz Boszniak. Wcześniej przez Wielkiego Księcia Konstantego wyrzucony z wojska za tchórzostwo pod Austerlitz, karierowicz, dworak i z zamiłowaniem szpieg, w okresie śledztwa przeciw dekabrystom zatrudniony w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w stopniu radcy kolejalnego, co odpowiada randze pułkownika.

Choć po dziesięciu latach Mickiewicz nie miał większych złudzeń co do odeskiej socjety, w sztuce potraktował Karolinę Sobańską łagodniej od innych. Stara się Hrabinę usprawiedliwić, wręcz broni jej przed zarzutem szpiegostwa, o którym to jej zajęciu musiały wtedy w Odessie krążyć całkiem głośne plotki. Każe nawet Jenerałowi odrzucić sugestie Doktora, który chce ją wciągnąć do pracy wywiadowczej! Naiwność to czy zaklinalenie rzeczywistości ze strony dawnego kochanka? Prawdą jest, że ani w odeskich czasach, ani później w Paryżu nie mógł wiedzieć, jak bardzo agentka Sobańska zasłużyła sobie na wzgardę tym, że zdradziła własny naród i świadomie działała na jego szkodę. Jej wiernopoddańczy list do generała Benckendorfa opuści zaciśnięte archiwum dopiero sto lat później, nie pozostawiając cienia wątpliwości co do denuncjatorskiej i carofilskiej postawy

Loliny.

Wspomniany już baron Wigiel, także podwładny generała-gubernatora Woroncowa, bywający często w Odessie, znający doskonale tutejsze eleganckie towarzystwo, zaświadcza, że Karolina Sobańska nie starała się ukrywać swojego związku z Wittem i korzystała szeroko z jego hojności, nie przejmując się takimi drobiazgami jak reputacja „płatnej nałożnicy” czy niechęć środowisk polskich. Śmiało patrzyła w oczy krzywiącym się na jej widok damom i z wdziękiem brylowała w salonach.

Dwie albo trzy uczciwe kobiety jeździły do niej i przyjmowały ją u siebie, nie zaliczam do nich hrabiny Woroncow, która zapraszała ją na swoje wieczory i bale po to tylko, by nie dopuścić do jawnej kłótni pomiędzy mężem a Wittem, zaś Olga Naryszkin-Potocka, przez matkę przyrodnia siostra Witta, znać jej nie chciała; inni także stronili od niej. W tym upokarzającym położeniu ileż wykazała mocy charakteru, jak się umiała wynosić nawet ponad prześladujące ją kobiety. Zdarzało mi się widzieć w salonach, jak, nie zwracając uwagi na wrogie spojrzenia i głuchy szmer kobiecego oburzenia, z podniesioną głową szła zuchwale, mijając wszystkich i to nie na ostatnie miejsce, gdzie też zasiadała niczym królowa na tronie¹⁰.

W Odessie pierwszym salonem był w tym czasie ów należący do wspomnianej przez Wigieła hrabiny Woroncow, z domu Branickiej, córki niesławnej pamięci targowiczana Franciszka Ksawerego i krewnej księcia Grzegorza Potiomkina. Mianowany w maju 1823 roku generałem-gubernatorem Noworosji i namiestnikiem okręgu besarabskiego „zjechał Woroncow do Odesy jak bogaty ziemianin do swego udzielnego majątku, i zaczął tam życie po pańsku w otoczeniu swej świty”¹¹. U Woroncowów bywali wyżsi rangą urzędnicy, obywatele ziemscy i ważniejsi kupcy, oczywiście z żonami. Zaproszenie było wyróżnieniem kosztownym, gdyż Lisia z Branickich Woroncowa i jej krewna Olga z Potockich Naryszkina słynęły z olśniewających toalet. Panie odeskie czuły się zobligowane dotrzymywać im kroku, a płacili za to mężowie i ojcowie. Według Filipa Filipowicza hrabina Woroncowa zapraszała Sobańską tylko ze względu na Witta, podwładnego swego męża.

Wigiel, który nie znosił Polaki, nie ufał Polakom, a Polki uważał za pyszne, wyrachowane i nadmiernie zmysłowe, przyznaje jednak, że Karolina Sobańska początkowo wydawała mu się „istotą szczególnego rodzaju” i że dobrze czuł się w jej domu. (Tym bardziej trudno się dziwić oczarowaniu Mickiewicza, którego piękna pani darzyła intymnymi względami). Filip Filipowicz Wigiel dopiero później przejrzał na oczy.

Kiedy jednak po kilku latach dowiedziałem się, że Witt posługiwał się nią w sprawach poważnych, że była sekretarzem tego wymownego lecz niedouczzonego człowieka i pisała mu tajne raporty, że następnie dla zysku wstąpiła w szeregi

agentów żandarmskich, nabrałem do niej nieprzewycięzonego wstrętu. O niedowiedzionych zbrodniach, o które ją podejrzewano. nie będę już mówił. Ileż obrzydliwości kryło się pod jej wykwintnemi formami¹².

U siebie Karolina usiłowała na wzór wiedeńskiego salonu ciotki Rozalii skupiać ludzi wybitnych i namiętnie kolekcjonowała autografy sławnych osób. Mickiewicz był więc łakomym kąskiem nie tylko jako kochanek, lecz także jako znany poeta, a więc atrakcja towarzyska. Zbierała się u niej prawdziwa śmietanka, głównie wojskowych, w tym sporo Polaków. Bywali Teodor Pahlen, zastępca gubernatora, czy Seweryn Potocki, brat słynnego Jana, podróżnika i pisarza. Stać ją było na wystawne życie, bo z pracy dla trzeciego oddziału kancelarii cesarskiej w Petersburgu płynęły znaczne dochody. Generał Jan de Witt, jak pisze Wigiel, „miał swój własny dom, ale spędzał u Sobańskiej dnie i noce”. Tę intymną zażyłość agentki i jej zwierzchnika potwierdza Mickiewicz w tej samej scenie drugiej aktu pierwszego *Konfederatów barskich*.

ADOLF

A tyż kto jesteś? Czy nie jesteś Polką ?
Czy już nie jesteś Polką? Karolino!
Nie mów tak, nie mów! Czyjaż wina, jeśli
Polacy karmią gniew przeciwko tobie?
Ja nie przychodzę czynić ci wyrzutów;
Lecz muszę wyznać, że w tem wina twoja.
Mieszkanie twoje, między Moskałami,
Łączy się prawie z generalskim domem:
Z dziedzińcem jego wspólne macie okna,
Wszystkich to gorszy, a Polaków gniewa.

Nasz poeta, należący do tych kręgów towarzyskich w latach 1825–1826, albo nie do końca orientował się co do rzeczywistego zakresu szpiegowskiej działalności pięknej pani, albo wolał nie wiedzieć o tym, o czym ćwierkały wszystkie odeskie wróble. A może też uważał, że przebywanie z nią da mu osłonę przed policją. Na pewno dobrze czuł się w jej domu i pociągała go jako kobieta, w związku z czym mniej mu przeszkadzało jej wyraźne zainteresowanie jego sprawami.



Podług świadectwa licznych do dzisiejszego dnia żyjących ludzi między mieszkającymi podówczas w Odessie Polakami należała do najpiękniejszych. Oprócz tego niezmiernie wesoła, żywa, wszechstronnie wykształcona, wielbicielka sztuk pięknych i wyborna pianistka, była niejako duszą towarzystwa.

Adam Rzażewski, *Mickiewicz w Odessie i twórczość jego tego czasu*

Adam Mickiewicz przyjechał do Odessy w lutym 1825 roku wraz z dwoma przyjaciółmi filomatami, Franciszkiem Malewskim i Józefem Jeżowskim. Wszyscy trzej zostali skazani na zesłanie do Rosji z możliwością wyboru miejsca pobytu. Początkowo mieli objąć posady wykładowców w Liceum Richelieugo, którego kuratorem był Jan de Witt, wielkorządca południowych prowincji, śledzący w tym czasie tajne związki polityczne południa, mające kontakty z polskimi patriotami i z dekabrystami z północy. Ze względu na sytuację polityczną, która się w tym czasie nieco zmieniła, przybysze z Litwy obiecanych posad nie dostali i mieli oczekiwać dalszych rozporządzeń władz. Pobierali więc pensję i zajmowali się twórczością własną oraz życiem towarzyskim. Odessa, miasto europejskie i kosmopolityczne, bardzo przypadła im do gustu. Łagodna zima i morskie powietrze po klimacie petersburskim wydawały się wręcz rajskie. Na domiar szczęścia trafili akurat na sezon owoców, których Mickiewicz był wielkim amatorem, więc ze smakiem zajadał się cudownie dojrzałymi „apelsynami”. Zaczął tu uczyć się włoskiego, co łatwo mu szło, bo znał dobrze łacinę i francuski. Wkrótce czytał w oryginale Petrarę i wyszukiwał po mieście Włochów, z którymi mógłby konwersować. Uczęszczał także do teatru na operę włoską. Naówczas dwudziestosiedmioletni, cieszył się względami pań, które na wyścigi ściągają go do swoich salonów, licząc na to, że zdobędą serce polskiego Byrona i trafią do strof poezji. Kilku z nich się to udało.

U Karoliny Sobańskiej bywał chętnie, i to nie tylko z powodu osoby i wdzięków gospodyni, lecz także dlatego, że brat jej, Henryk Rzewuski, rozkochany w ginącym sarmackim świecie, potrafił tak zajmująco opowiadać, iż godzinami można go było słuchać. Mickiewicz był wielkim miłośnikiem kawy i nieraz, gdy wpadł do Sobańskich, do których miał stałe zaproszenie, zaraz po przywitaniu prosił o kawę „z grubym kożuszkiem i tłustą śmietanką”. Pochłonięty rozmową lub słuchaniem potrafił z roztargnienia wręczyć potem pustą filiżankę któremuś z gości, biorąc go za służącego. Kronika towarzyska odnotowała, że takie *faux pas* zdarzyło mu się też w salonie generała Witta – samemu gospodarzowi podał puste naczynie, w dodatku prosząc o następną kawę „z tłustą śmietanką”. Goście zamarli ze zgrozy, a generał filiżankę oddał we właściwie ręce i nim przyniesiono ją napełnioną ponownie, incydent został obrócony w żart. Witt nie zamierzał się obrażać. Miał do wykonania ważniejsze zadania. Trzeci oddział kancelarii cesarskiej czekał na raporty, toteż generał traktował poetę z wyszukaną grzecznością.

Pisaniem Mickiewicz zajmował się dorywczo, gdyż cały prawie czas pochłaniały go spacer, gra w szachy proszone obiady i herbaty, na których nieodmiennie otaczało go rozentuzjzmowane damskie grono. A że na wdzięki

niewieście był łąsy, nic dziwnego, że nawiązał z niektórymi paniami relacje dużo bliższe niż towarzyskie. Karolina Sobańska znalazła szczególny kącik w jego sercu i to ona zapewne jest ową tajemniczą D. D., do której kierował miłosne wynurzenia w wierszach zbyt śmiałych, by można w nich otwarcie się zwracać do przyzwoitej kobiety z towarzystwa, w dodatku zamężnej.

Luba, ja wzdycham; pamięć niebieskiej pieszczoty,
Trują mi okropnego rozmyślania chwile,
Ach! może serce twoje, co cierpiało tyle, –
Może boję się wyrzec – pustoszą zgryzoty?
Luba, i cóżeś winna, że twych ocząt groty,
Tak palące, że usta śmieją się tak wiele?
Zbyt ufałaś swej cnocie, zbyt swej własnej sile,
I nazbyt ognia Stwórcy wlał w nasze istoty!¹³

Karolina zapewne opowiedziała mu o swoich małżeńskich problemach, zwierzała się z tego, jak ją traktuje rodzina i znajomi. A on wierzył w jej żale lub udawał, że wierzy. W niedokończonym sonecie *Jastrzęb*, skierowanym do tajemniczej D. D., przyznaje:

I tyś na życia morzu – widziałaś straszdyła,
I mnie wichur odpędził, słota złała skrzydła.

W tym samym wierszu padają słowa o jastrzębiu: „on jest gościem, Giovanni”, co by potwierdzało atrybucję inicjałów D. D., które należałoby wtedy odczytać jako Donna Dziowanna – zapisana fonetycznie. Tak miał nazywać Mickiewicz Karolinę, nawiązując do postaci pięknej kobiety z *Vita nuova*, o której Dante pisze: „ujrzałem idącą ku mnie pewną młodą panią, słynną z urody i już wielce umiłowaną przez mego najpierwszego przyjaciela. A imię tej pani było Giovanna [...]”¹⁴. Erotyczna fascynacja tych dwojga musiała być bardzo silna, skoro zaowocowała pulsującymi namiętnościami sonetami, które – jak *Dzieńdobry* – nie pozostawiają cienia wątpliwości, iż związek kochanków nie był platoniczny.

Dzień dobry! nie śmiem budzić, o wdzięczny widoku!
Jej duch na poły w rajskie wzleciał okolice,
Na poły został boskie ożywiając lice,
Jak słońce na pół na niebie, pół w srebrnym obłoku.
Dzień dobry! już westchnęła, błysnął promyk w oku,
Dzień dobry, już obraża światłość twe źrenice,
Naprzykrzają się ustom muchy swawolnice, –
Dzień dobry, słońce w oknach, ja przy twoim boku.
Niosłem słodszy dzień dobry, lecz twe senne wdzięki
Odebrały mi śmiałość; niech się wprzód dowiem:
Z łaskawym wstajesz sercem? z orzeźwionym zdrowiem?
Dzień dobry, nie pozwalasz ucałować ręki?

Każesz odejść, odchodzę: oto masz sukienki,
Ubierz się i wyjdź prędko – dzień dobry ci powiem.

Sonety

Adama Mickiewicza.



Quand' era in parte altr' uom da quel, ch' io sono
PETRARCA.

M O S K W A.
W D R U K A R N I U N I W E R S Y T E T U.
Nakładem Autora.
1826.

XVI.

D O B R A N O C .

Dobranoc! już dziś więcej nie będziem bawili,
 Niech snu anioł modremi skrzydły cię otoczy,
 Dobranoc, niech odpoczną po łzach twoje oczy,
 Dobranoc, niech się serce pokojem zasili.

Dobranoc, s każdej ze mną przemówionój chwili,
 Niech zostanie dźwięk jakiś cichy i uroczy,
 Niechaj gra w twoim uchu, a gdy myśl zamroczy,
 Niech się mój obraz sennym zrenicom przymili.

Dobranoc, obróć jeszcze raz na mnie oczęta,
 Pozwól lica — Dobranoc — chcesz na sługi klasnąć?
 Daj mi pierś ucałować — Dobranoc, zapięta.

— Dobranoc, już uciekłaś, i drzwi chcesz zatrzasać.
 Dobranoc ci przez klamkę, niestety! zamknięta!
 Powtarzając dobranoc nie dalbym ci zasnąć.

XV.

DZIEŃDOBRY.

Dzieńdobry! nie śmiem budzić, o wdzięczny widoku!
 Jój duch na poły w rajskie wzleciał okolice,
 Na poły został boskie ożywiając lice,
 Jak słońce na pół w niebie, pół w srebrnym obłoku.

Dzieńdobry! już westchnęła, błysnął promyk w oku,
 Dzieńdobry, już obraża światłość twe źrenice,
 Naprzykrzają się ustom muchy swawolnice,
 Dzieńdobry, słońce w oknach, ja przy twoim boku.

Niosłem słodszy dzień dobry, lecz twe senne wdzięki,
 Odebrały mi śmiałość; niech się wprzódę dowiem
 Z łaskawem wstajesz sercem? z orzeźwionem zdrowiem?

Dzieńdobry, nie pozwalasz ucałować ręki?
 Każesz odejść, odchodzę, oto masz sukienki,
 Ubierz się i wyjdź prędko — dzieńdobry ci powiem.

XVII.

D O B R Y W I E C Z Ó R.

Dobrywieczór! on dla mnie najśłodszym życzeniem;
 Nigdy, czyto przed nocą dzieli nas zaporą,
 Czyli mię ranna znowu przywołuje pora,
 Nie żegnam się, ni witam s takim zachwyceniem,

Jak w tę chwilę, wieczornym ośmielony cieniem;
 Ty nawet, milcząc rada i płonąc się skora,
 Gdy usłyszysz życzenie dobrego wieczora,
 Zywším okiem, głośniejszym rozmawiasz westchnieniem.

Niechaj dzieńdobry wschodzi tym co spolem żyją,
 objaśniać pracę, która ich ręce jednoczy;
 Dobranoc niech szczęśliwych kochanków otoczy,

Gdy z roskoszy kielicha trosk ośłodę piją;
 A tym co się kochają i swą miłość kryją,
 Dobrywieczór niech przyćmi zbyt wymowne oczy.

Strony z moskiewskiego wydania Sonetów Adama Mickiewicza. Adresatką tych miłosnych wynurzeń w sonetach Dzieńdobry, Dobranoc i Dobrywieczór była piękna Karolina (Biblioteka Narodowa)

Dla Karoliny Sobańskiej podobanie się mężczyznom było czymś naturalnym, bez czego nie wyobrażała sobie życia. Piękna, inteligentna i dowcipna, kokietująca panów w sposób subtelny, cieszyła się wielkim towarzyskim wzięciem.

Taka jest właśnie D. D. z XVIII Sonetu, o której poeta mówi:

Ledwo wnijdę, słów kilka przemówię z nią samą,
Jużci dzwonek przeraża, wpada galonowy.
Za nim wizyta, za nią ukłony, rozmowy,
Ledwie wizyta z bramy, już druga za bramą.

Tak więc generał Jan de Witt i poeta Adam Mickiewicz, szpieg i szpiegowany, mieli wspólną kochankę. Poecie ta intymna zażyłość ułatwiła dalsze kontakty towarzyskie i zawarcie znajomości z innymi pięknymi paniami. Zapewne dzięki Karolinie otrzymał zaproszenie na pokład jachtu, którym Witt *et consortes*, w tym kilku Polaków, popłynęli w końcu sierpnia 1825 roku z Odessy na Krym. Generał miał przygotować tam podróż cara Aleksandra I. Chodziło nie tyle o techniczne szczegóły wizyty, ile o wybadanie nastrojów, jakie mogły podróży monarchy towarzyszyć. Z dotychczasowych raportów wynikało, że wśród spiskowców na południu wiadomość o planach owej podróży wywołała spore poruszenie, toteż należało powęszyć, czy tajne organizacje nie szykują zamachu. Witt był zadowolony, że Mickiewicz z nimi pojechał, bo przynajmniej mógł osobiście nad nim „czuwać”, w czym pomagali mu Karolina Sobańska i Aleksander Karłowicz Boszniak, dla niepoznaki udający entomologa.



Dama polska, którą Pani widziała na statku, jest moją dawną znajomą. Byliśmy razem na statku w czasie burzy na Morzu Czarnym, jakieś dwadzieścia lat temu. Ja byłem młody i w usposobieniu duszy podobnym do usposobienia Pani [...] zbyt romansowy, zbyt wyłączny. Ona chciała, bym był jednym z wielu [...] Miałem żal do niej, ale w końcu uznałem, że miała rację [...] Zachowałem dla niej przyjazne wspomnienie [...].

Adam Mickiewicz do Margaret Fuller o Karolinie Sobańskiej¹⁵

Jeszcze podczas rejsu, tego dnia, kiedy od rana zbierało się na burzę i powietrze było naelektryzowane, Boszniak zauważył, jak wyjątkowo pięknie wygląda Karolina Sobańska, kiedy znajdzie się w otoczeniu mężczyzn, które to otoczenie w tym momencie stanowili: były mąż, dwóch kochanków, kapitan niepróbujący ukrywać swego zachwyty oraz przechodzący ciągle obok pod byle pretekstem marynarz, wlepiający w nią cielece spojrzenie. „Nic tak korzystnie nie wpływa na urodę kobiety jak zachwyty w męskich oczach” – pomyślał Aleksander Karłowicz. Zwrócił uwagę, że Mickiewicz z zadumą spogląda na hrabinę i przeważnie milczy. Sprawiał wrażenie spiętego stałą obecnością jej męża, a zwłaszcza towarzystwem Witta, swego głównego rywala. Wciągany do rozmowy, odpowiadał zdawkowo, po czym nagle ożywiał się i stawał się duszą

towarzystwa, by za chwilę znów się chmurzyć.

Pani hrabiny mąż zupełnie nie krępował, natomiast towarzystwo obu kochanków na tak małej przestrzeni statku budziło w niej lekki niepokój co do tego, jak też rozwinie się ten nieprzewidywalny na razie wątek. Generał zdradzał pewne objawy zazdrości, co mogło stać się niebezpieczne dla wszystkich zainteresowanych, z drugiej zaś strony było bardzo przyjemne, bo o to jej między innymi chodziło, żeby Witt był zazdrosny i przyspieszył swój rozwód teraz, kiedy ona nareszcie mogła być wolna. Tym bardziej że doszły ją słuchy, jakoby nie zadowolął się nią jedną jako kochanką. Poeta natomiast zbyt często ostatnio bywał naburmuszony, jakby rościł sobie do niej prawo. Trudno, i tak przestał ją bawić, kiedy się okazało, że nie można się go doprosić, by napisał wiersz o niej i dla niej.

– Adamie, masz tu prezent ode mnie. W tym zeszycie, bardzo cię proszę, rysuj co ciekawsze widoki – powiedziała ostatniego dnia przed zawinięciem do Sewastopola, kiedy spotkali się sam na sam na pokładzie, lub też raczej wydawało się im, że są sami.

– Nie wiem, czy moje próby rysunkowe cię zadowolą.

– To zapisuj wrażenia słowami. Muzy cię nie odstąpią.

– Niestety! Najważniejsza z nich wybrała zażywanie leczniczych kąpielii w Eupatorii. Biedny poeta będzie musiał błąkać się samotnie.

– Obiecuję w jej imieniu, że będzie z daleka czuwać.

„A jakże – pomyślał szyderczo Boszniak, który, kryjąc się w cieniu nieopodal, słuchał uważnie każdego słowa. – Jeśli zaś nie ona, to kto inny. I nawet wiemy dobrze, kto taki, panie... khe, khe... poeto”.

– Pisz o wszystkim, co cię poruszy. – Spojrzała zalotnie.

– Przestrzegam przed zbyt poetyckimi nastrojami – odezwał się zagadkowo Witt, który właśnie nadszedł i usłyszał ostatnie słowa Karoliny. – Można się łatwo zgubić w nieznanym kraju. Zabłądzić w miejsca, które nie są bezpieczne. Ciekaw jestem, o czym pan myślał dziś przy obiedzie, kiedy pan tak nagle zamilkł? – zmienił temat. – Czy przypadkiem nie o litewskich lasach?

W oczach Mickiewicza pojawiło się zdumienie.

– Skąd pan wie, generale?

– Miał pan ten sam wyraz twarzy, jak kiedy deklamował pan ballady u hrabiny Guriew.

– Jest pan niezwykle spostrzegawczy, hrabio. I co za pamięć – odparł poeta z dziwną nutą w głosie. Miał niemal pewność, że słowa Witta zabrzmiały jak ostrzeżenie: uważaj, władza i tak zna twoje myśli.

– Cenię pana talent, a pańskie towarzystwo poczytuję sobie za zaszczyt. – Witt skłonił się z kurtuazją. Tyle że jego oczy pozostały zimne.

„Jakie szczęście, że jutro pojedziemy z Henrykiem w swoją drogę i uwolnię się od niego” – pomyślał Mickiewicz. Niestety, trzeba się liczyć z tym, że

entomolog będzie się narzucał, by im towarzyszyć. Co za odrażający typ!

Po kilku dniach wycieczek poety po najbliższej okolicy Karolina rozczarowała się jednak. Choć go o to prosiła, nie chciał jej pokazać szkicownika, który od niej dostał, a w którym według obserwacji Boszniaka robił dużo notatek i nawet coś rysował. Jakby jej nie ufał, choć usiłowała go przekonać, że jej przyjaźń z Wittem nie stanowi dla ich związku ani dla niego żadnego zagrożenia, a wręcz przeciwnie, może mu pomóc.

Poeta przypomniał sobie te zapewnienia, kiedy któregoś dnia w gospodzie pili mocną słodką kawę. Boszniak czarną, on jak zwykle z tłustą śmietanką. Wiele by dał, żeby się pozbyć kłopotliwego towarzystwa entomologa. Podejrzywał, że ten poprzedniego dnia szperał w jego rzeczach. W pokoju niby wszystko zastał na swoim miejscu, jednak instynktownie wyczuwał subtelną inwazję, ledwo dostrzegalne naruszenie granic. Zdawał sobie sprawę, że Boszniak węszy z rozkazu Witta, ale na razie nie przyszło mu do głowy, iż to węszenie miało swój dodatkowy powód. A mianowicie odwracanie jego uwagi od znacznie bardziej wyrafinowanej gry wywiadowczej agentki Sobańskiej. Jeśli w przyszłości wyjdzie na jaw, że ktoś na Krymie pisał raporty na Adama Mickiewicza, wszystko pójdzie na konto Boszniaka. Dlatego łapacz motylków stał się cieniem Adama, nieodłącznym zwłaszcza wtedy, kiedy poeta przebywał w towarzystwie Karoliny.



Wiele lat później w Paryżu Adam Rzązewski usłyszał od Karoliny Lacroix, że w czasie podróży na Krym poeta chętnie obserwował morze, które już drugiego dnia podróży zaprezentowało się w absolutnej ciszy, tak wspaniale oddanej później w jednym z sonetów krymskich. I że podczas opisanej w sonetach burzy wytrwał na pokładzie i by go fala nie zmyła do wody, kazał się przywiązać do ławki.



Widok Sewastopolu. Staloryt z ok. 1840 r. (Biblioteka Narodowa)

Po przybyciu do Sewastopola dalej poruszali się lądem. Sobańscy i Witt zatrzymali się w Eupatorii, a Mickiewicz w towarzystwie Henryka Rzewuskiego, czasem jeszcze z namolnym entomologiem, wyruszał na konne wycieczki do pobliskich miast i miasteczek lub po prostu w step. Gdy wracał z takich wypraw, hrabina Sobańska wypytywała go o wrażenia i nalegała, żeby pokazał jej notatki i szkice sporządzane w ofiarowanym przez nią kajecie. Zapewne nie chodziło jej tylko o poezję. A on odmawiał.

Czuł instynktowny wstręt do rzekomego przyrodnika towarzyszącego Wittowi. „Entomolog, skromna bardzo i niepoczesna figura, w zaniedbanym ubraniu, w okularach, na którego nikt nie zwracał uwagi, rozmawiając o specjalnym przedmiocie swoich studyów, o owadach, a szczególnie o muszkach, które zbierał wszędzie, rozpytywał się mimochodem o miejsce ich urodzenia, zajęcia, stosunki w kraju i t.d.”¹⁶.

Kilka tygodni później, już w Odessie, na obiedzie u generała Witta ujrzał Boszniaka wystrojonego w mundur, dumnego i hałaśliwego. Nie wierzył własnym oczom i po obiedzie zapytał generała:

– *Mais qui est donc ce monsieur? Je ne le croyais occupé qu'à prendre des mouches.*

– *Oh!* – roześmiał się generał. – *Il nous sert à prendre toutes sortes de mouches*¹⁷.

W 1831 roku łowca muszek zostanie zastrzelony przez oficerów rosyjskich, którzy w ten sposób pomszczą wydanie dekabrystów¹⁸.



Wycieczka na Krym wiele dała Mickiewiczowi. Nie tylko zaowocowała cyklem wspaniałych sonetów, ale też pozwoliła zapomnieć na chwilę o doli zesłańca i pomogła uwolnić się od uwikłań w niebezpieczne dla niego relacje z piękną kobietą. Wiersz *W imionniku Karoliny Rzewuskiej* jest finalnym akordem ich związku:

Rozminiem się! I kiedyż w jedną pójdziem drogę?

Ty mnie szukać nie będziesz, ja ciebie nie mogę.

Towarzystwo agentów rosyjskich było swoistym parasolem ochronnym i kto wie, może ocaliło poetę od zguby. Miał przecież swoje kontakty z przyjaciółmi Moskalami i nie był wcale takim niewiniątkiem, jak go przedstawił Witt w raporcie. Za mniejsze przewinienia niż wizyta podczas krymskiej wyprawy u Gustawa Olizara, współpracownika dekabrystów, można było trafić do więzienia lub na zesłanie. Witt musiał o takich grzechach wiedzieć, a jednak tego nie wykorzystał.

Powrót do Odessy nastąpił 15 października. U generała-gubernatora Woroncowa czekała już odpowiedź ze stolicy: polecenie wyjazdu z południowych guberni, bez gwarancji zdobycia zajęcia w Moskwie. Z Odessy Mickiewicz wyjechał 13 listopada do Charkowa. Gdy był w drodze, dostał wiadomość o śmierci cesarza Aleksandra I. Monarcha nie zdążył odbyć planowanej krymskiej podróży. O buncie dekabrystów i jego stłumieniu poeta dowiedział się już w Moskwie. Zatrzymany przez Wittę w Kijowie książę Antoni Jabłonowski za dużo gadał w śledztwie i nastąpiły dalsze aresztowania zarówno w Rosji, jak i na dawnych ziemiach Rzeczypospolitej. Zaś dziesięć lat później na wykładzie z literatury słowiańskiej powie Mickiewicz, że Witt jeszcze przed donosem Anglika Sherwooda¹⁹, który ostatecznie wsypał spiskowców, „miał już wiadomości o spisku przez jednego agenta, którego żadne pismo urzędowe, żadne zdanie sprawy ze śledztwa nie wymienia”. Agentem tym był jeden z towarzyszy podróży krymskiej. Mickiewicz kreśli jego charakterystykę następująco:

Zdrajca ten, szpieg przebieglejszy nad wszystkich znajomych bohaterów tego rodzaju, nad samego nawet szpiega w romansie Coopera, nazywał się Boszniak. Wiele razy pierwaj więziony za złodziejstwo i rozmaite występki, potem wypuszczony, mianowany tajemnie asesorem kolegialnym i jenerałem, uchodził pospolicie za literata, i pod tytułem naturalisty towarzyszył wszędzie Wittowi. Mówił on dobrze wszystkimi językami, wciskał się do towarzystw i zbadywał zrzęcznie tajemnice. Uwiadomiony przez niego hrabia Witt nie spieszył jednak

z ostrzeżeniem rządu; [...] chciał pierwiej poznać dokładnie jakie były zamiary i środki spiskowych żeby wybrać sobie, czy być z nimi czy przeciw nim: ale doniesienie Sherwooda zmusiło go posłać raport do Petersburga²⁰.

Warto tu wspomnieć, że na pierwszy ślad spisku wpadła właśnie piękna Lolina i jej raporty też przyczyniły się do aresztowań. Zesłańcy polityczni, jak Mickiewicz i jego towarzysze, mogli więc czuć się zagrożeni. Nie spodziewano się kary śmierci, bo za panowania Aleksandra I nikt nie został stracony, więc tym większy był szok, gdy zapadły wyroki, wykonane 13 lipca 1826 roku. Hańbiącą śmiercią na szubienicy zginęli rosyjscy patrioci: Konrad Rylejew, Siergiej Murawjew-Apostoł, Aleksy Biestuzew-Riumin, Paweł Pestel i Piotr Kachowski. Wkrótce potem odbyła się w Moskwie wspianała koronacja Mikołaja I, która zapoczątkowała nowy, trudny etap polsko-rosyjskiej historii.

Sonety miłosne i krymskie Adama Mickiewicza, dedykowane „towarzyszom podróży”, ukazały się w Moskwie w październiku 1826 roku. Wiedząc już, jaką rolę odegrał Witt w śledztwie dekabrystów, poeta nie żywił doń złudzeń, a zatem dedykacja była zagrywką czysto dyplomatyczną. Przyzna się do tej taktyki w wierszu *Do przyjaciół Moskali*: „Pełzając milczkiem, jak wąż, łudziłem despotę”. Jak zauważyła Maria Czapska, był to wallenrodyzm przed Wallenrodem. I zapewne dzięki temu w maju 1828 roku Mickiewicz, niezatrzymywany, odpłynął z Kronsztadu. Był wolny, a przynajmniej tak mu się zdawało. Bowiem za granicą imperium agenci cara też nie zostawili go w spokoju. Zbyt mocny rząd dusz sprawował nad niepokornymi Polakami, aby go można było bezkarnie spuścić z oka.

Upojenie romansiem z hrabiną-agentką trwało na szczęście krótko i zapewne pozostawiło w nim niesmak, jaki u patrioty musiał wzbudzać ten pusty świat, w którym się wtedy znalazł. Fakt, że czasami niebyt trafnie dobierał sobie przyjaciół. Jednak nauczony ostrożności po śledztwie wileńskim, zachowywał czujność w czasie bezpośrednich kontaktów z piękną Karoliną i niecnym Wittem na tyle skutecznie, że ten już w sierpniu 1825 roku napisał do cara Aleksandra, iż gdy po przybyciu do Odessy Mickiewicza i Jeżowskiego ustanowił nad nimi nadzór, „zachowanie ich okazało się bez zarzutu”²¹. Cieszącego się takim świadectwem niewinności politycznej poety nie aresztowano ani nie wywieziono na Sybir, ale gdyby nie opuścił Rosji, perspektywy by miał przed sobą nieciekawe: posadę prowincjonalnego nauczyciela albo „czynownika” pod nadzorem policyjnym.



Kochałem panią – i miłości mojej
Może się jeszcze resztki w duszy tłą.

Aleksander Puszkina, *Kochałem panią*, tłum. Julian Tuwim

Adresatką wyżej cytowanego wiersza jest przypuszczalnie także Karolina Sobańska, której udało się rozkochać w sobie innego wielkiego poetę. Aleksandra Puszkina poznała w Kijowie w lutym 1821 roku, w 1824 roku przyczyniła się do jego usunięcia z Odessy, dokąd został rok wcześniej służbowo przeniesiony. W archiwum Puszkina zachowały się bruliony dwóch miłosnych listów, jako się okazało – skierowanych do niej. Możliwe, że tych listów nigdy nie wysłał, tylko odczuwał potrzebę przelania na papier targających nim emocji. Padają takie zdania, jak: „urodziłem się, żeby Panią kochać i za Panią iść”, czy: „niezawodnie jesteś demonem, to znaczy tym, co wątpi i zaprzecza”. Z tego, co poeta napisał, wyłania się obraz kobiety pięknej, czulej, a jednocześnie przebiegłej. Bruliony powstały na przełomie 1829 i 1830 roku, kiedy Puszkina widywał Karolinę w Petersburgu. Wpisał wtedy do jej albumu miłosny wiersz:

Cóż tobie imię moje powie?
Umrze, jak smutny poszum fali,
Co pluśnie w brzeg i zmilknie w dali,
Jak nocą głuchy dźwięk w dąbrowie²².



Hrabina może od Gubernatora
Otrzymać... Ona, Polka, Wojewody
Naszego córka, będzie miała litość.
Nieprawdaż? Taka dobra...
Adam Mickiewicz, *Konfederaci barscy*, akt I, scena 1

Według plotkarza Wigielia Witt obiecał, że się z nią ożeni, gdy tylko uzyska rozwód. Generał umyślnie przeciągał sprawę rozwodową, w porozumieniu zresztą z żoną, która uprzejmie odpowiadała na listy Karoliny, zapewniając ją, że już niedługo rozwód dojdzie do skutku. Nie śpieszyło mu się wcale do tego związku, natomiast zależało mu na Sobańskiej jako na agentce, bo sam był człowiekiem słabo wykształconym, a ona świetnie nadawała się do układania i spisywania tajnych raportów, które wysyłał do trzeciego oddziału w Petersburgu. Jak na wytrawnego gracza przystało, mamił ją obietnicami, aby silniej ją związać ze sobą i być pewnym jej wierności. Kochankę łatwiej utrzymać na smyczy. A tę rozumną i bystrą kobietę w tym wypadku spryt zawiódł całkowicie i nie poznała się na jego grze. Sytuację miała niełatwą. W polskim towarzystwie skompromitowana z powodu oczywistej kolaboracji z rosyjskimi służbami, w rosyjskim nieakceptowana, w dodatku niefortunnie naraziła się Mikołajowi I, który nie znoślił

dwulicowości.

Cesarz w ogóle Polaków nie lubił. Wprawdzie podobno miał łzy wzruszenia w oczach w czasie koronacji na króla polskiego w Warszawie, ale po Powstaniu Listopadowym i detronizacji, co potraktował jako złamanie złożonej mu przez Polaków przysięgi na wierność, zniechęcił ich jeszcze bardziej. *La moitié je déteste, la moitié je méprise* – mówił. „Połowy ich nienawidzę, a połowę pogardzam”. Nienawidził tych, którzy mu się sprzeciwiali, pogardzał zdrajcami takimi jak Sobańska.

Za udział w tłumieniu Powstania Listopadowego Jan de Witt został odznaczony Orderem Świętego Jerzego drugiego stopnia i mianowany gubernatorem wojennym Warszawy. Powierzono mu przewodniczenie Najwyższemu Sądowi Kryminalnemu, który miał zaprowadzić w Warszawie porządek i ukarać krnąbrnych Polaczków za bunt i detronizację najmiłościwszego imperatora. Zjechał tu z Sobańską. Podzielili się obowiązkami na zasadzie złego i dobrego żandarma. On prześladował polskich patriotów, uczestników Powstania, przesłuchiwał, aresztował, zsyłał; ona wstawiała się za nimi i niby to wypraszała ich zwolnienie, a przy okazji wypytywała o to i owo. Na ile była przekonująca w swojej roli, świadczą wspomnienia Michała Budzyńskiego, powstańca i emigranta 1831 roku, który dał się nabrać i napisał później, spotkawszy ją latach pięćdziesiątych w Rzymie:

[...] była najprzód za Hieronimem Sobańskim, opuściła męża i poszła za obozem rosyjskim, gdzie znajdował się gen. Witt, który ją uwiódł i z pierwszym mężem rozdzielił. Grzeszyła słabą naturą kobiecą, ale uczucia Polki w niej nie wygasły. Po wzięciu Warszawy, gdy gen. Witt został w stolicy gubernatorem, wybawiła wielu nieszczęśliwych oficerów polskich od Sybiru i kopalni. [...] zwiedzała szpitale, gdzie ranni jeńcy polscy oczekiwali swego przeznaczenia, i niejednego jeśli nie wybawiła to z nędzy dźwigała [...]. Ona ułatwiła mi powrót do ojczyzny, dla niej należy ode mnie wdzięczność, że w cichej zagrodzie czekam woli Bożej w dalszym losie mego życia²³.

Car, który dobrze znał się na ludziach, hrabinie Sobańskiej nie ufał. Napisał o niej do Paskiewicza:

Jest to największa i najzręczniejsza intrygantka i Polka, która pod osłoną uprzejmości i zręczności każdego złapie w swoje sieci, a Wittą będzie za nos wodzić dla dopełnienia widoków własnej rodziny. Byłoby to zaprzeczeniem porządku i celu, do którego dążyć powinniśmy, t.j. do sprawiedliwości i wytępienia intryg i protekcji [...]. Sobańska jest tyle wierna hrabiemu jako kochanka, ile Rosji jako poddana. Byłoby całkiem wskazane otworzyć na nią oczy Wittą, jej zaś nakazać powrót do majątku na Podole²⁴.

Paskiewicz uspokoił go, odpisując, że cała jej rodzina oddana jest prawowitej władzy, a ona dostarcza Wittowi pożyteczne wiadomości. Nie na długo

jednak. W 1832 roku Witt polecił jej, aby przy okazji wyjazdu do Drezna na ślub swej jedynej córki Honoraty Konstancji z Franciszkiem Ksawerym Sapiehą weszła w polskie środowisko. Przebywali tam wtedy generałowa Dąbrowska, Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, Klaudyna Potocka, Wincenty Tyszkiewicz, trzech wodzowie Powstania: Kazimierz Małachowski, Henryk Dembiński i Maciej Rybiński, a także Włodzimierz Potocki, państwo Komarowie i Józefostwo Łubieńscy. Od kwietnia do lipca mieszkał tu Mickiewicz z Odyńcem i Domeyką. W listach, czy raczej raportach, agentki Karoliny Sobańskiej musiało być sporo smakowitych kąsków, między innymi o przygotowaniach Józefa Zalewskiego do wywołania nowego powstania. Donosiła na uczestników i zwolenników listopadowego zrywu, wszelkich „burzycieli porządku”, w tym na przyjaciół i krewnych. Myślała, że misją drezdeńską wysłuży sobie łaskę cesarską i łatwiej w ten sposób zdobędzie Witta, ale stało się inaczej. Witt nie poinformował o jej misji posła rosyjskiego Schrödera, a hrabina tak zręcznie wykonywała swoje szpiegowskie zadania, że zaczęła uchodzić za polską patriotkę. Poseł z zaniepokojeniem napisał do cara o jej kontaktach z drezdeńską polonią. To utwierdziło monarchę w jego niechęci i polecił usunąć ją z Warszawy, przekreślając tym samym jej plany matrymonialne, bo kochanek nie ryzykowałaby dla niej swojej świetnej kariery i po prostu się z nią rozstał. W ten sposób wpadła we własne sidła. Wykonała jeszcze dość rozpaczliwą próbę, żeby go odzyskać, gdy w listopadzie 1832 roku napisała do szefa tajnej policji, generała Aleksandra von Benckendorfa, powołując się na swoje zasługi i deklarując, że czuje się Polką tylko z nazwiska. Jest to list obrzydliwy i haniebny, w pełni potwierdzający jej przynależność do tej połowy Polaków, którymi car gardził. Znajdują się w nim zdania następujące:



MIKOŁAJ I, Wielki Książę Konstanty i Józef Bonawentura Załuski robią przegląd wojska. Litografia Stanisława Kucińskiego (Biblioteka Narodowa)

[...] więzy, łączące mnie od trzynastu lat z człowiekiem, którego najdroższe interesy koncentrują się wokół interesów jego monarchy, głęboka pogarda, jaką żywię dla kraju, do którego mam nieszczęście należeć, wszystko wreszcie, śmiałam przypuszczać, powinno było mnie wynieść ponad podejrzenia, których padłam ofiarą²⁵.

O rodakach hrabina wyraża się w sposób niepozostawiający żadnych złudzeń co do jej uczuć wobec własnego kraju. Mało który sprzedawczyk schyłku Pierwszej Rzeczypospolitej wypowiadał się tak otwarcie i tak cynicznie.

Widywałam Polaków, przyjmowałam nawet u siebie kilku takich, którymi się brzydę. Ale niepodobieństwem było dla mnie zbliżyć się do tych, z którymi zetknięcie przypominało mi pianę wściekłego psa; nigdy nie umiałam przewyciężyć tego wstrętu i wyznaję, zaniedbałam, być może, ważnych odkryć, byle tylko nie narazić się na spotkanie z istotami dla mnie odrażającymi. Witt czytał Księciu Namiestnikowi listy, które mu pisałam, dołączał kopie tych listów do swoich raportów, pomagały mu robić doniosłe odkrycia²⁶.

Podkreśla, że ciężko i z poświęceniem pracowała dla dobra Rosji, pisze o swoich zasługach dla imperium, między innymi przywołując przykład kontaktów z niejakim Krasieńskim, poddanym króla pruskiego:

Ten mając sobie zleconą w Zakroczymiu tekę spraw zagranicznych, stojąc na czele komitetu polskiego w Dreźnie i utrzymując stały kontakt z księciem Czartoryskim i wszystkimi polskimi agentami, był ceną znajomości. Ponieważ był ograniczony i próżny, bez trudu zdobyłam jego zaufanie. Dowiedziałam się o knutych spiskach, tajnych porozumieniach utrzymywanych z Rosją, makiawelicznym systemie, których chciano szerzyć²⁷.

Listem tym pograżyla się do reszty. Mikołaj I zdrajcami gardził, nieuczciwością się brzydził. Polecono jej, by wyjechała do swoich majątków na Ukrainie i tam została. Porzucona przez Witta, czując się – i słusznie! – oszukana przez swego dotychczasowego protektora, udała się najpierw do siostry, Aliny Moniuszko, w guberni mińskiej, a potem zgodnie z życzeniem imperatora osiadła na Wołyniu w swojej wsi Rąbany Most. Po jakimś czasie wyjechała na Krym i nawiązała kontakt z dwiema ekscentrycznymi mistyczkami, Anną Golicyn i baronową Julią Berkheim, córką sławnej pani Krüdener²⁸, która wywarła swego czasu potężny wpływ na Aleksandra I. Mistycyzm wyznawany przez te panie był procarski i prorosyjski, co zapewne ułatwiało godzenie pobożności ze szpiegostwem. Loli zaczęła przed nimi grać rolę skruszonej grzesznicy, a robiła to tak skutecznie, że wnet dorobiła się przydomku La Dolorosa. Wszystko zaś po to, by korzystnie wyjść za mąż za adiutanta Witta, Stefana Czyrkowicza, Serba z pochodzenia, też nawiedzonego religijnie i – o czym warto wiedzieć – odznaczonego złotą szablą i dwoma krzyżami za tłumienie powstania polskiego, w tym za szturm Warszawy. Poślubiła go w 1836 roku. Dzięki przemożnym wpływom mistyczek, zwłaszcza pani Berkheim, Czyrkowicz przeszedł do służby cywilnej, pod rozkazy hrabiego Woroncowa – dawnego zwierzchnika Witta – i był jakiś czas wicegubernatorem Besarabii. *Madame* Czyrkowicz dość szybko owdowiała i w latach czterdziestych przeniosła się do Rzymu, gdzie zaprzyjaźniła się z Józefem Bohdanem Zaleskim i przez niego nawiązała znów kontakt z Mickiewiczem, który już nie budził w niej dawnego entuzjazmu – uznała go za „jakobina”. W 1850 roku zamieszkała w Paryżu, dokąd przeniosła się jej owdowiała siostra Ewelina, po pierwszym mężu Hańska, która teraz poślubiła słynnego pisarza Balzaka. Karolina Czyrkowicz starała się nie zostać w tyle za siostrą i najpierw uwiodła dwóch pisarzy, Augustina Eugène’a Scribe’a i Charles’a-Augustina Sainte Beuve’a, by ostatecznie wyjść za mąż za trzeciego, młodszego od siebie o dwadzieścia pięć lat drugorzędneho literata Juliusza Lacroix. Prowadzili salon literacki przy rue St. Honoré, który Karolina starała się za wszelką cenę wylansować. Władysław Mickiewicz pisze, że zaprosiła raz jego ojca, chcąc zaimponować pisarzom francuskim zażyłą z nim znajomością, a jego olśnić swoimi

układami w literackim świecie Paryża. Byli tam także Balzak i Fryderyk Soulié. Zapytany o opinię o nowoczesnej literaturze francuskiej poeta odparł, że gdyby spalić dwie trzecie drukujących się dzieł francuskich, nie byłoby czego żałować. W rezultacie pani domu była rozżalona na Mickiewicza, jego zaś razila jej światowość i „salonowość” i później już się nie widywali.

Karolina Lacroix odwiedziła Warszawę, gdzie podobno podbiła serce ostatniego namiestnika Królestwa Polskiego Fiodora Fiodorowicza Berga, intensywnie rusyfikującego Polaków po Powstaniu Styczniowym. Nie wiadomo, jakie dokładnie miała wtedy powiązania z wywiadem, ale są one wysoce prawdopodobne ze względu na jej szerokie kontakty towarzyskie i w związku z tym duży stopień przydatności dla tajnych służb. Pod koniec życia bywała w kasynie w Homburgu, którego była akcjonariuszką. Inwestowała także w akcje kolei. W 1884 roku odwiedził ją Adam Rzażewski, który zbierał materiały do monografii Mickiewicza. Dużo z nią rozmawiał, opowiadała mu o swoim związku z poetą, mocno idealizując odeskie czasy. Jeśli nawet przyznała mu się, że to ona była ową D. D. – bo zdradziła mu, kto kryje się za tymi inicjałami – zobowiązała go do milczenia, a on, jak na szlachcica przystało, zachował dyskrecję.

A jednak co począć wobec kategorycznie postawionego żądania, dyskrecyi i odkrycia tajemnicy jedynie pod warunkiem danego słowa, że nazwiska jej wymieniać nie będziemy. Powiemy więc tylko, że była to Polka, młoda mężatka, że cyfry jej D. D., przez poetę podawane, zupełnie są zmienione, że wdziękami, co u nas nie rzadko, odznaczała się wśród innych naszych rodaczek i że jakoby do poety mimo rozmaitych plotek szczerze przywiązana była. [...] Pani Lacroix utrzymuje, że był to stosunek zupełnie idealny i że nic w nim grzesznego nie było, a lubo nam wydaje się to trochę inaczej, ostateczny jednak wyrok w tej sprawie czytelnikowi zostawiamy poprzestając jedynie na obiektywnym jej przedstawieniu²⁹.

Generał Jan de Witt, który odegrał demiurgiczną rolę w wykreowaniu hrabiny-szpiega, jak pisze Jerzy Łojek: „otoczony powszechną pogardą nie tylko w Polsce, ale również i w Rosji, jako prowokator, żandarm z powołania i amoralne indywiduum, zmarł w roku 1840, jak się wydaje – bezpotomnie”. Karolina z Rzewuskich *primo voto* Sobańska, *secundo voto* Czyrkowiczowa, *tertio voto* Lacroix opuściła ten świat w 1885 roku w St. Germain-en-Laye w wieku lat dziewięćdziesięciu. Dziwnie historia potrafi się toczyć. Historia literatury także. Piękna Lolina, zasadzając się w odeskich salonach na młodego poetę, zostając jego kochanką i bohaterką miłosnych sonetów, zapewniła sobie dostanie się na wyżyny narodowego parnasu, na co jako renegatka zdradzająca własny naród i agentka działającego przeciwko Polakom wywiadu na pewno nie zasłużyła.



PRZYPISY

¹ Cyt. za: Maria Czapska, *Szkice Mickiewiczowskie*, Warszawa 1999.

² Cyt. za: Maria Czapska, *Jeszcze o Odesie i towarzyszach podróży krymskiej Mickiewicza*, „Przegląd Współczesny” 1935, nr 154.

³ Cyt. za: tamże.

⁴ Chodzi o modną powieść sentymentalną *Malwina czyli domyślność serca* pióra Marii z Czartoryskich księżnej Wirtemberskiej.

⁵ Pieśni, rzekomo autorstwa legendarnego średniowiecznego barda Osjana, wydał w 1760 roku szkocki poeta James Macpherson, który tak naprawdę był ich twórcą. Między innymi przyczyniły się wielkiej popularności imienia Malwina, które nosi bohaterka powieści czytanej przez Karolinę Rzewuską.

⁶ Phi, też coś!

⁷ W dworskim i pałacowym gospodarstwie panna stołowa zawiadywała bielizną stołową i osobistą. Była to osoba o dość wysokiej pozycji wśród oficjalistów.

⁸ Wacław Seweryn Rzewuski, zwany Emirem (1784–1831?), podróżnik, pamiętnikarz, poeta, orientalista, znawca koni. Żonę Rozalię z Lubomirskich zostawił po sześciu latach małżeństwa.

⁹ *Konfederaci barscy. Dramat napisany po francuzku przez Adama Mickiewicza wierszem i oddany wierszem na język polski przez Tomasza Olizarowskiego*, akt I, scena 2. Szuka powstała w 1836 r. dla teatru francuskiego, a wydana została po śmierci poety. Zachowały się tylko dwa pierwsze akty.

¹⁰ Cyt. za: Maria Czapska, *Szkice Mickiewiczowskie*, dz. cyt.

¹¹ Cyt. za: tamże.

¹² Cyt. za: Maria Czapska, *Jeszcze o Odesie i towarzyszach podróży krymskiej Mickiewicza*, dz. cyt.

¹³ Adam Mickiewicz, *Luba! Ja wzdycham*.

¹⁴ Dante Alighieri, *Vita nuova. Życie nowe*, tłum. Artur Górski, Warszawa 1915, s. 68.

¹⁵ Cyt. za: Maria Czapska, *Szkice Mickiewiczowskie*, dz. cyt. List prawdopodobnie z 1847 r.

¹⁶ Cyt. za: *Żywot Adama Mickiewicza podług zebranych przez siebie materiałów oraz z własnych wspomnień*, opowiedział Władysław Mickiewicz, t. 1, Poznań 1890.

¹⁷ – Kim więc jest ten pan? Myślałem, że zajmuje go wyłącznie łapanie muszek. – Och... On służy nam do łapania różnego rodzaju muszek. Cyt. za: tamże.

¹⁸ „Służąc w czasie wojny polskiej 1831 r. z pożytkiem dla ojczyzny nieoczekiwanie, wraz ze stangretem i kamerdynerem został w czasie podróży sposobem zbrodniczym zastrzelony za wykrycie spisku w 1825 r.”. Cyt. za: *Dmitrij Filozofow o monografii prof. Kleinera. Prof. Askenazy o kompanji krymskiej Mickiewicza*, „Wiadomości Literackie” 1934, nr 6.

¹⁹ „Zdrajcą, donosicielem był cudzoziemiec, Anglik nazwiskiem Scherwood, który wprowadzony do spisku obrachował, że więcej zyszcze wydając go, niżeli będąc mu wiernym, i napisał do Witta o wszystkim”. Adam Mickiewicz, *Literatura słowiańska wydana w Kolegium Francuzkiem. Rok drugi, 1841–1842*, [t. 2], Poznań 1865, s. 267.

²⁰ Adam Mickiewicz, *Literatura słowiańska wydana w Kolegium Francuzkiem. Rok drugi, 1841–1842*, dz. cyt., s. 267.

²¹ Cyt. za: Jarosław Marek Rymkiewicz, *Siedem haseł z encyklopedii mickiewiczowskiej*, „Kwartalnik Artystyczny” 1988, nr 3 (19).

²² Przekład Juliana Tuwima.

²³ Michał Budzyński, *Wspomnienia z mego życia*, t. 2, Poznań 1880, s. 64.

²⁴ Cyt. za: Maria Czapska, *Szkice Mickiewiczowskie*, dz. cyt.

²⁵ Cyt. za: tamże.

²⁶ Cyt. za: tamże.

²⁷ Cyt. za: tamże.

²⁸ Barbara Juliane von Krüdener (1764–1824), córka niemieckiej arystokratki i carskiego generała niemieckiego pochodzenia, przeżyła religijne objawienie i założyła sektę. Miała wpływ na mistycyzm Aleksandra I. Jej idee kontynuowała córka.

²⁹ Adam Rzażewski, *Mickiewicz w Odessie i twórczość jego tego czasu*, Warszawa 1898, s. 20.

TAJEMNICZA XAWERA

Duszną atmosferą panującą w Kole, pycha Xawery Deybel pobudzonej do działalności przez Pilchowskiego, odbiły się fatalnie na stosunkach w rodzinie poety. Najgorzej ucierpiała Celina Mickiewiczowa, najbardziej wystawiona na ataki szalejącej Xawery.

Zbigniew Sudolski, *Mickiewicz. Opowieść biograficzna*

Pewnie dla nich obojga byłoby lepiej, gdyby do ślubu nie doszło. A do ślubu by nie doszło, gdyby doktor Stanisław Morawski nie postanowił skojarzyć tego małżeństwa. Bo gdyby doktor Morawski nie usiłował skojarzyć tego małżeństwa, Mickiewicz nie wyrzekłby pewnych lekkomyślnych słów. Gdyby poeta nie wyrzekł owych słów, to nawet gdyby Celina przyjechała do Paryża, nie przyszłaby niemal prosto do niego.

Zjawiała się w czerwcu 1834 roku i zatrzymała się u swoich kuzynów, Franciszka i Tekli Wołowskich. Przyjechać może i tak by przyjechała, bo nie bardzo miała co ze sobą zrobić. Po przedwczesnej śmierci Marii Szymanowskiej, zmarłej na cholera w 1831 roku, dla jej córek skończyła się beztraska młodość, spędzona pośród znakomitych gości ich petersburskiego salonu. Helena wkrótce wyszła za mąż za przyjaciela poety, Franciszka Malewskiego, a Celina miała poślubić przystojnego Erazma Puchalskiego, z którym zaręczyła się jeszcze za życia matki. Nie była to wcale świetna partia i panna spokojnie mogła poczekać na lepszą okazję. Być może zaważyło to, że mówiono o nim, iż jest „przepiękny”. Dla niego zaś, skoro przyjechał do Petersburga robić karierę, poślubienie córki słynnej fortepianistki dworu wyglądało na świetne taktyczne posunięcie. Odwiedzany przez elity dom cenionej artystki był miejscem, w którym dobrze zapowiadający się młodzieniec znalazłby jakże ułatwiającą życie protekcję. Po śmierci Marii Szymanowskiej sytuacja uległa całkowitej zmianie. Salon się skończył i okazało się, że panny nie mają posagu. Narzeczony stopniowo rozluźniał kontakty, aż wreszcie je przerwał, nie zrywając jednak oficjalnie. Upokorzona odrzuceniem Celina musiała teraz coś ze sobą zrobić. Po ślubie siostry zamieszkała z ojcem, który po rozwodzie z ich matką ożenił się i zdążył już mieć czworo dzieci. Czuła się tam obco, na domiar złego ojciec szybko zmarł – już w czerwcu 1832 roku. Tak młoda dziewczyna w ciągu kilkunastu miesięcy straciła oboje rodziców. Na razie wróciła do dziadków, Barbary i Franciszka Wołowskich. Wróciła – bo to oni ją wychowywali w dzieciństwie, gdy matka rozpoczynała karierę. Dziadek był piwowarem, pochodził z rodziny frankistowskiej, a jego dziadek nazywał się Salomon Ben Elias, bardziej znany jako Szloma z Rohatyna. Były projekty, że

wezmą ją do siebie Malewscy, tymczasem siostra zaszła w ciążę, a petersburskie mieszkanie było za ciasne na tyle osób. Czas jakiś Celina mieszkała więc u dziadków w Warszawie, na posesji przylegającej do browaru na Walicowie, aż w sprawę wdał się doktor Stanisław Morawski, dobry znajomy jeszcze z petersburskich czasów. Wymyślił sobie scenariusz następujący: skoro Helena Szymanowska wyszła za Malewskiego, to Celina powinna poślubić jego przyjaciela Mickiewicza. Doktor bawił akurat w Paryżu i spotkał się z poetą, choć ten mocno zajęty był kończeniem *Pana Tadeusza*. Gorąco namawiał go na Celinę, a po powrocie z kolei zaczął jej zachwalać jego, wciągnąwszy do intrygi Helenę Malewską.





*Słynna pianistka Maria Szymanowska
na litografii Piotra Fiodorowicza Borela
według obrazu Józefa Oleszkiewicza
(Biblioteka Narodowa)*

I jej córka – Celina Szymanowska (Wikimedia Commons)

Panna Szymanowska, zauroczona jak wielu rodaków twórczością i społecznym autorytetem Wieszcza, zdecydowała się pojechać do Paryża i wyjść za niego za mąż. Być może założyła sobie, że jeżeli do ślubu nie dojdzie, to uda się jej znaleźć zajęcie guwernantki. Była wykształcona, rozumna, czytana, śpiewała pięknym mezzosopranem, wychowała się wśród artystów, literatów, uczonych i arystokratów, więc kwalifikacje na domową nauczycielkę miała znakomite.

Z jej matką, słynną fortepianistką carskiego dworu, poeta przeżył flirt, a kto wie, może i romans. Była to piękna kobieta, samodzielna finansowo, utrzymująca po rozwodzie trójkę dzieci, bo panny miały jeszcze brata. Niezwykle popularna nie tylko ze względu na niewątpliwy talent, lecz również miłe usposobienie i urok, jako osoba o ustalonej pozycji towarzyskiej i matka dorastających córek musiała szczególnie dbać o reputację. Stąd nawet jeśli między nią a poetą doszło do czegoś więcej, umieli starannie to ukryć i nie pozostawili żadnych śladów. Ale równie dobrze mogła to być tylko bliskość dwojga artystów. On był wrażliwy na wdzięki niewieście, a ona piękna i jednocześnie dojrzała, umiejacą rozsądnie korzystać z uroków życia. W tych starych, dobrych petersburskich czasach Mickiewicz nazywał córki pani Szymanowskiej „drobnymi dziatczkami”. I tak też je traktował – jak bardzo miłe dzieci. Celina, będąca w wieku podlotkowym, mogła błędnie odczytać kierowane do niej serdeczne słowa młodego mężczyzny. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby się w nim wtedy po panieńsku durzyła.



Matka twoja [...] miała długi welun biały od głowy aż do stóp, piękny bukiet z białego pomarańczowego kwiatu; piękna była, wysoka, cudownych oczu, szczęśliwa i Adam najszczęśliwszy z ludzi.

Ignacy Domeyko do Marii Goreckiej, 5 sierpnia 1875 roku.¹

Był 22 lipca 1834 roku. Stojąc obok spowitej w koronki Celiny w paryskim kościele St. Louis d'Antin, Adam przypomniał sobie swój sen sprzed pięciu lat. Petersburg, sylwestrowa noc, stancja wspólna z Malewskim. Przyśniło mu się, że przybył do niego porządnie ubrany mężczyzna i wręczył mu bilet wizytowy z pustym miejscem zamiast nazwiska, obwiedzionym ramką składającą się z narzędzi tortur. Były tam gwoździe, młotki, obcęgi, szydła i dyscypliny.

– Cóż to za żarty! – wykrzyknął poeta i w tym momencie się obudził. Mocno poruszony snem zawołał do przyjaciela: – Franciszku, czy śpisz? Ja umrę w tym roku!

Zaspany Franciszek wymruczał coś w odpowiedzi, a Adam zaraz zasnął. I śnił dalej. Znajdował się pod petersburskim kościołem, gdzie miał z Malewskim być nazajutrz rano. Ludzie właśnie wychodzili z poprzedniej mszy, a wtedy zerwał

się wiatr i porwał mu kapelusz. Goniąc go, poeta znalazł się przed trzema ubranymi jak do ślubu damami.

– Jakże to, panie Mickiewicz, późniesz się do swego ślubu? – odezwała się surowo najstarsza z pań, zapewne matka panny młodej.

– Jak to do mego ślubu?

– Nie zapieraj się pan, wszak przyjąłeś kartę i masz ją przy sobie.

Wyjął Adam ów bilet z kieszeni, a kobieta, schyliwszy się, uniosła brzeg haftowanej sukni panny młodej i przyłożyła go do miejsca, z którego został wycięty. Pasował idealnie.

– A więc widzisz pan?

We śnie Adam uznał to za dowód przekonujący. Podeszli pod ołtarz i przystanęli. Oblubienicę spowijał gęsty welon, przez który nic nie było widać, a on koniecznie chciał zobaczyć, kim ona jest.

– Odkryj się! – rozkazał. W tym momencie się obudził, nie zdążywszy przysnąć jej twarzy.

Rano i na jawie, tak jak było w planie, udał się z Malewskim do kościoła, a wtedy rzeczywiście wiatr porwał mu kapelusz, który upadł u stóp Marii Szymanowskiej i jej dwóch córek.

– Cóż to, panie Adamie, chwytasz mi Celinę? – zapytała żartobliwie pianistka, a on, przypomniawszy sobie sen, roześmiał się. Przecież Celina to jeszcze dziecko!

Sen ów i noworoczny poranek przypomniawszy sobie ponownie pięć lat później, w paryskim kościele, spoglądając na zasłoniętą koronkami postać u swego boku.

– Celino, odkryj się – wyszeptał odruchowo, przejęty wspomnieniem z Petersburga.

Później swój sen objaśniał następująco: odbierając z rąk posłańca kartę wizytową z narzędziami mąk, przyjął zapowiedź męczarni, którą zadać mu miała własna żona. Tak bowiem się stało, że małżeństwo zmieniło życie Adama w piekło, a i Celinę unieszczęśliwiło, przynosząc napięcia, które mogły przyczynić się najpierw do ujawnienia się, a potem do nawrotów choroby. Podobno wszyscy nosimy w sobie ziarno szaleństwa i teoretycznie w sprzyjających temu warunkach każdy może wpaść w obłąd. Tak też stało się z panią Mickiewiczową. Wystarczy bowiem, że przepali się jakiś bezpiecznik, i wówczas szaleństwo jawi się wyzwoleniem, jedyną ucieczką od sytuacji, której człowiek nie może znieść i z którą nie może sobie poradzić. Jest to złuda i podszept szatański, gdyż choroba psychiczna nie wyzwala i w dodatku zadaje choremu niewyobrażalne dla ludzi zdrowych cierpienia. Dotyka też jego bliskich, burząc, czasem nieodwracalnie, relacje z nimi.

Dlaczego tych dwoje się pobrało? Czy dlatego, że Mickiewicz czuł się odpowiedzialny za Celinę, za to, że ją ściągnął, wypowiadając niebaczne słowa do

doktora Morawskiego? A może naprawdę mu się podobała? Była wszak piękna, jej urodą zachwycano się wielu mężczyzn. U niej zaś, obok pragnienia, by znaleźć swoje miejsce w życiu, mógł dojść do głosu stan maniakalnego pobudzenia, biorący się z choroby, którą w sobie nosiła. Euforia kazała rzucić wszystko i jechać do Paryża, bo sam wielki poeta zechciał ją poślubić. W lipcu 1834 roku Mickiewicz napisał do swego przyjaciela Antoniego Edwarda Odyńca:

Oto krótko i węzłowato: żenię się z Celiną. Przyjazd jej trzpiotowaty nastąpił wskutek doniesionych do Warszawy kilku słów moich żartem powiedzianych. Nie uwierzysz, jak się zdziwiłem, słysząc, że już w drodze i prosto do mnie. Chciałem z niczym odprawić, ale Celina zmieszała mnie bardzo dobrym znalezieniem się, oświadczając, że manatki zabierze i wróci, nic do mnie nie mając na sercu. Żal było narażać ją na tyle kłopotu. Zresztą podoba mi się.

Między małżonkami było czternaście lat różnicy. Ona miała dwadzieścia jeden, on trzydzieści pięć lat. W gruncie rzeczy się nie znali. Mickiewicz ostatni raz widział ją w Petersburgu przed laty, kiedy była nastoletnią panną, „drobnym dzieteczkiem”. Dopiero żyjąc z nią pod jednym dachem i w małżeńskiej bliskości, odkrył najpierw melancholijne usposobienie, potem huśtawki nastrojów i lęki, by wreszcie w pełni doświadczyć krzyża, jaki jest udziałem bliskich osoby chorej. Celina też nie знаła Adama. Z Petersburga pamiętała młodego, uwodzicielskiego mężczyznę, a w Paryżu był to już człowiek dojrzały, obarczony wielką odpowiedzialnością przez rodaków, którzy obwołali go narodowym Wieszczem.

Przed ślubem wyspowiadali się sobie wzajemnie. Był to jego pomysł, ale czy dobry? Dorosły mężczyzna opowiedział o swoich intymnych sprawach młodej, niedoświadczonej dziewczynie, w dodatku – o czym nie mógł jeszcze wiedzieć – chorej psychicznie. Tę wzajemną spowiedź i jej przebieg też wywieszczył petersburski sen. Tam Mickiewicz chciał, żeby nieznaną narzeczoną odrzuciła zasłony i odkryła się przed nim, tak jak on odsłonięty kroczył u jej boku. Tu myślał, że Celina powie mu o sobie, wyzna, jaka naprawdę jest. Tymczasem tak jak we śnie nie zobaczył jej twarzy, podczas przedmałżeńskiej rozmowy nie poznał jej tajemnicy. Choroba ujawniła swoje oblicze później, wraz z nią nadeszło cierpienie.



Nieszczęśliwy, biedny Adam widząc, że sam nie podoła niczemu, zdecydował się Celinę umieścić w jednym z najlepszych zakładów dla obłąkanych. Celina rada by każdemu robić właśnie, co mu najbardziej się nie podoba; nad tym najwięcej umysł jej pracuje jakby każdemu dokuczyć.

Eustachy Januskiewicz do Eugenii Larissówny²

Z początku było dobrze: Celina kochająca i szczęśliwa, Adam zadowolony.

Miesiąc po ślubie, w sierpniu 1834 roku pani Mickiewiczowa pisze do siostry:

Urządziliśmy się jak można najskromniej, ale wygodnie. Mogę cię teraz zapewnić, moja droga, że znalazła nareszcie szczęście, o którym marzyłam. Adam dla mnie jest światem, o nic więcej nie dbam³.

Mickiewicz dzieli się swoją małżeńską radością z bratem Franciszkiem w równie pogodnym tonie. Nic na razie nie zapowiada katastrofy:

Celina jest żoną, jakiej szukałem, śmiała na wszystkie niewygody, poprzestająca na małym, zawsze wesola⁴.

Ale już w liście do serdecznego przyjaciela, Edwarda Antoniego Odyńca, pośród pozornej harmonii, zadzwoniła dziwna dysonansowa nuta:

Wieczorem dawna kompania. Domeyko, Zan i parę innych osób, czasem zaglądną do nas. Ale jeszcze moi znajomi nie przywykli do mojego nowego meblu i trochę żenowani.

Mebel? Jeśli to miał być niewinny żart, nasuwa się pytanie, czy tak napisałby o Maryli. Albo o Ewie Ankwiczównie? Nadwrażliwa Celina takie nastawienie męża musiała wyczuwać. A jeśli tak, to ją bolało. Adam okazywał jej serdeczność, sprawiał przyjemności, szanował ją, ale nie dopuszczał głębszej duchowej więzi. Ona chciała być czymś więcej niż kochanką, matką i gospodynią domową, a zatem cierpiała, wyczuwając w mężu dystans.

Na świat przyszła Marynia, potem Władzio. Młoda matka źle znosiła trudną sytuację finansową, pogorszoną wskutek powiększenia się rodziny, i wpadała w stany depresyjne, ładnie określane mianem melancholii. Zbyt wiele życie od niej wymagało. Miała zajmować się domem, dziećmi, dawać sobie radę z codziennością, a jednocześnie sprostać roli żony Wielkiego Poety. Bystra obserwatorka Klementyna z Tańskich Hoffmanowa twierdziła, że pani Mickiewiczowa nie nadawała się na towarzyszkę życia Wieszcza. Zarzucała Celinie miniastość, mizdrzenie się, fałsz, przesadną strojność. A przecież mogły to już być pierwsze symptomy choroby. (Później, podczas nawrotów i okresów zaostrzenia się objawów, Celina będzie się ubierać zbyt kolorowo i przesadnie obwieszać świecidełkami). Mówiło się też o jej niegospodarności i szastaniu pieniędzmi, których i tak było nie dosyć (sam mąż jej to czasem delikatnie wymawiał, w późniejszych czasach stawiając za wzór oszczędną Karolinę Towiańską). Ale zbierała też pochlebne opinie, zwłaszcza od panów: że jest schludna, ładnie ubrana i promienieje domowym szczęściem. Nic dziwnego, Celina była piękną kobietą i mężczyźni mogli ją tak postrzegać w tych momentach, gdy choroba nie zmieniała jej w obcą, niezrozumiałą istotę. Przeciwstawne głosy mogą też świadczyć o huśtawce nastrojów, jakim podlegała. Raz było z nią dobrze, wtedy budziła zachwyty. Potem robiło się gorzej, co objawiało się w jej wyglądzie, w wyrazie twarzy, spojrzeniu, zachowaniu.

Hoffmanowa zauważyła ponadto, że Mickiewicz w domu żonę traktuje jak

służącą (mebel?), natomiast na wizytach role się odwracają, to ona go pęda i strofuje. Przy czym oboje się godzą na taką grę. Czyżby w ten sposób już tak wcześniej maskowali, także przed sobą nawzajem, rzeczywistość swojego związku, jakakolwiek ona wtedy była?

W październiku 1838 roku Mickiewicz wyjechał do Szwajcarii starać się o posadę profesora Akademii Lozańskiej. Celina wiedziała, że ta praca może przynieść znaczną poprawę sytuacji materialnej, ale też jego wyjazd z domu musiał wywołać w niej poczucie zagrożenia – może był to lęk przed opuszczeniem, typowy dla pewnych schorzeń (a już raz została porzucona). Okazało się to na tyle silne, że w listopadzie, trzy miesiące po urodzeniu drugiego dziecka, zaczęła zachowywać się dziwnie, nieracjonalnie. Najpierw pojawiły się nadpobudliwość i słowotok, potem przyszła rosnąca agresja. Podczas nasilenia się ataków wyrывała się dokądś, wygłaszała prorocтва, objawiała prawdy, twierdziła, że jest Matką Boską Częstochowską, że została powołana do wskrzeszenia Polski i zbawienia Żydów. Mąż zaś miał być Polski królem.

Eustachy Januszkiewicz, który się nią opiekował, gdy Mickiewicz przebywał w Szwajcarii, napisał, że działo się tak wskutek uderzenia mleka karmiącej matki na mózg. Wymieniał też inne przyczyny, a więc czasowy brak małżeńskiego pożycia przy jej silnym temperamencie oraz egzaltację religijną. Po powrocie poeta zastał sytuację domową w fazie krytycznej, o czym napisał do Ignacego Domeyki:

Wracam, znajduję żonę w najokropniejszej chorobie, opuszczoną prawie od doktorów, synka umierającego, Misię w cudzym domu, wszystko w ruinie⁵.

Opiekował się Celiną z oddaniem, a o tym, co wtedy przeżywał, świadczy fakt, że w krótkim czasie postarzał się i całkiem posiwiiał. Zajmowanie się chorą psychicznie żoną nie jest optymalnym zajęciem dla poety, ale radził sobie, jak potrafił. Posiwieć mógł jak najbardziej, skoro w domu dochodziło to scen, jak ta opisana przez Eustachego Januszkiewicza w cytowanym wyżej liście do Eugenii Larissówny:

Adam przez sześć tygodni był celem nieustannym tego jej usposobienia. Temu sześć czy siedem dni do takiej go przywiodła rozpacz, iż ją chciał bić, a zreflektowawszy się, schronił się do izby kucharki, żeby odpocząć. I tam go znalazła, i już Adam chciał się z trzeciego piętra rzucić, żeby koniec swej męczarni znaleźć.

Zwlekał z oddaniem żony do zakładu, ale nie było innego wyjścia i w końcu umieścił ją w klinice psychiatrycznej w Vanves, gdzie spędziła trzy miesiące. Pisał do niej: „Wszyscy tęsknimy do Ciebie, staraj się, o moja miła, prędko wyzdrowieć”⁶. Podleczone ją i w czerwcu 1839 roku państwo Mickiewiczowie wyjechali z dziećmi do Lozanny, gdzie on objął katedrę literatury łacińskiej. Dzieci podrosły, na świat przyszła Helenka i pojawiła się nadzieja, że teraz jakoś się ułoży. Jednak Celina źle znosiła Szwajcarię, bała się, że dzieci tu zachorują, chciała

wracać do Paryża i w ogóle zaczęła „dokazywać”, jak to określał mąż. W 1840 roku Mickiewicz zrezygnował z pracy w Lozannie i w listopadzie przyjął nominację na stanowisko profesora tymczasowego literatur słowiańskich w Collège de France. Zamieszkali przy rue Amsterdam w Paryżu. Wydawałoby się, że teraz już powinno być dobrze, niestety choroba przypuściła atak na nowo. Celinę dręczyły teraz obsesyjne myśli, że jest Żydówką, że jest biedna, że jest kamieniem u szyi męża-poety. Ten nawrót był krótkotrwały, ale od stycznia 1841 roku znowu się zaczęło. Stefan Witwicki pisał w tym czasie do Józefa Bohdana Zaleskiego:



CELINA MICKIEWICZOWA Z CÓRKAMI MARIĄ I HELENĄ. *Obraz pędzla Zofii Szymanowskiej-Lenartowicz, przyrodniej siostry Celiny (Wikimedia Commons)*

Adam także rozbiedował się znowu na swoją domową biedę. Żona mu dokazuje od kilku już dni, strasznie jest biedak z nóg tym powalony, nie pojmuje,

jak mógł ostatnią lekcję odbyć, może też to jeszcze tak przejdzie⁷.

Wprawdzie rzeczywiście przeszło po miesiącu, ale całkiem nie odpuściło. Niedyspozycje pani Mickiewiczowej przeplatały się odtąd z okresami poprawy, aż wreszcie w lipcu dostała ataku szału i trzeba ją było ponownie umieścić w Vanves. Nie wiadomo, jak długo by to trwało tym razem i czym by się skończyło, gdyby w lipcu 1841 roku nie pojawił się w domu poety Andrzej Towiański.



Czy nie sądzisz, że drugi *Pan Tadeusz* byłby wartościowszy od wszystkich Biesiad⁸ świata? Ta doktryna wyjaławiała każdego, kogo tknęła. Strzeż się ty, aby te opary nie rzuciły ci się na mózg i nie pociągnęły pod sztandary, których ta Deybel była Joanną d'Arc, a pani Gutt Deborą.

Maria Gorecka do Władysława Mickiewicza⁹

Tajemniczy ten człowiek, przybyły z Litwy, już od kilku lat głosił swoje mistyczne poglądy, między innymi w Petersburgu, gdzie poznał Franciszka i Helenę Malewskich. A że do tego z czasów pobytu w Dreźnie znał Antoniego Edwarda Odyńca, któremu Mickiewicz donosił listownie o swoich kłopotach, więc doskonale się orientował w historii Celiney i jej małżeństwa.

Jeszcze na Litwie Towiański dostąpił objawienia i do Francji przyjechał spełnić wielką zbawczą misję. Zapowiadał emigrantom powrót do Ojczyzny i wielki duchowy postęp, jeśli będą go słuchać. Umiał doskonale wyczuć i wykorzystać do swoich celów nastroje i deficyty emocjonalne swoich rozmówców, idealnie trafiał w potrzeby duchowe wygnańców. Połączył w jedno dwie najważniejsze dla Mickiewicza kwestie: polską i religijną, i pewnie dlatego już w pierwszej rozmowie przekonał poetę do swoich idei. Zależało mu na Wieszczu, który miał ogromny autorytet w polskim środowisku. Jeszcze silniej związał go ze sobą tym, że uleczył Celinę.



ANDRZEJ TOWIAŃSKI odegrał wielką rolę w życiu państwa Mickiewiczów oraz w kręgach polskiej emigracji. Drzeworyt Jana Styfiego (Biblioteka Narodowa)

Polecił odebrać ją z Vanves i mąż to zrobił, wbrew protestom lekarzy. Następnie odbył z nią półgodzinną rozmowę w cztery oczy, po której szaleństwo

chorą opuściło. Przez cały miesiąc spotykał się z nią i rozmawiali, aż Celina ustabilizowała się emocjonalnie. W tej swoistej psychoanalizie umiejętnie przekierował jej zainteresowania na sprawy religijne, zyskując dla swojej misji gorliwą apostołkę. Egzaltacja w sprawach wiary, w jaką czasem odtąd popadała, nie była tak groźna dla niej i dla rodziny jak poprzednie ataki. A poeta wierzył, że podobnie jak jego żona została uzdrowiona, tak Bóg przywróci Polskę, i tym chętniej starał się pozyskiwać nowych zwolenników dla nauk Mistrza. Do końca życia wpływ towianizmu na oboje małżonków był ogromny.

Siódmego sierpnia 1841 roku Andrzej Towiański, Antoni Gorecki, Adam Mickiewicz i Izydor Sobański podpisali uroczyste ślubowanie, głoszące objawienie Boga narodom słowiańskim, podobne do objawienia Jahwe ludowi Izraela. Podczas mszy świętej w katedrze Notre-Dame de Paris, odprawionej 27 września w intencji przyjęcia tak wielkiej łaski Pana i podziękowania za nią, Celina Mickiewiczowa siedziała obok Karoliny Towiańskiej.

Od 1842 roku to w mieszkaniu Mickiewiczów odbywały się regularne spotkania i uroczyste przyjęcia nowych członków Koła Sprawy Bożej, o którym Seweryn Goszczyński napisał: „Jest to nic więcej, tylko nasza demokracja, nasze najszlachetniejsze teorie polityczne i filozoficzne, podniesione do religii”¹⁰. Członkowie Koła mieli się samodoskonalić pod kierunkiem Mistrza i w duchu mesjanizmu przygotowywać się do nadchodzącej przemiany świata, w której szczególna rola przypadała narodom słowiańskim. Koło miało niezaprzeczone cechy sekty, lecz Towiański bardzo dbał, by nie popaść w otwarty konflikt z Kościołem. Wiele można zarzucić towiańszczyźnie, zwłaszcza w jej późniejszej fazie, natomiast początki działalności Koła odegrały pozytywną rolę, bo paryscy wygnańcy otrzymali nadzieję na lepszy los ich i Polski. Dzięki Towiańskiemu Mickiewicz wyszedł z depresji, w którą wtrąciły go domowe kłopoty, tęsknota za krajem i emigracyjne kłótnie. W dodatku wspólne działanie w Kole i wspólna egzaltacja na nowo połączyły go z Celiną, co wraz z jej uzdrowieniem być może uratowało ich związek od totalnej klęski.

Towiański dość szybko, bo już w lipcu 1842 roku, otrzymał od władz nakaz opuszczenia Paryża i Francji. Niepokój budził sekciarski charakter jego działalności, a także silny wśród towiańczyków kult Napoleona. Możliwe też, że nakaz ten był wydany wskutek nacisków wtrącającej swoje trzy grosze ambasady rosyjskiej, jako że środowisko polskie podlegało inwigilacji carskich służb specjalnych. Choć Towiański został wygnany, Koło działało dalej, kierowane przez niego zdalnie, między innymi z Belgii i ze Szwajcarii.



Nu a niewielka

Pani Dejbelka
Ta chodzi
i uwodzi
Bez węża,
Gdy Pan Bóg spuści męża.
Juliusz Słowacki, *Chór duchów izraelskich*

W grudniu 1841 roku, czyli kilka miesięcy po Towiańskim, w Paryżu zjawiała się kolejna ciekawa osoba. Tym razem kobieta, i to kobieta demoniczna. Anna Józefa Maria Deybel, zwana Xawerą, która stała się powodem wielu nieporozumień i kłótni zarówno w rodzinie poety, jak i w Kole Sprawy Bożej. Jej rodziców, Franciszka Xawerego i Albinę z Reszków, prowadzących pensję dla panien w Wilnie, znało wiele osób i była to dobra rekomendacja w emigracyjnym środowisku. O jej wcześniejszym życiu wiadomo, że kształciła się na pensji rodziców, znała francuski i niemiecki, uczyła się muzyki i śpiewu u samego Moniuszki, a po ukończeniu szkoły udzielała lekcji.

Zimą 1840 roku usłyszała ją w Wilnie znana niemiecka śpiewaczka Sabina Heinefetter i zabrała ze sobą do Moskwy. Tam razem wykonały duet z opery Belliniego *Norma*, odnosząc sukces. Następnie artystka zawiozła dziewczynę do Baden i oddała pod opiekę swojej siostrze, paryskiej śpiewaczce, Katarzynie Heinefetter. Pod kuratelą Katarzyny Xawera przyjechała do Paryża, po czym zrezygnowała z kariery śpiewaczej i stała się znaczącą postacią w Kole Sprawy Bożej, do którego została oficjalnie przyjęta na Wielkanoc 1842 roku, *notabene* trzy miesiące wcześniej niż Celina Mickiewiczowa. Siostra Xawera była szczególnie wyróżnianą uczennicą Mistrza. Świadczy o tym między innymi fakt, że gdy po późniejszym rozłamie w Kole zwolennicy Mickiewicza wystosowali pismo do Seweryna Goszczyńskiego z prośbą o przekazanie go braciom wiernym Towiańskiemu, pośród osiemnastu nazwisk adresatów figuruje także Xawera. Czyli należała do elity, nie była szeregową siostrą. Zaś wcześniej, pod petycją do ministra spraw wewnętrznych w sprawie wydalenia Towiańskiego z Francji w 1842 roku, wśród czterdziestu pięciu podpisów znalazły się nazwiska dwóch kobiet: Celiney Mickiewiczowej i Xawery Deybel.



XAWERA DEYBEL, *kobieta o magnetycznym spojrzeniu*
(Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza)

Nowo przybyła udzielała się bardzo aktywnie, miewała widzenia i ekstazy i zawsze była gotowa do mistycznych wlotów. To ona w uniesieniu ducha widziała wokół głowy Mistrza dwanaście gwiazd, podczas gdy Gutt zobaczył ich siedem, a Mickiewicz zaledwie trzy czy wręcz jedną. Towiański nazwał ją

Księżniczką Izraelską, bowiem wszystko, co wiązało się z Izraelem, posiadało dla Mistrza wartość – jako duchowa dojrzałość. Dla Swedenborga „Izrael” oznaczał ludzi żyjących według boskiego planu, u Towiańskiego była to duchowa nazwa narodów powołanych do wejścia w epokę wyższą. Celina otrzymała miano „Stary Izrael”.

Xawerę Teofil Lenartowicz nazwał później „bestia, towianica Deybel”. Nie była ładna. Niska, ciemna szatynka, miała coś egzaltowanego w ruchach, w sposobie mówienia, w zachowaniu. Uwagę przyciągały jej niesamowite piwne oczy. Sam Mistrz Towiański bał się ich magnetycznej siły, nie mógł wytrzymać jej wzroku i gdy z nią rozmawiał, kazał jej zasłaniać twarz. Mężczyźni tej sile ulegali, zdarzyło się to kilku towiańczykom. Jednocześnie wyczuwało się w niej coś fascynująco chorobliwego, sprawiała wrażenie istoty totalnie samotnej w świecie. Krzysztof Rutkowski napisał o niej: „jawiła się jako cielesność uduchowiona i duch ucieleśniony jednocześnie”. Nic dziwnego, że na wyobraźnię romantyków działała piorunująco. Mickiewicz lubił oryginalność, jako poeta był szczególnie wrażliwy na wszelkie przejawy niecodzienności i Xawera go fascynowała. W dodatku przyjechała z Litwy, a on kochał wszystko co litewskie. Znał jej rodzinę z Wilna, bo filomaci, między innymi Tomasz Zan i Teodor Łoziński, dorabiali lekcjami na pensji jej rodziców.

Była inna niż znane mu dotąd kobiety i uderzyła mu do głowy tym bardziej, że żył wtedy w stanie egzaltacji naukami Mistrza i kontaktem z nim. W takim nastroju łatwo uwierzyć w pokrewieństwo dusz, przeznaczenie sobie od początku świata i duchową spółkę, zwłaszcza że siostra Xawera chętnie podjęła tę grę. Do domu Mickiewiczów trafiła wiosną 1842 roku, niewykluczone, że z polecenia samego Mistrza. Celina z początku życzliwie ją przyjęła pod swój dach. Mistrzowi zawdzięczała uwolnienie od choroby, a więc winna mu była wdzięczność i posłuszeństwo. Napisała do Heleny Malewskiej:

Mieszka teraz u nas młoda osoba, bardzo dobra i gruntownie wychowana, panna Deybel, trudzi się edukacją Marysi, ale tylko przez przyjaźń. Wielka to dla mnie ulga, gdyż mam wiele obowiązków¹¹.



Niechętny Xawerze syn poety Władysław Mickiewicz z żoną Marią i córkami Heleną i Marią (Biblioteka Narodowa)

Xawera miała u Mickiewiczów uczyć dzieci, przede wszystkim Marynię, która od początku jej nie lubiła, a potem wręcz znienawidziła. Miała też pomagać Celinie w domowych sprawach. Pośród tego wszystkiego została kochanką jej męża i prawdopodobnie miała z nim córkę. Nie wiadomo dokładnie, kiedy zaczął się ów romans, bo gdy Maria i Władysław dorośli, dołożyli wszelkich starań, by pozacierać ślady istnienia panny Deybel w życiu ojca.

Letnie wakacje 1842 roku Celina spędzała z mężem, czworgiem dzieci (w tym z miesięcznym niemowlęciem) i Xawerą w Saint-Germain-en-Laye. Wtedy doszło do pierwszych spięć między paniami. Celina zbuntowała się przeciwko temu, że nie tylko mistyczne wzloty łączą jej męża z guwernantką, a ich relacja podczas natchnień i objawień Xawery wykracza poza „chrześcijańską spółkę”. Trudno tu oskarżać Mickiewicza o cyniczne zdradzanie żony pod pretekstem doskonalenia ducha. W ideologii i mistycznych obrzędach Koła Sprawy Bożej cielesność i duchowość splatały się tak silnie, że łatwo było się w tym wszystkim

pogubić, i to nie tylko chorej pani Celinie. W środowisku towiańczyków przeważali mężczyźni i mistyczno-erotyczna gra Xawery znajdowała chętnych odbiorców. Obaj, Towiański i Mickiewicz, traktowali bardzo serio Księżniczkę Izraelską i jej „magnetyczne oczy”. Mickiewicz naprawdę chciał „pobudzać ruchy ducha”, co według zasad i w nomenklaturze towianizmu służyło utrzymaniu tonu, a bycie we właściwym tonie stanowiło warunek bycia naprawdę. W osiągnięciu tego etapu duchowego postępu pomagały próby i ćwiczenia. Nie sposób rozstrzygnąć, jak pisze Krzysztof Rutkowski, czy „podczas wspólnych «akcji fizycznych», zwanych wspólnymi natchnieniami, ciało stawało się natchnione, czy też duch się ryzykownie ucieleśniał. Wiadomo jednak, że Mickiewicz przywiązywał do tych wspólnych akcji odbywanych z Xawerą – tylko z Xawerą, bo nikt inny sprostać im nie umiał – niezwykłą wprost wagę”¹². A poza wszelką mistyką był także pod urokiem jej oczu, jej niezwykłego śpiewu, jej kobiecego „demonizmu”. Celina nie inspirowała do mistyczno-twórczych wzlotów, natomiast dzięki „spółce chrześcijańskiej” utrzymywanej z Xawerą osiągał stan uniesienia twórczego. Przez lata pomiędzy tą trójką trwał silny wzajemny związek, jednocześnie wzniośle uduchowiony i bardzo ziemski.

Kolejne ślady niezgody między siostrą Celiną a siostrą Xawerą pojawiają się w 1843 roku. W rozmowie z Sewerynem Goszczyńskim, którą ten zanotował, Mickiewiczowa przyznała duchową wyższość „siostry Deybel” nad sobą, ale też powiedziała hardo, że dzięki Towiańskiemu odnalazła „ton, który w domu jako gospodyni trzymać powinna”. Inaczej mówiąc, przestała się godzić na wspólne wyjścia męża i Xawery, przechadzki, długie dyskusje w jego gabinecie, z których ona była wykluczana. Władysław Bełza twierdzi, że gdy Adam wychodził z domu, panna Xawera zarzucała szal, brała go na oczach żony pod ramię i wychodzili razem. Dla małżonki, zwłaszcza przy jej nadwrażliwości i zachwianej równowadze emocjonalnej, musiało to być szczególnie trudne. Bełza, znający sytuację domową Mickiewiczów nie tyle z własnych obserwacji, ile z opowiadań „wiarygodnych świadków”, tak ten fakt odnotował:

Pani Celina, zrazu tak życzliwie usposobiona do nowej swojej lokatorki, zaczęła podejrzliwym okiem spoglądać na jej stosunek do męża. Nie podobało się jej – i słusznie – te ciągle *à parte* w gabinecie p. Adama, wspólne wycieczki ich na miasto. [...] Płakała z początku biedna kobieta, później przyszło do wymówek, do kilku scen przykrych domowych, w których poeta jeżem stawał, aż w końcu suchymi już tylko oczyma patrzyła na tę dziwną istotę, która z taką czelnością wydzierała jej męża i coraz bardziej odsuwała go od niej¹³.



Karol [Różycki] widział Xawerę zirytowaną, dostrzegł, że dzieci krzywdziła

i sama zaniedbywała się, chciał ją nawet sam z domu mego oddalić. Xawera przyznawała się do win, przyznawała się, że dzieci moich nie lubi, że wiele kłamała [...].

Adam Mickiewicz do Towiańskiego 14 sierpnia 1845 roku¹⁴

Xawera przysiadła na kanapie w saloniku. Marynię i Władzia zabrała na cały dzień do siebie ciocia Aleksandryna Faucher, z domu Wołowska, małymi dziećmi zajęła się służąca. Wreszcie trochę spokoju, będzie miała parę godzin dla siebie. Dobry moment, by poczytać spokojnie *Słowa Napoleona* zapisane pod wpływem niedawnego objawienia i nanieść uwagi. Adam tego nie zrobił, bo się śpieszył, żeby zdążyć z notatkami do dzisiejszego wykładu w Collège de France. Wstała, ale nie zdążyła przejść do jego gabinetu, bo do saloniku weszła Celina. Miała niezdrowe wypieki i silnie błyszcząły jej oczy. „Niedobrze – pomyślała Xawera. – Od kilku dni zachowuje się dziwnie. Oby tylko bardziej się nie rozdokazywała. Właśnie teraz, jak z Adamem mamy tak cudowne porozumienie dusz”.

– Dzień dobry, Celino. Jak dzisiaj spałaś?

– Źle. Chciałam dłużej poleżeć, tymczasem Adam kazał wstawać, bo dzieci... I jeszcze wypomniał, że ty już na pewno na nogach, a przecież do późna pracowaliście nad jego wykładem. Dlaczego on z tobą rozmawia o swoich wykładach, a ze mną nie?

– Zaczęliśmy jeszcze przedwczoraj na spotkaniu siódemki¹⁵ z bratem Sewerynem. Ciebie tam nie było, nie wiedziałabyś, o co chodzi – wyjaśniła Xawera. Wypadło to niezbyt przekonująco.

– Chciałam tam iść. A wiesz, czemu nie poszłam? – Celina wyraźnie się podnieciła. Szkarłatne plamy na policzkach zarysowały się jeszcze intensywniej.

– Adam mówił, że cierpisz na migrenę.

– Nieprawda – wykrzyknęła Celina. – Zabronił mi iść.

– Kto? Adam?

– Tak. Adam!

– Dlaczego miałby to zrobić?

– Wstydzę się mnie. Uważa, że się nie nadaję do Koła, że go kompromituję. Ach, wy nie wiecie, jak on mnie traktuje... A przecież sam Mistrz mu nakazał, aby nie chował w pamięci moich niedostatków i żeby układał nasze stosunki na braterskiej płaszczyźnie. To słowa Mistrza.

– Adam na pewno tak nie uważa. – Xawera próbowała za wszelką cenę ją uspokoić. – Musiałaś go źle zrozumieć.

– On mnie niszczy. – Celina nakręcała się coraz bardziej. – Wysysa ze mnie wszystkie żywotne siły. Jak upiór! Zmora! Strzyga! – Teraz krzyczała.

Xawera poważnie się wystraszyła. Jak ona się nie uspokoi, zaraz będzie nieszczęście. Co tu zrobić? Co jej powiedzieć?

– Adam dba o ciebie i o dzieci. Z myślą o was tak ciężko pracuje. Stara się.
– Nieprawda! Uważa, że jestem dla niego tylko cierpieniem, obolałym palcem u ręki. Klującym kłosem noszonym pod koszulą. – Zniosła się szlochem, po czym w jednej sekundzie ucichła i spokojnie otarła łzy. – Spytaj Maryni, jak mi nie wierzysz.

– Przecież to małe dziecko, które niewiele jeszcze rozumie.
– O, doskonale rozumie. Dobrze wie, dla kogo tatuś naprawdę się stara. Władzio tak samo. Wszyscy widzą, co się święci.

Nie pierwszy raz Celina przerzucała dręczące ją lęki na dzieci, zwłaszcza na starszą Marynię. Jeszcze trochę i oboje z Władziem znienawidzą swoją opiekunkę. Od jakiegoś czasu dziewczynka okazywała Xawerze niechęć, a ona domyślała się, że był to skutek cichego buntowania przez matkę.

– Nie rozumiem. Co się święci? O czym ty mówisz?
– Ekstazy! Ruchy ducha! Myślisz, że jestem ślepa? Wszyscy o tym wiedzą! Ty kochasz Adama, a on kocha ciebie. Wiesz co? Weź go sobie. Daję ci go, będę wreszcie wolna.

„A to wybornie, doprawdy – pomyślała zimno Xawera. – Szkoda tylko, że ona wcale tak nie myśli i prędzej by mnie zabiła, niż oddała mi męża”. Podeszła do Celiny, objęła ją i, przewyciężając niechęć, pocałowała ją w policzek.

– Jesteście małżeństwem. Sama mówiłaś, że Mistrz wasz związek objaśnił i nakazał, aby jedno z was zbawiło drugie. Jakże mogłabym stawać wbrew woli Mistrza?

– To dlaczego Adam woli rozmawiać z tobą niż ze mną? O czym wy tak długo gadacie? – Celina najpierw odepchnęła Xawerę, a potem chwyciła ją za ramiona i potrząsnęła. – Dlaczego się przede mną zamykacie? Dlaczego uciekacie ode mnie? Wychodźcie z domu! Ja to czuję, zawsze to czuję, kiedy jesteście razem.

Zachowywała się, jakby coś w nią wstąpiło. Znowu zalała się łzami i znów jak dziecko w jednej sekundzie uspokoiła się. Otarła policzki, zamaszystym krokiem podeszła do stolika, na którym stała karafka z wodą. Nalała pełną szklankę i wypiła duszkiem.

– Ale dzieci mi nie przekabacisz, ty demonie – rzuciła z nienawiścią, nie patrząc na rywalkę. – One są moje!

Rzuciła się na kanapę i po raz trzeci się rozplakała, tym razem rzewnie i żałośnie.

– Zostaw mnie! Idź stąd – wykrzyczała histerycznie, zanosząc się łkaniem. – Wynoś się z naszego domu!



Gdyby nawet nie było nic wiadomo o istnieniu Xawery w życiu Adama, jakkolwiek naganna z moralnego punktu widzenia i bolesna w skutkach dla Celiny, wywarła dodatni wpływ na rozwój jego osobowości.

Jean-Charles Gille-Maisani, *Adam Mickiewicz. Studium psychologiczne*

Panna Deybel stawiała się dla poety coraz ważniejsza. Celina próbowała z nią walczyć, ale nie miała szans. Obecność Xawery, rozmowy z nią, wspólne mistyczne przeżycia w Kole Sprawy Bożej dawały poecie to, czego od ślubnej małżonki nie mógł otrzymać: wzloty ducha. Był normalnym mężczyzną i nic dziwnego, że przeżyciom mistycznym towarzyszyła fascynacja cielesna. A żona cierpiała.

Panna Deybel nie była dla poety ciężarem. Przy niej mógł się wewnętrznie rozwijać, w niej znajdował potwierdzenie dla swoich przekonań. Można by to obrazowo ująć, że lubił swoje odbicie w jej niezwykłych oczach. Mógł mówić o wszystkim, nie bojąc się, że wywoła atak psychozy. Dawała mu poczucie bezpieczeństwa i spokoju, w przeciwieństwie do nieprzewidywalnej żony. Była duchową partnerką, którą Celina stać się nie mogła. Bo choć poeta zapewniał żonę o swojej miłości, czuła się niekochana, intuicyjnie wiedziała, że z jego strony jest to oddanie, obowiązek dotrzymania przysięgi małżeńskiej i odpowiedzialność, ale nie wielkie uczucie. Nie mógł od niej uciec, więc wyznaczył jej rolę nałożnicy, a prawdziwą żoną – tak jak w tym czasie w mistyczny sposób rozumiał małżeństwo – pozostawała Xawera, kobieta demoniczna, wpadająca w mistyczne uniesienia, budząca „ruchy ducha”, nawiązująca łączność ze światem nadprzyrodzonym.

Jeżeli pominąć moralny aspekt tej sytuacji, to z punktu widzenia psychologii Xawera wywarła na Mickiewicza wpływ wręcz dobroczynny. Tak uważa psychiatra i badacz twórczości poety Jean Charles Gille-Maisani. Według niego nieudane małżeństwo z Celiną sprawiło, że poeta rzucił się w mistycyzm i w towianizm. Natomiast związek z Xawerą dopomógł mu w osiągnięciu męskiej dojrzałości i w psychicznym uniezależnieniu się od Towiańskiego, a co najważniejsze, korzystnie wpłynął na moce twórcze.

Moralny aspekt pominąć wszak trudno. Poeta nie potrafił wybrać między dwiema kobietami. Choć był człowiekiem głęboko religijnym, Księżniczka Izraelska trwała czas jakiś w jego życiu rodzinnym lub raczej w tym, co ze ślubnego związku jeszcze zostało po katastrofie, jaką wywołała choroba Celiny. Z Xawerą zawarł „spółkę duchową”, z nią rozmawiał, jej się zwierzał. Żonę chronił, opiekował się nią, ale trzymał w stosunku do niej emocjonalny dystans. To nie mogło dobrze się skończyć.

Jeszcze w czerwcu 1843 roku Celina pisała do siostry o Xawerze w sposób neutralny: „Panna Dejbel zupełnie trudni się jej [Maryni] wychowaniem”. A już we wrześniu pojechała do Mistrza do Szwajcarii poskarżyć się na pannę Deybel.

Towiański napisał wtedy do Księżniczki, potępiając ją za „pychę górowania” i grożąc pokutą w późniejszych wcieleniach. Przez jakiś czas potem stosunki obu pań jakoś się układały, po czym znowu w liście z 23 kwietnia 1845 roku Towiański zarzuca Xawerze, że miłosierdzie Boże postawiło ją na drodze poety, a ona „uradowała się radością nieprawą”, co niedwuznacznie sugeruje uwiedzenie cudzego męża. Według Mistrza siostra Xawera uległa złemu, „nie ukorzyła ciała przed duchem”, zgrzeszyła. Wstąpiła wprawdzie na drogę poprawy i pracy duchowej, ale póki owa poprawa się nie dopełni, nie jest godna mieszkać u Mickiewiczów. Trudno powiedzieć, na ile chodziło tu o romans z poetą, a na ile o sprawy związane z dokonującym się właśnie rozłamem w Kole, w który Xawera była poważnie zamieszana. Niemniej po odbyciu „rekolekcji” w Einsiedeln u Towiańskiego dość szybko wróciła do Mickiewiczów. Poeta napisał wówczas do Mistrza:

Xawera szczęśliwie wyszła z matu. Jest u mnie znowu i w lepszym stanie niż kiedy. Wszakże to nastąpiło po długich walkach, z wielką z mojej strony stratą sił i uszczerbkiem zdrowia. Ja od początku czułem Xawerę w złym stanie. Ferdynand [Gutt] mnie o to obwiniął, poszły za tym wielkie zamieszania. Seweryn [Pilchowski] w chwili łaski i mocy rozbił więzy, których czułem ciężar na Xawerze. Ona mi się wydała po przyjeździe w tym stanie, w jakim była żona moja przed chorobą. Dzięki Bogu, że to się skończyło¹⁶.

Od maja 1845 roku Mickiewicz przebywał w Szwajcarii, gdzie widywał się z Towiańskim. W Paryżu doszło wtedy do poważnych konfliktów w Kole, inspirowanych przez Xawerę i niezbyt zrównoważonego brata Seweryna Pilchowskiego. Prawdopodobnie przygotowywali oni rozłam, a niewykluczone, że przy okazji mieli też romans. Jednocześnie doszło do kolejnej scysji między Celiną a Xawerą, która ostatecznie opuściła domostwo Mickiewiczów.

Pod nieobecność męża Celina przeprowadziła rodzinę do Batignolles na przedmieściach Paryża, gdzie życie i opał były tańsze, a powietrze zdrowsze. W lipcu pisze do siostry:

Zostaję nadal z jedną służącą i wierzaj mi, że z ochotą i porządkiem mogę wydołać, a nawet i Marynią się zająć, gdyż p. Deybel już u nas nie jest i wątpię, byśmy kogoś brali na jej miejsce, bo nam trzeba żyć bardzo skromnie i ostrożnie, żeby się z dochodem utrzymać¹⁷.

Po powrocie do Francji Mickiewicz napisał 14 lipca do Mistrza:

Xawera jest w Nanterre. Przed wyjazdem zostawiłem ją w lepszym niby porozumieniu z Celiną; wszakże powiedziałem, że jeśliby przyszło między nimi do wielkich zatargów, w takim razie niech Xawera lepiej zrobi, oddalając się z mego domu aż do mego przyjazdu. Tak też się stało.

I dalej:

Przyrzekła poprawę, starała się w ostatnich dniach pobytu łamać siebie, ale

wtenczas właśnie Celinie irytacja doszła najwyższego stopnia i brat Karol nie mógł więcej z Celiną stosunku bratniego i urzędowego zachować. [...] Celinę znalazłem znacznie lepiej i pogodniej i nieco czule usposobioną. Tylko znowuż poróżnienie Xawery wraca do staniu zwierzęcego. Karol [Różycki] powiada, że Xawera, ile razy mowa o Celinie, odchodzi od siebie¹⁸.

Nie miał poeta łatwo, gdy próbował pacyfikować domowe nastroje. Ale przecież sam nie był bez winy, o czym świadczy list Towiańskiego z tego samego lipca 1845 roku, w którym Mistrz stwierdza, że Mickiewicz powinien zrobić Kołu „restytucję” z jednego tylko grzechu – z grzechu względem Xawery. Co wyraźnie sugeruje romans.

Nie tylko Wieszczył uległ magnetycznym oczom Deyblówny. W innym liście Towiańskiego pada zdanie, że Ferdynand Gutt na „jedno skinienie siostry Xawery duchem u nóg jej leży”. Zafascynowany był nią również Stefan Zan, brat Tomasza, i nawet się jej oświadczył, ale został przez „diablicę towianicę” wyśmiany. Także w lipcu przyszedł ostry list ze Szwajcarii do Seweryna Pilchowskiego, ganiący go za to, że zwiódł i zbałamucił Xawerę. Potwierdza ten zarzut fakt, że Pilchowski wyraził chęć ożenienia się z siostrą Xawerą, aby zadośćuczynić za popełnione zło. Według plotek to sam Mickiewicz po powrocie ze Szwajcarii odwiódł brata Seweryna od tego zamiaru.

Zawirowania trwały i u Mickiewiczów, i w Kole. Towiański ciskał gromy na Xawerę, co odnotował Januszkiewicz w lutym 1846 roku.

Xawera, księżniczka Izraelska do wielkich przeznaczeń gotowana, dziś w spółce z Piekłem na zabicie chrześcijaństwa. Magnetyzm kusi, podbija [...] ów żąda medalika od Xawery, ten jej uśmiechu, a brat Zan, który wiedząc, czym jest siostra Xawera, uległ jej, chciał się z nią żenić, a ona go za brata nie zna¹⁹.

Sporo działo się w środowisku towianczyków w tym czasie. Księżniczka Izraelska nasiała niezłego zamętu nie tylko wśród braci. Niewykluczone, że jej romans z poetą trwał aż do 1849 roku i że z tego związku urodziło się dziecko. Na pewno stwierdzić tego nie można, bo Władysław Mickiewicz i Maria Gorecka jako dorośli zrobili wszystko, by zatrzeć ślady bytności Xawery Deybel w ich domu i w ich życiu. Jeśli tak, to Mickiewicz był najprawdopodobniej ojcem drugiej z przedślubnych córek „towianicy”. Na imię dostała Andrée. Na cześć Towiańskiego?



Celina kosztem wielkich cierpień i poświęceń starała się, by w niej znalazł pomoc i oparcie, choć w żaden sposób Xawerą stać się nie mogła. Deyblówna w rodzinie Mickiewiczów odegrała rolę ciężką jak jej spojrzenie.

Krzysztof Rutkowski, *Miejsce Xawery Deybel w rodzinie Mickiewiczów*

Mickiewicz lubił kobiety śmiałe, wykształcone, samodzielne. Przyjaźnił się z Konstancją Łubieńską czy amerykańską dziennikarką i feministką Margaret Fuller. Takie miały potrzeby i nie mogła ich zaspokoić wymagająca nieustającej czujności Celina. Ta zaś podjęła o niego walkę. Z roku 1846 pochodzą listy, z których wynika, że zapragnęła zmienić swoją rolę, stać się dla niego żoną-bratem, czyli taką małżonką, jaką powinna być według wskazań Towiańskiego. Krytyczna wobec siebie, porównuje się do bolącego palca.

[Mistrz] mówił mi wiele o Tobie, o drogach naszych, które są tak powiązane i spojone, jak pięć palcy u ręki, której jeden palec zbolały odbiera moc i władzę. Ja dotąd mój drogi Adamie byłam dla Ciebie tym palcem, wyznaję to z żalem i bolem, ale odtąd moim usiłowaniem i pracą chcę być dla Ciebie gwiazdą jasną i odsługiwać Ci za 12 lat Twoich ofiar i krzyża²⁰.

Nie udało się jej zostać jasną gwiazdą swego męża. Mickiewicz miał inne zdanie na temat walki narodowowyzwoleńczej niż Mistrz, który zalecał, by wolność zdobywać drogą pokojowego samodoskonalenia się. Gdy z tej przyczyny poeta założył własne koło, Towiański usiłował wykorzystać Celinę do przywołania buntownika do porządku i zapowiedział, że jej duchowa przemiana się nie powiedzie, jeśli Mickiewicz nie stanie przed nim w duchu pokory i nie uzna swoich błędów. Zaczęła wtedy na męża naciskać i nawet go szantażować... odejściem.

Obyś przyjął, mój Adamie, moje bratnie czucie dla Ciebie, obyś poczuł, że ja Cię dopiero dziś kocham, kiedy jestem w stanie dla twego zbawienia prześladować cię i porzucić²¹.

Ileż lęku musiał wzbudzać w niej Towiański, jak mocno się od niego uzależniła i dała mu zmanipulować, skoro groziła mężowi porzuceniem, byle go tylko „nawrócić”. Już bardziej po jej myśli i w jej interesie było inne jego zalecenie, a mianowicie „obowiązek strzeżenia domu [...] od złego, które ją [Xawerę] opanowało zupełnie i które przez nią niejednego brata nawiedza”²². Nieszczęsna kobieta pisała potem do męża:

Czy wiesz, mój Adamie, o tem ja cię proszę, żebyś nie pozwolił trudnić się jej ani bywać u naszych dzieci, mam do tego poważne powody, które Ci za przyjazdem wytłumaczę, a które zupełnie nie są ziemskie²³.

Przyczyny tak naprawdę były jak najbardziej ziemskie: intrygi i „demoniczność” Xawery. Dwa lata później, w maju 1848 roku, na zebraniu Koła próbowano nakłonić Deybelównę do związku z Dominikiem Iwanowskim. Być może chodziło o ciążę lub urodzone już dziecko, które Towiański chciał w ten sposób „legitymizować”. Natomiast Seweryn Goszczyński zanotował jeszcze rok później, 20 czerwca 1849 roku:

Adam od kilku dni wyjechał na wieś – ma być także słaby. Nie wiedzą, dokąd wyjechał; mnie się zdaje, że jest w Nanterre, bo pozawczoraj widziałem tam

Ksawerę Deybell, która, jak mówią, w Nanterre odbywa połów²⁴.

Mickiewicz nie był wtedy w Nanterre, tylko ukrywał się w Paryżu w związku z zawieszeniem „Trybuny Ludów” i aresztowaniem trzech redaktorów, co i jemu mogło grozić. Natomiast informacja o połogu może być jak najbardziej prawdziwa.



Obok tych pierwszych wrażeń [...] wspomnieć muszę o jednym najsilniejszym może; to wrażenie wywołała na mnie kobieta obca[, tj. nienależąca do rodziny Mickiewicza – a jednak zajmująca w jego domu jakieś odrębne a poufne stanowisko: zwano ją Xawerą.

Zofia Szymanowska, *Pamiętniki*²⁵

W 1850 roku u Mickiewiczów zamieszkała Zofia Szymanowska, przyrodnia siostra Celiny, energiczna i zaradna malarka, która pięknie śpiewała i grała na fortepianie. W pamiętniku napisała, że „panował tam ogólny nieład i dziwne rozprężenie”. Żal jej było siostry, zaniedbanej, pogubionej „od owej pamiętnej choroby”. Xawery Zofia nie znosiła, już przy pierwszym spotkaniu zauważyła jej magnetyzujący wzrok, który wywołał w niej niepokój i wstręt. Skoro dostrzegła to zjawisko kobieta, a nie tylko panowie – Mickiewicz, Gutt, Pilchowski, Zan czy sam Towiański – znaczy, że oczy „towianicy” rzeczywiście musiały mieć jakąś szczególną moc. Zofia Szymanowska napisała też, że gdy pierwszy raz zobaczyła Xawerę, ta trzymała na ręku dziecko – mogło być to jedno z jej przedślubnych dzieci. Ciekawy jest także sam fakt obecności Xawery, bo przecież wcześniej się wyprowadziła. Z drugiej zaś strony kilkakrotnie pojawiała się w domu Mickiewiczów, znikła i znów wracała. Mógł to być jeden z takich jej powrotów. I najpewniej to Zofia Szymanowska, która miała tu wiele do powiedzenia, doprowadziła do ostatecznego jej usunięcia wiosną 1850 roku z domu Celiny.

Pamiętnik Szymanowskiej czytał jej późniejszy mąż, poeta Teofil Lenartowicz. W sierpniu 1870 roku napisał do Józefa Ignacego Kraszewskiego:

W *Pamiętnikach* żony mojej, które odczytuję, znajdują się rzeczy (o domu Adama!) skandaliczne – brudy i paskudztwa łajdakierii towiańszczyków, dowody bezrzędu, paskudzenia się z nierządnicą Deybel, długa i haniebna historia, która by więcej szkodzić mogła pamięci Adama niż co bądź innego. Moja najukochańsza Zofia widziała tę podłą towianicę i jej z Adamem spółdzone dziecko, widziała traktowanie niegodne siostry itd., itd., i czyste wariactwa Wielkiego Człowieka i to opisuje²⁶.

Zapiski Zofii mogły być obciążone uprzedzeniami i wątpliwe jest, czy była bezstronna. Od początku nie znosiła towiańczyków, przyjechała już źle do nich

nastawiona, a w swoich relacjach mogła się opierać na wyolbrzymionych plotkach, jakich nie brakowało. Poza tym, jak twierdzi Władysław Bełza, później żywiła osobistą niechęć do poety za to, że nie ożenił się z nią po śmierci Celiny, na co liczyła. Natomiast dziwne jest, że w 1889 roku Lenartowicz pisze do Władysława Mickiewicza o pamiętnikach żony w znacznie łagodniejszym tonie niż wcześniej do Kraszewskiego. Jakby chciał go udobruchać i uspokoić, że nie są wcale takie straszne.

Kajecik ten [...] nie zawiera nic prawie o domu Państwa, a o Adamie wspomina zaledwie, są to frazesa przeciwko towiańczykom, z których nie znając, jak może kilku nudnych dziadów, wyobrażenie o zasadach śp. Andrzeja [...] miała niejasne i z pewnym uprzedzeniem się o nich wyrażała²⁷.

Sam pamiętnik, który rozwiałby wiele wątpliwości, niestety nie istnieje. Dostał się w ręce spowinowaconego z Mickiewiczem przez Szymanowskich Artura Wołyńskiego. Syn poety, spodziewając się, że będą tam zapiski o romansie ojca, wymógł jego pożyczanie i pamiętnik już nie wrócił do właściciela. Ocalał tylko jeden fragment, który trafił wcześniej do rodziny Kraszewskich. Z niego to pochodzi informacja o nieładzie i rozprzężeniu u Mickiewiczów oraz o obcej kobiecie o niesamowitych oczach i z dzieckiem na rękę.

O nieskalaną pamięć o ojcu zabiegała także córka Maria, po mężu Gorecka, która w lipcu 1890 roku pożyczyła od Władysława Bełzy listy Xawery do ojca, po czym ich nie oddała. Oboje z bratem starali się zniszczyć wszelkie wzmianki o „towianicy”, sprawić, by przestała istnieć, trwale usunąć ją z biografii ojca. A przynajmniej zmarginalizować, dowieść, że nie odegrała większej roli w ich życiu rodzinnym. Dlatego tak mało o niej wiadomo.

Państwo Mickiewiczowie mieli sześcioro dzieci: Marię, Władysława, Helenę, Aleksandra, Jana, który odziedziczył chorobę psychiczną po matce i osiemnaście ostatnich lat życia spędził w zakładzie zamkniętym, oraz Józefa. Nie można z całą stanowczością tego potwierdzić, ale też nie można wykluczyć, że poeta miał również dziecko z Xawerą Deybel.



Zaczyna się werbunek, widzę zdala: goni
Ogromna ciżba pieszych, hułanów, huzarów,
Niosąc imiona nakształt rozwitych sztandarów;
Chcą w albumie założyć obóz różnej broni.
Stanie się – będę wtenczas siwym bohaterem,
I z żalem rozmyślając o mych lat poranku,
Opowiem towarzyszom, że na prawym flanku
Jam w tej armii pierwszym był grenadyjerem.

Adam Mickiewicz, *W imionniku Celiny S.*, Petersburg 1829

Celina zmarła 5 marca 1855 roku na chorobę nowotworową. Mąż towarzyszył jej w cierpieniach i w umieraniu.

– Jesteś dla mnie aniołem – powiedział jej tuż przed jej śmiercią.

– Dlaczego taką zawsze nie byłam? – szepnęła.

– Dlaczego taką zawsze nie byłaś? – westchnął w odpowiedzi.

Później w liście do Konstancji Łubieńskiej Wodpolowej poeta wyznał, że pod sam koniec życia Celiny pojednali się w tym mistycznym rozumieniu małżeństwa i że stała się jego prawdziwą, tą idealną żoną.

Można powiedzieć, że w chwilach tych rozłąki połączyliśmy się po raz pierwszy. Jakoż przyrzekła mi, że będzie duchem mnie ciągle pomagać i być ze mną. Czemuż nie było tego za życia!²⁸

Dom państwa Mickiewiczów został osierocony. Wkrótce potem poeta zaangażował się w działania na Wschodzie i powierzwszy Zofii Szymanowskiej opiekę nad dziećmi, we wrześniu 1855 roku wyruszył w swoją ostatnią podróż.

Jeszcze przed jego wyjazdem, niecałe dwa miesiące po śmierci Celiny, Xawera wyszła za mąż za komisarza policji Edmonda Mainarda, także towiańczyka, który był przez jakiś czas sekretarzem Mickiewicza. Swoją przyszłą żonę poznał już w połowie 1850 roku, w tym okresie, kiedy u Mickiewiczów mieszkała Zofia Szymanowska. W dniu ślubu Xawera miała trzydzieści siedem lat, pan młody był o pięć lat młodszy. Świadkami byli kuzyn oblubieńca książe Joachim Joseph Napoleon Murat, dwaj towiańczycy: pułkownik Mikołaj Korwin Kamieński i Edward Gerritz, oraz hrabia Bolesław Wielogłowski. Tak to kobieta-demon, diablita-towianica została żoną dość banalnego Francuza. Po ślubie wyjechali z mężem do Tuluzy.

Śmierć Mickiewicza była ciosem dla Xawery, dla jej męża także. Poeta zmarł w listopadzie, pogrzeb odbył się w styczniu 1856 roku po sprowadzeniu ciała z Konstantynopola. Spoczął wraz z Celiną na cmentarzu w Montmorency. W lipcu 1890 roku trumna ze szczątkami poety przywieziona została do Krakowa i złożona w krypcie na Wawelu.

Z Tuluzy Mainardowie przenieśli się do Marsylii i Bordeaux, a potem wrócili do Paryża, by ostatecznie znaleźć się w Saint-Denis. Z powodu poważnych materialnych kłopotów Xawera dwukrotnie zwracała się do Władysława Mickiewicza o pomoc. Pierwszy raz w lipcu 1856 roku, kiedy ze społecznych składek powstał fundusz na sieroty po Mickiewiczu. Nie wiadomo, czego żądała, bo list się nie zachował. Nie wiadomo też, jaka była odpowiedź Władysława. Jedyne ślad znajduje się w korespondencji syna poety z Mainardem z 14 lipca 1856 roku:

Należy bez wątpienia ubolewać, że Pańska żona nie komunikowała Panu

zawczasu pisanych do mnie listów. Pisze Pan pod koniec listu, że mężowie są po trosze odpowiedzialni za swe żony. Oto dlaczego zechce Pan czuwać w przyszłości nad uwagami Pani M. na temat mojej rodziny. Stosunki, które istniały między moim ojcem a Panem czynią mi tę wymianę niemiłych listów jeszcze przykrzejszą²⁹.

Xawera odezwała się do Władysława ponownie w czerwcu 1858 roku, co odnotował w pamiętniku Seweryn Goszczyński:

Wczoraj słyszałem od Łęckiego, że Ksawera (Deibel, a dziś Menardowa) pisała do Wł. Mickiewicza w tej treści: „Mąż mój jest bez miejsca, jesteśmy w niedostatku, mamy troje dzieci, żądam od ciebie 2000 fr. na wychowanie dziecka twojego Ojca”. Miała ona to dziecię w r. 1847; rozpuszczano, że ojcem jego był Mickiewicz; to pewna, że jakiś czas chowało się w domu Mickiewicza. Bądź co bądź, bezczelność tej niegdyś naszej Siostry jest rzadka. Nie darmo czułem do niej stały wstręt w najlepszych jej chwilach, kiedy dla niektórych uchodziła niemal za świętą³⁰.

Musiała być w dużej desperacji, skoro poprosiła o wsparcie kogoś sobie tak nieprzyjaznego. Ale wiedziała też dobrze, że dzieciom Mickiewicza będzie zależało na tym, aby dla uniknięcia niemiłego dla nich rozgłosu polubownie załatwić sprawę.

Informację o nieślubnej córce Mickiewicza potwierdza Janusz Odrowąż-Pieniążek w książce *Mickiewicziana zbierane po świecie*:

Zofia Kulwieciowa, synowa córki Andrzeja Towiańskiego – Walerii Kulwieciowej, przekazała mi prawie 40 lat temu w Bydgoszczy – gdy zakupywałem u niej dla muzeum Mickiewicza (obecnie Literatury) archiwum domowe Mistrza i jego piękny portret pędzla Walentego Wańkowicza – opowieść, która dotąd nie była chyba ogłoszona drukiem. Otóż, gdy w roku 1861 córka Towiańskiego przebywała w Paryżu, została zaproszona do Mainardów na obiad. Podczas tego posiłku młoda, ruda i rezolutna panienska powiedziała podobno: „A ja jestem córką Adama Mickiewicza”, czym pani Waleria była nieco zaszokowana.

W Paryżu Mainardowie odnowili kontakty z towiańczykami. Pod pseudonimem „Edmond Fontille” Mainard wydał wspomnienia zatytułowane *Adam Mickiewicz. Sa vie et sa croyance*. Niewykluczone, że inspiratorką publikacji była Xawera. Synowi poety nie podobały się zawarte tam sformułowania dotyczące matki i żądał wprowadzenia zmian, zresztą niewielkich, do czego autor się nie zastosował.

W marcu 1863 roku Mainard wziął urlop i wyjechał do Towiańskiego. Wrócił odmieniony i usiłował wypełnić zalecenia Mistrza, przekazując Napoleonowi III przesłanie dotyczące jego roli jako władcy. Nie mógł uzyskać audiencji, więc napisał list, pomijając przy tym drogę służbową. Tym uchybieniem oraz agitacją na rzecz towianizmu naraził się swoim przełożonym i na początku

1865 roku został zdegradowany oraz zmniejszono mu pensję. Sytuacja materialna rodziny bardzo się pogorszyła. Mimo to ekskomisarz nadal słał napomnienia do Napoleona III.

Xawera po kilkunastu latach braku kontaktów z Kołem wróciła w tym czasie do dawnego środowiska i znów stała się gorliwą towianką. Dopuszczona przed oblicze Mistrza, dowiedziała się, że jej cierpienia i „letarg duszy” były skutkiem jej poddania się złu w osobie człowieka (Mickiewicza? Pilchowskiego? Iwanowskiego?). Nowe życie miała zacząć od koncentracji duchowej i wprowadzenia ładu w domu. Przy okazji Towiański wypomniał jej historię z jakimś panem E. i nakazał zerwać łączącą ich relację. Nie wiadomo, kto to taki. Panów, których imię bądź nazwisko zaczynało się na „E”, było w tym środowisku kilku. Jest to kolejna tajemnica Księżniczki Izraelskiej.

Co się dalej z nią działo, wiadomo głównie z *dossier* jej męża. Niezapłacone komorne, kolejne przeprowadzki, choroby. Podczas Komuny Paryskiej jakimś cudem Mainard odzyskał dawne stanowisko, ale nadal tonęli w długach, w dodatku on nadużywał alkoholu. W 1873 roku Xawera próbowała pogodzić się z rodziną Mickiewicza. Napisała do Władysława, który przystał na spotkanie. Nie zachowała się relacja z ich rozmowy, lecz pojawiły się jej echa w liście z 7 stycznia 1874 roku pisanym przez niezmiennie zawziętą Marię Gorecką, w którym nazywa swą dawną guwernantkę „postrachem swojego dzieciństwa”.

Rok 1874 był dla rodziny Xawery jeszcze gorszy. Komisarz został ukarany dyscyplinarnie za zaniedbania, rozchorował się i zmarł. Dwa lata później Xawera upominała się o emeryturę po zmarłym mężu, w 1877 roku złożyła podanie o koncesję na handel tytoniem. To ostatni ślad po niej w urzędowych dokumentach.

Xawera z Deyblów Mainard zmarła około roku 1889, gdy była już po siedemdziesiątce. W tym roku w liście Marii Goreckiej po raz ostatni pada jej imię.

O młodszej miłości, czyli o Maryli Wereszczakównie, trąbiono na prawo i lewo. Księżniczkę Izraelską, przyczynę grzesznej fascynacji żonatego poety – usiłowano zepchnąć w niebyt. Władysław Mickiewicz bardzo niewiele pisze o niej w broszurze *Moja matka. Tyle jedynie, że* od 1841 roku była nauczycielką w ich domu, przy czym bagatelizuje tę jej obecność.

Jakiś czas spełniała dobrze swoje obowiązki, aż wir perturbacji zachodzących w kole uczni Towiańskiego porwał ją: wyniosła się wówczas z domu poety. Znalazła inne zajęcie, nie przestając mięszać się do spraw zachodzących wówczas w gronie towiańczyków.

Zaś kryzys z 1845 roku, który zachodził jednocześnie w domu i w Kole Sprawy Bożej, miał według Władysława Mickiewicza następującą genezę:

Panna Dajbel początkowo pilnie się zajmowała starszą swoją siostrą. Wkrótce kwestie poruszane na zebraniach towianistów, tyle chwil jej zabierały, iż zaniedbała się do tego stopnia, że Karol Różycki doniósł o tym Towiańskiemu.

Kobiety wielkie perturbacje wywołały w Kole. Wedle chwilowego popędu, przechodziły one z jednego obozu do drugiego, wymagając, żeby uważano za natchnienie wszelki poryw ich fantazji. W imieniu wolności ducha występowały hałaśliwie na prelekcjach Mickiewicza. [...] Panna Dejbel była jedną z najruchliwszych siostr w Kole, w rozterkach którego popierała to jednych, to drugich. Był czas na przykład, że matka moja trzymała bardziej za zdaniem Towiańskiego niż męża, a panna Dejbel przeciwnie. Stąd nastąpił okres, w którym matka moja okazywała nadzwyczajną wyrozumiałość. Ponieważ przesadna gorliwość panny Dejbel nie tylko matce mojej dawała się we znaki, Towiański wystosował do niej list z naganą. Jedni wierzyli w szczerść jej egzaltacji, drudzy nie...

We wcześniejszym o trzydzieści lat *Żywocie Adama Mickiewicza* o Xawerze Deybel nie ma ani słowa. W czterech tomach syn obszernie opisuje i komentuje życie ojca, natomiast przemilczana jest osoba, która mieszkała w ich domu kilka lat. Jednak nawet tu można się dopatrzyć śladów jej istnienia, gdy autor tłumaczy trudne dla otoczenia zachowanie matki, po synowsku idealizowanej:

Dlatego, że niezupełnie przystać mogła na szczególny tryb życia ustalony pod jej dachem od zjawienia się Andrzeja Towiańskiego. Matka moja powrót do zdrowia zawdzięczała Towiańskiemu i nigdy tego nie zapomniała; ale daleko więcej znosić musiała od niektórych jego uczniów, niż mój ojciec mógł się domyślać, miała bowiem za zasadę nigdy nie skarżyć się, ograniczała się na stronieniu od osób, które o pierwszeństwo w jej domu dobijały się...

Łatwo się domyślić, kto taki dobijał się o pierwszeństwo w domu i od kogo Celina stroniła. I trudno potępiać dzieci, że lojalnie trzymały stronę matki. Maria Gorecka posunie się dalej niż brat i w 1889 roku dużo bardziej niepochlebnie będzie pisać o swojej dawnej guwernantce. Przedstawi ją niemal jako nierządnicę, dla której najwłaściwszym miejscem byłoby więzienie Saint-Lazare, gdzie trzymano nie tylko chore wenerycznie prostytutki, ale także kobiety, które nawiązały grzeszne stosunki z żonatymi mężczyznami.

Edmund Mainard zmarł 18 lipca 1874 roku. Nieznana jest dokładna data śmierci Xawery. Wiadomo, gdzie jest grób Celiny Mickiewiczowej, natomiast gdzie została pochowana diaboliczno-towianica – czy we Francji, czy też w kraju, dokąd ją mogła pod koniec życia sprowadzić rodzina – tego nie wiemy.



PRZYPISY

¹ Cyt. za: Alina Witkowska, *Celina i Adam Mickiewiczowie*, Kraków 1998.

² Cyt. za: Krzysztof Rutkowski, *Nagadusza*, „Twórczość” 1998, nr 7.

³ Cyt. za: Alina Witkowska, *Celina i Adam Mickiewiczowie*, dz. cyt.

⁴ Cyt. za: tamże.

⁵ Cyt. za: tamże.

⁶ Cyt. za: Ewa K. Kossak, *Boskie diabły*, Warszawa 1996.

⁷ Cyt. za: Zbigniew Sudolski, *Mickiewicz. Opowieść biograficzna*, Warszawa 1995.

⁸ *Biesiada* był to zbiór notatek Andrzeja Towiańskiego opublikowany w 1842 r.

⁹ Cyt. za: Krzysztof Rutkowski, *Nagadusza*, dz. cyt.

¹⁰ Cyt. za: Zbigniew Sudolski, *Panny Szymanowskie*, Warszawa 1982.

¹¹ Cyt. za: tamże.

¹² Krzysztof Rutkowski, *Miejsce Xawery Deybel w rodzinie Mickiewiczów*, [w:] *Tajemnice Mickiewicza*, red. Marta Zielińska, Warszawa 1998.

¹³ Cyt. za: Zbigniew Sudolski, *Panny Szymanowskie*, dz. cyt.

¹⁴ Cyt. za: tamże.

¹⁵ Koło Sprawy Bożej dzieliło się na tzw. siódemki, ale nie musiały się one składać z dokładnie siedmiu osób. Każdą kierował „stróż”. Spotkania siódemek odbywały się w soboty wieczorem.

¹⁶ Cyt. za: Zbigniew Sudolski, *Panny Szymanowskie*, dz. cyt.

¹⁷ Cyt. za: tamże.

¹⁸ Cyt. za: tamże.

¹⁹ Cyt. za: Ewa K. Kossak, *Boskie diabły*, dz. cyt.

²⁰ Cyt. za: Maria Danilewicz Zielińska, *Mickiewicziana i Album Moszyńskiego*, „Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza” 1989, nr 24.

²¹ Cyt. za: Alina Witkowska, *Celina i Adam Mickiewiczowie*, dz. cyt.

²² Cyt. za: Zbigniew Sudolski, *Mickiewicz. Opowieść biograficzna*, dz. cyt.

²³ Cyt. za: Krzysztof Rutkowski, *Miejsce Xawery Deybel w rodzinie Mickiewiczów*, dz. cyt.

²⁴ Cyt. za: Tadeusz Żeleński (Boy), *Brązownicy i inne szkice o Mickiewiczu*, oprac. Henryk Markiewicz, Warszawa 1956.

²⁵ Cyt. za: Zbigniew Sudolski, *Panny Szymanowskie*, dz. cyt.

²⁶ Cyt. za: tamże.

²⁷ Cyt. za: tamże.

²⁸ Cyt. za: tamże.

²⁹ Cyt. za: Ewa K. Kossak, *Boskie diabły*, dz. cyt.

³⁰ Cyt. za: Stanisław Szpotański, *Andrzej Towiański. Jego życie i nauka*, Warszawa 1938.

PO BOLSZEWICKU,
CZYLI CZERWONA
DUSZA KOMUNISTKI

Nie ustanie też walka klasowa, roz płynąwszy się w jakimś starszylacheckim „kochajmy się” przy tworzeniu od podstaw Polski Ludowej – mówi Generał.

Janina Broniewska, *Z notatnika korespondenta wojennego*

– Spójrz tylko, Kaziczku, co Marek teraz czyta w szkole.

Pan Załęski z ociąganiem odłożył „Express Wieczorny” i sięgnął po podsuniętą mu niemal pod nos obłożoną w biblioteczny szary papier otwartą książkę.

– „Milicjant miał chyba najwyżej lat dwadzieścia. Siedział na kulawym stołku...” – zaczął.

– Nie tu – przerwała Załęska. – Następna strona, drugi akapit od góry. Opowieść tego milicjanta.

– „Przywieźli dziś czterech rannych i dwóch zabitych. Zasadzka była na szosie. Na ciężarówkę z pasażerami. Wojaki! W naszych kradzionych mundurach i w amerykańskich też. Z ryngrafami...” – urwał i podniósł wzrok.

– No, czytaj, czytaj.



JANINA BRONIEWSKA, zdjęcie z *Centralnego Archiwum Wojskowego*
(Wikimedia Commons)

– „... Spod londyńskich rozkazów. Powiadają, że Polski bronią”. – Opuścił książkę na kolana. Jego pokolenie, które na własnej skórze doświadczyło wojny, zwłaszcza na Kresach, gdzie aż za dobrze poznało sowieckie metody, nie da się nabrać. Ale tu chodzi o dzieci. W naiwności swojej gotowe wierzyć wszystkiemu,

co mówi nauczyciel. Marek nie wie, że jego ukochany stryj, cichociemny i powstaniec warszawski, od kilku miesięcy siedzi na Rakowieckiej oskarżony o faszyzm, kolaborację z Niemcami i szpiegostwo na rzecz mocarstw zachodnich. Że jest jednym z takich „bandytów z ryngrafami”, których oskarża się o najbardziej nieprawdopodobne zbrodnie. Nosił ryngraf, a jakże. Z Matką Boską Ostrobramską, która znacznie bardziej denerwuje bezpiekę niż Częstochowska, bo jest z Kresów. Spojrzał na żonę.

– Jeszcze dalej. – Łagodniej już powiedziała pani Załęska. – Zobacz, co odpowiedział na to tytułowy Krystek. Chłopiec jak raz w wieku Marka.

Nie miał ochoty czytać na głos. Przebiegł tekst oczami. „Znamy tę śpiewkę, znamy! O fabryki, o majątki idzie tamtym – przerwał Krystek. – Myśmy szli na front, te wojaki w las...”.

– Mówiła mi pani Maria – ciągnęła żona – że jej Jadzia, która jest w pierwszej klasie, przyszła ze szkoły i oznajmiła, że kiedyś to była straszna bieda, aż przyszedł Lenin, który był bardzo dobrym człowiekiem, i zrobił rewolucję. I teraz wszystkim jest dobrze.

– I co ona na to?

– Zapytała: a czy wiesz, co to rewolucja? Mała oczywiście nie umiała odpowiedzieć. Więc jej wytłumaczyła. Że są biedacy, którzy nie pracują, bo albo nie chcą, albo nie mogą, jeśli są chorzy, jak rodzice tej Józki z parteru. Są też ludzie zamożni, którzy pracują, czasem bardzo ciężko, zarabiają pieniądze i stać ich na kupowanie dobrego jedzenia i różnych rzeczy. Rewolucja polega na tym, że rewolucjoniści zabierają bogatym ich własność i oddają – nie swoje, tylko cudze, wzięte siłą – biednym. Bogaci nie chcą oddać i bronią się. Zaczyna się walka, jedni i drudzy nawzajem się zabijają. To jest właśnie rewolucja, którą zrobił Lenin. A wtedy mała zapytała całkiem sensownie: to dlaczego pani nam mówi, że Lenin był dobry? A Maria jej na to: bo teraz rządzą nami ci, co robili z Leninem rewolucję, i do nich należą szkoły. Pani nauczycielka u nich pracuje i musi mówić to, co jej każą. Inaczej straci pracę.

– Brawo. Trafnie wytłumaczyła dziecku sprawiedliwość społeczną w bolszewickim wydaniu.

– Teraz dzieci muszą być po ewangelicznemu roztropne jak węże. W domu słyszą jedno, w szkole co innego. Dobrze, jeśli w rodzinie mówi się o tym, jak było naprawdę, bo inaczej skąd mają wiedzieć. Trzeba porozmawiać z Markiem o tej książce. Wytłumaczyć mu, kto ją napisał i po co. Powiedzieć, dlaczego stryjek od pół roku do nas nie przychodzi. Pytał mnie o to. Mówiłam, tak jak ustaliliśmy, że wyjechał.

– O tym, że ma nie powtarzać w szkole wszystkiego, co tu słyszy, na szczęście już wie. Ach, Zosiu – westchnął pan Kazimierz. – Co za straszne czasy. O Marka się nie martwię, będzie wiedział od nas, co trzeba. Ale ile w przyszłości

będzie takich ogłupionych, wierzących święcie, że Lenin był zbawcą ludzkości?



Siedemnastego września 1940 roku wstąpiła uroczyście do Związku Sowieckich Pisarzy Białorusi. Bohdan Urbankowski napisał o niej: „Janina Broniewska, która szkody wyrządzać będzie głównie w literaturze dla dzieci”. Tym gorsze były to szkody, że miała talent i pisała ciekawie, więc skuteczniej działała trucizna. Sztandarowe dzieło *O człowieku, który się kulom nie kłaniał*, choćby tylko ze słyszenia, znają wszyscy ci, których młode lata upłynęły w Polsce Ludowej. Lektura szkolna w latach 1948–1987, doczekała się piętnastu wydań, z czego tylko jedno, trzynaste, z 1969 roku, miało sto tysięcy nakładu.

W tej propagandowej hagiografii Karola Świerczewskiego autorka pomija dyskretnym milczeniem powszechnie znany fakt jego alkoholizmu. Nie wspomina też, że generał Berling odmówił współpracy z tym weteranem wojny dwudziestego roku, w której walczył po stronie bolszewików, oraz wojny domowej w Hiszpanii, gdzie stał po stronie komunistów – właśnie z powodu nadużywania przez niego trunków. Przemilczanie niewygodnych faktów to jeden zabieg, drugim jest głoszenie półprawd. Broniewska wcale nie skłamała w tytule. Generał „Walter” rzeczywiście przed kulami się nie chował, tyle że nie z powodu męstwa, ale z pijackiej brawury. Z walczącej pod nim nad Wiaźmą dziesięcioletniej dywizji ocalało pięciu żołnierzy. Nie trzeba dodawać, że rozkazy wydawał w stanie upojenia alkoholowego.

Świerczewski był legendarnie wprost niekompetentny jako dowódca, tymczasem Broniewska przedstawiła go jako świetnego stratega i prawdziwego ojca dla żołnierzy, aż odnosi się wrażenie, że to on był twórcą i dowódcą korpusu kościuszkowców, jakby Zygmunt Berling w ogóle nie istniał. Zresztą cały teatr drugiej wojny światowej jest w książce totalnie zakłamany, jako że walka toczy się między dzielną lewicą a podłym faszyzmem, a na miano faszysty zasługuje każdy, kto jest przeciw jedynej słusznej ideologii. A więc będą to nie tylko Niemcy, ale i rząd londyński, władze przedwojennej Polski, AK i NSZ. Słowa „faszyzm” i „faszysta” niepostrzeżenie tracą swoje słownikowe znaczenie i stają się epitetami.

Broniewska wprost przekazuje młodym czytelnikom tezę, że winę za upadek Powstania Warszawskiego ponoszą wspólnie alianci, polscy „faszyści” z Londynu i andersowcy, którym się nie spieszyło z pomocą. Sierpniowej nocy 1944 roku, gdy w Warszawie toczy się Powstanie, Generał (pisany zawsze dużą literą) po ojcowsku rozmawia w Lublinie z podwładnymi:

– Wracam znad Wisły. Nie jest tam najlepiej. Hitlerowcy wryli się w drugi brzeg. Będą go bronić zębami i pazurami. [...] Stoją tam wyborowe hitlerowskie dywizje pancerne, jedna nawet imienia samego ich Goeringa. Wgryźli się

w mazowiecką ziemię. Zaryli się w piekielne cementowe bunkry. I to nagłe powstanie! Łajdacki londyński rząd! Płonie Warszawa, dom po domu, ulica po ulicy... Jakże ją brać, gdy nie padł Modlin, gdy cała w żelaznym pierścieniu? Drugi front? Tamci widać mają czas! Zza morza do Warszawy płonącej daleko...

Młodzież poruszona tymi płomiennie patriotycznymi deklaracjami może nie skojarzyć – jak słusznie zauważa Urbankowski – że Modlin z drugiej strony Warszawy oddalony jest o czterdzieści kilometrów, a drugi front, wiążący Niemców od zachodu, walczy już od 6 czerwca, od inwazji na Normandię.

Manipulacja faktami pojawia się też w powieści dla młodszych dzieci *Dawno i jeszcze dawniej*. Zaczyna się od tego, że w momencie wybuchu Powstania Warszawskiego babka z wnuczką zostają na pięć miesięcy odcięte na Pradze.

I tam też po raz pierwszy zobaczyła Jadwisia w połowie września polskich żołnierzy. Mówili, że szli na tę warszawską Pragę z daleka, zza jakiejś rosyjskiej rzeki, gdzie się sformowali. Rzeka nazywała się Oka i była nawet bardzo podobna do Wisły.

Ostatnie zdanie zgrabnie nawiązuje do łatwo wpadającej w ucho i z racji częstego wykonywania dobrze dzieciom znanej piosenki Pierwszej Dywizji imienia Tadeusza Kościuszki: „Płynie, płynie Oka, jak Wisła szeroka, jak Wisła głęboka”. Dalej jest kilka rodzajowych obrazków, typu opatrywanie rannego żołnierza, po czym przerwana we wrześniu narrację wydarzeń historycznych autorka podejmuje od stycznia:

Aż wreszcie przyszedł ten cudowny dzień. Dokładnie 17 stycznia 1945 roku. Ludzie wybiegli z piwnicy, płakali głośno i całowali się na samym środku jezdni.

– Nasi wzięli Warszawę! Warszawa wolna! – mówili wśród tych pocałunków i łez.

Nastąpił przeskok w czasie, trzy miesiące wyparowały. Nie ma walczących powstańców, nie ma stania Rosjan za Wisłą i czekania, aż się Warszawa wykrwawi. Bohaterami są „nasi”, czyli berlingowcy – których Janina Broniewska była korespondentką wojenną – walczący u boku niezwyciężonej Armii Czerwonej. Jak na zręczną politruczkę przystało, autorka miesza kłamstwa z prawdą, która w ten sposób je uwiarygodnia. Bo przecież nikt nie zaprzeczy, że bohaterstwo i poświęcenie kościuszkowców jest oczywiste. Nie wolno go umniejszać tylko dlatego, że formacja ta została wykorzystana przez Stalina do zaprowadzenia w Polsce nowego porządku. Zasługi polskiego wojska są bezsporne, a mówiąc o nich, wygodnie można przemycić kłamstwa dotyczące Powstania i rzeczywistego przebiegu działań wojennych. Patetyczny nastrój patriotycznej egzaltacji wzmacnia jeszcze ten ideologiczny przekaz.

Dzieci lubią utożsamiać się z postaciami z książek, podświadomie szukając dla siebie wzorców. Bohater *Krystka z Warszawy*, wydanego pierwszy raz w 1949 roku (dziewiąte wydanie z 1965 roku liczyła dwadzieścia tysięcy egzemplarzy),

przeżywa „fajne” przygody: pomaga „wyzwalającym” Pragę sowieckim i polskim zwiadowcom tropić najpierw Niemców (każdy przyzna, że słusznie im się należy za wojnę), a potem reakcyjne bandy (skoro pozytywny bohater tak robi, pewnie rzeczywiście są „reakcyjne” i też sobie na to zasłużyły). Krystek deklaruje, że kocha Polskę, więc można mu wierzyć, podobnie jak tym, którym on ufa, a którzy głoszą, że Powstanie wywołali „łajdacy” z Londynu.

– Wujciu, nie będziemy Warszawy brać? – zaczął Krystek.

– A wiem to ja? Tamci nas za Wisłą nie pytali, czy możemy, czy posiłki Armii Czerwonej podciągnęte. Bez nas zaczęli. A teraz co? Patrząc, jak giną swoi, nielekką pomocą, jak należy, nie da rady, nie widziałeś to sam? Niemcy w Modlinie, Niemcy pod Warką. Jak w paszczę im wleziem za Wisłę! Odetną, zaleją.

Kolejny raz, w drugiej książce pojawia się ten nieszczęsny Modlin, a w młodych głowach utrwała się przeświadczenie, że to z przyczyn obiektywnych Czerwona Armia nie mogła pomóc. Chociaż tak chciała! Kawalek dalej prości żołnierze wykazują się jeszcze większą dojrzałością ideologiczną, zapewne nabytą dzięki takim jak Janina Broniewska polwychom – oficerom polityczno-wychowawczym z sowieckiego nadania.

– Uradzili panowie w Londynie, ginie naród! Im co? Londyn daleko, a my tu z bliska widzimy, tyle że przez Wisłę – zamamrotał znów zamkowy, idący z lewej strony działa jadącego przodem.

– Ano – mrugnęli zgodnie najbliżsi z obsługi. – Akurat im naród w głowie! Pokazali to już raz. W tamtym wrześnie, też warszawskim...

Lektura tego rodzaju opowiadania miała pozostawić w dziecięcych umysłach obraz wojny, w której z Niemcami walczą tylko komuniści – jedyni sprawiedliwi – a rząd radziecki pomaga Polsce. Bezinteresownie!

Wojna nie kończy się po wojnie. Są następni wrogowie. Odważny Krystek przeżywa kolejne przygody, pomagając dzielnym milicjantom ująć bandę mordującą dobrych rosyjskich i walczących u ich boku polskich żołnierzy. Inna banda, napadająca na ciężarówkę z pasażerami, okazuje się być „spod londyńskich rozkazów” i oczywiście „z ryngrafami”. Ma to wywoływać później automatyczne skojarzenie: akowiec-bandyta.

Broniewska, która była z zawodu nauczycielką, więc doskonale wiedziała, jak naprawdę wyglądała edukacja w wolnej Polsce, serwuje przy okazji propagandową agitkę także na temat przedwojennych wiejskich szkół, gdzie rzekomo uczono jedynie uniżenia wobec „panów”.

Widzisz, te szkółki ludowe, kiedym ja jeszcze był małym pędrakiem, uczyły pokory. Pokory biedaka wobec możnego. Im biedak pokorniejszy, tym lepiej z niego skórę łupić, co? Im ciemniejszy, tym pokorniejszy...

Gładko płynące zdania, posiekane przecinkami na dość krótkie kawałki,

mają łatwo wpadającą w ucho rytmiczność wiecowej mowy. Wartka akcja wciąga, a wtedy niepostrzeżenie zasiewa się w głowie polityczne przesłanie. Patriotyzm zlewa się z prosowieckością, co łatwowierny czytelnik odruchowo bierze za dobrą monetę. Dzieciak w wieku szkolnym, identyfikujący się z bohaterem, będzie chciał przeżywać podobne przygody, a stąd już niedaleko do wstąpienia do MO lub UB. Na zachętę pod koniec autorka gloryfikuje socjalizm, gospodarkę planową i kolektywizację rolnictwa.

W swoich książkach Broniewska umiejętnie sączyła aksjomaty sowieckiego politruka: o bezinteresownej pomocy Związku Sowieckiego, o szaleństwie i wręcz zbrodniczości Powstania Warszawskiego, o tchórzliwości generałów Września, o finansowaniu przez rząd londyński „reakcyjnych bandytów”. Komunistyczna indoktrynacja, oprócz zakłamywania prawdy, wyrządzała jeszcze takie zło, że osłabiała więzi międzypokoleniowe, bo pod wpływem tego rodzaju lektur młodzież nabierała pogardy dla przekonań rodziców, traciła wspólny język ze starszymi, bardziej była skłonna do odrzucenia tradycji, korzeni, obyczajów, zasad moralnych, a także wiary, czyli tego wszystkiego, czym rodzina jest silna. Pozbawieni rodzinnego zaplecza obywatele są słabsi i łatwiej się nimi rządzi. Literatura świetnie nadaje się na narzędzie podobnej manipulacji, a Broniewska jeszcze przed wojną uważała, że świadomość socjalistyczną i internacjonalistyczny światopogląd należy kształtować jak najwcześniej. Już wtedy pisała o znaczeniu lektur dla wychowania. „Książki uczące poszanowania pracy, uspołeczniające dziecko. Książki – potężny środek w wychowaniu młodego człowieka. [...] Dlatego wydaje mi się koniecznym stworzenie stałego działu recenzji książek dla dzieci i młodzieży w pismach, którym nie jest obojętne wychowanie dziecka w duchu postępu, demokracji i sprawiedliwości społecznej”¹. Słowa z pozoru szlachetne, ale należy pamiętać, że miała na myśli postęp, demokrację i sprawiedliwość społeczną w duchu Międzynarodówki i ze Związkiem Radzieckim na czele.



Janina Kunig urodziła się w Kaliszu, jej matka była położną, ojciec – ślusarzem, ojczym – introligatorem. Skończyła siedem klas oraz trzyletnią zawodową szkołę zdobniczą. Maturę zrobiła na kursach nauczycielskich i mogła na tej podstawie uczyć w szkołach powszechnych. Napotkała jednak spore trudności ze znalezieniem zatrudnienia w Warszawie, gdyż młodym nauczycielkom proponowano pracę przede wszystkim na prowincji, gdzie były największe braki kadrowe, a dodatkowo w otrzymaniu którejś z nielicznych w stolicy wolnych posad bynajmniej nie pomagała jej reputacja lewicowej działaczki, pozostającej w bliskim kontakcie ze środowiskiem komunistów.

W latach dwudziestych zamieszkała w wynajętym pokoju przy ulicy Pięknej

w Warszawie, razem ze swoją przyjaciółką, Haliną (Inką) Koszutską. Do ich koleżeńskiego grona należeli młodzi ludzie związani z Komunistycznym Związkiem Młodzieży Polskiej i Partią Niezależnych Socjalistów. Wtedy właśnie Janina spotkała znanego, i w dodatku rewolucyjnego, poetę Władysława Broniewskiego. Zarówno ją, jak i innych towarzyszy, pragnących – jak śpiewali w *Międzynarodówce* – ruszyć z posad bryłę świata, zachwycił swoim wierszem *Pionierom*.

Cóż, że depczą? Cóż, że są siłą?
Cóż, że miazdzą kolbami twarz?
W mur głowami! Serca przez wyłom!
W dni Bastylię zwycięski marsz.
W pierś niech biją młotem – nie pęknie.
Zatnij usta, choć w ustach krew...
Jeszcze będzie jaśniej i piękniej,
będzie radość i będzie śpiew.

Młodą komunistkę autor zafascynował i jako proletariacki wieszcz, i jako mężczyzna, choć od jakiegoś czasu kochała się w Aronie Bermanie². Broniewski zaś był o tamtego zazdrosny, bo spodobała mu się inteligentna i odcytana kobieta – blondynka, ładna, pełna temperamentu i, co najważniejsze, „bezpruderyjna”.

Po paru miesiącach zostali parą, jednak nie do końca pewni, czy to jest rzeczywiście prawdziwe uczucie, postanowili się rozstać na jakiś czas i tylko korespondowali ze sobą. On pisał więcej i goręcej. Jak w lipcu 1925 roku:

Dlaczego ja ciągle myślę o Tobie? Przed chwilą przeczytałem na nowo wszystkie Twoje listy. Jest ich dziewięć łącznie z kartką pisaną na Pięknej. [...] Przeżywałem je na nowo, przypomiąłem, jak czytałem z gniewem i żalem, jak gryzłem się w sposób nierozumny i dziecinny, to znów jak budziły one we mnie szaloną radość, również nie bardzo uzasadnioną i dziecinną [...] Wiem jedno: chcę być z Tobą, a to pobożne życzenie nic tu przecież nie wyjaśnia³.



WLADYSLAW BRONIEWSKI. *Fotografia z książki Juliana Tumiwa*
Listy do przyjaciół-pisarzy (Wikimedia Commons)

Z tą samą datą, 26 lipca 1925 roku, ona pisze do niego dużo spokojniej, jakby chłodno analizowała swoje uczucia. Jest konkretna. „Wiesz, Władek, tak mi «odpowiadasz» wewnątrz i tak się przy Tobie dobrze czuję, że przyjedź jak najprędzej”⁴. Inny swój list kończy słowami: „A teraz – no bądź mi zdrow –

zobaczymy się przecież wkrótce, bo i Ciebie diablo mi brak”⁵. Stawia mu jednak warunki. Oznajmia, że nie wyszłaby za niego, gdyby nie zagwarantował jej autonomii, na którą składają się: praca zarobkowa, praca „klasowa” (w znaczeniu: ideowa) i nieprowadzenie gospodarstwa domowego.

Czułe listy czułymi listami, ale Broniewski zawsze miał słabość do kobiet i te deklarowane zapały miłosne jakoś mu nie przeszkadzały wdać się wiosną 1926 roku w romans z Wandą Szwechowicz z Krakowa. Kochanka zaszła w ciążę i zanim na jego bardzo stanowcze żądanie dokonała aborcji, myślał nawet, wprawdzie krótko, o ślubie. O tym wszystkim pisał otwarcie do Janiny, konstatując: „Tak czy inaczej te sprawy nie mają dla mnie najmniejszego wpływu. Irytuje mnie tylko”. Ona zaś z kolei zwierzała mu się ze swoich uczuciowych rozterek co do Arona Bermana. Ostatecznie oboje zerwali dotychczasowe związki, ona wybaczyła mu zdradę i we wspomnieniach zatytułowanych *Dziesięć serc czerwienych* nawet nie zająknęła się o krakowskiej rywalce. W tym samym 1926 roku, kiedy to wszystko się zdarzyło, wzięli ślub. Wedle jej własnego określenia był to „skandaliczny mezalians”. Władysław Broniewski pochodził z rodziny z tradycjami patriotycznymi, w wojnie 1920 roku dosłużył się stopnia kapitana Wojska Polskiego. Ona pochodziła z biednej rodziny, była gorącą komunistką, programowo walczącą z „klasowymi przesądami”. „A przecież wszystko powinno nas raczej dzielić. Głęboka religijność Matki, tradycje szlacheckie [...]. Co to wiele mówić – mezalians skandaliczny taka przyszła synowa, zważywszy na środowisko, z którego pochodzi. Córka ślusarza i położnej, ojczym – z introligatorskim warsztatem”⁶.

Janinie, kobiecie wolnej od burżuazyjnych zahamowań, niespecjalnie zależało na zalegalizowaniu związku. Musieli jednak wziąć ślub ze względu na jej pracę w szkole. Nauczycielka nie mogła mieszkać z mężczyzną na kocią łapę. Wybrała obrządek protestancki, bo mniej wiązało się z tym formalności, a im jako ateistom i tak było wszystko jedno. Ceremonia odbyła się 28 listopada 1926 roku w kościele ewangelicko-augsburskim w Kaliszu.

Okazało się, że herbowa matka Broniewskiego przesądów klasowych nie ma. Janina została przytulona serdecznie już przy pierwszym poznaniu, co szczerze przyznaje we wspomnieniach:

Dobre szaroniebieskie oczy patrzą na mnie z jakimś macierzyńskim ciepłem.

– Bądź tylko dobra dla niego, Jasieńko, wiem, że jest w tobie zakochany bez przytomności. Nawet nie wiesz, jak czekał na twoje listy⁷.



Zamieszkali w dwupiętrowej kamienicy przy Sandomierskiej 17. Mieli pokój z antresolą i kuchnią. Jej pierwszej czytał swoje wiersze, zresztą tak samo

było później, zdarzało się to też już po rozwodzie. Bo dość prędko skończyła się sielanka. Jego drażniła jej ideowość i pryncypialność granicząca z fanatyzmem. Ona nie lubiła „Wiadomości Literackich”, gdzie był sekretarzem redakcji i które były dla niej za bardzo prawicowe. Źle się czuła w towarzystwie, z którym mąż spotykał się w Ziemiańskiej, zwłaszcza wśród ludzi związanych z obozem sanacyjnym. Poza tym rano musiała iść do szkoły i nie bardzo mogła jak on balować po knajpach do świtu. Rzadko wychodzili razem.

W domu się nie przelewało. Zarobki w „Wiadomościach Literackich” i w lewicowych pismach, z którymi Broniewski współpracował⁸, honoraria za przekłady i za wiersze, jej nauczycielska pensyjka nie wystarczały na życie. Obrączka Janiny raz po raz trafiała do lombardu, a codzienne zakupy robili „na zeszyt”. Od teściowej brać pieniędzy nie chciała, od matki i ojczyma nie mogła – bo ich nie mieli. Do kłopotów materialnych dochodziły wizyty policji w domu i rewizje, przeważnie z jego powodu, choć to ona była bardziej bojowa i radykalna.



Małżeństwo Broniewskich jeszcze razem: JANINA, WŁADYSŁAW i ANKA
(Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza)

Żyli właściwie obok siebie, każde w rytmie swoich zajęć. Rano ona szła do szkoły, on odsypiał nocne posiedzenia w Ziemiańskiej. Po południu ona siedziała nad zeszytami, on szedł do „Wiadomości Literackich” i później znowu do knajpy. Nawet gdy chorowała, nie zmienił trybu życia. Ale zapożyczył się u lichwiarza,

żeby ją wysłać na kurację do Zakopanego, a wracając nad ranem, przynosił jej wino, kwiaty czy owoce. Nie zmienił się również, gdy 24 listopada 1929 roku przysłała na świat Joanna Broniewska – jego ukochana „córka-bzdurka” Anka.

W napisanych już po wojnie wspomnieniach Janina wykreowała swój obraz jako działaczki silnie uczuciowo związanej z Polską Partią Komunistyczną, ale też troskliwej żony i matki, bezradnej wobec alkoholizmu męża i w ogóle trochę za bardzo spolegliwej, która nawet w pewnym momencie daje sobie wejść na głowę chimerycznej gosposi. Aż trudno uwierzyć, że ta sama kobieta po wojnie siała postrach w Związku Literatów Polskich.



Broniewski przez całe życie był czuły na wdzięki niewieście. Janina, będąc jego żoną, pobłażliwie wybaczała mu kolejne zauroczenia. Poważny kryzys nadszedł w 1933 roku, gdy zaczął się trwający dwa lata romans ze studentką prawa Ireną Hellman. Sporo miejsca poświęcone jest tej historii w *Majach i listopadach*, wspomnieniach Broniewskiej napisanych w 1966 roku. Z początku walczyła o ratowanie związku, godzili się i znów kłócili. Zaszła wtedy w ciążę, którą usunęła, a poeta wyjechał do Rosji i na Ukrainę, aby ukoić skołatane nerwy i dojść do równowagi. Stamtąd pisał do żony, która wiedząc, jak ważna jest dla niego córka, umiejętnie wzbudzała w nim poczucie winy. W końcu zadeklarował, że chce mieszkać „przy Ance”. Pogodzili się, ale nie na długo. Rozstanie było i tak nieuniknione.

W czasie jego nieobecności wzięła za niego zastępstwo w „Wiadomościach Literackich”. Pisała też do „Płomyczka” krótkie opowiadania na podstawie dostarczanych z redakcji ilustracji (*Rozmowa przez szybę*, *Przygoda pieska Ciapka i lalki Agatki*) i podpisywała je panieńskim nazwiskiem, nie chcąc odcinać kuponów od sławy męża. W latach trzydziestych wyszły także inne jej książeczki dla dzieci: *Przygody lalki Joasi*, *Ciapek włóczęga* i *Historia toczonego dziadka i malowanej babki*. Dobre miała pióro, trzeba jej to przyznać. Ta ostatnia opowiadanka literacko jest świetna. Główni bohaterowie, którym powierzyła narrację, to dwie drewniane lalki o konstrukcji tak zwanych matrioszek, należące do niej od dzieciństwa. W *Majach i listopadach* wspomina: „zaczęłam się «wcielać» w mentalność toczonego w drzewie dziadka w myśl zasady: co by widział, gdyby widział, co by myślał, gdyby myślał”. Czyli pomysł miała taki, że spojrzy malowanymi oczami lalek na własne życie, „na dzieciństwo, na te przemiany techniczne, obyczajowe z ładunkiem uczuciowo-społecznym”. Doskonale opisała dziecięcy świat, tekst świetnie się czyta, ale... No właśnie. W sielankę dzieciństwa wcisnął się jednak ów „ładunek uczuciowo-społeczny”. W opisywanej przez nią rzeczywistości panuje reguła, że dzieci biedne,

„proletariackie” są miłe, mądre, odpowiedzialne, pracowite i dbają o swoje zabawki. Ich rówieśniczka z bogatego domu jest antypatyczną, rozpieszczoną, niezbyt rozgarniętą egoistką, która brudzi piękną i drogą lalkę – na jaką nigdy nie byłoby stać rodziców jej towarzyszy zabaw – i rzuca ją w kąt. W dodatku mama zabrania jej zadawać się z dziećmi od szewca, które są oczywiście wspaniałe. Ta walka klasowa na poziomie dziecięcym serwowana jest młodym czytelnikom bez nachalnej agitacji, wręcz subtelnie, niemal podprogowo.

Nie zawsze Broniewska pisała z ideologicznym podtekstem. Wolny od „uczuciowo-społecznych” wtrętów jest sympatyczny *Ciapek włóczęga* czy pełna przygód *Historia gałgankowej Balbisi*. Dydaktykiem była dobrym, o czym świadczy sympatyczna historyjka z „Małego Płomyczka” pod tytułem *Teczka Jasia*, która miała nakłaniać dzieci do trzymania w porządku szkolnych przyborów.

Jaś idzie z teczką do szkoły. Aż tu naraz w środku niej powstaje hałas wielki:
– Ojej moje boki! A czego mnie masłem smarujesz? Co tu robią wronie pióra? Gwałtu! Mój nosek! Po co tu szkiełka?

Otwiera Jasio teczkę, a tam woła kromka chleba z masłem:

– Poproszę o białą papierową sukienkę! Niechże nie narzekają na mnie sąsiedzi.

A książka i zeszyty:

– Tak, tak. A nam się należą okładki!

A ołówek i stalówki:

– Chcemy mieszkać w piórniku! Mamy ostre noski. Kaleczymy sąsiadów!

A wszyscy zgodnym chórem:

– Wyrzucić szkiełka i wronie pióra!!!

A teraz posłuchajcie, czy nikt nie narzeka w waszych teczkach?

Przy okazji warto dodać, że w tym numerze „Małego Płomyczka” z 2 września 1935 roku zaprezentowali swoją twórczość oboje państwo Broniewscy, bo na prośbę żony poeta oddał swój talent na usługi szkolnej dydaktyki i tak powstała, jako pendant do teczki Jasia, *Teczka Zosi*.

Krzyk i hałas

słychać z teczki:

Zróbże, Zosiu,

Porządeczki.

Płaczą kredki

I ołówki:

połamały im się główki.

Płacze książka

z wielkim kleksem, wstyd nieść w teczce

taką beksę.

Guma-myszka

myśli sobie:

„Ma być czysto?

ja to zrobię”.

Janina Broniewska nie należała wprawdzie do Komunistycznej Partii Polski, którą niebezpiecznie uważano za sowiecki przyczółek, ale komunizowała od zawsze i wiernie. W tym czasie – od 1933 roku – za działalność polityczną miała już wilczy bilet jako nauczycielka, zaproponowano jej natomiast pracę w dziale wydawniczym Związku Nauczycielstwa Polskiego, gremium silnie lewicowego i mającego podejrzenie dobre stosunki z ambasadą sowiecką. Tam poznała Wandę Wasilewską. Narodziła się wielka przyjaźń, panie stały się nierozłączne, obie spoglądały z tęsknotą i nadzieją w stronę Kraju Rad. W 1937 roku stanęły na czele strajku okupacyjnego w ZNP, zorganizowanego w proteście wobec zawieszenia działalności związku. A związek zawieszono, bo w 1936 roku, w ramach cyklu poświęconego poszczególnym krajom, ukazał się numer „Płomyka”, pisma dla młodzieży redagowanego przez ZNP, idealizujący i propagujący życie w Związku Radzieckim. Ta publikacja prosowieckich tekstów, o której Broniewska we wspomnieniach pisze wręcz z dumą, była wynikiem sprawnej akcji rosyjskiej agentury, która spenetrowała także środowisko nauczycielskie i świetnie potrafiła wykorzystywać „pożytecznych idiotów”.



Państwo Broniewscy oddalali się od siebie. Ona coraz mocniej rozpolitykowana, on coraz więcej pijący. Prawdopodobnie od 1937 roku miał kolejny romans, tym razem z aktorką Marią Zarębińską, wdową z dzieckiem. Wiosną 1938 roku Janina zabrała dziewięcioletnią Ankę i wyprowadziła się. Wynajęła mieszkanie w willi przy ulicy Dziennikarskiej na Żoliborzu. Wkrótce związała się z poznanym przez Wandę Wasilewską Romualdem Gadomskim, komunistą należącym do KPP, który w Polsce Ludowej będzie zastępcą sławetnej Julii Bristigierowej. Nie chciała brać z nim ślubu, życie w wolnym związku w zupełności odpowiadało jej poglądom. Z Broniewskim utrzymywała przyjacielskie kontakty. Na przedwiośniu 1939 roku zamieszkali nawet wszyscy razem w jednej willi: Janina, Romuald Gadomski i Anka na górze, Władysław Broniewski, Maria Zarębińska i jej córka Majka na dole. Obie panie przyjaźniły się.

Pierwsze miesiące wojny Janina Broniewska i Romuald Gadomski spędzili w zajęтым przez Sowieców Białymstoku, gdzie ona była komisarką od oświaty. Tu urodził się ich syn Staś, zwany Pstrasiem, co też zostanie wykorzystane w propagandowej narracji.

„Wojenne dziecko”, wyniesione z Warszawy spod tych samych

hitlerowskich bomb, lecz urodzone już tu, u przyjaciół, zatulone w tutejsze pieluszki, przyodziane w tutejsze koszuliny, wykarmione przez radzieckich ludzi. I nawet metrykę ma niezwykłą. Polskie dziecko z radziecką metryką wypisaną po białorusku. Na urzędowym blankiecie nadruk: „Proletariusze wszystkich krajów – łączcie się”. To zamiast na przykład parafii mokotowskiego świętego Michała czy żoliborskiego świętego Stanisława Kostki. No i dobrze, no, i bardzo dobrze! Powrót nad Wisłę ma i tak murowany dzięki tym najprawdziwszym, acz świeckim patronom: proletariuszom z czerwonymi gwiazdkami na futrzanych uszankach i hełmach bojowych, którzy mu wyrąbują drogę do domu. Drogę na zachód, przez Bug ku samej Wiśle i za Wisłę – do Odry.

– Tam to będzie, synku, twój wolny kraj, twoja ludowa ojczyzna⁹.

Z Białegostoku przeniosła się dalej na wschód, do Mińska. Już po tym, jak Zachodnia Białoruś i Ukraina zostały wcielone do Związku Radzieckiego, 17 września 1940 roku – w rocznicę sowieckiej agresji, co mało swój wymowny symboliczny wymiar – razem z grupą polskich literatów: Putramentem, Ważykiem, Szemplińską-Sobolewską, wstąpiła do Związku Pisarzy Radzieckich Białorusi. W Mińsku objęła dział literacki polskojęzycznej gadzinówki „Sztandar Wolności”. Do redakcji dołączyli były współpracownik Aleksandra Wata z ramienia KPP i późniejszy zbrodniarz stalinowski Jakub Berman oraz Alfred Lampe, wywodzący się z młodzieży syjonistycznej. Ten drugi przeżył stalinowskie czystki w środowisku polskich komunistów tylko dzięki temu, że nie wyjechał z innymi do Związku Radzieckiego i przesiedział najgorszy czas w polskim więzieniu.

W lecie 1941 roku zaczęły się niemieckie naloty na Mińsk, wtedy Broniewska i Lampe uciekli na wschód. Dotarli do swinosowchozu imienia Czapajewa pod Kujbyszewem i tutaj Janina i Anka pracowały w polu. Ten epizod też będzie użyty w celach propagandowych: gloryfikowania ciężkiej pracy ku chwale Kraju Rad, o czym pisze z nieskrywaną dumą:

I nasze z początku na pewno niezdarne ręce potrzebne były temu wielkiemu dziełu. Dla zebrania chleba i warzyw dla frontu, dla miast, dla nas samych wreszcie. Żebyśmy nie byli bezdomnymi łażęgami, rozbitkami, zbędnym balastem ludzkim¹⁰.



We wrześniu 1939 roku Władysław Broniewski zgłosił się na ochotnika do wojska. Dostał przydział, ale nim trafił na pole walki, Związek Sowiecki napadł zdradziecko na Polskę. Poeta był we Lwowie, kiedy Sowieci zaprowadzali tu swoje porządki. W grudniu 1939 roku dzięki Wandzie Wasilewskiej sprowadził Marię Zarębińską z Majką.

Niektórzy polscy literaci zawarli sojusz z nową władzą. Należeli do nich

między innymi Jerzy Borejsza, Mieczysław Jastrun, Julian Przyboś, Adam Ważyk, Aleksander Wat i Tadeusz Boy-Żeleński. Współpracowali oni z wydawanym przez Wandę Wasilewską polskojęzycznym „Czerwonym Sztandarem”. Broniewski też publikował na łamach „Sztandaru” swoje przedwojenne wiersze, ale nie wygłaszał jak inni prosowieckich deklaracji ani nie wychwalał w swojej poezji sowieckiej rzeczywistości. Pisał natomiast utwory o klęsce i tragedii Polaków i o konieczności walki o niepodległość. Nie podpisał też wydrukowanego 19 listopada 1939 roku w „Czerwonym Sztandarze” oświadczenia pisarzy polskich aprobującego przyłączenie Zachodniej Ukrainy do Ukrainy Sowieckiej; tyle że nie na wiele się to zdało, bo podpisano go za niego – bez jego zgody i wiedzy. Na pewno cios w jego lewicowy światopogląd zadała cenzura sowiecka, nie dopuszczając do druku jego utworów zawierających treści patriotyczne. Odrzucony został między innymi słynny *Żołnierz polski*. Jakiś czas poeta był kierownikiem literackim Państwowego Polskiego Teatru Dramatycznego (po jego aresztowaniu funkcję tę przejęła Wanda Wasilewska). Należał też do Komorgu, czyli Komitetu Organizacyjnego przyszłego Związku Pisarzy, ciała o niesprecyzowanym wtedy jeszcze przeznaczeniu.

Broniewski pił, a jak był pod wpływem alkoholu, recytował wiersze, które nie mogły się podobać władzy. Stał się niewygodny i NKWD miało go na oku. Dwudziestego czwartego stycznia 1940 roku w lwowskiej restauracji został zatrzymany razem z Aleksandrem Watem i paroma innymi intelektualistami. Oficjalny zarzut brzmiał: chuligańskie wybryki, i była to przygotowana wcześniej prowokacja. Literatów przewieziono do aresztu śledczego na Zamarstynowie. Tu Broniewski zaczął pisać melodyjnie rytmiczną balladę *Kasztan*, którą ukończył już na Bliskim Wschodzie:

 Za oknem stał kasztan i pąki pęczniały.
 choć śnieg na nich leżał puszysty i biały.
 O świcie pochmurnym, o zmierzchu półsennym,
 Na lwowskiej ulicy pod murem więziennym
 stał kasztan. Był marzec. Już śniegi stopniały.

Był nie tylko znakomitym poetą, lecz także autorytetem moralnym. Władzy radzieckiej zależało na tym, żeby go mieć po swojej stronie. Tymczasem on, choć całe życie prezentował poglądy lewicowe (które na swój sposób starał się godzić z dziewiętnastowiecznym patriotyzmem), w śledztwie odmówił współpracy. Zachował się godnie i odważnie, jak w tym czasie żaden inny z komunizujących literatów, choć po wojnie będzie pisał na zamówienie panegiryczne wiersze o Stalinie i Świerczewskim. Prawda jest jednak taka, że będzie wtedy też coraz więcej pił i czasem w stanie upojenia wspomni, jak Piłsudski przypinał mu Krzyż Walecznych. Uwierała go widać ta własna uległość i coś się w nim buntowało przed całkowitym zaprzęciem duszy czerwonemu diabłu.

Janina łatwo mogła się rozwieść z mężem siedzącym w sowieckim więzieniu. Nie chciała jednak tego robić, mimo że oboje byli już w nowych związkach, a w tamtejszej rzeczywistości wystarczała jedynie niewielka formalność. „Dokonanie takiej drobnej i prostej formalności byłoby gorzej niż małżeńskim wiarołomstwem. Byłoby to wyrzeczeniem się wszystkiego, co nas łączyło całe życie. Solidarność, bezgraniczne zaufanie do uczciwości i żarliwości wspólnych przekonań nie pozwalały się rozwodzić z komunistą uwięzionym w radzieckim więzieniu” – wyznaje w *Majach i listopadach*. Uważała, że został aresztowany, bo naiwnie i niepotrzebnie manifestował swój patriotyzm. I że „pomogli” mu koledzy – donosami i udziałem w prowokacji. Przecież władza radziecka nie mogła być winna!

Nic nie dała interwencja Wandy Wasilewskiej u samego Stalina. W maju 1940 roku poeta trafił do więzienia na Łubiance, gdzie spędził trzynaście miesięcy. Po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej wywieziono go do Saratowa, a następnie do Ałma-Aty. Tu 7 sierpnia 1941 roku doczekał zwolnienia na mocy amnestii wynikającej z układu Sikorski–Majski.



Dobrze jest, że nas nie ma
tam, gdzie zima, Kołyma,
gdzie Workuty, Irkucki, Tobolski,
że przez Morze Kaspijskie
i przez piaski libijskie
wędrujemy prościutko do Polski.
Władysław Broniewski, *Tułacza armia*

Po zwolnieniu Broniewski wstąpił do armii Andersa, gdzie ze względu na swoją niepoprawną wiarę w socjalizm został przyjęty przez kolegów dość chłodno. Polacy w Związku Radzieckim komunistów nie kochali, toteż inni oficerowie odnosili się do niego wrogo. Jak napisał w liście z Bagdadu, nie mogli mu darować Lwowa i wiersza *Syn podbitego narodu*¹¹ – w utworze tym między innymi padają słowa: „chcę, żeby z gruzów Warszawy rósł żelbetonem socjalizm”.

Pracował jako attaché kulturalny ambasady polskiej w Kujbyszewie, był też korespondentem wojennym. Od marca 1942 roku miał przydział do Szóstej Dywizji Piechoty, w lecie został ewakuowany na Bliski Wschód. Z Janiną korespondował, do Anki pisał listy pełne czułości i ojcowskiej troski: żeby pamiętała o Polsce i czytała polską literaturę, żeby starała się czysto i poprawnie mówić po polsku. Wysyłał jej książki, polskie pisma i swoje wiersze. Starał się łagodzić radykalny wpływ matki, uczył córkę patriotyzmu takiego, jaki sam miał

w sobie.

Janina dzięki pomocy najlepszej przyjaciółki opuściła swinosowchoz imienia Czapajewa i pojechała do Moskwy, gdzie Lampe z Wasilewską chcieli wskrzesić lwowskie „Nowe Widnokreği” jako oficjalny organ Związku Patriotów Polskich. Ostatecznie redakcja zainstalowała się w Kujbyszewie, pierwszy numer ukazał się w maju 1942 roku. Gazeta starała się balansować między orientacją proradziecką a patriotyczną. Takie były wytyczne. Stalin wiedział, że na razie musi Polaków mieć patriotyzmem, inaczej nie pozyska ich do współpracy.

Matka założycielka Związku Patriotów Polskich Wanda Wasilewska wyjechała na front i zostawiła Janinie pod opieką swoją córkę Ewę. W czerwcu 1943 roku Ewa, lat czternaście i pół, i Anka, lat trzynaście, zgłosiły się do wojska. Obie matki, uznawszy, że to dobra szkoła życia, zwróciły się do Berlinga, aby je przyjął i potraktował bez taryfy ulgowej. Dziewczyny przeszły przeszkolenie pielęgniarskie i musztrę, a potem, jako że dowództwo nie chciało brać odpowiedzialności za nieletnie panienki, odesłano je do domu. Były z tego powodu wściekłe. Kiedy Broniewski z armią Andersa opuszczał Rosję, chciał zabrać córkę ze sobą, ale ona, będąc pod wpływem matki, oczywiście odmówiła. Napisała do ojca: „wolę swoje żołnierskie suchary niż twoje palestyńskie pomarańcze”¹².

Nowy partner życiowy Janiny, Romuald Gadomski, który też wstąpił do Drugiego Korpusu, wkrótce potem został aresztowany – uznano go za sowieckiego agenta. Trafił do więzienia w Palestynie, skąd go z trudem wydobyła Wasilewska. Gdy jeszcze siedział pod kluczem, Janina rozstała się z nim i związała się z pułkownikiem Nałęczem-Bukojemskim, jednym z polskich oficerów, którzy zgodzili się na współpracę ze Stalinem. Ów były lokator słynnej „wili szczęścia” w Małachówce pod Moskwą został jednym z założycieli ZPP. W ich związku to jemu bardziej zależało na zażyłości z przyjaciółką wszechwładnej Wandy Wasilewskiej, która mogła pomóc w karierze i w rywalizacji z Berlingiem. Po wojnie został odstawiony na boczny tor i w 1952 roku Janina rozstała się z nim bez bólu. O romansie z Bukojemskim nie ma ani słowa w *Notatniku korespondenta wojennego*, choć książka ta dotyczy właśnie tego okresu. Kobiety pozostające w takich frontowych nieformalnych związkach nazywano złośliwie PPŻ – przechodnia polowa żona.

Janina jeździła z Wandą na front, a także na Kreml, do Stalina. Nastoletnie Ankę i Ewę oraz małego Stasia powierzała wtedy „zastępczym matkom patriotkom” ze Związku Patriotów. „Nie ta matka, która urodziła, ale ta ze Związku Patriotów, która wychowała” – mawiała. Anka czuła się bardzo samotnie. Nie widziała matki miesiącami. Skarżyła się na to ojcu w listach. Janina kochała córkę, ale musiała przecież budować komunizm, to było dla niej najważniejsze. O Ance i Stasiu pisała serdecznie, traktowała ich bardziej jak partnerów niż jak dzieci i kazała im do siebie mówić: Jaśka. Nie zaniedbywała natomiast ich „wychowania

w postępie”, podobnie jak to miało miejsce w przypadku dzieci cudzych. Związek Patriotów Polskich opiekował się sierotami i dziećmi opuszczonymi przez rodziców. O jednym takim podopiecznym i okolicznościach, którym zawdzięczał swoją sytuację, pisze w *Notatniku*:

– Ojciec dostał za szpiegostwo 10 lat. Mama też siedzi za agitację paszportową – mówi ze straszliwą rzeczowością chłopiec w naszym domu.

Już w następnym zdaniu wyjaśni się, że to wcale nie władza radziecka winna jest sieroctwa dzieci, tylko... Londyn. Na szczęście w komunistycznej Polsce zagra się tym panom na nosie, wychowując dzieci w jedynym słusznym duchu – do czego *notabene* twórczość literacka Janiny Broniewskiej będzie się walnie przyczyniać.

Cieszcie się panowie z Londynu. Postawiliście na swoim. Ale to dziecko właśnie my zaprowadzimy do Polski. I wychowamy. I postawimy także na swoim¹³.

Dzięki Wandzie Wasilewskiej Janina została politruczką i korespondentką Pierwszej Dywizji. Dumna była potem, że przeszła cały szlak bojowy, aż do „wyzwolonego” już Lublina (choć podobno na front dolatywała tylko dorywczo, a na stałe mieszkała w Moskwie, w siedzibie Związku Patriotów Polskich). Uważała, że był to piękny okres w jej życiu. Przeżywała radość zwycięstwa pod Stalingradem. Rozpłakała się ze wzruszenia, kiedy wraz z kościuszkowcami 24 lipca 1944 roku przekroczyła granicę ustaloną na mocy paktu Ribbentrop–Mołotow. Wierzyła głęboko, że polska klasa robotnicza odbuduje Polskę wbrew „faszystom” z Londynu.

Słuchamy, po prostu słuchamy, jak w mozole rodzi się żołnierz-obywatel, czyli przyszły gospodarz kraju: robotnik, chłop, inteligent pracujący. Ci już nie wysiądą z cielecym zachwytem na pierwszym przystanku, który im piśsudczyzna wzmówiła cynicznie jako „niepodległość”, nie oddadzą władzy nad krajem tym samym starym krętaczom, choćby się przybrać zechcieli w najbardziej „demokratyczne”, w Londynie fryzowane piórka.

W *Notatniku korespondenta wojennego*, z którego pochodzi powyższy cytat i następne – wydawanym wielokrotnie i zatwierdzonym przez Ministerstwo Oświaty „do bibliotek liceów ogólnokształcących, techników, zakładów kształcenia nauczycieli oraz do działów nauczycielskich bibliotek szkół podstawowych” – zachwycała się Pierwszą Dywizją, sowieckim systemem, kołchozami i niezwyciężoną Czerwoną Armią. Piała na temat utworzonego przez Wandę Wasilewską Związku Patriotów Polskich oraz polskojęzycznych komunistycznych gadzinówek: „Nowych Widnokręgów” i „Wolnej Polski”. Do przedwojennej Polski i rządu londyńskiego żywiła patologiczną wręcz nienawiść, zupełnie jak jej ukochana przyjaciółka.

I dlatego mocna jest nienawiść ku wszystkiemu, co było wtedy. Ku

hitlerowcom i ku ich sojusznikom – rodzimym faszystom, rodzimym sanacyjnym dygnitarzom. Pomaleńku zaczyna się odsłaniać akt drugi tamtej zdrady, przeniesionej wraz z walizami za granicę kraju. Przez Zaleszczyki do Londynu.

Dostało się także przedwojennej kresowej policji – pewnie w swoistym akcie zemsty za to, że ta śmiała wojować z sowieckimi jacejkami: „Policjanci z «kresów», wyspecjalizowani w pacyfikacji wsi ukraińskich i białoruskich”. Na „burżuazyjną armię Andersa”, w której szeregach walczył jej mąż, grzmiała zresztą przy każdej okazji. Po wizycie w Buzułuku, dokąd pojechała jako korespondentka „Izwestii” i gdzie, jak sama pisze, została całkiem gościnnie przyjęta, tak opisała kadrę oficerską przyszłych bohaterów walk o Monte Cassino, Ankonę czy Bolonię:

Zajeżdżamy na chwilę do hoteliku, gdzie kwaterują oficerowie. Przemykają się przez sień roznegliżowani. Zakatarzone, rozmamłane rezerwisty. W sieni wielki kubeł. Skromnie się odwracam. Biedne stare ramole, chore na pęcherz. I to mają być przyszli dowódcy na tutejszym prawdziwym zimowym froncie? A może panowie ze Sztabu Generalnego mają raczej zamiar oprzeć się na swojej młodej kadrze spod znaku ONR? Na entuzjastach hitlerowskich form zewnętrznych i hitlerowskiej treści, przenoszonych do września na wyższe uczelnie? Poziom „wiedzy wojskowej” tych podchorążaków sanacyjno-oenerowskich pozwala się najwyżej – jeśli pogoda dopisuje – pobawić wojną na poligonie.

To ona była autorką sławetnej „kuricy” – pozbawionego korony orzełka kościuszkowców. W *Człowieku, który się kulom nie kłaniał* sugeruje młodym czytelnikom, że to jedyny słuszny wzór piastowski:

Na gwoździach wbitych w bieloną ścianę, wisały czapki z orzełkiem szerokoskrzydłym, piastowskim, takim jak na krypcie Bolesława Krzywoustego w Płocku.

„Ale nawet gdyby polskiemu orłu wyrwała z dupy wszystkie pióra, i tak na czerwono go nie przerobi”¹⁴ – skomentował ów projekt plastyczny Władysław Broniewski.



W styczniu 1945 roku Janina Broniewska w stopniu porucznika wróciła do Warszawy. Zachowała się bardzo ładnie, bo odszukała w domu dziecka Majkę Broniewską i zabrała ją do siebie – wszyscy myśleli, że jej matka nie żyje, a poeta wtedy jeszcze nie wiedział, czy wróci do Polski. Okazało się potem, że aktorka przeżyła obóz.



Tak zwana **KURICA**, czyli orzeł bez korony wzorowany na piastowskim nagrobku, zaprojektowany przez Janinę Broniewską (Wikimedia Commons)

Broniewscy formalnie rozwiedli się w 1946 roku w Łodzi. Utrzymywali potem kontakt, mieli wspólną wnuczkę. Janina na swój sposób opiekowała się byłym mężem, który coraz bardziej pogrążał się w alkoholowym nałogu.

Władysław Broniewski nie zdecydował się zostać na Zachodzie. Wrócił do Marii i Majki, a także do Anki, największej miłości swego życia, której Janina nigdy w życiu nie puściłaby na Zachód. Wrócił, choć tak solidnie dostał w kość od wymiaru sowieckiej sprawiedliwości, że żadnych złudzeń mieć nie mógł. A tu Polska Ludowa przyjęła go z otwartymi ramionami. Dostał najpierw mieszkanie w alei Róż, potem w 1950 roku willę na Mokotowie. Chora po obozie na gruźlicę druga żona, Maria Zarębińska, otrzymała zgodę na kurację w Szwajcarii. Ceną za willę było podobno napisanie *Słowa o Stalinie*, najlepszego – jak twierdzi Bohdan

Urbankowski – wiersza sławiącego „chorążego pokoju”. Trzeba poecie jednak oddać sprawiedliwość, że odmówił napisania nowego, bardziej sowieckiego hymnu dla Polski.

Janina dostała willę na Mokotowie, przy Lenartowicza. Dużo pisała i była jak zawsze radykalną komunistką, niezmiennie wierną wielkiej ojczyźnie proletariatu. Zarabiała doskonale na wydawanych w wielotysięcznych nakładach książkach dla dzieci i młodzieży, sączących propagandową truczkę.

O Ankę też państwo ludowe zadbało. Otrzymała mieszkanie na MDM-ie, podejmowała różne kierunki studiów: socjologię, historię sztuki, dziennikarstwo. W końcu znalazła się w łódzkiej filmówce i została asystentką Wandy Jakubowskiej, która załatwiła jej pracę w Państwowym Przedsiębiorstwie „Film Polski”. Dostała stypendium w Paryżu w Wyższej Szkole Filmowej. W czasach stalinowskich studia na Zachodzie były niedostępne dla zwykłych śmiertelników, chyba że w krajach bratniego obozu. Musiała więc mieć bardzo mocne poparcie, podobno samej Wandy Wasilewskiej – Joanna Siedlecka nazwała Ankę przy tej okazji czerwoną księżniczką. Po dwóch latach z niewiadomych przyczyn stypendium cofnięto, ale i tak przez dwa lata żyła jak mało kto w czasach stalinowskiego gniota, podróżując swobodnie do Paryża czy do Berlina.

Jeszcze przed wyjazdem do Francji urodziła dziecko, córkę Ewę, którą podzuciła matce. Za mąż wyszła za Stefana Kozickiego, starszego o sześć lat studenta socjologii i młodzieżowego aparatczyka. Był członkiem PPR, potem PZPR, redaktorem naczelnym „Walki Młodych”, sekretarzem łódzkiego zarządu Związku Walki Młodych. Łączyła ich także ideologia. Anka wstąpiła do partii. Po powrocie z Francji nie zabrała Ewy od matki, choć miała już mieszkanie. Oboje z mężem robili kariery, Stefan w dziennikarstwie, Anka w Wytwórni Filmów Dokumentalnych na Chełmskiej.



JOANNA BRONIEWSKA-KOZICKA. *Fot. Ewzawi*
(Wikimedia Commons CC BY-SA 4.0)



W okresie stalinowskim Janina Broniewska była szarą eminencją Związku

Literatów Polskich, gdzie pełniła funkcje sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej oraz członka Zarządu Głównego. Marci Shore pisze, że w wewnątrzpartyjnej ocenie z 1950 roku padło na jej temat – niezwykle trafne! – sformułowanie, mianowicie, iż daje sobie radę „po bolszewicku”. Joanna Siedlecka z kolei przytacza – swoją drogą rozbijającą – wypowiedź Zofii Bystrzyckiej: „A Jaśka była fanatyczną komunistką, co się u nas, nawet wśród członków partii, zdarzało rzadko”¹⁵. Nie lubiano jej, bano się, uważano za sowiecką wtykę. Aleksander Wat wspomina, że pisała na niego donosy. Miłosz uważał ją za kobietę niebezpieczną. Gdy w 1951 roku na jubileuszu Marii Dąbrowskiej Jerzy Andrzejewski wygłaszał referat, zauważył, że siedząca w pierwszym rzędzie Broniewska szepcze coś do ucha Pawłowi Hoffmanowi, szefowi wydziału kultury KC. Zemdlął ze strachu, bo myślał, że to coś krytycznego o nim.

Wyrzuciła ze Związku paru pisarzy przedwojennych za to, że w ciągu pięciu lat niczego nie wydali. Wśród nich byli przyjaciółka i muza Witkacego Izabela Stachowicz-Czajka, poetka i powieściopisarka Maria Szpyrkówna, przyjaciel i biograf Witkacego Eugeniusz Płomiński. A nie byli wydawani nie z ich winy, tylko dlatego, że nie pasowali do socjalizmu.

Wyrzuciła też Marię Kann i Aleksandra Kamińskiego, autora *Kamieni na szaniec*. Wystarczyło narazić się na zarzut odstawania od socrealizmu czy bycia pisarzem katolickim, jak w przypadku Wojciecha Bąka, Władysława Jana Grabskiego i Kazimierza Zenona Skierskiego.

Swoich sztorcowała bez pardonu. Putramentowi zarzucała nacjonalizm, a Ważykowi – dygnitarstwo i atakowała go, gdzie tylko mogła. Jacek Bocheński otrzymał upomnienie z wpisaniem do akt, że „podczas pobytu w NRD nie wykazał czujności i nie zasygnalizował odpowiednim czynnikom, także i po powrocie do kraju, o niepartyjnym zachowaniu się jednego z kolegów”¹⁶. Wanda Melcer została ukarana za zgubienie legitymacji, a potem za to, że ze strachu skłamała, iż ją odnalazła.



JANINA BRONIEWSKA i LEONID TELIGA na spotkaniu z pisarzami radzieckimi
(Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza)

Terroryzowani przez nią pisarze składali samokrytyki i jak karcone dzieci obiecywali poprawę. Stawiała im zarzuty, udzielała wytycznych co do pisania zgodnie z linią partyjną. Roman Bratny został poproszony o głębszą krytykę swojej przeszłości akowskiej. Andrzej Braun miał popracować ideologicznie nad sobą.

Stała na straży socjalistycznej moralności i piętnowała niesłuszne postawy. Jerzy Korczak naraził się jej ślubem kościelnym, Józef Kuśmierk nadużywaniem alkoholu, a jeden z literatów – ciężą gosposi. Czytała kierowane do partii skargi żon i kazała winnym tłumaczyć się przed kolektywem.

Antoni Marianowicz napisał o niej: „Nie znośłem Broniewskiej z całego serca, była mało inteligentną i niereformowalną fanaticzką. Swoją pozycję zawdzięczała – jak sądzę – komunistycznej przeszłości, a zwłaszcza przyjaźni z dwiema partyjnymi babami: Wandą Wasilewską i Luną Bristigierową”¹⁷.

Chodziły plotki o jej romansach z młodszymi mężczyznami. Znalazł się

wśród nich Wojciech Żukrowski, który podobno podjął ten środek zapobiegawczy, żeby nie wyciągnięto mu akowskiej przeszłości. Czule ją potem wspominał, co przytacza Joanna Siedlecka: „To była piękna kobieta o bardzo polskiej urodzie. Szczupła blondynka, która stąpała lekko, mężczyźni czuli sprężystą gibkość tego ciała. Oczy miała szare, ale ich kolor się zmieniał, ciemniały w gniewie i rozjaśniały się na widok miłych sercu”.

Jednym z takich młodych kochanków został jej zastępca Bohdan Czeszko, były żołnierz GL-AL. Popierała jego liczne podania o stypendia, zasiłki i delegacje. Dzięki niej dostał leki zagraniczne dla córeczki i miejsce dla żony w klinice Akademii Medycznej, mógł liczyć na korzystne przydziały deficytowych w socjalizmie dóbr. Załatwiła mu to, że film *Pokolenie* w reżyserii Andrzeja Wajdy, nakręcony na podstawie jego książki, wprawdzie ocenzurowany, ale ujrział światło dzienne.



Pierwszego września 1954 roku córka Janiny i Władysława Broniewskich Anka została znaleziona martwa w swoim mieszkaniu na MDM-ie. Okna były szczelnie zamknięte, ulatniał się gaz. Nazajutrz miała jechać do Krakowa.

Do dziś niewyjaśnione pozostaje, czy było to samobójstwo zwykłe, czy też wspomagane. Oficjalna wersja, w którą nikt nie wierzył, brzmiała: zatrucie się gazem. Niedługo przedtem Anka dowiedziała się, że jej ukochany Bohdan Czeszko, młody i lansowany literat, dla którego zamierzała porzucić swego męża, romansuje z jej własną matką, osiemnaście lat od niego starszą. Z drugiej jednak strony nic nie zapowiadało, aby zamierzała targnąć się na życie. Następnego dnia miała jechać kręcić film, walizki stały częściowo spakowane. Krążyły plotki, że pomogła jej bezpieka. Śledztwo bardzo szybko zakończono. Janina Broniewska, która mogłaby poruszyć niebo i ziemię, gdyby chciała, nie zgodziła się na sekcję zwłok.

Na pogrzeb przyleciała z Moskwy Wanda Wasilewska. Matka nie płakała, tylko zaintonowała *Międzynarodówkę*. Niewiele osób się przyłączyło. Ojciec, szlochając, rzucił się na trumnę, co nappełniło Janinę głębokim niesmakiem.



Władysław Broniewski bardzo przeżył śmierć ukochanej córki. Pił jeszcze więcej, litr dziennie co najmniej, był nieprzytomny od rana do wieczora. Do dziś nie wiadomo, kto naprawdę stał za przymusowym zamknięciem go na odwyku w Państwowym Sanatorium dla Nerwowo Chorych w Kościanie. Przywieziony siłą

w kaftanie bezpieczeństwa 7 września 1954 roku, trzy dni po pogrzebie Anki, umieszczony został w jednoosobowym pokoju pod całodobową opieką. Z nikim nie mógł się kontaktować, pozwolono mu tylko na korespondencję, książki, gazety i radio. Być może chciano go w ten sposób zastraszyć. Jego trzecia żona, Wanda z domu Szpilrejn, *primo voto* Burawska, twierdziła, że była to „Akcja Jakuba Bermana i Janiny Broniewskiej przeciw Władysławowi Broniewskiemu”. Bardzo możliwe, że przez nieostrożne wypowiedzi wygłaszane pod wpływem alkoholu poeta stał się niewygodny i obawiano się, że będzie oskarżał władze i byłą żonę o przyczynienie się do śmierci ukochanej córki. Że nawet będzie się mścił.

W szpitalu Broniewski zaczął głodówkę i pisał przekazywane przez pacjentów dramatyczne grypsy do żony, błagając o interwencję, między innymi u Janiny. Do niej Wanda Broniewska nie poszła, zapewne dlatego, że jej szczerze nie znosiła. Ale zwróciła się o pomoc do innych i uwolnił go w końcu osobiście minister zdrowia Jerzy Sztachelski.



***JANINA BRONIEWSKA** w willi przy Lenartowicza, w pokoju swej wielkiej przyjaciółki – Wandy Wasilewskiej (Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza)*



Po Październiku Janina Broniewska straciła swoje dotychczasowe wpływy

i możliwości, ale nadal była zajadłą partyjną aktywistką. Jako jedna z nielicznych siedziała, gdy w 1958 roku na zebraniu poświęconym pamięci zamordowanego przywódcy węgierskiego powstania, Imre Nagya, wstali wszyscy pisarze, łącznie z partyjnymi.

Oprócz dalszego „wyrządzania szkody w literaturze dla dzieci” zajmowała się teraz pisaniem wspomnień, w których jest wiele informacji na temat przedwojennego warszawskiego świata twórców i intelektualistów oraz środowiska działaczy komunistycznych. Są to książki ciekawe i literacko dobre, z tym że chwilami trudno ocenić, na ile szczerze, a ile w nich propagandowego manipulowania faktami. Cóż, po szkolnych lekturach jej pióra można stracić zaufanie do wiarygodności przekazu.

Wielka przyjaźń dwóch ideowych komunistek, Janiny Broniewskiej i Wandy Wasilewskiej, trwała aż do śmierci tej drugiej.

PRZYPISY

¹ Janina Broniewska, *Kopciuszek na balu*, „Dziennik Popularny” 1936, nr 74, s. 5. Cyt. za: Janina i Władysław Broniewscy, *Miłość jest nieprzyjemna... Listy ze wspólnego życia*, oprac. z rękopisu, wstęp i przypisy Wioletta Bojda, Warszawa 2014.

² Aron Berman – działacz komunistyczny, później przyjął nazwisko Wiktor Borowski. Był ojcem znanego polityka SLD Marka Borowskiego.

³ Janina i Władysław Broniewscy, *Miłość jest nieprzyjemna...*, dz. cyt., s. 30–31.

⁴ Tamże, s. 31.

⁵ Tamże, s. 35.

⁶ Janina Broniewska, *Dziesięć serc czerwonych*, Warszawa 1977, s. 166.

⁷ Tamże.

⁸ Drukował m.in. w „Kulturze Robotniczej”, „Nowej Kulturze”, „Dźwigni”, „Miesięczniku Literackim”, „Czarno na Białym”.

⁹ Janina Broniewska, *Z notatnika korespondenta wojennego*, Warszawa 1961, s. 202.

¹⁰ Janina Broniewska, *Z notatnika korespondenta wojennego*, t. 1, Warszawa

1954, s. 93.

¹¹ Janina i Władysław Broniewscy, *Miłość jest nieprzyjemna...*, dz. cyt., s. 608.

¹² Cyt. za: Joanna Siedlecka, *Biografie odtajnione*, Poznań 2015.

¹³ Janina Broniewska, *Z notatnika korespondenta wojennego*, Warszawa 1961, dz. cyt., s. 155.

¹⁴ Cyt. za: Joanna Siedlecka, *Biografie odtajnione...*, dz. cyt.

¹⁵ Cyt. za: tamże.

¹⁶ Cyt. za: tamże.

¹⁷ Cyt. za: tamże.

MADAME WASILEWSKA IDZIE NA WOJNĘ

W wyniku pierwszej wojny światowej, obalenia caratu przez rewolucję powstało państwo polskie, przez sto dwadzieścia z górą lat pozbawione samoistnego bytu. I od razu obnażyło swe klasowe oblicze. Było państwem kapitalistycznym, zależnym w dodatku od obcych kapitałów, z wszystkimi wypływającymi stąd następstwami. [...] I dlatego mając trzynaście, czternaście lat, chodziłam na robotnicze zgromadzenia i demonstracje i od pierwszego roku uniwersytetu byłam członkiem młodzieżowej organizacji socjalistycznej.

Wanda Wasilewska, *Podróż po życiu i książkach*¹

Był to dzień przysięgi w Sielcach. Po defiladzie żołnierze rozeszli się do jednostek na specjalny obiad, a dowództwo zasiadło do biesiady, po której podano kawę wydobytą przez Wasilewską gdzieś spod ziemi. Goście zagraniczni wznosili toasty, Wanda na nie odpowiadała. Wszystko szło dobrze, dopóki podchmieliwszy sobie, nie wdała się w zbyt swobodną, a przez to ryzykowną dla obu stron rozmowę z francuskim attaché wojskowym. Jako pierwszy próbował dyskretnie interweniować Wiktor Grosz². Chciał ją wyprowadzić, ale tyle wskórał, że go zwymyślała. Następnie do akcji wkroczył przedstawiciel NKWD przy dowództwie armii polskiej Gieorgij Siergiejwicz Żukow. Podeszedł, pochylił się i coś cicho jej powiedział. Bardzo grzecznie, wręcz prosząco. Wywołał tym wybuch wściekłości.

– Paszoł won, ty... – wysyczała zza zaciśniętych zębów.

Żukow odskoczył jak oparzony, mrużąc przekleństwo pod nosem. A ona gwałtownie wstała, przeprosiła obecnych i wyszła. Na wszelki wypadek Grosz i Sokorski³ poszli za nią, ich śladem podążyła żona Berlinga. Jakoś długo nie wracali i goście zaczęli się rozchodzić. Pułkownik Berling zbierał się właśnie, żeby pójść do siebie, gdy wszedł oficer przysłany przez Sokorskiego z prośbą o pomoc, bo z Wasilewską są kłopoty. Pułkownik pomyślał, że pewnie wyjście na świeże powietrze musiało jej zaszkodzić, i udał się zgodnie z otrzymanymi wskazówkami w stronę pobliskiego lasu. Sokorski był tak zdenerwowany, że nie mogąc się go doczekać, wyszedł mu naprzeciw. Okazało się, że Wanda dostała ataku hysterii, nie chce nikogo słuchać, nie chce z nikim rozmawiać, tylko zalewa się łzami. Widzą to przedstawienie przechodzący drogą żołnierze, co nie jest wychowawcze. Koniecznie trzeba ją jakoś uspokoić, zmusić, żeby poszła do siebie i położyła się spać. Po przybyciu na miejsce Berling ujrzał leżącą na ziemi Wandę zanoszącą się histerycznym łkaniem. Obok z jednej strony klęczał Grosz, z drugiej jej najlepsza przyjaciółka Janina Broniewska i bezskutecznie starali się ją uspokoić. Kilku oficerów oświatowych próbowało zasłonić sobą gorszącą scenę.

Berling pochylił się i ściszym głosem, ale umyślnie surowo powiedział z naciskiem:

– Nie róbcie skandalu, wracajcie na kwaterę.

Podniosła głowę, oczy miała kompletnie puste, jak nie swoje, a na policzkach i szyi czerwone plamy.

– Idźcie stąd natychmiast, pułkowniku! Ja nie chcę, żebyście mnie tu oglądali! – Prawie krzyczała.

– Wando, wstańcie! – rzekł naprawdę ostro. Tym razem podziałało.

– Dobrze, wstanę i pójdę, gdzie zechcecie, tylko najpierw stąd odejdźcie. – Zwróciła się teraz do Sokorskiego. – Idźcie stąd! Ja was błagam!

– Słowo?

– Słowo! – kiwnęła głową, jak dziecko rozmazując łzy na policzkach.

Berling z Sokorskim odeszli, oglądając się kontrolnie za siebie. Wasilewska niepewnie dźwignęła się z ziemi i razem z Broniewską i Groszem poszła w stronę domku, w którym obie z Jaśką zajmowały pokój na górze. Gdy dotarli do tarasu przed wejściem, zaczął się drugi akt tego żalosego spektaklu. Wasilewska usiadła na skraju tarasu ze spuszczone nogami. Za nic nie chciała wejść do środka. Oparła głowę o słup podtrzymujący balkon i znowu polały się rzęsiste łzy.

– Puśćcie mnie stąd! Nie chcę tu być! Nie chcę żadnej dywizji! Ja chcę do domu, do Mariana! Chcę rodzić dzieci, chcę gotować zupę, prac, robić schabowe kotlety!

– Towarzyszko, proszę nie robić scen – poprosił major Żukow, który właśnie nadszedł. – Proszę wejść do środka.

Walnęła pięścią w beton.

– Nigdzie nie pójdę! – wykrzyknęła. I podjęła tę samą, co poprzednio, nutę.

– Ja chcę do domu! Do Mariana! Chcę rodzić dzieci, chcę gotować zupę, prac, robić schabowe kotlety.

Obecni wymienili zakłopotane spojrzenia. Sytuacja stawała się coraz bardziej żenująca. Broniewska próbowała ją uspokoić, przywołać do porządku.

– Wando, Minc⁴ podgląda cię z za rogu domu i nasłuchuje.

– Niech słyszy! Niech tylko spróbuje otworzyć pysk, to jutro go rozwalimy, sukinsyna!

Tu znowu wkroczył do akcji Berling.

– Wando, idźcie spać – padł rozkaz.

Niespodziewanie ustąpiła.

– Pójdę – zgodziła się. – Ale wy, pułkowniku, odejdźcie stąd!

I znów słowa dotrzymała. Gdy Berling po raz drugi się oddalił, Wanda dała się Broniewskiej zaprowadzić na górę. Rano obie wyjechały.

Gdy rozgrywała się ta opisana we wspomnieniach obojga generałostwa Berlingów scena, Marian Bogatko, drugi mąż Wandy Wasilewskiej, nie żył od

trzech lat.



Sowieckiemu okupantowi nie wystarczało zniewolenie podbitego społeczeństwa siłą; poza wszystkim było to kosztowne i niebezpieczne – mogło wywołać desperację i bunt. Potrzebni byli zatem ideologowie – najlepiej polscy, najlepiej o dużym autorytecie moralnym, którzy do siły terroru dodawaliby siłę talentu, ideologowie przekonujący podbitych, że Polska to tylko przeszłość, co więcej, okrutna przeszłość. Jednym słowem potrzebni byli zdrajcy.

Bohdan Urbankowski, *Czerwona msza, czyli uśmiech Stalina*

Mało kto z Polaków związanych z ruchem komunistycznym zrobił taką polityczną karierę, nie podpadając po drodze pod czystki, jakich Stalin swoim nie szczędził. Miał do niej jakąś dziwną słabość, bo krążyły nawet plotki – raczej nieuzasadnione – o ich romansie. Najbardziej logicznym wytłumaczeniem tej wyjątkowej łaskawości jest fakt, że Wanda Wasilewska była Josifowi Wissarianowiczowi potrzebna z powodów polityczno-propagandowych.

Drużyna córka państwa Leona i Wandy Marii Wasilewskich urodziła się w styczniu 1905 roku w Krakowie. Rodzice, pepeesowcy, zaangażowani byli w Legiony, związani z Piłsudskim, krytyczni zarówno wobec carskiej Rosji, jak i Związku Radzieckiego. Ojcem chrzestnym Wandy został Andrzej Strug, a nie Marszałek, jak chciała późniejsza legenda. Po odzyskaniu niepodległości Leon Wasilewski został ministrem spraw zagranicznych w pierwszym rządzie Jędrzeja Moraczewskiego i w 1921 roku brał udział w rokowaniach pokojowych w Rydze, gdzie stał na stanowisku, że Mińsk powinien być włączony do Polski. Zwolennik koncepcji federacji z Litwą i Białorusią oraz sojuszu z wolną Ukrainą, był przeciwnikiem polonizowania na siłę Białorusinów i Ukraińców. Należał do ruchu prometejskiego, który optymalne rozwiązanie problemu coraz bardziej groźnego dla Europy bolszewizmu widział w podziale Związku Radzieckiego na niepodległe państwa. Po przewrocie majowym jego drogi z Piłsudskim się rozeszły, jednak zawsze miał dla Marszałka podziw i uznanie.



WANDA WASILEWSKA w młodości. Jeszcze tradycyjna socjalistka
(Biblioteka Narodowa)

Córka początkowo kontynuowała rodzinne tradycje i związała się z PPS. Podobnie jak jej partia, nie miała wtedy z komunizmem nic wspólnego, a Związek Radziecki był dla niej wrogiem. Później podryfowała mocno w lewą stronę i w rezultacie coraz bardziej rozmijała się w poglądach z ojcem, a już zwłaszcza

jeśli chodzi o stosunek do ZSRR. Zawsze jednak miała dla rodziciela miłość i szacunek, listy doń podpisywała zdrobniale: Dziuńka. Zawarli cichy układ, że nie będą rozmawiać na tematy polityczne; świadomi, że tylko w ten sposób da się uniknąć poważnego rozdzwieku.

Z trzech córek byłam jego najukochańszą. Miałam do ojca stosunek nie stuprocentowo, ale tysiącprocentowo pozytywny. Kiedy ojciec zmarł, wówczas kiedy byłam całkowicie dorosłym człowiekiem, towarzysze komuniści, którzy mieli do niego całkowicie określony stosunek – przynieśli kwiaty na jego trumnę z napisem – Ojcu Wandy – [...] Mój ojciec mimo swojego nieufnego stosunku do komunistów pomagał im. Kilkakrotnie używałam go do ratowania różnych ludzi, do interwencji, które on robił, zastrzegając: robię to tylko dla ciebie⁵.

Choć politycznie oddalili się od siebie, jak sama przyznaje w cytowanym fragmencie, w razie potrzeby korzystała z jego koneksji. Czuwał nad nią z daleka jak kokosz nad pisklęciem i zawsze mogła liczyć na pomoc z jego strony.

W latach dwudziestych ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim i zrobiła tam doktorat. Poznała wtedy Romana Szymańskiego, pochodzącego z wielodzietnej robotniczej rodziny, który studiował matematykę. Pobrali się i mieli córkę Ewę. Było to udane małżeństwo, połączone dodatkowo wspólną działalnością w środowiskach robotniczych.

Po studiach pracowała jako nauczycielka, najpierw w przyklasztornej szkole w Staniątkach. Wypowiedzenie dostała ze względu na mało pokorny charakter oraz poglądy coraz bliższe ideom Komunistycznej Partii Polski, która najchętniej włączyłaby Polskę do Kraju Rad i której członków – całkiem słusznie! – uważano za sowieckich agentów. Następnie zatrudniła się w gimnazjum męskim w Krakowie, skąd też wkrótce musiała odejść ze względu na – nazwijmy to – zbyt wiecowe interpretowanie literatury polskiej. Przez dwa lata pracowała w seminarium nauczycielskim i tu również skończyło się wymówieniem, w dodatku z wilczym biletem. Została bez pracy i z małym dzieckiem, a w 1931 roku mąż zmarł na tyfus.

Cały czas angażowała się w społeczne akcje. Między innymi działała w Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom, nazywanej w Polsce Czerwoną Pomocą, co automatycznie oznaczało bliskie kontakty z kręgami komunistycznymi. Instytucja ta nie tylko pomagała więźniom, ale też uprawiała prosowiecką propagandę i wspierała działalność bojówkarską. Należeli do niej zarówno ideowcy o lewicowych sympatiach, a więc Andrzej Strug czy Stefania Sempołowska, jak i zadeklarowani komuniści: Małgorzata Fornalska, Juliusz Burgin, Stefan Królikowski, Julia Bristigierowa. Wiele osób ze środowiska Czerwonej Pomocy oraz silnie lewicującego Związku Nauczycielstwa Polskiego współpracowało mniej lub bardziej konkretnie z ambasadą radziecką.

Kolejny mężczyzna w życiu Wandy, murarz Marian Bogatko, też był

pepeesowcem. Jesienią 1931 roku uratował jej życie podczas spływu, gdy przewrócił się kajak, a ona, słabo pływająca, zaczęła tonąć. Oboje już dawno wyzwolili się z drobnomieszczańskich przesądów, toteż zamieszkali razem bez ślubu. Marian był przystojny, silny, inteligentny, z poczuciem humoru, wesoły. Wasilewska wzorowała na nim postać Anatola, bohatera jej pierwszej powieści zatytułowanej *Oblicze dnia*.

Bogatko miał podobne problemy z pracą jak jego żona. Nikt go nie chciał zatrudnić, gdyż był jednym z organizatorów strajku krakowskich robotników budowlanych. Wanda zresztą też brała udział w wydarzeniach krakowskich, między innymi organizowała obiady dla około dwustu dzieci osób strajkujących. Po strajku oboje z mężem byli bezrobotni. Przenieśli się wtedy do Warszawy i tu dzięki ojcu Wanda zaczęła pracować w wydawnictwie Związku Nauczycielstwa Polskiego oraz w redakcji „Płomyka” i „Płomyczka”, gdzie poznała swoją największą i dozoną przyjaciółkę Janinę Broniewską.

Jak pisze Bohdan Urbankowski, agentury sowieckie na całym świecie starały się pozyskać ludzi „zbuntowanych” – twórców, intelektualistów, nauczycieli, kapłanów – bo takimi łatwo jest manipulować. Sfrustrowani idealisci, egzaltowane nauczycielki to świetny materiał na nieświadomych, ale i czasem całkiem dobrze uświadomionych agentów wpływu. Niektórzy członkowie ZNP utrzymywali nieformalne kontakty z ambasadą Kraju Rad, a redakcję „Płomyka” tworzyły osoby sympatyzujące z ruchem komunistycznym, czyli Wanda Wasilewska i Janina Broniewska oraz socjalista Edward Szymański.

W stolicy Marian Bogato też nie znalazł zatrudnienia i był po prostu towarzyszem życia Wandy Wasilewskiej. Zajmował się domem, chodził na pochody pierwszomajowe z ludźmi pióra, a nie z robotnikami, i coraz mniej przypominał płomiennego rewolucjonistę z *Oblicza dnia*.

Ta pierwsza powieść miała kłopoty z cenzurą, nawet wstrzymano druk, ale zainterweniował ojciec i po wycięciu zakwestionowanych fragmentów wydano ją. Niebawem w ZSRR ukazał się przekład, i to w sporym nakładzie, bo aż dziesięciu tysięcy egzemplarzy. Członek KPP Salomon Jaszuński pochwalił utwór w bełkotliwym agitatorskim stylu. Sformułowania takie jak „włochaty kałdun pająka wyzysku” wywołują niezamierzony przez autora efekt humorystyczny.

[...] nauczyła się chwycić na gorącym uczynku burżuazyjną obłudę zasad etycznych, szczęścia rodzinnego, nauki szkolnej, wymiaru sprawiedliwości, opieki społecznej, dostrzegać za tym wszystkim „włochaty kałdun” pająka wyzysku, który „sże niewidocznie, szybko, zachłannie”. [...] Otwierające się w powieści piekło ma określoną szerokość geograficzną i określoną nazwę polityczną.

Obok ściegu nienawiści biegnie przez powieść ścieg nadziei. Nadziei gorącej jak nienawiść⁶.

Wanda stawała się coraz bardziej radykalna i bojowa, być może pod

wpływem ukochanej przyjaciółki, Jasieczki Broniewskiej. W marcu 1936 roku wybuchł skandal w związku z edycją „Płomyka” poświęconą Związkowi Radzieckiemu. W kolejnych numerach przedstawiano różne kraje świata, z czego skorzystali lewicowi redaktorzy, aby akurat w tym zamieścić prosowiecką agitkę. W rezultacie rozpętała się burza, numer skonfiskowano, a zarząd ZNP zawieszono. Wasilewska z Broniewską w odpowiedzi zorganizowały strajk nauczycieli i obie straciły pracę.

W tym samym roku odbył się Kongres Pracowników Kultury we Lwowie, tak naprawdę organizowany na zlecenie Moskwy i stamtąd dofinansowany. Przewodnim hasłem, sformułowanym przez Komunistyczną Partię Polski, była walka z faszyzmem. Kongres miał podkreślić solidarność intelektualistów z robotnikami. Jak pisze Marci Shore, „na kongresie narodowość była czymś wtórnym wobec przynależności klasowej”. Sprawozdanie z obrad dał Władysław Broniewski w „Wiadomościach Literackich”. Między innymi napisał:

Wasilewska, mówiąc o literaturze proletariackiej, podkreślała świadomą jej „tendencyjność”. Jest to literatura w służbie idei, w służbie interesów klasy robotniczej, obowiązuje ją czujność, wola walki, wiara w zwycięstwo⁷.

W latach trzydziestych Lwów miał silne środowisko lewicy intelektualnej – polskiej, żydowskiej i ukraińskiej – w którym pracowicie jak pszczołki uwijali się sowieccy agenci. Do udziału w zjeździe zaproszono takie osoby, co do których była pewność, że wypowiedziami nie będą godzić w jedynie słuszne idee. Dlatego nie pojawili się – choć zgłosili chęć udziału – niektórzy artyści z Krakowa i Lwowa. Nie zaproszono też Aleksandra Wata, Juliana Tuwima, Antoniego Słonimskiego i Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Udział wzięli natomiast Leon Kruczkowski, Emil Zegadłowicz, Jan Berson, Stefan Czarnowski, Tadeusz Kotarbiński, Wincenty Rzymowski, Marian Czuchnowski, Halina Górska, Anna Kowalska, Andrzej Pronaszko, Karol Kuryluk, Halina Kraheńska, Julia Bristiger, Marian Naszkowski, Bronisław Dąbrowski i Jonasz Stern. Zapewne nie do końca świadomi, co jest naprawdę grane, Leon Schiller i Maria Dąbrowska przysłali na kongres listy.

Słonimski, któremu pominięciem go nadepnięto na odcisk, w *Kronice tygodniowej* następująco podsumował obrady kongresu:

Można więc w gmachu teatru miejskiego we Lwowie, za pozwoleniem władz polskich, protestować przeciw „obozom koncentracyjnym” i „brutalnemu terrorowi politycznemu”, ale nie wolno nawet wspomnieć, że w Sowietach też są „obozy koncentracyjne” i „brutalny terror polityczny”. Jeśli jedną z zasadniczych podstaw kultury ma być tolerancja i wolność, zjazd lwowski był dość lichą i przykrą parodią⁸.

Obrady, jak można się domyślać, były mocno upolitycznione. Rezolucję Zjazdu Pracowników Kultury odczytała Wanda Wasilewska i właśnie ona została

prawdziwą królową lwowskiego kongresu. W liście do matki pochwaliła się, że gdy weszła na podium, wszyscy wstali z miejsc i „przez dobre dziesięć minut wyli, tupali, klaskali i wrzeszczeli: niech żyje Wasilewska. To samo na akademii, to samo na ulicy przed teatrem”⁹. Na zakończenie obrad uczestnicy odśpiewali *Międzynarodówkę*.



Stało się dla mnie jasne, że w walce, którą toczy proletariats o swoje wyzwolenie, orężem może być także i książka. I kiedy życie nasuwało mi wiele spraw i zagadnień, kiedy widziałam krzywdę i zło – pisałam książkę, żeby zaprotestować, żeby pokazać ludziom, jak jest naprawdę, żeby pomóc tym, którzy walczą.

Wanda Wasilewska, *Wspomnienia*¹⁰

Wasilewska i Bogatko w końcu wzięli ślub, bo tak było poręczniej starać się o wizę na wyjazd do ZSRR. U protestantów mniej wymagano formalności, więc podobnie jak Broniewscy pobrali się w kościele ewangelicko-augsburskim, oni wybrali obrządek kalwiński.

Leon Wasilewski był jak najbardziej za tym, żeby córka pojechała do ojczyzny światowego proletariatu i zobaczyła, jak tam jest naprawdę. Liczył na to, że wtedy przejdzie jej zadurzenie. Nic z tego. Dziwka jeszcze bardziej się w swojej miłości utwierdziła. Tak mocno uwierzyła w komunizm, że nie dostrzegła prawdy za fasadowością, którą jej pokazano. Ojciec, który był dla niej autorytetem i kimś bardzo w życiu ważnym, wkrótce zmarł, miłość do Kraju Rad pozostała. Zaowocowało to nawiązaniem bliżej nieokreślonych kontaktów z ambasadą radziecką. Sama przyznała po latach, że ambasada pomagała jej finansowo w czasach, gdy utrzymywała się z pisania. Oficjalnie były to honoraria za przekłady książek, a tak naprawdę dostała w ten sposób zaproszenie do bliższej współpracy w przyszłości.

W Związku Radzieckim bardzo się podobały jej *Oblicze dnia* oraz kolejne powieści: *Ojczyzna* i *Ziemia w jarzmie*. Rosyjskie tłumaczenia wychodziły w kilkutyśięcznych nakładach, sam Stalin zachwycał się jej twórczością. Natomiast tłumaczka, Helena Usijewicz, córka Feliksa Kona, choć zatwardziała komunistka (współpracowniczka Lenina, która z nim przyjechała w zaplombowanym wagonie), nie była najlepszego zdania o tej literaturze:

Talent pisarski Wasilewskiej szacowała nisko. Twierdziła, że ludzie i wydarzenia z powieści Wasilewskiej są wytworami jakiejś dzikiej wyobraźni, jej robotnicy nie są robotnikami, a chłopci nie są chłopami. Zarzucała jej poza tym, że pisząc o ludziach radzieckich, zdradza ignorancję, której nie daje się strawić. Miała

z tych wszystkich przyczyn szereg ostrych sporów z Wasilewską, z niewielkim jednak skutkiem¹¹.

Znany przed- i powojenny londyński działacz PPS Adam Ciołkosz o *Obliczu dnia* wyraził się: „Pisarsko książka jest nieporadna, gospodarka słowem rozrzutna, skłonność do melodramatyzowania widoczna”¹². Późniejsze jej powieści potraktował łaskawiej. Przyznał, że *Ojczyzna* była lepsza, bo „miała plan i ciągłość akcji”. Jednak „zawsze był to szablon czarno-biały, nigdy z niego Wasilewska nie umiała się wydobyć”¹³. Dziś też jej twórczość jest irytująca w odbiorze właśnie ze względu na to czarno-białe przedstawianie świata, a także nieznoszący sprzeciwu ton narracji. Wasilewska oprócz powieści pisała wiersze, reportaże, opowiadania i książki dla młodzieży, również historyczne, w których bardzo chętnie piętnowała wyzysk i niesprawiedliwość społeczną. Z wyjątkiem środowisk lewicowych oraz przyjaciółki Janiny Broniewskiej polscy czytelnicy niezbyt wysoko cenili jej utwory. Publikowała w „Lewarze”, w „Lewym Torze”, „Robotniku”, „Obliczu Dnia”, „Naprzodzie” i w lwowskich „Sygnałach”.

Tymczasem w PPS jej się nie wiodło, przegrała z wyborach do Rady Naczelnej, a poza tym partia stała się dla niej za mało radykalna. Do partii komunistycznej wstąpić nie zdążyła – bo ją rozwiązano. Dziwne, że nie skłoniło jej do refleksji to, iż wielu członków KPP, którzy niebacznie wyjechali z „faszystowskiej” Polski do komunistycznego raju, dało głowy pod topór stalinowskich czystek. Nieuleczalnie nadal wierzyła w sprawiedliwość społeczną w sowieckim wydaniu.

Gdy Niemcy napadły na Polskę, podobnie jak wielu Polaków wyruszyła na wschód. Z tym że w jej przypadku motywacją była raczej nie ucieczka przed wrogiem, lecz szukanie schronienia w ojczyźnie światowego proletariatu. Powiedziała nawet, że Związek Radziecki sam przyszedł do niej – mając na myśli akt „wyzwolenia bratnich narodów” zainicjowany 17 września. Właśnie od tej chwili zaczęła się jej błyskotliwa kariera „bywszej Polki”, jak sama siebie później określiła. Sowietom na niej zależało. Polkę, lewicową pisarkę i w dodatku nie komunistkę, lecz socjalistkę, koniecznie należało mieć po swojej stronie, tak samo jak innych przydatnych twórców, na przykład Władysława Broniewskiego. Wkraczający do Polski komisarze polityczni mieli przygotowane wcześniej nie tylko listy osób przeznaczonych do aresztowania i wywiezienia, lecz także nazwiska tych, których zamierzano potraktować przyjaźnie, czytaj: zwerbować. Do tych ostatnich należała Wanda Wasilewska.



WANDA WASILEWSKA, *Lucyna Kotarbińska, Karol Irzykowski,
Jan Lorentowicz,
Adam Grzymała-Siedlecki i inni
w Truskawcu
(Biblioteka Narodowa)*



WANDA WASILEWSKA w towarzystwie m.in. *Lucyny Kotarbińskiej, Karola Irzykowskiego i Jana Lorentowicza* na tarasie domu wypoczynkowego w Truskawcu.
Ok. 1930 r. (Biblioteka Narodowa)



Nasz Związek Radziecki jest prawdziwym krajem młodości. W przełomowym dniu 17 września najwięcej zyskała młodzież. Największe szczęście spotkało tych, którym teraz dane jest przeżyć młodość w radzieckich warunkach.

Wanda Wasilewska, *Ojczyzna młodzieży*¹⁴

Żaden z polskich twórców nie chwalił napaści niemieckiej, natomiast znaleźli się tacy poeci i prozaicy, którzy gloryfikowali 17 września. Wandy Wasilewskiej nie zabrakło w tym drugim gronie, a Sowieci potrafili się odwdziżyć. We Lwowie wypłacono jej tantiemy za rosyjskie przekłady, dostawała bardzo dobre recenzje w prasie, zamieszkała w luksusowej willi. Czuła się w tym wszystkim jak ryba w wodzie i całą sobą rzuciła się w wir współpracy

z bolszewicką władzą.

Głośno deklarowała, że nie uważa siebie za Polkę, lecz czuje się obywatelką Związku Radzieckiego. (Od listopada 1939 roku mieszkańcy Lwowa mieli obowiązkowe obywatelstwo radzieckie). Pisała do „Czerwonego Sztandaru”, polskojęzycznej gadzinówki, której redaktor naczelny Nikołaj Mańkowski prawie nie znał polskiego. Wygłaszała entuzjastyczne przemówienia na wiecach, agitowała i zbierała podpisy pod petycją w sprawie oderwania Ukrainy Zachodniej od „pańskiej Polski” i przyłączenia jej do Związku Radzieckiego. Nie drgnęła jej ręka, gdy składała podpis pod oświadczeniem zatytułowanym *Pisarze polscy witają zjednoczenie Ukrainy*, opublikowanym w tymże „Czerwonym Sztandarze”. Wraz z nią podpisali się: Władysław Broniewski, Tadeusz Boy-Żeleński, Aleksander Dan, Stanisław Jerzy Lec, Jerzy Borejsza, Adam Polewka, Wojciech Skuza, Emil Schürer, Karol Kuryluk, Halina Górska, Leon Pasternak, Elżbieta Szemplińska, Aleksander Wat i Adam Ważyk. W przeciwieństwie do niektórych kolegów po piórze ona nie miała żadnych wątpliwości.

Pośród tego zapatrzenia w najdoskonalszy ustrój świata wykazywała jednak jakieś ludzkie odruchy. Jak wtedy, gdy dzięki jej staraniom władze sowieckie zrezygnowały z całkowitej ukrajinizacji lwowskiego uniwersytetu i w dodatku ocalała część przedwojennej kadry. Nawet na niektórych katedrach utrzymał się polski jako język wykładowy.

W październiku 1939 roku został powołany oficjalnie Komitet Organizacyjny przyszłego Związku Pisarzy. Należeli do niego: Jerzy Borejsza, Tadeusz Boy-Żeleński, Władysław Broniewski, Aleksander Dan, Halina Górska, Jakub Dawid Hopensztand, Dawid Kenigsberg, Piotr Kożuch, Stanisław Jerzy Lec, Leon Pasternak, Jerzy Putrament, Wanda Wasilewska, Aleksander Wat, Adam Ważyk i Bruno Winawer. Oprócz Polaków byli w nim też Ukraińcy i Żydzi. Pierwszym przewodniczącym został przysłany z Kijowa Petro Pancz (Piotr Panczenko), pisarz-*orderonosiec* (tak brzmiał oficjalny tytuł). Zebrania tak zwanego Komorgu odbywały się dwa razy w tygodniu i miały charakter bardziej ideologiczny niż literacki.

Wraz z mężem Wanda wybrała się w podróż po radzieckiej Ukrainie. Wszystkim była zachwycona, szczególnie entuzjastycznie potraktowała wizytę w Kijowie. Bardzo jej się podobało to nowe życie. Natomiast przestało się podobać Marianowi. Prosty robotnik umiał dostrzec to, czego jego egzaltowana małżonka widzieć nie chciała. Nie dał się nabrać na potiomkinowskie sztuczki sowieckich *cicerone*, pokazujących szczęście komunistycznego raj. Bliżej niż do fanatyzmu żony było mu do tęsknoty Broniewskiego, który podobnie jak on, mimo lewicowej orientacji, nie stracił z oczu Polski. Panowie razem pili, i to dużo. Poeta wygłaszał swoje nieprawomyślne z punktu widzenia sowieckiej racji stanu wiersze, a Bogatko mówił publicznie i bardzo głośno, co myśli. To nie mogło dobrze się skończyć.

Najpierw w styczniu 1940 roku Władysław Broniewski i Aleksander Wat zostali aresztowani w przygotowanej przez NKWD prowokacji. Wasilewska, przekonana, że to zwykła pijacka awantura, zaczęła się starać o ich zwolnienie. Trzeba też jej przyznać, że odważnie odmówiła podpisania oświadczenia potępiającego Broniewskiego i innych aresztowanych, jako powód podając, że należy poczekać na wynik śledztwa. (Co nie przeszkodziło w tym, że została po Broniewskim kierownikiem literackim Teatru Polskiego we Lwowie. Ktoś przecież musiał objąć to stanowisko). W sprawie zatrzymanych zwróciła się nawet do Stalina, który odesłał ją do Berii, a ten oświadczył, że takich nazwisk nie ma w kartotekach zatrzymanych. Co było zwyczajnym dla sowieckiej władzy kłamstwem, bo Broniewski w tym czasie siedział już na Łubiance.

Wkrótce po tej sprawie przeszła terapię szokową, która również nie uleczyła jej z egzaltacji. Bogatko miał dosyć sowieckiej rzeczywistości i chciał wracać do Warszawy. Nie był naiwny jak ona, widział doskonale, że położenie robotników, a więc ochrona pracy, ubezpieczenie społeczne i uprawnienia związków zawodowych, znacznie się pogorszyło w stosunku do tego, co było w „pańskiej Polsce”. I głośno wyrażał swój sprzeciw. Za głośno. Wieczorem 25 maja 1940 roku do drzwi willi Wasilewskiej zadzwoniło dwóch mężczyzn. Otworzył Marian. Jak pisze Aleksander Wat:

Dwaj enkawudziści przyszli do domu i zastrzelili go. Przy czym w dziejach kryminologii sowieckiej fakt chyba bez precedensu, mianowicie sprawców nie znaleziono. Zawsze było tak, że zbrodni się nie znajduje, ale sprawcy zawsze są znani, a tu po raz pierwszy nie znaleziono sprawców, nikogo, w gazetach tłumaczono, że zabili go nacjonaści ukraińscy¹⁵.

Wat wyraził przypuszczenie, że Bogatko zginął, bo za dużo mówił. Możliwe, że przy okazji miała to być nauka dla Wasilewskiej, żeby na zbyt wiele sobie nie pozwalala. Przypomniano jej, gdzie jest jej miejsce. Musiało to być ogromnie traumatyczne przeżycie, skoro trzy lata później, w dzień przysięgi w Sielcach, coś w niej eksplodowało i nie bacząc na świadków, dała upust emocjom, co niezycliwy jej Zygmunt Berling chętnie odnotował we wspomnieniach.

Adam Ciołkosz, który dobrze ją znał jeszcze z przedwojennych czasów, wspominał o zabójstwie Bogatki w nieco innym kontekście:

Czytam w Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej, że Wandzie Wasilewskiej groziło [w przedwojennej Polsce – J.P.] więzienie. Nie wiem, czy groziło, wiem, że nigdy nie została pozbawiona wolności. [...] Dopiero pod panowaniem sowieckim miała ją spotkać prawdziwa tragedia: zgon męża¹⁶.

Chruszczow po latach przyznał, że Bogatkę zabili jego ludzie. Oczywiście twierdził też, że zaszła pomyłka, i nieszczerze tłumaczył, że on sam bardzo się wtedy obawiał, iż sprawa ta odbije się na stosunku Wasilewskiej do władz, bo przecież mogła pomyśleć, że usunęli jej męża z powodów politycznych. Jakoś się

to jednak nie odbiło na stosunku Wandy do sowieckich przyjaciół. „Uwierzyła, że nie było w tym przypadku premedytacji i aktywnie pracowała dalej, przyjaźnie do nas nastawiona”¹⁷. Czyli wybaczyła „pomyłkę”. Ale stała się ostrożniejsza.



Nazajutrz po wyjeździe Wandy z Sielc Maria Berlingowa w rozmowie z Heleną Usijewicz, która świetnie Wandę знаła, bo tłumaczyła jej książki, wróciła do zajęć z poprzedniego wieczoru.

– Heleno, powiedzcie mi, co się z Wandą dzieje? Nigdy jej takiej nie widziałam – zaczęła.

– Marian. Tu chodzi o Mariana.

– Wiecie coś więcej?

– To był jej poprzedni mąż, Uroczy, mądry człowiek. Do dziś nie wyjaśniono, kto go zabił. Jedni mówią, że to ZWZ, które wykonywało wyroki za zaangażowanie po stronie lewicy, nie oglądając się na to, co to da. Inni, że to nasi. Wszyscy wiedzieli, że Bogatko był przeciwny koncepcjom politycznym lwowskiej grupy komunistów. Wręcz ostrzegał Wandę przed nimi i chciał wyjechać do Warszawy, nawet bez niej.

– A wy co o tym sądzicie? Kto mógł to zrobić?

– Sama nie wiem. Wanda bardzo się zmieniła po śmierci Mariana. Odnoszę wrażenie, że czegoś się boi. Stara się ani na chwilę nie zostać sama, jakby zawsze chciała mieć przy sobie świadka.

– To straszne. Wyobrażam sobie, jak ona cierpi.

– W dodatku wyzwoliły się w niej jakieś ciemne instynkty. Wiecie, jak przyjaźni się z Broniewską. Papużki nierozłączki, jak są razem. Pomagała jej wiele razy, a teraz urządziła ją znakomicie.

– Nawet powierzyła jej własne dziecko!

– Właśnie. Zdawałoby się, że z dzióbków sobie jedzą. Tymczasem, kiedy usiłowałam uświadomić jej, że źle napisała swoją ostatnią książkę, którą miałam tłumaczyć, i powołałam się na argument, że Broniewska tak samo uważa, Wanda wpadła w szał. „Tak mówiła? – krzyczała. – To dwulicowa żmija. Każę ją zamknąć”. Od razu przy mnie usiłowała zadzwonić na NKWD i w ostatniej chwili wyrwałam jej słuchawkę. Naprawdę się wystraszyłam, bo nagle uświadomiłam sobie, do czego jest zdolna.

– Myślicie, że wystarczyłoby, jakby zadzwoniła i powiedziała, że Broniewską trzeba uwięzić? – spytała niedowierzająco Maria.

– Bardzo możliwe. Nie zapominajcie, że Wanda ma ogromne wpływy. Wszyscy wiedzą o jej dobrych układach ze Stalinem i boją się jej.



Kornijczuk urzędował w hotelu George'a w pokoju 31. Leżały przed nim na biurku dwie listy: komunistów i niekomunistów, z którymi nawiązać miał współpracę. Tę drugą listę otwierali Wanda Wasilewska, prof. Kazimierz Bartel i Tadeusz Żeleński-Boy.

Barbara Winklowska, *Boy we Lwowie*¹⁸

Tak więc po tragicznej śmierci męża Wasilewska nie straciła zaufania do jedynie słusznej władzy. Może też i dlatego, że Bogatko szybko zyskał następcę. Był nim ukraiński literat i członek WKP(b) Ołeksander Kornijczuk. Przystojny „urodą kelnera”, ale dość prymitywny, taki typowy aparatczyk. Zaopiekował się Wandą na polecenie Chruszczowa i niebawem nawiązał się między nimi romans, a potem wzięli ślub, przez co ona związała się jeszcze mocniej z rzeczywistością sowiecką.



Małżeństwo z ołeksandrem Kornijczukiem jeszcze mocniej przywiązało Wandę do Kraju Rad (Wikimedia Commons)

Jeszcze przed śmiercią Bogatki, w marcu 1940 roku kandydowała z okręgu Lwów do Rady Najwyższej ZSRR. Kampanię propagandową robił jej Jerzy Borejsza¹⁹. Jako deputowana początkowo usiłowała słuchać skarg wyborców i interweniować w ich sprawach u władz. Gdy wysłała do Mołotowa list z prośbą

o wstrzymanie masowych deportacji mieszkańców Lwowa, szybko przywołano ją do porządku. Przekonała się, że deputowany do Rady Najwyższej to nie to samo co poseł do burżuazyjnego parlamentu.

Na żar uczuć do Sowietów nic nie pomogło. Nadal dumna była z radzieckiego obywatelstwa, dumna z tego, że jako jedyna spośród polskich komunistów miała dostęp do Stalina, a nawet jego prywatny telefon. A on okazywał jej względy, bo zalety propagandowe tego, że ma po swojej stronie córkę polskiego ministra i współpracownika Piłsudskiego, były nieocenione.

W rocznicę sowieckiej inwazji na Polskę, 17 września 1940 roku, Wasilewska wygłosiła płomienne przemówienie o epokowym znaczeniu tego wydarzenia i wielkim szczęściu, jakie ludziom przyniosła Armia Czerwona. Tego dnia ona i kilkudziesięciu polskich literatów wstąpiła do Związku Sowieckich Pisarzy Ukrainy. W tym samym czasie do Związku Sowieckich Pisarzy Białorusi przystąpiła jej przyjaciółka Janina Broniewska.

O zsyłkach i łagrach wiedziała doskonale i uważała je za konieczne koszty, które ponieść musi światowa rewolucja. Ostatecznie, idąc na ustępstwo, gotowa była przyznać, że w niektórych przypadkach wystąpiły błędy lub samowola funkcjonariuszy. Ciołkoszowi powiedziała:

– No bo ty, Adam, chyba nie wierzysz tym wszystkim opowiadaniom o wyciskaniu przez NKWD zeznań z więźniów torturami.

„Ja wierzyłem, ona nie wierzyła” – konkluduje Ciołkosz²⁰.

Trzeba jej jednak przyznać, że interweniowała w sprawach znajomych. Wywiezionej do Kazachstanu Oli Watowej dzięki jej wstawiennictwu przesłano ciepłą kołdrę – aresztowanym nie wolno było wysyłać paczek bez specjalnego zezwolenia. A potem załatwiła komisję z Moskwy, która miała sprawdzić warunki, w jakich przetrzymywano skazanych. Komisja pojechała, ale nic nie wskórała, więźniom się nie poprawiło.

Zajęła się sprawą wywiezionej wybitnej polonistki Stefanii Skwarczyńskiej, która dzięki niej oraz zabiegom między innymi profesora Juliusza Kleinerja po kilku miesiącach wróciła z zesłania do Lwowa. Po amnestii dla Polaków ogłoszonej w rezultacie układu Sikorski–Majski wyciągnęła Janinę Broniewską z sowchozu pod Kujbyszewem, a potem posyłała jej z frontu witaminy.



Kwitła pokojem nasza ojczyzna. Kiedy gorzała płomieniem wojny Europa, byliśmy dumni, że u nas spokojnie pracuje robotnik w fabryce i wysoko rośnie pszenica na polach. Śpiewaliśmy, że gdy zagrozi nam wraża siła, jak jeden mąż poderwiemy się do walki. Dziś przyszedł ów dzień. Runęła na nasze granice „błękitna lawina”.

Wanda Wasilewska, *Pieśń o ojczyźnie*²¹

Jako pełnoprawna obywatelka radziecka należała do Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Berling we wspomnieniach odnotował jej wypowiedź podczas dyskusji, że jest obywatelką radziecką i polskie sprawy jej nie obchodzą. Gdy jeszcze aktualny był układ Sikorski–Majski, występując na wiecu w Saratowie, wzywała Polaków do walki z Niemcami, ale wznosiła okrzyki na rzecz USA, Wielkiej Brytanii i ZSRR, nie wspominając w ogóle o państwie polskim.

Na początku 1941 roku zaczął pod jej redakcją wychodzić miesięcznik „Nowe Widnokregi” – oficjalnie organ Związku Pisarzy Radzieckich, który miał reprezentować element polski. Gdy wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, chodziła po ulicach Lwowa w żołnierskiej czapce i z karabinem i wzywała do walki, bo „moment już nastał”. Czyli właściwym momentem do podjęcia walei z Niemcami był 22 czerwca 1941 roku, a nie wrzesień 1939. W lipcowym numerze „Nowych Widnokregów” zamieściła artykuł zatytułowany *Pieśń o ojczyźnie*, z którego jasno wynika, kiedy zaczęła się wojna i gdzie owa ojczyzna jest:

Śpiewaliśmy pieśni o naszej ojczyźnie: o tym, że spokojnie może spać miasto, które kochamy, bo jego snu strzeże siła, której nic nie złamie. Śpiewaliśmy o tym, że gdy zagrozi nam wraża siła, wszyscy, jak jeden, poderwiemy się do walki. Śpiewaliśmy, jak w dzień rozgrywki zatrzeszczą kulomioty, zahuczą tanki i na ziemi, na morzu i niebie rozpali się bój za ojczyznę²².

Wstąpiła do Armii Czerwonej, była korespondentem wojennym w randze pułkownika. Pisała broszury propagandowe, wychodzące w milionach egzemplarzy. Drukowano jej teksty w „Prawdzie”, „Izwestiach”, „Krasnoj Zvezdzie”.



Od „Płomyczka” do rzemyczka,
Czort sam się rozczulić gotów,
Ona-ż teraz przewodniczka
W „Związku Polskich Patryjotów”.
Marian Hemar, *Madame Wasilewska*

W marcu 1942 roku postanowiono wskrzesić „Nowe Widnokregi”, niewychodzące od kilku miesięcy. Naczelną została Wanda. Zaproszona do współpracy Janina Broniewska spotkała się z przyjaciółką w Moskwie. Był już kwiecień, ale chwycił przymrozek, chodniki były oblodzone. Jaśka z Dziuńką szły pod rękę. Wyglądały jak małżeństwo lub para zakochanych, bo Wanda, jak zwykle

ubrana po męsku, miała krótko ostrzyżone włosy, papachę, wojskowy szynel i dystynkcje pułkownika. Nagle przystanąły.

– No, pomyśl tylko, Dziunia, no pomyśl...

– Gdyby tak kto powiedział nam trzy lata temu w Warszawie...

– ...że ty w mundurze pułkownika Czerwonej Armii...

– ...będę szła z tobą po ulicach Moskwy...

– Co to życie potrafi wymyślić – wykrzyknęły zgodnym chórem, uśmiechnięte i szczęśliwe.

– Wyobrażam sobie miny tamtych policyjnych szpicli i komisarzy z czasów strajku ZNP – stwierdziła z satysfakcją Jaśka. – Pamiętasz, jak nas traktowali?

– A pamiętasz, jak wracałyśmy z Wilna z procesu Jędrychowskiego? Jak mówiłam: cztery lata, kto tam wie, kto będzie wówczas naprawdę podsądnym, a kto sędziami?²³

Marzenia się spełniły. Sanacyjna Polska odeszła w przeszłość, a obie kobiety przygarnęła do swego łona ojczyzna światowego proletariatu. Odwdzięczały się najlepiej, jak potrafiły.

Redakcja „Nowych Widnokręgów” miała swoją siedzibę w Kujbyszewie. Redaktorem naczelnym była Wasilewska, dojeżdżająca co jakiś czas z frontu, na miejscu zastępował ją Alfred Lampe, a sekretarzem redakcji była Helena Usijewicz. Pierwszy numer ukazał się w maju 1942 roku. Nie był to już miesięcznik literacki skierowany do inteligencji, ale tygodnik społeczno-polityczny adresowany do wszystkich Polaków rozproszonych na terenie ZSRR, stanowiący także rodzaj skrzynki kontaktowej. Na zasadzie Panu Bogu świeczkę, diabłu ogarek, aby nie zrazić czytelników zbyt nachalną propagandą, starano się utrzymać równowagę między orientacją patriotyczną a prosowiecką.

Przed powrotem na front Wanda Wasilewska dała przyjaciółce pod opiekę swoją córkę Ewę. Janina Broniewska miała odtąd w domu trójkę: swoją i Broniewskiego córkę Ankę, Ewę Wandy i Stasia zwanego Pstrasiem, ze związku z Romualdem Gadomskim.

Teraz Wanda rzuciła się w wir działalności agitatorskiej na frontowych odcinkach. Maniery miała rasowej rewolucjonistki. Paliła jednego za drugim, i to najchętniej machorkowe skręty z gazety, piła tęgo, a miała mocną głowę, jak na proletariacką działaczkę przystało. Nieco zmieniła się jej narracja. Używała takich zwrotów, jak „my Polacy”, „nasza ziemia”, „nasze dzieje”. Jednak daje się zauważyć, że ładunek emocjonalny wypowiedzi nawiązujących do Polski był mniej serdeczny od tego, jaki rezerwowała dla wybranej, ukochanej radzieckiej ojczyzny.

W 1943 roku Stalin wezwał do siebie wiernych kolaborantów i kazał założyć Związek Patriotów Polskich. Ojców założycieli na początku było troje: Wiktor Grosz, Hilary Minc i Wanda Wasilewska. Sekretarzem Wydziału Krajowego został Jakub Berman²⁴. Wandzie nie podobała się nazwa, uważała słowo „patriota” za

skompromitowane, zbyt mocno kojarzone z nacjonalizmem, z dawną Polską. Ale Józef Wissarionowicz kazał, więc nikt nie miał nic do gadania. Przywódca radziecki był mądry. Wiedział, że komunistyczna frazeologia mogłaby Polaków zrazić, a po co ujawnić przedwcześnie prawdziwe cele bratniej pomocy? ZPP powstało oficjalnie 1 marca 1943 roku, a patrioci otrzymali zadanie, że mają oficjalnie wystąpić do Stalina z prośbą o sformowanie armii polskiej w ZSRR. Wasilewska, która całą sobą weszła w sowiecką politykę czasów wojny, odegrała znaczącą rolę w organizowaniu zarówno ZPP, jak i Pierwszej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, na którą Stalin oczywiście wydał zgodę.

Również od 1 marca zaczął wychodzić nowy tygodnik o podobnie jak nazwa związku zwodniczym tytule – „Wolna Polska”. Do redakcji weszli lewicowi twórcy i działacze, między innymi Jerzy Borejsza, Leon Pasternak, Roman Wafel, Lucjan Szenwald, Stefan Wierbłowski i Julian Strykowski. Pierwsze numery redagowała Wasilewska, potem naczelnym został Borejsza. Już w pierwszym numerze zaatakowany został obóz Sikorskiego:

[...] czyżby rzeczywiście ktoś się łudził, że z daleka, z londyńskich gabinetów można rządzić, kierować, władać sercem i porywem, i trudem narodu? Czy rzeczywiście ktoś może sądzić, nie żyjąc i nie cierpiąc z narodem, że właśnie on będzie znał czas właściwy? [...] Czas określi sam kraj i ci, co w kraju walczą²⁵.

Ci, którzy nie dotarli na czas do armii Andersa, mieli teraz drugą szansę na wydostanie się z „raju”. Tysiące Polaków ściągają do Sielc. Przeważnie wcześniej przeszli piekło na nieludzkiej ziemi, byli wynędzniali, wygłodzeni, chorzy.

Umundurowaniem, odznakami i stopniami z czasów Drugiej Rzeczypospolitej dywizja miała nawiązywać do polskich tradycji. Uzyskano nawet zgodę na obecność kapelanów. Natomiast rota przysięgi nieco się z patriotyczną koncepcją rozminęła, jako że w tekście znalazły się „wierność sojuszniczą Związkowi Radzieckiemu” i braterstwo broni z Armią Czerwoną. Autorką roty była Wanda Wasilewska.

Przy okazji projektowania umundurowania wypowiedziała wojnę orłu z 1939 roku i pod pretekstem, że ma być „piastowski”, pozbawiła go korony. Za wzór posłużył herb skopiowany przez Broniewską z grobowca Krzywoustego w Płocku. Pozostał godłem państwowym przez przeszło pół wieku trwania PRL.

Podobno to Wanda Wasilewska wpadła na pomysł zręcznej manipulacji polegającej na tym, że bitwę pod Trygubową przechrzczono na bitwę pod położonym dalej od zbrojnych zmagania Lenino. Dlaczego? Z dwóch powodów. Po pierwsze chrzest bojowy kościuszkowców został złączony w ten sposób z nazwiskiem Lenina i miał się tak odtąd kojarzyć. A po drugie nikt nie ośmieliłby się pomyśleć, że bitwa pod taką miejscowością mogła być klęską. A przecież była to właściwie rzeź, i fakt ten należało zatuszować odpowiednią propagandą. Procentowo straty podczas bojowego chrztu polskiej armii wyniosły jedną czwartą

stanu dywizji, co stanowiło połowę sił biorących udział w bezpośredniej walce. Stało się tak w dużej mierze z powodu zastosowania tak zwanej taktyki rozpoznania walką, czyli niefrasobliwego szafowania przez dowództwo ludzkim życiem.

Ale Wasilewska odegrała też pozytywną rolę po bitwie pod Lenino. Dzięki jej interwencji zdziesiątkowanej straszliwie jednostki nie wysłano do dalszych walk, tylko została zluzowana i skierowana do uzupełnienia. Inną jej niewątpliwą zasługą było to, że z ramienia ZPP osobiście zajęła się polskimi dziećmi przebywającymi w sowieckich sierocińcach i organizowaniem dla nich opieki. Dzięki temu tysiące dzieci udało się uratować od nędzy i poniewierki, a także od rusyfikacji i po wojnie przyjechały do Polski. To również wykorzystwała w propagandzie przeciwko „faszystowskiej” Polsce i znienawidzonemu rządowi londyńskiemu. W wydanej w 1952 roku powieści *Rzeki płoną*, stanowiącej trzecią część trylogii (dwie pierwsze to *Płomień na bagnach* i *Gwiazdy w jeziorze*), personel sierocińca składający się dotąd – jak ich nazywa autorka – z „sikorszczaków”, okrada dzieci z żywności, trzyma podopiecznych w nędznej komórce, zmusza do pracy, a sam opływa we wszystko. Na szczęście dzielna przedstawicielka ZPP, wydelegowana do przejęcia placówki, robi porządek i wraz ze szlachetną sowiecką urzędniczką przeganiają malwersantów. Żeby było jeszcze ideologiczniej, bohaterką nie jest żadna politruczka, tylko panienka z dworu (zesłana do Komi – stąd wzięła się w ZSRR), która przeszła politycznie słuszną metamorfozę i zrozumiała, gdzie jest szczęście ludzkości. Podczas wykonywania swoich obowiązków Jadwiga wygłasza kwestię godną rasowego oficera politycznego. Bo przecież w najdoskonalszym ustroju nie było czegoś takiego jak miliony dzieci, zwanych bezprizornymi, przez sowiecki system represji pozbawionych rodziców, pozbawionych wszystkiego, zdziczałych, wegetujących z dnia na dzień, popełniających przestępstwa, a nawet zbrodnie.

My jesteśmy z opieki nad dziećmi. Z prawdziwej opieki. Ta pani jest z sowieckiego domu dziecka. Z takiego domu, gdzie dzieci mają piękne sypialnie, własną jadalnię i śpią w białych czystych łóżeczkach. I mają zabawki²⁶.

W 1942 roku na zamówienie Stalina, który oczekiwał od niej i Kornijczuka utworów literackich o tematyce wojennej, Wasilewska w miesiąc napisała powieść *Tęcza*, którą natychmiast przetłumaczono i nakręcono na jej podstawie film. Akcja toczy się na ukraińskiej wsi, zajętej przez Niemców, którzy bestialsko traktują pozostałe w domu kobiety, a te są niezłomne i bohaterskie. Za tę książkę otrzymała Nagrodę Stalina, którą przekazała na wyprodukowanie radzieckiego samolotu, prosząc, żeby nazywał się „Warszawa” – „dla upamiętnienia bohaterskich obrońców Warszawy, walczących z niemieckim okupantem w 1939 roku”²⁷.

Gdy Niemcy ogłosili, że w Katyniu znaleziono zwłoki polskich oficerów, Wasilewska, podobnie zresztą jak Berling, bez oporu przyjęła sowiecką wersję

wydarzeń o sprawstwie niemieckim.

Po Sielcach i Moskwie paradowała w mundurze pułkownika. Trzymała się sztywno, wysoka, masywna, o męskim wyglądzie twardej działaczki, mówiąca niskim głosem. W peerelowskiej hagiografii przedstawiano ją jako płomienną mówczynię, zagrzewającą naród do walki z Niemcami. Emilia Plater i Wanda, co nie chciała Niemca, w jednym. Tak ją opisał ukraiński poeta Jurij Smołyčz:

Wanda miała na sobie wojskowy mundur: buty z cholewami i bryczesy, bluzę z dystynkcjami oficerskimi i czapkę, jaką nosiła piechota. [...] Wasilewska mówiła o zburzonej Warszawie i o zagrożeniu, jakie niesie ludzkości faszyzm. I wtedy właśnie ujrzałem w jej oczach żar [...], więcej – płomień. Była w nim miłość do ojczyzny i nienawiść do jej wrogów [...], gorący płomień trybuna ludowego²⁸.

Jako mówca była emocjonalna i spontaniczna, miała donośny głos, lubiła publiczne wystąpienia, napawała się nimi. Sprawiała wrażenie, że głęboko wierzy w to, o czym mówi. Sama tak opisała matce swoje wystąpienie na wiecu robotniczym:

Byłam nieprzytomna, robiło mi się słabo. Zdawało mi się, że włosy podnoszą mi się na głowie, że jestem w płomieniach. Przeżyłam chwile takiego szczęścia, jakie się musi mieć w ekstazie. Miałam wrażenie, że jestem słaba, bo cały mój dziki zapal oddałam ludziom. Czułam, jak się ze mnie coś wydziela, jak ogień. To było cudowne²⁹.



Patryjotyzm ją przenika,
Już ta Polska w snach urasta –
Pierwsza w świecie republika...
A w Sowietach siedemnasta...
Marian Hemar, *Madame Wasilewska*

Słowa i decyzje Stalina były dla niej święte. Nawet gdy zrezygnował z bezpośredniego włączenia Polski do Kraju Rad, o czym marzyła. Koncepcja, aby zachować pozory niezależności Przywiślańskiego Kraju, okazała się zaskakująca także dla innych członków ZPP i Kominternu, którzy liczyli na powstanie Siedemnastej Republiki Rad. Niektórzy uważali Związek Radziecki za swoją ojczyznę do tego stopnia, iż w zupełności by im wystarczyła Armia Czerwona, i nie widzieli potrzeby tworzenia polskiej dywizji.

– Na ch... nam to potrzebne? – zapytał wprost Alfred Lampe na zebraniu w mieszkaniu Wasilewskiej w Moskwie, w obecności gremium składającego się z Zygmunta Berlinga, Ołeksandra Kornijczuka, Heleny Usijewicz, Hilarego Minca,

Jerzego Putramenta, Wiktora i Ireny Groszów oraz Janiny Broniewskiej. – My mamy Armię Czerwoną i to nam wystarczy.

Na to Wanda Wasilewska zareagowała gwałtownie:

– Fred, ty świni!

Zygmunt Berling we wspomnieniach skomentował jej reakcję słowami, że trudno było się zorientować, co ją bardziej oburzyło: czy sens wypowiedzi, czy użycie wulgarnego słowa. No, ale Berling jej nie lubił.

Spotkania członków ZPP odbywały się z reguły w moskiewskim mieszkaniu Wasilewskiej, zawsze w obecności Kornijczuka, naówczas wicekomisarza spraw zagranicznych. Oficjalnie występował jako pan domu, a tak naprawdę miał oko na wszystko i pilnie słuchał. Według wspomnień Berlinga:

Wasilewska wygłaszała referat zasadniczy, który po dodatkowych informacjach i wyjaśnieniach był uchwalany jako wniosek całej grupy. [...] redakcję i wykonanie zapadłych decyzji brała na siebie [...] i jej dość liczny już sztab pomocników, dobierany spośród komunistów i aktywistów przybywających do Moskwy. Żadnych protokołów z posiedzeń nie prowadzono. [...] uważała tę biurokrację – jak się wyrażała – za zbędną³⁰.

Na dowódcę formowanej w Sielcach nad Oką dywizji wyznaczono pułkownika Zygmunta Berlinga, uprzednio lokatora „willi szczęścia” w moskiewskiej Małachówce, gdzie trzymano nakłonionych do współpracy z Armią Czerwoną polskich oficerów. Był to człowiek ambitny politycznie, co Stalin umiejętnie rozegrał przy werbunku, a potem wykorzystywał przy późniejszej współpracy.

Chodziły plotki, że Wasilewskiej Berling się podobał, ale był dla niej nieosiągalny, więc go za to nie lubiła. Faktem jest, że obydwójce oskarżali się wzajemnie o nadmierne ambicje polityczne oraz działanie na szkodę Polski: Wasilewska zarzucała Berlingowi tendencje nacjonalistyczne i legionowe oraz antysemityzm, on zaś krytykował jej lenistwo, spychanie swoich obowiązków na innych i sympatyzowanie z komunistami. Przy okazji relacjonowania we *Wspomnieniach* swojego sporu z Wasilewską o ziemie wschodnie podkreślił, że kiedy on uważał, iż Lwów powinien zostać przy Polsce, ona chciała zrobić z Polski siedemnastą republikę. W liście do Stalina z maja 1944 roku skarżył się na nią, że jest „mściwa i bezgranicznie ambitna, wszelkimi dostępnymi jej sposobami usiłuje się na mnie mścić za to, że jej teraz przeszkadzam”. W końcowych wnioskach napisał:

Wasilewska jest ze wszech miar elementem szkodliwym. Jej odejście od spraw polskich spowoduje zasadnicze uzdrowienie stosunków³¹.

Jakoś jej tym nie zaszkodził. Była Stalinowi potrzebna. Oboje mu byli potrzebni.



Teraz frontem „Tass” ku Wandzie,
Wanda frontem ku „Tassowi”,
Nie ustanie w propagandzie.
Aż się polski rząd odnowi.
Marian Hemar, *Madame Wasilewska*

Wasilewska należała do Centralnego Biura Komunistów Polskich, tajnej struktury od stycznia do sierpnia 1944 roku działającej w Związku Radzieckim, mającej na celu przejęcie władzy w Polsce. Powołany oficjalnie w lipcu 1944 roku w Chełmie Lubelskim Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego tak naprawdę powstał w Moskwie. Było to ciało polityczne całkowicie zależne od Stalina. Wasilewska została wiceprzewodniczącą, przewodniczącym był Edward Osóbka-Morawski, dawny członek Polskiej Partii Socjalistycznej, potem Robotniczej Partii Polskich Socjalistów. Wyznaczając na najwyższe stanowiska dwoje usłużnych socjalistów, Stalin unikał zarzutów, że ustanawiane przez niego polskie władze składają się wyłącznie z komunistów. Z tych samych powodów to Osóbka-Morawski został przewodniczącym, a nie Wasilewska. Ona, choć podobnie dawniej związana z PPS, za bardzo kojarzyła się z władzą komunistyczną i z samym Stalinem. A nie należało na razie Polaków denerwować, tylko raczej uspić ich czujność. Drugim wiceprzewodniczącym został, jak pisze Bohdan Urbankowski, „głupszy z Witosów” – Andrzej, brat trzykrotnego premiera Drugiej Rzeczypospolitej. Wyciągnięto go z łagru, a gdy próbował za bardzo działać na własną rękę, Wasilewska zapytała go wprost, czy wie, jaka pogoda jest teraz w Komi. Zrozumiał i zrezygnował z dalszej samodzielności.



WANDA WASILEWSKA podczas podpisywania układu o przyjaźni, wzajemnej pomocy i powojennej współpracy polsko-sowieckiej – na zdjęciu widoczni m.in. Józef Stalin, Edward Osóbka-Morawski i Bolesław Bierut (Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza)

W Rządzie Tymczasowym – tak został przemianowany PKWN 31 grudnia 1944 roku po zajęciu prawobrzeżnej Warszawy przez armię sowiecką – Wasilewskiej już nie było. Mogła po wojnie mieszkać w Polsce, lecz wybrała Związek Radziecki – swoją największą miłość. Zdecydowała się zostać z mężem w Kijowie. Reprezentowała Ukrainę w Radzie Najwyższej ZSRR, jako przedstawicielka Kraju Rad podróżowała po świecie w związku z działalnością w światowym ruchu pokoju. Odebrała najwyższe radzieckie odznaczenia państwowe – Order Lenina i dwukrotnie Nagrodę Stalina. Josif Wissarionowicz nazwał ją znakomitą kobietą radziecką i najwybitniejszą pisarką radziecką.

Była postacią bardzo wygodną dla stalinowskiego reżimu. Polska pisarka mieszkająca na Ukrainie, zarazem radziecka deputowana i dyplomatka jeżdżąca po konferencjach pokojowych, świetnie pasowała do narracji o polsko-radzieckiej przyjaźni. Choć nie powstała siedemnasta republika jej marzeń, Wasilewska cel swój osiągnęła. Wyzwolona przez bratnią Armię Czerwoną Polska znalazła się

w obozie państw pozostających w niedźwiedzych objęciach Stalina.

Często przyjeżdżała do Polski, bo jednak tęskniła. W willi Jasieczki Broniewskiej zawsze czekał na nią pokój. Odwiedzała place budowy, co odnotowała Polska Kronika Filmowa, w 1950 roku w Warszawie przemawiała na II Światowym Kongresie Obrońców Pokoju. Miała dobre koneksje, kontaktowała się z Bierutem, z Bermanem. Za swoje zasługi otrzymała Krzyż Grunwaldu I klasy, Order Odrodzenia Polski II klasy, Sztandaru Pracy I klasy oraz wiele medali wojskowych. Tylko Gomułka jej nie lubił, zakazał nawet organizowania obchodów trzydziestej rocznicy strajku nauczycielskiego z 1937 roku, którym kierowała.

Regularnie korespondowała z Broniewską. Przyjaciółki pisały do siebie o wszystkim, a na temat zdobyczy socjalizmu w tonie szczególnej egzaltacji. Wasilewska ciężko musiała przeżywać cios, jakim było dla wielbicieli stalinizmu potępienie kultu jednostki i ujawnienie ogromu zbrodni, za którymi stał Josif Wissarionowicz. Pewnie stara dobra komunistyczna zasada „mądrości etapu” pomogła jej poradzić sobie z dysonansem poznawczym. Tym bardziej że Chruszczow, który po śmierci Stalina objął władzę, był jej dobrym znajomym z Ukrainy. Tak czy owak, teraz więcej zajmowała się domem i dużo czasu poświęcała wnukowi Piotrusiowi, który był jej wielką radością. Cieszyło ją bycie babcią, sama przyznała, że gdy miała własne dziecko, była za głupia, aby to docenić. Wakacje wnuk spędzał u niej w Kijowie lub w domku nad Dnieprem w Plutach. Były tam sad i ogród. Babcia Wanda odkryła w sobie zamiłowanie do wędkarstwa, nadal pisała książki. W mniejszym stopniu niż dawniej angażowała się w działania polityczne. Do Polski przyjeżdżała głównie w sprawach prywatnych. Tu wydawano ją w wielotysięcznych nakładach i próbowano z jej przedwojennej aktywności wykuwać posąg „siłaczki”: nauczycielki, społeczniczki, socjalistki, patriotki, kobiety wrażliwej na ludzką krzywdę.

Lata mijały, siły i zdrowie były już nie te co kiedyś. W 1964 roku w Kijowie panowały duże upały. 29 lipca Wasilewska zmarła na atak serca. Jej grób znajduje się na cmentarzu Bajkowskim. Kornijczuk przeżył ją o osiem lat, pochowany został osobno. Nie był to dobry mąż. Zdradzał ją, nadużywał alkoholu, miał też inną rodzinę i dwoje dzieci, które uznał.



Jeszcze zanim w 1939 roku dotarła do Lwowa i przeszła na stronę „wyzwolicieła bratnich narodów”, wydarzył się w jej życiu epizod naprawdę obrzydliwy, jeśli prawdziwe jest oświadczenie, które Jalu Kurek przed śmiercią złożył w Bibliotece Jagiellońskiej. Krakowski poeta opisał wydarzenie na dworcu w Chełmie Lubelskim, którego był świadkiem, kiedy z grupą literatów uciekał przed Niemcami do Lwowa. Komendantką transportu z nadania władz sowieckich

była Wanda Wasilewska. Literaci skupili się na peronie, a nieco dalej stała w gorącym wrześniowym słońcu otoczona strażą grupa około dwustu polskich oficerów.

Próbowali się oni porozumieć z obserwatorami z zewnątrz wykrzykując w głos adresy, nazwiska, prośby o wodę, apele o zawiadomienie najbliższych itd. Niektórzy rzucali w tłum kartki z wiadomościami poza kordon straży, żołnierze jednak podejmowali kartki z ziemi nie dopuszczając do kontaktu z ludnością.



Bywszaja *Polka* Wanda Wasilewska (Wikimedia Commons)

Słyszac i widzac prosby o wode ze strony aresztowanych oficerow padajacych ze zmeczenia – jak dowiedzieliśmy się, stali oni na dworcu od rana przez kilka godzin w oczekiwaniu na transport, który miał ich zawieźć w głąb Rosji – poprosiliśmy wspólnie Wandę Wasilewską, aby porozumiała się z komendantem eskorty radzieckiej celem podania wody spragnionym aresztantom. Prosimy wspólnie, nie pamiętam dokładnie, kto był koło mnie, ale paru kolegów [...] przypominam sobie. Stanisław Wasylewski, Tadeusz Hollender, Stefan Kordian Gacki, Wawrzyniec Czereśniewski, może jeszcze Artur Rzeczyca.

Na naszą prośbę Wanda Wasilewska – koleżanka nasza przecież – uniosła się gniewem, jej długa, pociągła twarz skrzywiła się z zaciętym grymasem; wskazując na aresztowanych oficerów wykrzyknęła: – Wody dla nich? Nigdy nie posunę się do tego. To swołocz! I z nienawiścią w oczach odmówiła interwencji u radzieckiego komendanta. Ten incydent wzbudził u nas wszystkich odruch niesmaku; nawet nie kryli się z oburzeniem ci z nas, którzy byli komunistami od lat. Epizod ten pozostanie mi w pamięci do końca życia³².

Bardzo ostro napisała o Wasilewskiej w 1956 roku w *Dziennikach* Maria Dąbrowska, która widocznie przejrzała na oczy, odkąd w 1936 roku wysłała list na lwowski Kongres Pracowników Kultury.

Wanda Wasilewska wyparła się ojczyzny, wtedy kiedy Polska leżała zdruzgotana i pokonana. – Wyparła się aktywnie, nie już krytykując, ale spotwarzając Polskę. W publicznych przemówieniach we Lwowie pozwalała sobie mówić, że żyła w Polsce jak zaszczute zwierzę i że teraz dopiero odnalazła ojczyznę. To nikczemne kłamstwo. W Polsce nigdy włos jej z głowy nie spadł. Brała grubą forszę za książki i za „Płomyka”. [...] Zdradziła tak samo lud – gdy na gruzach ojczyzny panoszyła się w pięknej wili – a miliony polskich ludzi gnane były na Sybir. – Trudno o czystsza formę zdrajcy i renegata. Przypuszczam zresztą, że to typ kryminalnej awanturnicy i nie zdziwiłoby mnie to, gdybym dowiedziała się, że brała jakiś udział w zamordowaniu swego pierwszego (czy nie wiem którego z rządu) męża³³.

Sugestia pisarki co do udziału w zabójstwie może się w pierwszej chwili wydać absurdalna, ale z drugiej strony pojawia się zaraz pytanie: czy Marian Bogatko by zginął, gdyby nie był mężem Wandy Wasilewskiej?

Tak jak jej imienniczka z krakowskiej legendy, ta Wanda też nie chciała Niemca, ale na jego miejsce wybrała Ruska – drugiego śmiertelnego wroga. Zafascynowana Stalinem – Adam Ciołkosz po freudowsku sugeruje, że sowiecki przywódca stał się dla niej zastępczym ojcem – przyjęła radzieckie obywatelstwo, a potem brała czynny udział w przyłączaniu do Związku Radzieckiego wschodniej części przedwojennego państwa polskiego. Zupełnie tak, jakby dokonywała

świadomej destrukcji i dekonstrukcji dzieła swego prawdziwego ojca, ministra Leona Wasilewskiego, który tych samych ziem bronił przed Sowietami. Jak słusznie zauważyła Agata Mrozik, Wasilewska dokonała podwójnej zdrady: narodowej i rodzinnej. Konsekwentnie wyrzekła się Polski, konsekwentnie odrzuciła ideały ojca. A przecież jego śmierć była dla niej strasznym ciosem, co zostało odnotowane we wspomnieniach Janiny Broniewskiej. Przyjaciółka się wtedy o nią bała. Ilekroć po wojnie Wanda przyjeżdżała do Warszawy, szła na jego grób z kwiatami. Chyba rzeczywiście trzeba by Zygmunta Freuda i jego psychoanalizy, żeby pojąć tajniki duszy, *pardon* – superego, Wandy Wasilewskiej.



PRZYPISY

¹ Cyt. za: Agata Mrozik, „Komuniści (nie) mają ojczyzny...” *Wanda Wasilewska jako polska (anty)bohaterka narodowa*, „Studia Litteraria Historica” 2013, nr 2.

² Wiktor Grosz (1907–1956), urodzony jako Izaak Medresz, publicysta i działacz komunistyczny, współorganizator Związku Patriotów Polskich i Pierwszej Dywizji Piechoty im Tadeusza Kościuszki.

³ Włodzimierz Sokorski (1908–1999), współorganizator ZPP, zastępca dowódcy do spraw polityczno-wychowawczych w dywizji kościuszkowskiej.

⁴ Hilary Minc (1905–1974), działacz komunistyczny, późniejszy funkcjonariusz MBP i członek Komisji Bezpieczeństwa PZPR.

⁵ Cyt. za: Helena Zatorska, *Wanda Wasilewska*, Warszawa 1976.

⁶ Cyt. za: tamże.

⁷ Cyt. za: Marci Shore, *Kawior i popiół. Życie i śmierć pokolenia oczarowanych i rozczarowanych marksizmem*, Warszawa 2008.

⁸ Cyt. za: tamże.

⁹ Cyt. za: tamże.

¹⁰ Cyt. za: Helena Zatorska, *Wanda Wasilewska*, dz. cyt.

¹¹ Zygmunt Berling, *Wspomnienia*, t. 2: *Przeciw 17 Republice*, Warszawa 1991, s. 64.

¹² Adam Ciołkosz, *Wanda Wasilewska. Dwa szkice biograficzne*, Londyn 1977, s. 11.

¹³ Tamże, s. 19.

¹⁴ Cyt. za: Bohdan Urbankowski, *Czerwona msza, czyli uśmiech Stalina*, t. 1, Warszawa ca 2010. Jest to fragment artykułu z „Czerwonego Sztandaru” z 19 marca 1940 r.

¹⁵ Aleksander Wat, *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*, t. 1, Warszawa 1990, s. 284.

¹⁶ Adam Ciołkosz, *Wanda Wasilewska. Dwa szkice biograficzne*, dz. cyt., s. 20.

¹⁷ Cyt. za: Marci Shore, *Kawior i popiół...*, dz. cyt.

¹⁸ Cyt. za: Bohdan Urbankowski, *Czerwona msza, czyli uśmiech Stalina*, dz. cyt.

¹⁹ Jerzy Borejsza (1905–1952), właściwie Benjamin Goldberg, działacz komunistyczny, wydawca, publicysta, brat zbrodniarza stalinowskiego Józefa Różańskiego.

²⁰ Adam Ciołkosz, *Wanda Wasilewska. Dwa szkice biograficzne*, dz. cyt., s. 22.

²¹ Cyt. za: tamże.

²² Cyt. za: tamże.

²³ Stefan Jędrychowski (1910–1996), późniejszy członek KC PZPR, był jednym z sądzonych w 1937 r. komunistów skupionych wokół dwutygodnika „Poprostu”. Dostał cztery lata.

²⁴ Jakub Berman (1901–1984), działacz komunistyczny, później szara eminencja aparatu represji i bezpieczeństwa.

²⁵ Cyt. za: Adam Ciołkosz, *Wanda Wasilewska. Dwa szkice biograficzne*, dz. cyt.

²⁶ Wanda Wasilewska, *Rzeki płoną*, Warszawa 1952, s. 251.

²⁷ Eleonora Syzdek, *Działalność Wandy Wasilewskiej w latach drugiej wojny światowej*, Warszawa 1981, s. 118.

²⁸ Cyt. za: Agata Mroziak, „*Komuniści (nie) mają ojczyzny...* ”..., dz. cyt.

²⁹ Cyt. za: Sławomir Koper, *Ulubienica Stalina*, [w:] tenże, *Kobiety władzy PRL*, Warszawa 2012.

³⁰ Cyt. za: tamże.

³¹ Cyt. za: Maria Berlingowa, *Bliżej prawdy*, Warszawa 1990.

³² Jalu Kurek, *Dwie kobiety. O Wandzie Wasilewskiej epizod prawdziwy*, „*Dekada Literacka*” 1995, nr 3, s. 9.

³³ Cyt. za: Agata Mroziak, „*Komuniści (nie) mają ojczyzny...* ”..., dz. cyt.

KAINOWA SAMOTNOŚĆ

Kaina, zabójcę brata swego Abła, Bóg uczynił zbiegiem i tułaczem na ziemi. Odtąd – rzekł Kain do Boga – każdy, kto mnie spotka, będzie mógł mnie zabić. O, nie! – odrzekł Jahwe – dam ci znamię, aby spotkawszy zabójcę brata, nikt nie śmiał pozbawić go życia. Do końca twoich dni będziesz posiadał znamię uczynionego przez ciebie zła. Znamieniem Zła nazwano ten wyrok Boga.

Gustaw Herling-Grudziński, *Ofiarowanie. Opowieść biblijna*

Na imieniny Włodka Elżbieta przysła ze swoim dobrym przyjacielem, właściwie nawet sympatią, Wojtkiem, który się z solenizantem przyjaźnił. Od początku panował miły nastrój, mama Włodka zaproponowała jej nawet, żeby zanocowała, wiedząc, że Elę czeka jeszcze nocna podróż pociągiem do domu pod Warszawę, a tak mogłaby zostać dłużej. W którymś momencie dziewczyna poszła z gospodarzem do kuchni, żeby mu pomóc coś przynieść. Tam na podłodze urzędował sympatycznie wyglądający, na oko dziesięcioletni młodzian, który bawił się z burym kotem typu tygrysek. Zwierzak niby atakował zza oparcia krzesła, ale „nieuzbrojoną” łapą, tak by nie zrobić dziecku krzywdy. Chłopiec podniósł głowę, gdy weszli.

– O, dobry wieczór – powiedziała Elżbieta. – A kto ty jesteś?

Mały nie odpowiedział, tylko przyglądał się jej uważnie.

– Jest trochę nieśmiały – wyjaśnił Włodek. – To Wojtuś. Synek mojej siostry. Ale nie tej, którą poznałaś.



BLANKA KACZOROWSKA, *zdrajczyni o urodzie Marleny Dietrich*
(Wikipedia)

– Nie wiedziałam, że masz jeszcze jedną siostrę.

Włodek nachylił się w jej stronę.

– Jego mama jest w więzieniu – szepnął jej do ucha.

Eli zrobiło się przykro, wyraźnie posmutniała. Za słowami „w więzieniu”

przeważnie kryły się tragiczne przejścia. Ze zwykłego szacunku dla czyjegoś bólu nie zadawało się pytań. Niby ostatnio coś się zmieniło na lepsze, ale nadal nie było zwyczaju poruszać pewnych tematów poza kręgiem najbliższych osób, przynajmniej w jej środowisku, gdzie prawie każdy miał za sobą konspiracyjną przeszłość, którą władza ludowa tak chętnie wykorzystywała do fabrykowania oskarżeń o zdradę czy szpiegostwo. Przykucnęła obok chłopca.

– Ładnego masz kota – powiedziała.

– To nie mój, tylko babci – odezwał się cichutko. – Ale mnie lubi i nie drapie. Chowa pazurki, jak się bawimy.

Kot jakby to zrozumiał, bo pacnął kobietę po głowie mięciuteńką łapką. Podrapała go lekko za uchem. Rozmruczał się jak mały motorek.

Przypomniała sobie o kocie i chłopcu, kiedy, wymówiwszy się od zaproponowanego noclegu, szła z dużym Wojtkiem na ostatni pociąg w stronę Grodziska. Oboje senni od późnej pory i rozmarzeni od szumiącego w głowach wina.

– Włodek mi powiedział, że jego siostra jest w więzieniu – odezwała się. – Wiedziałaś o tym?

– Tak.

– Biedny. I biedne to dziecko bez matki. Nic mi nie mówiłeś.

– Bałem się – westchnął.

– Czego?

– Że nie będziesz chciała tam ze mną pójść.

– Przecież lubię Włodka, a w mojej rodzinie też...

– To nie jest tak, jak w twojej rodzinie – przerwał. – Pewnie ci się nie chwalił, dlaczego jego siostra siedzi.

– Nawet go o to nie pytałam.

– Wiesz, Elu, jak siostra Włodka ma na imię?

– Nie.

Milczał chwilę.

– Blanka. Teraz rozumiesz?

– Ta Blanka? – spytała z niedowierzaniem, skojarzywszy charakterystyczne imię z nazwiskiem Włodka.



Zanim Blanka Kaczorowska poznała Ludwika Kalksteina, zdążyła się zasłużyć w pracy konspiracyjnej dla Wydziału Wywiadu Ofensywnego, oznaczonego kryptonimem „Stragan”. Śliczna blondynka, w typie Marleny Dietrich, znająca francuski i niemiecki, zatrudniła się jako pracownica fizyczna w niemieckiej kantynie na lotnisku w Siedlcach i nawiązała znajomość

z przystojnym oficerem Wehrmachtu. Johannes Berent zakochał się w niej i nawet się zaręczyli. On też jej się podobał, co zupełnie jej nie przeszkadzało w wykorzystywaniu go do zdobywania informacji dotyczących uzbrojenia oddziałów stacjonujących na siedleckim lotnisku czy rozkładu lotów. Wróg to wróg, na wojnie jak na wojnie. Cóż znaczą uczucia wobec Sprawy. Przełożeni byli z niej zadowoleni, dzięki jej osiągnięciom wywiadowczym Niemcy ponosili szkody.

Berent podobno zorientował się, że piękna Polka pracuje dla Podziemia, ale nie zadenuncjował jej, nawet gdy została zatrzymana przez Gestapo za udział w konspiracji. Wypuszczono ją albo zdołała zbiec, różnie o tym mówią relacje świadków. Od dowództwa dostała Krzyż Walecznych i polecenie opuszczenia Siedlec – na wszelki wypadek. Przeniosła się do Warszawy i tu pod pseudonimem „Sroka” trafiła do grupy operacyjnej „H”, dowodzonej przez Ludwika Kalksteina, pseudonim „Hanka”. Inny podwładny „Hanki”, Marian Karczewski „Marian II”, napisał we wspomnieniach, że zrobiła na nim wrażenie dziewczyny nieco rozpieszczonej. Poza tym, jak przyznał, niewiele potrafił o niej powiedzieć, bo rzadko bywała w biurze. Ale na pewno podobała się mężczyznom. Karczewski wspomina też, że Blanka przypadkiem na ulicy w Warszawie spotkała Johanna Berenta, który został tu przeniesiony. Okazało się, że nadal jest nią zauroczony. Błagał o spotkanie. Zgodziła się. Za pierwszym razem towarzyszyła jej dyskretna obstawa. Gdy chłopcy przekonali się, że Niemcowi chodzi wyłącznie o amory, zostawili jej wolną rękę.



Siedzieli przy okrągłym stoliczku w małej, przytulnej cukierce przy Chmielnej. Blanka co chwila przywoływała do porządku kosmyk włosów, który odłączał się od zdyscyplinowanego szeregu miękko modelowanych fal i opadał na skroń, przesłaniając kącik lewego oka. Odsuwała go z powrotem na miejsce, ale gdy tylko zaczynała coś mówić i poruszyła przy tym głową, loczek natychmiast uciekał. Te wybryki niesfornego pasemka napępniały Johanna jakąś szczególną tkliwością. Matka i siostry, trzy najdroższe dla niego istoty, muszą pokochać tę piękną, subtelną dziewczynę. Do diabła z wojną, do diabła z całą tą konspiracją Blanki, z której istnienia już dawno sobie zdawał sprawę. On ją z tego wyrwie. Poczul w środku miłe ciepło, gdy wyobraził ją sobie w ogrodzie rodzinnego domu w Szczecinie w pogodni letni wieczór. Albo rano zrywając kwiaty do wazonu. Albo przy podwieczorku pod starą lipą. O, loczek znowu się wymknął. Wystarczyło, że odstawiając filiżankę na spodek, pochyliła lekko głowę, a czmychnął jak żywa istota. Odruchowo podniósł rękę, chcąc dotknąć jej włosów, poczuć w palcach ich miękkość.

– Niech pani pokaże dokumenty – odezwał się nagle po niemiecku nieprzyjemnie chrapliwy męski głos. Ręka zamarła w pół drogi, Johannes podniósł głowę. Obok stał mężczyzna w cywilu, a za nim drugi. W oczach Blanki nie było strachu. Posłusznie sięgnęła do torebki. Tajniak chwilę przyglądał się fałszywej kenkarcie, ale widać było, że robi to niezbyt uważnie, bo dalszy scenariusz i tak ma już gotowy.

– Pójdzie pani z nami – powiedział ściszym głosem.

– Panowie, proszę, nie róbmy sensacji. Pozwólcie, że najpierw ureguluję rachunek i wtedy spokojnie oboje wyjdziemy – odparł równie cicho Berent.

Niemcy popatrzyli na siebie.

– Zgoda, ale proszę się pospieszyć. Czekaemy.

Odwrócili się i odeszli. Berent skinął na kelnerkę i zapłacił. Oboje wstali. Blanka znów poprawiła niesforny kosmyk. Spojrzała Johannesowi prosto w oczy.

– Może już więcej się nie zobaczymy – szepnęła.

– Zrobię wszystko, żeby cię z tego wyciągnąć. Zobaczysz. Obiecuję.

Podeszli do drzwi, gdzie stali tajniacy. Berent otworzył je i przepuścił Blankę przodem. Bez wahania wykorzystwała sytuację i dała nura w prawo. Pod osłoną spowijających Warszawę ciemności ile sił w nogach pobiegła w stronę Nowego Światu. Tam wskoczyła w pierwszą otwartą bramę. Odpoczęła chwilę i potem, klucząc podwórkami, dotarła do Ordynackiej. Tu wsiadła do dorożki i pojechała do biura sztabu. Po krótkiej naradzie obecni zdecydowali, że nic im nie grozi, bo do incydentu doszło w Śródmieściu, a biuro było na Mokotowie. Dalsze spotkania z Johannesem Berentem nie były jednak wskazane. Nakazano jej zerwać wszelkie z nim kontakty.



Wkrótce piękna Blanka związała się z Ludwikiem Kalksteinem i zamieszkali w lokalu konspiracyjnym przy alei Niepodległości. Oboje cieszyli się świetną opinią u dowództwa, jeśli chodzi o pracę wywiadowczą.

Żyjący w siedemnastym wieku Christian Kalkstein-Stoliński był pierwowzorem postaci pułkownika Dowgirda, bohatera serialu *Czarne chmury*. Przodkowie Ludwika przenieśli się z Prus Wschodnich do Polski i zarówno oni, jak i następne pokolenia byli lojalnymi obywatelami Rzeczypospolitej. Ludwik Kalkstein od stycznia 1940 roku przebywał w Warszawie i działał w wywiadzie ofensywnym Związku Walki Zbrojnej, przemianowanego później na Armię Krajową. Dowództwo go ceniło, był świetnym pracownikiem wywiadu, zdolnym, rzutkim, wykazującym się inicjatywą. Do grupy „H” należało kilkanaście osób, które sam dobrał. Znalazł się wśród nich Eugeniusz Świerczewski, pseudonim „Gens”, były mąż siostry Ludwika – Niny. Zajmował się redagowaniem raportów,

a zajęcia miał sporo, bo dla grupy pracowało blisko sto pięćdziesiąt osób posiadających własnych informatorów.

Jednym z ważniejszych osiągnięć grupy Kalksteina było zwerbowanie Aloisa Patzelta, szefa kancelarii i podoficera sztabowego warszawskiego oddziału II Floty Powietrznej Luftwaffe. Podstawiono mu dziewczynę i dla ładnej buzi Niemiec zgodził się współpracować. Niektóre informacje podwładna Ludwika pozyskiwała bez wiedzy swego adoratora, jak na przykład fotografie tajnych rozkazów czy map z zaznaczonymi lotniskami Luftwaffe. Innym wyczynem grupy „H” było zdobycie dla aliantów planów Wilczego Szańca, tajnej kwatery Hitlera. W uznaniu tego rodzaju sukcesów w grudniu 1941 roku Ludwik Kalkstein został odznaczony Krzyżem Walecznych. Podczas uroczystości obecna była Wanda Ossowska, pełniąca ważną funkcję szefa komórki łączności wewnętrznej „Straganu”. Dzięki temu, że go wtedy zobaczyła, rozpozna go później na Pawiaku jako zdrajcę i konfidenta.



Tymczasem warszawskie Gestapo wzięło się ostro za tropienie centrali wywiadu. A miało, jak się okazało, ku temu sposobność. Pomógł zbieg okoliczności – w jego rękach był Ludwik Kalkstein, szef komórki wywiadu „Hanka” w Ofensywie. Mianowany po aresztowaniu „Górskiego” (mjr Stanisław Rogiński) nowym szefem Ofensywy „Radwan” (kpt. Karol Trojanowski) został w niedługim czasie aresztowany za sprawą „Sroki” (Blanka Kaczorowska) i Kalksteina.

Halina Zakrzewska „Beda”, *Niepodległość będzie twoją nagrodą*

Kalkstein wpadł w kwietniu 1942 roku, gdy w lokalu konspiracyjnym przy ulicy Opoczyńskiej Niemcy zrobili „kocioł”. Zgodnie z zasadami konspiracji Eugeniusz Świerczewski polecił członkom grupy, żeby na pewien czas zaprzestać kontaktów i zniknąć.

Do końca nie wiadomo, czy Kalkstein był na Szucha torturowany, czy nie. Jest to prawdopodobne, on sam oczywiście twierdził, że tak, ale świadkowie później zeznawali różnie. Pewne jest, że go szantażowano, gdyż od razu Gestapo aresztowało jego siostrę Ninę z drugim mężem i oboje rodziców. Przypuszczalnie w ten sposób wymuszono na nim zgodę na współpracę i w efekcie w latem 1942 roku nastąpiła fala aresztowań osób związanych z grupą „H”. Na Szucha znaleźli się między innymi szef „Straganu” major Stanisław Rogiński pseudonimy „Górski” i „Stanisław” oraz Wanda Ossowska pseudonim „Wanda”. Nie ruszono natomiast Blanki Kaczorowskiej i Eugeniusza Świerczewskiego – kochanki i eksszwagra – gdyż jak pokazują dalsze wypadki, zapewne już wtedy wytypowani zostali oni na

kolejnych agentów. Fakt przejścia Kalksteina na drugą stronę potwierdziła grypssem z Szucha Wanda Ossowska jesienią 1942 roku, gdy przypadkiem stała się świadkiem jego komitywy z Niemcami.

Pewnego dnia, gdy myłam się w łazience, drzwi otworzyły się z trzaskiem i wbiegł młody człowiek, patrzyłam oczom nie wierząc. Wyświeżony, w czystej koszuli, krawacie, zawahał się chwilę, gdy mnie zobaczył i wyszedł szybko – Ludwik Kalkstein? Tak, to na pewno on. Ożywiona rozmowa, jaką prowadzi na korytarzu z Niemcami, napawa mnie zdumieniem, przecież to ten sam głos co w celi obok. Czy to możliwe? To jego tak karmią i tak wesołe prowadzą rozmowy?¹

Już wcześniej, na jakiś czas przed tym niespodziewanym spotkaniem, Ossowska podejrzewała, że Kalkstein sypie. Po jego aresztowaniu nastąpiły inne, a mogło się to stać za jego sprawą, jeśli dał się złamać w śledztwie. Nie każdy wytrzymał niemieckie bicie tak jak ona. Utwierdziło ją w tej myśli jedno z pięćdziesięciu siedmiu przesłuchań, które sama przeszła na Szucha, o czym opowiada we wspomnieniach następująco:

Na przesłuchanie przychodzi Reschke, zaczyna od krzyku i wymysłów. Moje zeznania z ostatnich dni podkreślone czerwonym atramentem. To kłamstwo i to nieprawda, to zupełna bzdura. Staram się protestować, ale podane mi kartki paraliżują mnie. Podpisywane uwagi są słuszne, są prawdziwe. Czy to „Stanisław”? Nie, to nie jego pismo. Kto to mógł napisać? „Nina”? Nie, ona tych spraw nie zna, więc kto? To jest prawda. Te poprawki są istotne, są informacjami, które kompromitują ludzi. Ale dlaczego ten ktoś nie poprawił reszty, jeśli wie już tyle? A może to Kalkstein? Ludwik, ten młody człowiek pełen zapału i werwy, ryzykujący wszystko dla sprawy, odznaczony Krzyżem Walecznych w 1941 roku. Mówiono w marcu po aresztowaniu, że się załamał, dlatego „Stanisław” zmienił mieszkanie i przeniósł się do mnie. Ale żeby do tego stopnia ułatwiać pracę Niemcom, a nas wykończyć, to już współpraca, a nie załamanie się w śledztwie².

Wanda Ossowska w śledztwie pozostała niezłomna, mimo że do tego stopnia ją katowano, iż w rozpaczy próbowała popełnić samobójstwo. Aż trudno uwierzyć, że słaba kobieta przeszła tyle i nikogo nie wydała. Ją także chciano zwerbować i tak się złożyło, że próbował to zrobić Erich Merten, ten sam oficer, który będzie później prowadził Kalksteina i innych konfidentów.

Następnym znamiennym wydarzeniem w moim życiu na Szucha była wizyta mojego pierwszego śledczego, Mertena [...] Przyszedł z gestapowcem bardzo przystojnym i bardzo dobrze mówiącym po polsku. Zerwałam się przerażona. Taka wizyta nie wróżyła nic dobrego. [...] Rozradowany młody gestapowiec już od progu wołał:

– No, dobra nowina, idzie pani na wolność.

Ułamek sekundy pozwolił mi się opanować. Wpadłam w jego ton:

– Na wolność! Ach świetnie, spodziewałam się tego, niech pan to zdejmie prędko – odwróciłam się pokazując skute ręce. – Czy już mogę iść? – Niecierpliwiłam się robiąc z siebie idiotkę.

– Nie, no zaraz, chwileczkę, porozmawiamy. Widzi pani, może pani być zaraz zwolniona i nie tylko to, dostanie pani mieszkanie i dobrą pensję i będziemy chodzili do restauracji na dobre obiady i do cukierni na kawę, ciastka, lubi pani ciastka?

Kiwnęłam głową łykając ślinkę i udając, że już jestem gotowa zrobić wszystko, żeby tylko te ciastka dostać.

– I w ogóle będzie pani miała święte życie, ale...

– Ale co? Ale co? – niecierpliwiłam się.

– Trzeba, żeby pani powiedziała, gdzie chodzi, gdzie się obraca, może jakiś lokal, ten wasz wódz, wiesz ten najważniejszy.

Zrobiłam śmiertelnie smutną minę.

– Ba, żebym to wiedziała, ale ja nie wiem, ja go nigdy nie widziałam i w ogóle nic o nim nie wiem.

– Przecież znasz innych, może mniej ważnych, ale nam to też się przyda.

Traciłam cierpliwość, ale jeszcze panowałam nad sobą.

– Zrozum, za taką cenę: wolność, mieszkanie, pensja, a przecież ja jak idę ulicą, to wiem, ten pracuje w konspiracji, a ten to raczej nie, a ty na pewno to poznasz od razu, będziemy sobie chodzić po ulicy, lokalach, ja w cywilu oczywiście, a ty powiesz: „Ten”, sprawdzimy, jeśli nie, nic mu nie grozi, przecież wiesz, że niewinnych nie czepiamy się.

Nie wytrzymałam – gorycz, pasja, że mogą mnie podejrzewać o podobne łajdactwo, narastała we mnie i wybuchła tak nagle, jak gdybym nie była więźniem.

– Takie świny znajdziecie wśród Niemek, ale żadna Polka, żadna, nawet za cenę życia nie pójdzie na takie układy³.

Niemcy uznali to za bezczelność. „Jeden, drugi policzek i leżałam w rogu celi nie mogąc się wygramolić (ręce miałam skute)”⁴. Swoją postawą podczas przesłuchań i później w obozie Wanda Ossowska mocniej niż przysięgą potwierdziła słowa, które zdenerwowały wtedy jej oprawców.



Gestapo uznało osobę Kalksteina za zdobycz bezcenną dla swoich planów likwidacji Oddziału II KG AK. Ogłaszając śmierć Kalksteina na skutek ciężkiego śledztwa, ukryto go na Szucha. Zdrajca wydał w ręce Gestapo kpt. „Radwana” i podjął polowanie na „Grotę” przy współpracy dawnych współpracowników, Blanki Kaczorowskiej, obecnej żony, i szwagra, Eugeniusza Świerczewskiego.

Halina Zakrzewska „Beda”, *Niepodległość będzie twoją nagrodą*

Kalkstein dostał pseudonim V-97, a Niemcy dokonali przy tym jeszcze jednego sprytnego posunięcia, którym skutecznie wprowadzili w błąd AK. Otóż pokazali rodzinie zaświadczenie o jego śmierci i w ten sposób rozeszła się pogłoska, jakoby został rozstrzelany. Nikt nie podejrzewał, że mogło być inaczej, pomimo grypsu Ossowskiej. On zaś podpisał listę narodowościową i powołując się na swoje wschodniopruskie pochodzenie, postanowił zostać Niemcem. Z pełną świadomością zdradzał nowym mocodawcom wszystkie konspiracyjne kontakty. Po wojnie będzie się przed sądem tłumaczył, że chciał niczym Konrad Wallenrod w odpowiednim momencie dokonać wielkiego czynu, który by powalił na kolana Trzecią Rzeszę. Utrzymaną w podobnym tonie jego wypowiedź przytacza Krzysztof Kąkolewski, który rozmawiał z nim w więzieniu w 1963 roku:

– Byłem ostatni z rodu, jeśli zginę, przypadłoby jego przeznaczenie – mówi Kalkstein – nienawiść. Biorąc sobie to drugie nazwisko niemieckie, wybrałem imię Konrad. To imię Wallenroda. Umyśliłem grać jego rolę. Kiedy wydawałem nazwiska, pseudonimy, adresy, punkty kontaktowe, myślałem, że są zmienione jako spalone po moim aresztowaniu. Dałem dość czasu, aby je zlikwidowano. Dlaczego nie zrobiono tego? Chciałem się wkraść w zaufanie hitlerowców, korzystając ze swojego niemieckiego arystokratycznego pochodzenia, robić karierę. Przewidywałem dwa warianty. Gdyby Niemcy przegrywały: dostać się do służby w osobistej ochronie Hitlera i zabić go, sam ginąc. W wypadku, jeśli Niemcy wojnę wygraliby: zrobić wielką karierę. Im większą karierę zrobiłbym, tym większe szkody, jak Wallenrod, mógłbym zadać Niemcom. Zaszedłbym wysoko i zniszczył Niemcy. Blanka wiedziała o tym, wspominałem jej o Konradzie Wallenrodzie. Nikomu innemu nie mówiłem, walczyłem tylko sam, bo ktoś mógłby zawiadomić Niemców. Dlatego nikt o tym nie wie⁵.

Kąkolewski określił go ironicznie mianem „jednoosobowe podziemie”. W drugiej połowie października 1942 roku wypuszczono go z Szucha jako Niemca. Najpierw nazwał się Paul Henchel, później przyjął nazwisko Konrad Stark, do czego nawiązuje w cytowanych wyżej słowach.

Po wpadce narzeczonego nowym dowódcą „Sroki” został Karol Trojanowski pseudonim „Radwan”. Ona sama awansowała, niestety została także dopuszczona do różnych tajemnic i do ważnych osób, co po wiadomości od Wandy Ossowskiej było dużą nieostrożnością ze strony władz konspiracyjnych, które musiały wiedzieć, że Blanka jest kochanką Kalksteina. Czujność uspiła fałszywa wiadomość o jego śmierci.

Na wolności Kalkstein skontaktował się ze Świerczewskim i przekonał go, że jego ekszona Nina, a także jej rodzice zostaną wypuszczeni, jeśli on podejmie współpracę. Tak też się stało. Ojciec i siostra Ludwika zmarli wkrótce potem, bardzo możliwe, że wskutek tortur. Kalkstein odszukał również Blankę, która

przebywała w tym czasie w Częstochowie. Przywiózł ją do Warszawy i w listopadzie wzięli ślub. Można jedynie snuć domysły, jakimi argumentami przekonał ją do przejścia na stronę wroga. Czy zrobiła to dla niego, bo była w nim zakochana? Czy dała się uwieść wallenrodycznym wizjom? Tego się nie dowiemy.

Blanka Kaczorowska została niemiecką agentką V-98, zachowując także dotychczasowy pseudonim „Sroka”, który się nowym mocodawcom spodobał. Szybko zadenuncjowała swego byłego ukochanego z Siedlec. Johannes Berent natychmiast został wysłany na front wschodni i tam poległ. A ona sypała, sypała, sypała kolejnych działaczy Podziemia, nie mogąc nie wiedzieć, czym to się dla nich skończy. Razem z Kalksteinem doprowadzili do aresztowania co najmniej kilkudziesięciu osób. Zastanawiające jest jedynie to, że nie wydała Stanisława Jankowskiego „Agatona”, kierownika Wydziału Legalizacji i Techniki w Oddziale II Komendy Głównej AK. Niemcy na pewno byliby zachwyceni taką zdobyczą. „Agaton” swego czasu szkolił ją w zakresie posługiwania się fałszywymi dokumentami oraz szyframi i atramentami sympatycznymi i wychwalał jej urodę („śliczna, młoda, elegancka”). O jej późniejszych zdradach tak napisał:

„Sroka” – Blanka Kaczorowska, wówczas narzeczona, a później żona Ludwika Kalksteina, zdrajcy i agenta Gestapo, była w tym czasie również agentką Gestapo. Wyrok wydany w imieniu Polski Ludowej z dnia 12 czerwca 1953 stwierdza, że wydała ona w ręce Gestapo następujących członków wywiadu AK: Kazimierza Tomaszewskiego, Jerzego Brońskiego, Edwarda Kwaśniewskiego, Jadwigę Krasicką (szef Wd 62), Marię Dziubakową, Halinę Skierską, Irenę Salównę, Janusza Wituskiego, Krystynę Wituską, Jadwigę i Eryka Scharfenbergów, Karola Trojanowskiego – „Radwana” oraz inne osoby o nieustalonych nazwiskach. Z tych: Tomaszewski, Dziubakowa, Krasicka, Skierska i Eryk Scharfenberg zostali rozstrzelani, Krystyna Wituska ścięta, inni odesłani do obozów koncentracyjnych.

Nie wiem, czemu zawdzięczam, że na tej liście nie ma mojego nazwiska⁶.



LUDWIK KALKSTEIN, podwójny zdrajca, który najpierw kolaborował z Niemcami, a po wojnie z ubecją (Instytut Pamięci Narodowej)

Nikt jej nie torturował, nikt jej nie zmuszał. Dobrowolnie wysyłała ludzi na pewną śmierć, i to na śmierć męczeńską. „Żadna Polka, żadna, nawet za cenę życia nie pójdzie na takie układy” – rzuciła oprawcom w twarz Wanda Ossowska

i potwierdziła to swoją postawą. Blanka, też Polka, na układy poszła. Zawarła pakt z diabłem i przeszła na stronę śmiertelnego wroga swojego narodu. Po kainowemu skazywała współbraci na okrutny los. Czy to była oznaka braku sumienia? Psychopatyczne upośledzenie rozumienia etyki i moralności? Wiara w wallenrodyzm Kalksteina? Ucieczka w zaprzeczenia i wypieranie z siebie prawdy? Podobnie zachowała się po wojnie. Donosiła do bezpieki, co było zapewne ceną za łagodniejszy wyrok i skrócenie odsiadki, ale nie musiała tego robić aż do tego stopnia i tak gorliwie.



Pan siedzący w pokoju, do którego mnie wprowadzono, typowym biurowym pokoju z maszyną do pisania i regałami, robi na mnie raczej dodatnie wrażenie. Jest średniego wzrostu, o miłej twarzy [...]. Pan Merten (po wojnie dowiedziałam się jego nazwiska i tego, jak bardzo był związany z naszą sprawą) jest w cywilnym ubraniu – to działa uspokajająco.

Wanda Ossowska, *Przeżyłam... Lwów – Warszawa 1939–1945*

W sierpniu 1942 roku, jeszcze gdy Kalkstein siedział na Szucha, ale już sypał, w mieszkaniu Wandy Ossowskiej przy Dzikiej 28 Gestapo zgarnęło w nocy kierującego Wydziałem Wywiadu Ofensywnego majora Stanisława Rogińskiego, jego sekretarkę Janinę Despot-Zenowicz „Ninę” i Wandę Ossowską. Podobno najpierw Kalkstein pokazał Mertenowi na ulicy „Ninę” i, śledząc ją, Niemcy dotarli do Rogińskiego, który tuż przedtem, jakiś czas po aresztowaniu „Hanki”, na wszelki wypadek zmienił adres i przeniósł się do Ossowskiej. Dwa miesiące później Wanda Ossowska zobaczyła Kalksteina na Szucha, o czym była już mowa.

Na wolności Kalkstein polecił Blance i Świerczewskiemu, aby po przerwie spowodowanej względami bezpieczeństwa – dla uniknięcia aresztowania – wrócili do działalności w wywiadzie AK. Tak też zrobili. Wiosną 1943 roku „Sroka” zaczęła pracować w Biurze Studiów Oddziału II Komendy Głównej AK, co dało jej nowe kontakty i nowe okazje do zdrady.

Zatrzymaniem generała Stefana Roweckiego „Grot” 30 czerwca 1943 roku kierował Untersturmführer Erich Merten – oficer prowadzący siatkę Kalksteina, który próbował też zwerbować Ossowską. Dowódcę Armii Krajowej wystawił Eugeniusz Świerczewski „Gens”, mając pełną świadomość – podobnie jak Kaczorowska i Kalkstein, który po wojnie przyzna się do udziału w akcji rozpracowania generała – że wydany Niemcom „Grot” może być torturowany i stracony. Świerczewski znał Roweckiego osobiście. Od jakiegoś czasu na polecenie Mertena chodził po ulicach i go szukał. Tego dnia natknął się na niego przypadkiem. Śledził go, a gdy zobaczył, do którego mieszkania przy ulicy Spiskiej

14 „Grot” wszedł, zadzwonił na Gestapo z tą informacją. Niedługo potem Niemcy obstawili dom. Rowecki został zatrzymany, a gdy Świerczewski poświadczył jego tożsamość, zabrano go na Szucha i po kilku dniach przewieziono samolotem do Berlina. Hitlerowcy zamordowali go zaraz po wybuchu Powstania, prawdopodobnie na terenie krematorium obozu w Sachsenhausen.

W listopadzie 1943 roku aresztowano podpułkownika Władysława Szczekowskiego „Leszczyca”, „Stanisława” z Oddziału II Komendy Głównej AK oraz jego sekretarkę Wandę Wóycicką pseudonimy „Dorotka”, „Sarenka”. Następnie zatrzymany został przebywający w Otwocku na leczeniu podpułkownik Waław Berka „Brodowicz”, „Krajewski”, „Waław”, szef Oddziału II KG AK. Dziwnym zbiegiem okoliczności akurat w listopadzie 1943 roku Blanka przebywała tam na kuracji. Zadenuncjowała też swego dowódcę Karola Trojanowskiego „Radwana”. Był to potężny cios dla Podziemia, bo „Radwan” załamał się podczas przesłuchań i sypnął kolejnych konspiratorów.

W grudniu 1943 roku Niemcy ujęli kilkunastu pracowników Biura Studiów Oddziału II KG AK. Wśród nich znaleźli się Irena i Janusz Wituscy, Halina Skierska, Maria Dziubakowa, Maria Ike-Dunikowska, Natalia Rykowska, Eryk i Jadwiga Scharfenbergowie. Wpadł też kolejny kierownik Oddziału II KG AK podpułkownik Marian Drobik „Dzięcioł”. Kalkstein przyznał się później do udziału w jego rozpracowaniu. Następnie w łapy Niemców dostał się major Otton Pawłowicz „Siostra”, zgarnięty w czasie spotkania między innymi z Eugeniuszem Świerczewskim. Prawie wszystkie z tych osób zginęły na Pawiaku lub na Szucha. Wielu nie wytrzymało tortur i wydawało innych.



*Najsłynniejsza ofiara współpracowników Ludwika Kalksteina –
STEFAN ROWECKI ps. GROT (Instytut Pamięci Narodowej)*

Pod koniec grudnia 1943 roku Kalkstein pod zmienionym nazwiskiem, jako Paul Henchel, mieszkał z żoną w niemieckiej dzielnicy przy ulicy Cecylii Śniegockiej. Nim Blanka zrezygnowała z pracy w konspiracji ze względu na coraz bardziej widoczną ciążę, jeszcze wiosną 1944 roku wydała Jadwigę Krasicką

„Julię”, która była szefem Biura Propagandy i Nastrojów AK. Po torturach na Pawiaku Krasicka trafiła do Ravensbrück i tam zmarła.

Irena Chmielewiczowa, tłumaczka i sekretarka w warszawskim Gestapo, zezna po wojnie, że „na Szucha spotkała – zaraz po aresztowaniu – Ludwika Kalksteina. Nietknięty palcem przyznał się do niemieckiego pochodzenia i poszedł na współpracę. Zmontował niewielką, ale czynną i ustosunkowaną grupę wraz z «Gensem» (Eugeniusz Świerczewski) i «Sroką» (Blanka Kaczorowska), w celu upolowania «Grotą» oraz rozłożenia Oddziału II Komendy Głównej AK. «Grotą» aresztowano, «dwójkę» Komendy Głównej w dużej części zniszczono”⁷.



Kontrwywiad AK namierzył Eugeniusza Świerczewskiego jako agenta Gestapo i 20 czerwca 1944 roku na mocy wyroku wojskowego sądu powieszono go w piwnicy domu przy ulicy Krochmalnej 74, a zwłoki zakopano pod podłogą. Podczas rewizji znaleziono przy nim „legitymację wystawioną na okaziciela przez Geheime Staatspolizei Abt. IV-P, podpisaną przez Untersturmführera Ericha Mertena, a w niej dwie fotografie tegoż Mertena z następującą dedykacją z języku niemieckim «Na pamiątkę dobrej i owocnej współpracy». Potem rachunek gazowni miejskiej na nazwisko Paul Henchel ul. Cecylienstr. 13, kalendarz kieszonkowy wraz z notatnikiem oraz trzy kenkarty na różne nazwiska z fotografiami Świerczewskiego i jakieś papiery osobiste”⁸. Przesłuchany przed egzekucją potwierdził, że należał do kierowanej przez Ludwika Kalksteina siatki niemieckich agentów, w której pracowała też Blanka Kaczorowska. Według jednej z wersji relacji świadków to właśnie po tym zeznaniu kierownictwo Podziemia wydało wyroki także i na nich. Akcji nadano kryptonim „Pudełko”. Oddział Armii Krajowej o kryptonimie 993/W, przeprowadzający akcje likwidacyjne na zdrajcach, odnalazł Kalksteinów na Śniegockiej, a jednak oboje uszli z życiem. Blankę uratował honorowy zwyczaj, że nie zabija się ciężarnych kobiet. Syna, który ją wtedy ocalił przed kulą za zdradę, urodziła najprawdopodobniej w niemieckim szpitalu.

Niedługo przed Powstaniem Ludwik Kalkstein, już jako Konrad Stark, oficjalnie chodził w esesmańskim mundurze. W czerwcu 1944 roku niespodziewanie zobaczył go na Szucha, jeszcze w cywilnym ubraniu, dawny podwładny Marian Karczewski, prowadzony na przesłuchanie. Aż do tej chwili był święcie przekonany, że „Hanka” nie żyje.

Jedyny mężczyzna znajdujący się na korytarzu stał przy oknie plecami odwrócony do nas. Jak bardzo z sylwetki podobny był do Ludwika! Wysoki, o nieproporcjonalnie długich nogach, szerokich ramionach i krótkiej szyi. Włosy tak samo czarne. I teraz ten sam charakterystyczny ruch: podrzucał do góry i łapał

klucze. Robił to zawsze, kiedy był zamyślony. To wszystko zauważyłem w jednej sekundzie, zaraz po otwarciu drzwi widny. Kiedy zrobiliśmy kilka kroków, mężczyzna przy oknie odwrócił się. Zdziwienie moje nie miało granic; tak, to mój szef, szef grupy „Hanka”, aresztowany przed dwoma laty – to Ludwik Kalkstein!⁹

W dalszej części wspomnień Karczewski powraca raz jeszcze do tej sceny:

Spotkałem Ludwika po dwóch latach i to tutaj, w Gestapo. Wzrok nasz na chwilę spotkał się. Ja, zdumiony, przymrużyłem lekko powieki, on pozostał zupełnie spokojny, nawet drgnieniem jednego mięśnia nie wyraził zdziwienia ani zaskoczenia. Natychmiast odwrócił się, przeszedł kilka kroków, otworzył drzwi własnym kluczem i zniknął za nimi. Czy to możliwe, żeby tak nagle, zaskakująco nagle spotkanie nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia? Czyżby wiedział o tym, że mnie przywieziono na Gestapo i specjalnie wyszedł na korytarz? Ubrany był w zieloną sportową marynarkę, szare spodnie i nosił okulary w czarnej oprawie. Te okulary to jedyna zmiana, jaka zaszła w jego wyglądzie od czasu naszej współpracy. Już sam wygląd i swoboda poruszania się nie pozostawiały najmniejszej wątpliwości: musiał pracować na Gestapo. Przez chwilę jednak nie pomyślałem, że dobrowolnie zgłosił chęć współpracy – musiał być poddany wyrafinowanym torturom, podczas których załamał się. Ale czy w okresie minionych dwóch lat nie zdarzały się okazje do ucieczki, a w najgorszym razie do popełnienia samobójstwa? Na co liczył? Całkowicie postawił na Niemców?¹⁰.

Wcześniej Marian Karczewski dałby sobie głowę uciąć, że Ludwik Kalkstein wybrałby raczej śmierć niż zdradę. Tym bardziej nie mógł przypuszczać, że jego dawny szef będzie pracował dla Gestapo z takim samym zapałem jak kiedyś dla grupy jako „Hanka”.

Blanka dostała kenkartę na nazwisko Elżbieta Walter. Oboje wiedzieli, że Świerczewski nie żyje i że na nich też zapadł wyrok. Gdy zaczęło się Powstanie, Blanka z synkiem wyjechała do Łowicza i zamieszkała w hotelu. Ludwik walczył po stronie Niemców. Do żony i dziecka przyjechał dopiero pod koniec października. Czas jakiś pracował w placówkach Gestapo w Grójcu i Sochaczewie. Sylwestra i Nowy Rok spędzili razem w Skierniewicach. Potem się rozdzielili i niezależnie od siebie znaleźli się w Łodzi. Tam Kalkstein otrzymał od Niemców pieniądze, radiostację, samochód i zadanie wywiadowcze, którego już nie wykonał. Po wejściu Rosjan wyjechał do Krakowa i przez kilka miesięcy ciągle zmieniał mieszkania, wiążąc się na krótko z kolejnymi kobietami. W 1946 roku pod zmienionym nazwiskiem, jako Wojciech Mieczysław Świerkiewicz, pojawił się w Szczecinie i zaczął pracować w „Kurierze Szczecińskim”, specjalizując się w problematyce marynistycznej. Pisał dla gazet powieści w odcinkach, radiowe słuchowiska, wstąpił nawet do Związku Literatów Polskich. Podobno dużo pił. Tutaj odnaleźli go po kilku latach funkcjonariusze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego prowadzący śledztwo w sprawie jego współpracy z Gestapo.

Aresztowany w sierpniu 1953 roku, został skazany na dożywocie, z czego odsiedział dwanaście lat. W więzieniu w Strzelcach Opolskich prowadził bibliotekę i był tak zwanym agentem celnym, czyli donosił UB na współwięźniów w celi. Doczekał zwolnienia na mocy amnestii w 1965 roku.

W trakcie odsiadki wyroku Kalkstein zeznawał w kilku procesach, w tym Haliny Zakrzewskiej „Bedy”, najpierw szefowej łączności wewnętrznej Szefa Sztabu KG ZWZ, potem działającej w Wywiadzie Wschodnim. W 1965 roku oskarżył męża „Bedy”, Bernarda Zakrzewskiego „Oskara”, szefa kontrwywiadu KG AK, oraz dowodzącego wykonaniem wyroku na Świerczewskim Stefana Rysia „Józefa” o ukrywanie prawdy i zrzucenie na niego win innych. Również – jak pisze Waldemar Grabowski – powołując się na swoją działalność w okresie pobytu w więzieniu na Rakowieckiej, zaproponował MSW kontynuację współpracy. Zasugerował, że może być przydatny przy „zwalczaniu wrogiej propagandy nadawanej przez rozgłośnie zachodnie”¹¹. Poprosił też o wydanie dowodu osobistego na inne nazwisko. Wallenrodyzm? Wątpliwe.

Gdy po dwunastu latach opuścił więzienie, najpierw przyjechał do Szczecina. Tym razem posługiwał się dowodem osobistym na własne nazwisko: Ludwik Kalkstein. Ale przedstawiał się jako Ludwik Stoliński. Długo tu nie zabawił, zbyt wiele osób wiedziało, kim jest. Piętno kainowe nie pozwalało się ukryć. Wyjechał, jeździł po różnych miejscowościach i uwodził kolejne kobiety. Był rozwiedziony, bo jeszcze w 1955 roku siedząca w Fordonie Blanka wniosła przeciwko niemu pozew. Nie szukał kontaktu ani z nią, ani z synem. Czas jakiś mieszkał w Mysiadle koło Piaseczna. W 1976 roku ożenił się z Teresą Ciesielską, córką bogatego rolnika. Razem prowadzili fermę drobiu. W 1980 roku przenieśli się w okolice Jarocina i tu założyli hodowlę świń. Ale znów został zidentyfikowany. W lutym 1980 roku do Radia Wolna Europa przyszedł anonimowy list z jego adresem. Po zweryfikowaniu informacja ta na falach eteru popłynęła w świat. Zainteresowali się nią dziennikarze, coraz więcej osób o nim słyszało. Wyjechał wtedy na Zachód, przyjąwszy przedtem nazwisko żony. Oficjalnie udał się do Paryża. Po kilku latach w dość zaskakujących okolicznościach rozpoznany został w Monachium.



Pokazano mi fotografię młodej blondynki. „Nie znacie «Sroki» – Blanki Kaczorowskiej?”. Szukają jej albo już jest w rękach UB, myślałam wracając do celi. Oboje z Kalksteinem powinni odpowiadać za swoje – pomyślałam z przyjemnością.

Halina Zakrzewska „Beda”, *Niepodległość będzie twoją nagrodą*

W 1945 roku w Łodzi Blanka Kaczorowska spotkała się z ojcem, Janem Kaczorowskim, przedwojennym prawnikiem, który teraz pracował w sądzie wojskowym. Przez ojca poznała znacznie starszego od siebie sędziego, przed wojną właściciela prywatnej kancelarii prawniczej, Romana Rawicza-Vogla. Zamieszkali razem, przedstawiała go jako swojego męża. W Łodzi zaczęła studia. W 1948 roku przenieśli się do Warszawy i zamieszkali w domu przy ulicy Bachmackiej 15. Skończyła historię sztuki, wstąpiła do PPR, działała w Akademickim Związku Walki Młodych „Życie”. Po zrobieniu dyplomu zaczęła pracować w Państwowym Instytucie Badania Sztuki Ludowej.



*Skazany na dożywocie za kolaborację **LUDWIK KALKSTEIN** odsiedział dwanaście lat (Instytut Pamięci Narodowej)*

Funkcjonariusze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przyszl ją aresztować w grudniu 1952 roku, gdy miała jechać na studia doktoranckie do Pragi. Zarzut: agenturalna współpraca z Gestapo. W śledztwie, zakończonym 31 marca 1953 roku, przyznała się, że od listopada 1942 do lutego 1944 roku wydała wiele osób z Podziemia AK. Zaprzeczyła jednak, jakoby była agentką. Twierdziła, że

kontaktowała się z Niemcami, ale jako żona Kalksteina. Dostała dożywocie z pozbawieniem praw publicznych i obywatelskich na zawsze. Proces był farsą, bo za takie zbrodnie wojenne i ona, i Kalkstein powinni zostać skazani na karę śmierci. W uzasadnieniu wyroku padają sformułowania ideowo i stylistycznie typowe dla okresu stalinowskiego. „Okoliczności łagodzące”, brane przez sąd pod uwagę, sprecyzowane są następująco: „Zdaniem Sądu Wojewódzkiego oskarżona jest ofiarą zbrodniczej działalności kierownictwa AK, które – jak wiemy obecnie – współpracowało z Gestapo, było na usługach Gestapo i wraz z Gestapo walczyło przeciwko większej części Narodu Polskiego w jego walce o narodowe i społeczne wyzwolenie, w której to walce przewodziła Polska Partia Robotnicza”¹².

Może potraktowano ją łaskawie ze względu na ojca pułkownika, który pracował w Naczelnej Prokuraturze. A może – co jest bardziej prawdopodobne – uznano, że osoba, która wcześniej nie miała oporów, by zdradzać i donosić na swoich, nada się teraz na tajnego współpracownika. Tak też się stało. „Sroka” w więzieniu została konfidentką i aktywnie donosiła na współwięźniarki. I może właśnie dzięki temu przesiedziała w Fordonie tylko pięć lat. Małym Wojtkiem zajmowała się wtedy jej młodsza siostra Irena.

Radio Wolna Europa informowało słuchaczy o przebiegu sprawy Kalksteinów. Mówiono z oburzeniem o obu procesach i skandalicznych wyrokach. Oboje formalnie odpowiadali z obowiązującego wówczas Dekretu PKWN, przewidującego dla „faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy oraz dla zdrajców narodu polskiego” najwyższą karę. Na mocy tego samego dekretu skazano na śmierć wielkiego Polaka, generała Augusta Emila Fieldorfa „Nila”.

Parę lat później z kraju przyszły jeszcze bardziej bulwersujące wiadomości. Ludowa sprawiedliwość, bezprawnie stosując przepisy amnestyjne, wypuściła oboje na wolność. Za tyle cierpień polskich patriotów Blanka odsiedziała pięć i pół roku, Kalkstein – lat dwanaście. Środowiska akowskie były oburzone. Próbowano protestować, przez warszawski ZBoWiD wyrzucić presję na władzy. Daremnie.

Blanka wyszła na wolność po amnestii 1958 roku. Zaraz dostała dobrą pracę, zapewne dzięki pomocy bezpieki. Najpierw pracowała w CIECH-u, czyli Centrali Importowo-Eksportowej Chemikaliów. Potem w Państwowym Instytucie Wzornictwa Przemysłowego, a jeszcze później w „Orbisie”. W 1965 roku dostała posadę w Centrali Importowo-Eksportowej „Foto-Kino-Film”. Już od czerwca 1959 roku donosiła jako tajny płatny współpracownik kontrwywiadu pod pseudonimem „Katarzyna”. Nie wiadomo dokładnie, jak wyglądały jej kontakty z peerelowskimi organami, bo w 1982 roku jej akta zostały zniszczone. Do 1968 roku mieszkała z synem w Warszawie przy ulicy Bachmackiej, razem z rodziną brata Włodzimierza. Później wprowadziła się tam także jej synowa. Jak podaje Grabowski, od maja 1967 roku do kwietnia 1972 roku Blanka ponownie była zarejestrowana jako tajny współpracownik bezpieki i otrzymywała z tego tytułu

wynagrodzenie.



W 1964 roku opowiedziała dziennikarzowi Krzysztofowi Kąkolewskiemu o Johannesie Berencie, którego uwiodła i wykorzystała, działając na polecenie Podziemia, ale zapewniła, że tak naprawdę go kochała. Wspomniała o tym, że podziwiała Kalksteina i próbowała go pokochać, aby zapomnieć o tamtym. I że przeszłość nadal ją ściga. Nie może wejść w trwałe związki, bo mężczyźni od niej odchodzą, poznawszy prawdę o jej historii. Z dorosłym już synem były i są kłopoty. Przebywał w zakładzie poprawczym. „Jest napiętnowany jakby grzechem pierworodnym”. Dużo gorczy dźwięczy w jej słowach. Odrzucenie boli, to widać. Pewnie dlatego zdecydowała się na wyjazd do Francji. Wśród obcych mogła się zgubić, rozplątać, w Polsce piętno Kaina znać było z daleka. W dodatku wskutek rozpoznawalności jej przydatność jako agentki w kraju zmalała. Wyjechała do Francji w marcu 1968 roku na turystyczny paszport, z prawem wielokrotnego przekraczania granicy. Oficjalnie miała prowadzić badania z historii sztuki. Zajmujący się od lat sprawą aresztowania generała Roweckiego „Grota” jego bliski krewny, historyk i ówczesny dziennikarz RWE doktor Witold Pronobis znalazł w czytelni w Luwrze jej nazwisko w księdze wpisów z 1969 roku wraz z tematem, nad którym rzekomo tam pracowała: *Mieszczanstwo drugiej połowy XVIII w. w malarstwie Canaletta w zbiorach Luwru i Muzeum Narodowego w Warszawie*. Jeździła często do Warszawy i jeszcze w 1971 roku odbierała pensję w Centrali Importowo-Eksportowej „Foto-Kino-Film”, choć w Paryżu nie występowała wcale jako reprezentantka tej firmy. To też daje do myślenia na temat jej powojennych uwikłań. Raz zaprzedałszy duszę diabłu, tkwiła w jego szponach.

W marcu lub kwietniu 1984 roku Witold Pronobis dowiedział się, że w polskim Domu Spokojnej Starości w Lailly-en-Val przebywa Blanka Kaczorowska. Gdy ją przyjmowano jako polską emigrantkę, nikt nie wiedział, kim naprawdę jest. Ktoś ją tam rozpoznał dopiero po pewnym czasie. Wcześniej w szpitalu psychiatrycznym La Queue-en-Briet, gdzie ją leczono na depresję, utrzymywała, że oboje z mężem byli więźniami politycznymi w PRL-u. Jak na ironię, konfidentka Gestapo, mająca na sumieniu śmierć i cierpienie wielu swoich rodaków, skazana prawomocnym wyrokiem Podziemia na karę śmierci, znalazła się pod jednym dachem z ludźmi, wśród których były osoby zasłużone dla Polski. Właśnie tacy bohaterowie, jakich w czasie wojny denuncjowała. Tadeusz Żenczykowski, podczas Powstania szef Wydziału Propagandy AK, stwierdził: „Nie wykonamy już na niej wyroku śmierci, ale ona musi odczuć, że nie istnieje dla nikogo, kto czuje się polskim patriotą, że w ogóle jest nikim”¹³. Z pomocą środowisk polskich załatwił, że w maju 1984 roku Blankę odesłano do domu opieki

przy szpitalu w Beaugency. Odrzucono ją jak biblijnego Kaina. I jak biblijny Kain wciąż żyła.



To od Tadeusza Żenczykowskiego dostał Witold Pronobis zdjęcie Ludwika Kalksteina. Dzięki temu przeżył historię zupełnie nieprawdopodobną – rozpoznał Kalksteina przebywającego pod zmienionym nazwiskiem w Monachium.



***BLANKA KACZOROWSKA** jeszcze w latach siedemdziesiątych XX wieku
była
na esbeckiej liście płac (Instytut Pamięci Narodowej)*

Już po upadku PRL Pronobis dowiedział się, że w Monachium od 1985 roku mieszka starszy pan, który podobno podczas okupacji kierował w Warszawie komórką wywiadowczą Armii Krajowej i ma ciekawe materiały. Wiedział o nim

jeszcze tyle, że najpierw pracował w bibliotece Polskiej Misji Katolickiej, później zachorował i zrezygnował z pracy. Uzyskawszy namiary na atrakcyjny dla dziennikarza kontakt, Pronobis uzbrojony w magnetofon odwiedził tego człowieka w domu. Jakież było jego zdumienie, gdy zobaczył przed sobą twarz znaną ze zdjęcia. W ten sposób odkrył, że Ludwik Kalkstein żył od lat w Monachium pod nazwiskiem Edward Ciesielski. W czasie wojny o włos uniknął akowskiej kuli, a po wojnie wykręcił się od kary adekwatnej do winy, idąc na współpracę z bezpieką. Teraz zaś późne stadium raka stanowiło dla niego wyrok, od którego nie było ucieczki.

Podczas spotkania Kalkstein-Ciesielski przyznał się, że „rozgryzał” Polaków z Monachium i że właśnie po to tu przyjechał. Poza tym nie chciał wiele mówić, stwierdził jedynie, że „grał z Niemcami swoją grę” i że dzisiaj nikt go nie zrozumie. Jakby znów sugerował wallenrodyzm.

Czesław Kiszczak w późniejszej rozmowie z Michałem Wójcikiem i Arturem Górskim dowodził, że Kalkstein kłamał, przechwalając się rozpracowywaniem monachijskiej Polonii. Zdaniem generała nie stały za nim żadne służby, bo to była wredna postać i człowiek do tego stopnia skompromitowany, że żaden wywiad, któremu zależy na reputacji, z kimś takim by nie współpracował. Gdyby Wolna Europa ujawniła, że jednym z agentów polskiego wywiadu jest Kalkstein, „wszyscy zapadlibyśmy się ze wstydu” – powiedział Kiszczak. Trudno dać jego słowom wiarę. Sam jednocześnie przyznał, iż Kalkstein „miał duży dryg do tej roboty”, a że służbami nie rządzą sentymenty ani też poczucie wstydu czy sumienie, więc jeśli tylko był przydatny, raczej by z tego skorzystano.

Ludwik Kalkstein zmarł w październiku 1994 roku, mając siedemdziesiąt cztery lata, już po zamknięciu rozgłośni RWE. Został pochowany jako Edward Ciesielski. Jego grób władze cmentarza po kilku latach zlikwidowały, bo nikt o niego nie dbał.



Doktor Witold Pronobis zrekonstruował emigracyjne dzieje Blanki Kaczorowskiej sprzed jej pobytu w polskim domu opieki. Wyjechała do Francji w 1968 roku. Początkowo mieszkała w Paryżu i chodziła do Alliance Française. Oficjalnie przygotowywała streszczenia francuskich książek dla polskich wydawnictw, dorabiała opieką nad starszą osobą, do rodziny pisała, że pracuje nad doktoratem. Zaczęła cierpieć na depresję i stany lękowe, leczyła się u psychiatry. Gdy poczuła się lepiej, podjęła pracę recepcjonistki w hotelu i zamieszkała w Wersalu. Tu w 1974 roku przyjechał z Polski jej syn. Po jakimś czasie znowu jej się pogorszyło. W 1980 roku doznała udaru mózgu i częściowego paraliżu. W 1982

roku znalazła się w szpitalu psychiatrycznym, rok później umieszczono ją w Polskim Domu w Lailly-en-Val, gdzie przebywała, dopóki jej nie rozpoznano. W jej przypadku nie było to trudne. Nie zmieniła nazwiska jak Kalkstein, a do tego miała rzadkie, charakterystyczne imię. W końcu lat osiemdziesiątych trafiła do domu starców, tym razem w Villers-sur-Marne, miejscowości, gdzie mieszkał jej syn. Ciężko chorowała, przeszła operację. Zmarła w 2002 roku w szpitalu ojców kamilianów w Bry-sur-Marne.

Z powodu wspomnianego już zniszczenia akt nie jest jasne, jak konkretnie przez czas pobytu we Francji wyglądała jej współpraca z peerelowskim kontrwywiadem. Wiadomo jedynie, że w latach 1976–1977 „była w zainteresowaniu”¹⁴ tych służb oraz że bez problemów przedłużano jej polski paszport. W 1989 roku, jeszcze za PRL-u, złożyła podanie o paszport konsularny i wypłacenie emerytury za okresy jej zatrudnienia w Polsce. Ciekawe, że paszport konsularny otrzymała w 1994 roku, a więc od III RP.

Nie chwaliła się nazwiskiem byłego męża. W rubryce wystawionego po wojnie aktu urodzenia syna figuruje „ojciec nieznany”. We Francji podawała, że jest rozwódką, a personalia ojca swego dziecka wpisywała w formularzach nieprawdziwe: Ludwik Kaczorowski. Po jego śmierci przeszła na: Ludwik Kalkstein-Stoliński. I tak, zgodnie z informacjami przekazanymi przez syna, zapisano w jej akcie zgonu. Odeszła, zabierając do grobu tajemnicę motywacji swoich niechlubnych życiowych wyborów i samotności ostatnich lat życia.

PRZYPISY

¹ Wanda Ossowska, *Przeżyłam... Lwów – Warszawa 1939–1945*, Warszawa 1990, s. 233.

² Tamże, s. 221.

³ Tamże, s. 235.

⁴ Tamże.

⁵ Krzysztof Kąkolewski, *Barwy hetmanów i czerń SS*, „Świat” 1963, nr 21, 22, 24, [online:] http://niniwa22.cba.pl/barwy_hetmanow_i_czern.htm.

⁶ Stanisław Jankowski, *Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie*, t. 2, Warszawa 1988, s. 95–96.

⁷ Halina Zakrzewska „Beda”, *Niepodległość będzie twoją nagrodą*, Warszawa 1994, s. 197.

⁸ Maszynopis wspomnień Stefana Matuszczyka „Porawy”. Cyt. za: Halina Zakrzewska „Beda”, *Niepodległość będzie twoją nagrodą*, dz. cyt.

⁹ Marian Karczewski, *Czy można zapomnieć?*, Warszawa 1969, s. 68.

¹⁰ Tamże, s. 127.

¹¹ Waldemar Grabowski, *Kalkstein i Kaczorowska w świetle akt UB*, „Biuletyn IPN” 2004, nr 8–9, [online:] http://www.niniwa22.cba.pl/kalkstein_i_kaczorowska.htm.

¹² Cyt. za: Tadeusz Żenczykowski, *General Grot. U kresu walki*, Londyn 1983.

¹³ Cyt. za: Witold Pronobis, *Poślubieni zdradzie*, [online:] http://www.niniwa22.cba.pl/poslubieni_zdradzie.htm.

¹⁴ Cyt. za: Waldemar Grabowski, *Kalkstein i Kaczorowska w świetle akt UB*, dz. cyt.

LITERATURA

DWIE BARBARY

Baranowski I., *Z dziejów rodów patrycjuszowskich miasta starej Warszawy*, Warszawa 1915.

Bartoszewicz J., *Anna Jagiellonka*, t. 1, Kraków 1882.

Bezkrólewia ksiąg ośmioro czyli Dzieje Polski od zgonu Zygmunta Augusta r. 1572 aż do r. 1576, t. 1, skreślone przez Świętosława z Borzejowic Orzelskiego, przeł. z rękopismu Cesarskiej Publicznej Biblioteki, przyp. i życiorysem uzup. W. Spasowicz, Petersburg–Mohilew 1856.

Bugaj R., *Nauki tajemne w dawnej Polsce – Mistrz Twardowski*, Wrocław 1986.

Czarnecka R., *Barbara i król. Historia ostatniej miłości Zygmunta Augusta*, Poznań 2013.

Fukier H. M., *Wspomnienia staromiejskie*, Warszawa 1959.

Jaworski T., *Krótki rys dziejów m. Warszawy z ilustracjami oraz monografią rodów: Baryczków, Fukierów i Gizów*, cz. 1: 1313–1848, zebrał i zest. T. Jaworski, Warszawa 1913.

Gomulicki W., *Opowiadania o starej Warszawie*, oprac., wstęp i koment. J. W. Gomulicki, Warszawa 1960.

Kuchowicz Z., *Barbara Gizanka – ostatnia miłość króla Zygmunta Augusta*, [w:] tenże, *Wizerunki niepospolitych niewiast staropolskich XVI–XVIII wieku*, Łódź 1974, s. 122–143.

Kutz T., *Gizanka*, Warszawa 1932.

Niemcewicz J. U., *Zbiór pamiętników o dawnej Polsce z rękopismów, tudzież dzieł. W różnych językach o Polsce wydanych, oraz z listami oryginalnymi królów i znakomitych ludzi w kraju naszym*, t. 1, Lipsk 1838.

Pisma polityczne z czasów pierwszego bezkrólewia, wyd. J. Czubek, Kraków 1906.

Przedziecki A., *Jagiellonki polskie w XVI wieku*, t. 3, Kraków 1868.

Przyborowski W., *Z przeszłości Warszawy. Szkice historyczne*, Warszawa 1899.

Przyborowski W., *Z przeszłości Warszawy. Szkice historyczne. Serya 2. Legendy warszawskie*, Warszawa 1902.

Rola-Stężycki A. Z., ***Grójeckim traktem, Grójec 2009.***

Szenic S., *Barbara Gizanka*, [w:] tenże, *Królewskie kariery warszawianek*, Warszawa 1971, s. 5–47.

Widacka H., *Silva Rerum. Legendy i fakty o Mistrzu Twardowskim*, [online:] http://www.wilanow-palac.pl/legendy_i_fakty_o_mistrzu_twardowskim.html, dostęp: 15 I 2017.

Widacka H., *Silva Rerum. Perły królowej Barbary Radziwiłłówny*, [online:] http://www.wilanow-palac.pl/perly_krolowej_barbary_radziwillowny.html, dostęp: 16 I 2017.

Wdowiszewski Z., *Genealogia Jagiellonów i Domu Wazów w Polsce*, Kraków 2005.

Wdowiszewski Z., *Giza Barbara*, [w:] *Polski słownik biograficzny*, t. 8, Wrocław 1959–1960, s. 15–16.

POSKROMIONA ZŁOŚNICA PRZED SEJMOWYM SADEM

Dworzaczek W., *Materiały historyczno-genealogiczne do dziejów wielkiej własności w Wielkopolsce – Błożejewscy-Bogusławscy*, [w:] *Teki Dworzaczka*, [online:] <http://de.szlachta.wikia.com/wiki/Błożejewscy-Bogusławscy>, dostęp: 30 IX 2016.

Kraushar A., *Barbara Brezianka. Obrazek z XVII-go wieku*, Warszawa 1892.

Opaliński K., *Księgi wtórej satyra pierwsza. Na zepsowane stanu białogłowskiego obyczaje*, [w:] tenże, *Satyry albo Przestrogi do poprawy rządów i obyczajów w Polsce należące na pięć ksiąg rozdzielone*, Poznań 1840, s. 59–78.

Żychliński T., *Złota księga szlachty polskiej*, t. 6, Poznań 1884, s. 28–74; t. 7, Poznań 1885, s. 3–16.

WENUS POLSKA ALBO GRZESZNY ŻYWOT AGNIESZKI

Czubek J., *Wespazyan z Kochowa Kochowski. Studium biograficzne*, Kraków 1900.

Dudzińska H., *Kolbuszowskie legendy... (Agnieszka Machówna)*, „Przegląd Kolbuszowski” 1991, nr 1, s. 5; nr 2, s. 5, [online:] <http://gim2kolbuszowa.pl/biblioteka/regionalia/legendy/agnieszka.htm>, dostęp: 16.06.2016.

Kaczkowski Z., *Kobieta w Polsce. Studium historyczno-obyczajowe*, t. 2, Petersburg 1895, s. 282–286.

Kantecki K., *Samozwanka. Proces kryminalny z XVII wieku*, [w:] tenże, *Szkice i opowiadania*, Poznań 1883, s. 61–78.

Kolińska K., *Damy czarne i białe*, Warszawa 1972, s. 79–97.

Kuchowicz Z., *Niezwykłe przygody pięknej dobozanki*, [w:] tenże, *Wizerunki niepospolitych niewiast staropolskich XVI–XVIII wieku*, Łódź 1974, s. 251–264.

Malinowski K., *Narratio causae cuisudam Mulieris nobililis ex scelere, agitatae Tribunali Lublinen. 1677 8 9 1680 tandem iustificatae sub directione M. Opaliński Palatini Lencincien, Marschalci, et Reverendissimi Zorawski Praesidentis*, „Pamiętnik Sandomierski. Pismo poświęcone dzieiom i literaturze oyczystèy” (Warszawa) 1829, t. 1, [wyd. T. Ujazdowski], s. 29–39.

Niewiasty polskie. Zarys historyczny K. Wł. Wójcickiego, Warszawa 1845, s. 293–302.

Z chłopki księżna. Historia wielkiej mistyfikacji z XVII wieku, oprac., wstęp i objaśn. D. Chemperek, Lublin 2000.

Ziółkowski J., *Nierządniczy żywot atlasowy*, Warszawa 1991.

KRÓL, JEGO KAMERDYNER, KSIĄŻĘ I AWANTURNICA

Danilczyk A., *Afera Dogrumowej a konsolidacja opozycji królewskiej w latach 1785–1786*, „Kwartalnik Historyczny” 2004, t. 111, nr 4, [online:] http://rcin.org.pl/Content/2971/WA303_4489_KH111-r2004-R111-nr4_Kwartalnik-Historyczny_03_Danilczyk.pdf, dostęp: 28 IX 2016.

Danilczyk A., *W kręgu afery Dogrumowej. Sejm 1786 roku*, Warszawa 2011.

Dekreta w sprawie j. o. xiążęcia jmci Czartoryskiego generała ziem podolskich z urodzonym Ry starostą piaseczyńskim y innemi w sądach marszałkowskich koronnych kryminalnych 1785 roku zapadłe, Warszawa 1785, starodruk, [online:] <https://polona.pl/item/531142/0>, dostęp: 15 XII 2016.

Kitowicz J., *Pamiętniki, czyli Historia polska*, Warszawa 1971.

Kalwat W., *Sprawa Dogrumowej, czyli skandal z kurtyzaną w roli głównej*, [online:] <http://historia.focus.pl/polska/sprawa-dogrumowej-czyli-skandal-z-kurtyzana-w-rol-i-glownej-1728?strona=1>, dostęp: 15 X 2016.

Kraushar A., *Sprawa Dogrumowej przed sądem marszałkowskim 1785 roku*, [w:] tenże, *Drobiazgi historyczne*, St. Petersburg–Kraków 1891, s. 243–317, [online:] <http://kpbc.umk.pl/dlibra/doccontent?id=39404>, dostęp: 10 IX 2016.

Malewska H., *Apokryf rodzinny*, Kraków 1965.

Naruszewicz A., *Sprawa Między Xięciem Adamem Czartoryskim Generałem Ziem Podolskich Oskarżającym a Janem Komarzewskim Generałem Majorem przy Boku J. K. Mci, i Franciszkiem Ry Starostą Piaseczyńskim Kamerdynerem Królewskim, Oskarżonemi iakoby o zamysł strucia tego Xięcia*, 1785, starodruk, [online:] <http://www.dbc.wroc.pl/dlibra/doccontent?id=23167>, dostęp: 20 XII 2016.

Ugniewski P., *Stanisław Kostka Potocki a sprawa Dogrumowej na kartach „Gazety Lejdejskiej”*, [online:] http://www.wilanow-palac.pl/stanislaw_kostka_potocki_a_sprawa_dogrumowej_na_kartach_gazety_lejdejskiej.html, dostęp: 15 XII 2016.

Waniczkówna H., *Dogrumowa Maria Teresa*, [w:] *Polski słownik biograficzny*, t. 5, Kraków 1939–1946, [online:] <http://ipsb.nina.gov.pl/a/biografia/maria-teresa-dogrumowa>, dostęp: 12 XII 2016.

GRECZYŃKA W&NBSP;POLSCE

Boscamp-Lasopolski K., *Moje przelotne miłości z młodą Bitynką*, Warszawa 1963.

Groza S. W., *Opisanie Sofijówki*, Wilno 1843.

Kaleta R., *Najpiękniejsza z najpiękniejszych*, [w:] tenże, *Sensacje z dawnych lat*, Wrocław 1974, s. 83–84.

Konopczyński W., *Karol Boscamp-Lasopolski*, [w:] *Polski słownik biograficzny*, t. 2, Wrocław 1936, [online:] <http://www.ipsb.nina.gov.pl/index.php/a/karol-boscamp-lasopolski>, dostęp: 20 VIII 2016.

Łojek J., *Dzieje pięknej Bitynki. Opowieść o życiu Zofii Wittowej-Potockiej (1760–1822)*, Warszawa 1972.

Łojek J., *Dzieje zdrajcy*, Katowice 1988.

Łojek J., *Potomkowie Szczęsnego. Dzieje fortuny Potockich z Tulczyna, 1799–1921*, Warszawa 1996.

Niemcewicz J. U., *Pamiętniki czasów moich*, Lipsk 1868.

Rolle A. J., *Dwór Tulczyński*, [w:] tenże, *Opowiadania historyczne I*, Lwów 1878, s. 205–240.

Rolle A. J., *Dyzma Bończa Tomaszewski*, [w:] tenże, *Opowiadania historyczne*, seria 3, t. 1, Warszawa 1882, s. 127–167.

Rolle A. J., *Dziedzictwo humańskie. Notatki monograficzne*, dodatek miesięczny do „Przeglądu Tygodniowego”, Warszawa 1844.

Rolle A. J., *Losy pięknej kobiety*, Warszawa 1914.

Stachniak E., *Ogród Afrodyty*, Warszawa 2007.

POETA I HRABINA

Budzyński M., *Wspomnienia z mojego życia*, t. 2, Poznań 1880, s. 64.

Czapska M., *Jeszcze o Odesie i towarzyszach podróży krymskiej Mickiewicza*, „Przegląd Współczesny” 1935, nr 154, s. 229–250.

Czapska M., *Szkice Mickiewiczowskie*, Londyn 1963.

Dmitrij Filozofow o monografii prof. Kleinera. Prof. Askenazy o kompanji krymskiej Mickiewicza, „Wiadomości Literackie” 1934, nr 6, s. 5.

Fontille E., *Adam Mickiewicz. Rys biograficzny, złożony ze wspomnień i wrażeń (w dodatku wiadomości o Legionie we Włoszech)*, Kraków 1863.

Jaxa Marcinkowski K., *Zabawy wierszem dla płci pięknej poświęcone, własne i tłumaczenia*, Warszawa 1818.

Gomolicki L., *Dziennik pobytu Adama Mickiewicza w Rosji 1824–1829*, Warszawa 1949.

[Iwanowski E. A.], *Wspomnienia polskich czasów dawnych i późniejszych*, t. 2, Lwów 1894.

Kleiner J., *Mickiewicz*, t. 1, Lublin 1948.

Kleiner J., *Rekonstrukcja dalszego ciągu „Konfederatów Barskich” Mickiewicza* (na prawach rękopisu), materiały dyskusyjne Komisji Naukowej Obchodu Roku Mickiewicza Polskiej Akademii Nauk, Sekcja Historii Literatury i Języka, Warszawa 1955.

Koper S., *Kobiety w życiu Mickiewicza*, Warszawa 2010.

Koper S., *Raporty z alkowy, Uważam Rze Historia*” [online:]

<http://www.historia.uwazamrze.pl/artykul/961113>, dostęp: 5.02.2017.

Łojek J., *Dzieje pięknej Bitynki. Opowieść o życiu Zofii Wittowej-Potockiej (1760–1822)*, Warszawa 1972.

Łukaszewicz J., *Mickiewicz*, Wrocław 1996.

Majewski J. S., *Szpieg w łóżku*, [w:] tenże, *Warszawa nieodbudowana. Królestwo Polskie w latach 1815–1840*, Warszawa 2009, s. 156–157, przypis na s. 263.

Mickiewicz A., *Konfederaci barscy i Jakub Jasiński*, Lwów 1886.

Mickiewicz A., *Listy*, cz. 1: 1815–1829, oprac. M. Dernałowicz, E. Jaworska, M. Zielińska, Warszawa 1998.

Mickiewicz A., *Literatura słowiańska wydana w Kolegium Francuzkiem. Rok drugi, 1841–1842*, [t. 2], Poznań 1865.

Mickiewicz W., *Żywot Adama Mickiewicza podług zebranych przez siebie materiałów oraz z własnych wspomnień*, t. 1, Poznań 1890; t. 2, Poznań 1892.

Piechota M., Leszczyzna J., *Słownik mickiewiczowski*, Katowice 2000.

Podhorski-Okolów L., *Czy nie koniec bałamutnej legendy?*, [w:] tenże, *Realia Mickiewiczowskie*, Warszawa 1999, s. 253–266.

Rymkiewicz J. M., *Siedem hasel z encyklopedii mickiewiczowskiej*, „Kwartalnik Artystyczny” 1988, nr 3 (19), s. 99–101.

Rymkiewicz J. M., *Tajemnica genueńskiej fortecy*, [w:] *Tajemnice Mickiewicza*, red. M. Zielińska, Warszawa 1998, s. 7–15.

Rzązewski A., *Mickiewicz w Odessie i twórczość jego tego czasu*, Warszawa 1898.

Skarbek F., *Laura. Komedia w czterech aktach*, [w:] tenże, *Teatr*, t. 1, Warszawa 1847, s. 197–297.

Słowiński P., *Szpieg w krynolinie*, [w:] tenże, *Słynne agentki. Kobiety w służbie wywiadów*, Chorzów 2014, s. 174–186.

Sowietow S., *Z zagadnień kształcenia się realizmu w twórczości Adama Mickiewicza. Okres pobytu poety w Odessie*, „Pamiętnik Literacki. Czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej” 1955, nr 46/3, s. 90–137.

Terlecki W., *Zabij cara*, Warszawa 1992.

Wasylewski S., *Karolina Sobańska. Występne życie i złoczyny tajnej agentki wywiadu carskiego*, Kraków 1959.

Wilkinson J. W., *Karolina Rzewuska*, Tygodnik Forum, 2003, [online:] http://historia_kobiet.w.interiowo.pl/teksty/rzewuska.htm, dostęp: 12.02.2017.

TAJEMNICZA XAWERA

Gille-Maisani J.-C., *Adam Mickiewicz – człowiek. Studium psychologiczne*, tłum. A. Kuryś, K. Rytel, Warszawa 1987.

Kaleta R., *Słówko o Ksawerze Deybel*, [w:] tenże, *Sensacje dawnych lat*,

Wrocław 1974, s. 196–197.

Kossak E. K., *Boskie diabły*, Warszawa 1996.

Mickiewicz W., *Moja matka*, Kraków 1926.

Mickiewicz W., *Żywot Adama Mickiewicza podług zebranych przez siebie materiałów oraz z własnych wspomnień*, t. 1, Poznań 1890; t. 2, Poznań 1892.

Morawski S., *Z wiejskiej samotni. Listy do Heleny i Franciszka Malewskich*, oprac. Z. Sudolski, Warszawa 1981.

Odrował-Pieniążek J., *Mickiewicziana zbierane po świecie*, Warszawa 1998.

Rutkowski K., *Miejsce Xawery Deybel w rodzinie Mickiewiczów*, [w:] *Tajemnice Mickiewicza*, red. M. Zielińska, Warszawa 1998, s. 29–62.

Rutkowski K., *Xiężniczka. Miejsce Xawery Deybel w rodzinie Mickiewiczów*, Lublin 1998.

Sudolski Z., *Mickiewicz. Opowieść biograficzna*, Warszawa 1995.

Sudolski Z., *Panny Szymanowskie*, Warszawa 1982.

Szpotkański S., *Andrzej Towiański. Jego życie i nauka*, Warszawa 1938.

Urbankowski B., *Adam Mickiewicz. Tajemnice wiary, miłości i śmierci*, Warszawa 2016.

Witkowska A., *Celina i Adam Mickiewiczowie*, Kraków 1998.

Witkowska A., *Mickiewicz. Słowo i czyn*, Warszawa 1983.

Załuski P. S., *Zamęt. Opowieść o czasach i życiu Mickiewicza*, Wrocław 2011.

Żeleński (Boy) T., *Brązownicy i inne szkice o Mickiewiczu*, oprac. H. Markiewicz, Warszawa 1956.

PO BOLSZEWICKU, CZYLI CZERWONA DUSZA KOMUNISTKI

Broniewska J., *Ciapek włóczęga*, Warszawa 1978.

Broniewska J., *Dawno i jeszcze dawniej*, Warszawa 1975.

Broniewska J., *Dziesięć serc czerwonych*, Warszawa 1977.

Broniewska J., *Historia gałgankowej Balbisi*, Warszawa 1971.

Broniewska J., *Historia toczonego dziadka i malowanej babki*, Warszawa 1975.

Broniewska J., *Krystek z Warszawy*, Warszawa 1965.

Broniewska J., *Maje i listopady*, Warszawa 1967.

Broniewska J., *O człowieku, który się kulom nie kłaniał*, Warszawa 1969.

Broniewska J., *Opowieści wojenne*, Warszawa 1973.

Broniewska J., *Tamten brzeg mych lat*, Warszawa 1973.

Broniewska J., *Z notatnika korespondenta wojennego, t. 1–2*, Warszawa 1954.

Broniewska J., *Z notatnika korespondenta wojennego*, Warszawa 1961.

Broniewski w potrzasku uczuć. Listy Władysława Broniewskiego i Ireny Helman, wstęp, oprac. i przypisy D. Pachocki, [Warszawa] 2013.

Broniewscy J. i W., *Miłość jest nieprzyjemna... Listy ze wspólnego życia*, oprac. z rękopisu, wstęp i przypisy W. Bojda, Warszawa 2014.

Shore M., *Kawior i popiół*, tłum. M. Szuster, Warszawa 2008.

Siedlecka J., *Biografie odtajnione. Z archiwów literackich bezpieki*, Poznań 2015.

Urbanek M., *Broniewski. Miłość, wódka, polityka*, Warszawa 2011.

Urbankowski B., *Czerwona msza, czyli uśmiech Stalina*, t. 1–2, Warszawa ca 2010.

Wat A., *Mój wiek. Pamiętnik mówiony. Część pierwsza*, Warszawa 1990.

MADAME WASILEWSKA IDZIE NA WOJNĘ

Berling Z., *Wspomnienia*, t. 2: *Przeciw 17 Republice*, Warszawa 1991.

Berlingowa M., *Bliżej prawdy*, Warszawa 1990.

Broniewska J., *Dziesięć serc czerwonych*, Warszawa 1977.

Broniewska J., *Z notatnika korespondenta wojennego*, t. 1, Warszawa 1965.

Broniewscy J. i W., *Miłość jest nieprzyjemna... Listy ze wspólnego życia*, oprac. z rękopisu, wstęp i przypisy W. Bojda, Warszawa 2014.

Ciołkosz A., *Wanda Wasilewska. Dwa szkice biograficzne*, Londyn 1977.

Koper S., *Ulubienica Stalina*, [w:] tenże, *Kobiety władzy PRL*, Warszawa 2012, s. 33–85.

Kurek J., *Dwie kobiety. O Wandzie Wasilewskiej epizod prawdziwy*, „Dekada Literacka” 1995, nr 3, s. 9.

Mrozik A., „Komuniści (nie) mają ojczyzny...” *Wanda Wasilewska jako polska (anty)bohaterka narodowa*, „Studia Litteraria Historica” 2013, nr 2, s. 528–554.

Putrament J., *Na literackim froncie*, Warszawa 1953.

Shore M., *Kawior i popiół. Życie i śmierć pokolenia oczarowanych i rozczarowanych marksizmem*, Warszawa 2008.

Słowiński P., *Wanda Wasilewska*, [w:] tenże, *Boginie zła, czyli kobiety okrutne, żądne władzy i występne*, Katowice 2010, s. 132–139.

Strykowski A., *Wielki strach. To samo, ale inaczej*, Warszawa 1990.

Syzdek E., *W jednym życiu tak wiele... Opowieść o Wandzie Wasilewskiej*, Warszawa 1980.

Syzdek E., *Działalność Wandy Wasilewskiej w latach drugiej wojny światowej*, Warszawa 1981.

Urbankowski B., *Czerwona msza, czyli uśmiech Stalina*, t. 1–2, Warszawa ca 2010.

Wat A., *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*, t. 1–2, Warszawa 1990.

Watowa O., *Wszystko, co najważniejsze*, Warszawa 1990.

Zatorska H., *Wanda Wasilewska*, Warszawa 1977.

KAINOWA SAMOTNOŚĆ

Chmielarz A., Kunert A. K., *Spiska 14. Aresztowanie generała „Grotą” Stefana Roweckiego*, Warszawa 1983.

Górski A., Wójcik M., *Wywiad nie potrzebuje renegatów!*, [online:] http://www.niniwa22.cba.pl/poslubieni_zdradzie.htm, dostęp: 15.02.2017.

Grabowski W., *Kalkstein i Kaczorowska w świetle akt UB*, „Biuletyn IPN” 2004, nr 8–9, [online:] http://www.niniwa22.cba.pl/kalkstein_i_kaczorowska.htm, dostęp: 10.02.2017.

Jankowski S., *Zfałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie*, t. 2, Warszawa 1988.

Karczewski M., *Czy można zapomnieć?*, Warszawa 1969.

Kąkolewski K., *Barwy hetmanów i czerń SS*, [online:] http://www.niniwa22.cba.pl/barwy_hetmanow_i_czern.htm, dostęp: 30.01.2017.

Ossowska W., *Przeżyłam... Lwów – Warszawa 1939–1946*, Warszawa 1990.

Pronobis W., *Generał Grot. Kulisy zdrady i śmierci*, Warszawa 2014.

Pronobis W., *Poślubieni zdradzie*, [online:] http://www.niniwa22.cba.pl/poslubieni_zdradzie.htm, dostęp: 30.01.2017.

Zakrzewska H. „Beda”, *Niepodległość będzie twoją nagrodą*, t. 1–2, Warszawa 1994.

Żenczykowski T., *Generał Grot. U kresu walki*, Londyn 1983.

ŹRÓDŁA ILUSTRACJI I ZDJĘĆ

Archiwum Autorki: 91

Biblioteka Narodowa: 14, 15, 25, 28, 34, 39, 44, 48, 57, 59, 63, 74, 76, 92, 96, 107, 109, 113, 114, 118, 122, 132, 138, 159–160, 170, 174, 175, 193, 198, 205, 212 (grafika Marii Szymanowskiej), 223, 245, 289, 296

Cyfrowe Muzeum Narodowe w Warszawie: 30, 35

IPN 333, 336, 341, 345

Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza: 226, 262, 279, 282, 313

Wikipedia: 19, 23, 69, 81, 99, 129, 144, 149, 157, 177, 181, 185, 212 (grafika Celiney Szymanowskiej), 221, 250, 259, 275, 277, 302, 316, 322

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. H. Łopacińskiego 89

Okładka
Fahrenheit 451

Zdjęcie na okładce
© AndreyKiselev@fotolia.com

Redakcji korekta
Ewa Popielarz

Dyrektor projektów wydawniczych
Maciej Marchewicz

Skład i łamanie
Tekst Projekt

ISBN 978-83-8079-167-1

Copyright © Joanna Puchalska
Copyright © for Fronda PL Sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydawca
Frona PL, Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Faks 22 877 37 34

e-mail: kontakt@wydawnictwofrona.pl
www.wydawnictwofrona.pl
www.facebook.com/FronaWydawnictwo
www.twitter.com/Wyd_Frona

virtualo

konwersja.virtualo.pl

